



OBIETNICA  
GWIEZDNEGO  
PYŁU

PRISCILLE

SIBLEY

iat Książki

*Przejmujący dramat rodzinny*

*dla miłośników powieści Tedi Picault*

Sibley Priscille

Obietnica gwiazdznego pyłu

## Spis treści

Karta redakcyjna

### Dedykacja

1. Telefon z Oddziału Ratunkowego
2. Operacja
3. Po operacji
4. Dzień drugi
5. Dzień drugi
6. Dzień trzeci
7. Dzień trzeci
8. Dzień trzeci
9. Dzień czwarty
10. Dzień czwarty
11. Dwadzieścia lat przed wypadkiem Elle
12. Dwadzieścia lat przed wypadkiem Elle
13. Dziewiętnaście lat przed wypadkiem
14. Po wypadku Elle
15. Dzień czwarty
16. Dzień piąty 1
7. Dzień szósty
18. Dziewiętnaście lat przed wypadkiem
19. Rok przed wypadkiem Elle
20. Po wypadku Elle
21. Dzień ósmy
22. Dziewiętnaście lat przed wypadkiem Elle
23. Po wypadku Elle
24. Dzień dziesiąty
25. Czternaście lat przed wypadkiem Elle
26. Czternaście lat przed wypadkiem
27. Po wypadku Elle
28. Dzień dziesiąty
29. Dzień jedenasty
30. Sześć lat przed wypadkiem
31. Pięć lat przed wypadkiem
32. Po wypadku Elle
33. Dzień dwunasty
34. Dzień czternasty do dwudziestego pierwszego
35. Dzień dwudziesty pierwszy
36. Dzień dwudziesty pierwszy
37. Dzień dwudziesty drugi
38. Osiemnaście do sześciu miesięcy przed wypadkiem Elle
39. Po wypadku Elle
40. Dzień dwudziesty czwarty
41. Pięć lat przed wypadkiem Elle
42. Po wypadku Elle
43. Dzień dwudziesty szósty
44. Pięć lat przed wypadkiem Elle

45. Cztery lata przed wypadkiem
46. Po wypadku Elle
47. Dzień dwudziesty siódmy
48. Dzień trzydziesty drugi do trzydziestego piątego
49. Dzień trzydziesty szósty
50. Dzień trzydziesty siódmy
51. Dzień trzydziesty ósmy
52. Dzień czterdziesty 53. Dzień sto sześćdziesiąty
- Epilog. Cztery miesiące później
- Od autorki Podziękowania None

Dla Tima, który dał mi swoje serce i odwagę, żeby pisać.  
Oraz dla Roberta, Cole'a i Ethana, którzy nauczyli mnie,  
że nie można się nigdy poddawać.

*Co do mnie, kochać cię, uszczęśliwiać,  
nie czynić nic, co przeczyłoby twoim życzeniom  
– oto moje przeznaczenie i sens mojego życia.*

Napoleon Bonaparte

### Telefon z Oddziału Ratunkowego

W tamtą noc – naszą ostatnią noc – leżeliśmy przepełnieni zachwytem, ponownie urzeczeni Perseidami, które przeistaczały pył kosmiczny we wstęgi światła. Była to dla nas swoista rocznica, umiłowane letnie wydarzenie, i zasnęliśmy na tarasie na dachu naszego starego domu – moja piękna żona Elle zwinięta w kłębek obok mnie, z głową spoczywającą w zgięciu mojej ręki.

Gdybym był rano został w domu – gdybym spojrzął na Elle i zrozumiał, że nic, co mógłbym lub miałbym kiedykolwiek zrobić, nie jest ważniejsze niż opieka nad nią. Gdybym... Jezu...

Słyszałem, jak rodziny pacjentów grają w „gdybym”. Jedenaście lat pracy w zawodzie lekarza oswoiło mnie z wyparciem i targowaniem się. Ale rzeczywistość jest zimna, bezwzględna i zbyt często nieodwracalna. Nie zostałem w domu, Elle też nie.

Kiedy zadzwoniła do mnie recepcjonistka, byłem już w swoim gabinecie; oglądałem skany MRI, na których widniało coś, co wyglądało na glejaka, i zastanawiałem się, ile czasu może zyskać mój pacjent, jeśli wytnę mu złośliwy guz.

– Szpital na trzeciej linii. Mówią, że to coś pilnego.

– Dzięki, Tanya. – Podniosłem słuchawkę, wciąż wpatrując się w przekroje płata skroniowego. – Beaulieu przy telefonie – powiedziałem.

– Cześć, Matt, tu Carl Archer. – Lekarz z Oddziału Ratunkowego odchrząknął. – Musisz tu przyjść.

– Wezwij Phila. On pracuje dziś w szpitalu.

– Phil już tu jest. To ty musisz przyjść. Chodzi o twoją żonę. – Jego napięty głos przypominał pisk opon. – Miała wypadek.

Jego ton, bardziej niż słowa, mówił, że sytuacja jest poważna. Ten ton sprawił, że wiele pytań utknęło mi w gardle. Czy to znaczy, skoro Phil już tam jest, że Elle wymaga interwencji neurochirurgicznej? A może mój współpracownik po prostu był akurat na Oddziale Ratunkowym. Może stoi tam i opowiada Elle żarty, żeby odwrócić jej uwagę od jakiegoś drobnego stłuczenia. Proszę, pomyślałem, niech ona nie umrze.

– Co z Elle? – spytałem.

Carl znowu odchrząknął.

– Sytuacja jest poważna. Przyjdź natychmiast. Do zobaczenia za kilka minut. – W słuchawce rozległ się sygnał.

Zerwałem się z fotela i przemknąłem przez poczekalnię; minąłem kobietę stojącą obok syna na wózku i rzuciłem recepcjonistce, że idę do szpitala. Przebiegłszy cztery przecznice, zlany zimnym potem dotarłem do wejścia na Oddział Ratunkowy. Wpadłem przez podwójne drzwi i skierowałem się prosto do sektora urazowego. Mój współpracownik, Phil Grey, stał przy wózku reanimacyjnym z powyciąganymi szufladkami. Na rękach miał sterylne rękawiczki, na twarzy maskę chirurgiczną. Stojak na kroplówki przy łóżku obwieszony był workami i pompami. Z kończyn pacjenta wystawały najrozmaitsze przewody. Nie Elle. Proszę, nie Elle. Respirator syczał miarowo, wtłaczając tlen do połączonego z ciałem cewnika. Pielęgniarka odsunęła się i zobaczyłem twarz Elle, białą jak płótno, z zaschniętą krwią w blond włosach. Jedynie zapis na kardiomonitorze świadczył, że jeszcze żyje.

Jej ciało było sztywne i wyprężone, palce wyprostowane, a ręce przykurczone. Objawy sztywności odmóżdzeniowej, wskazują na poważne uszkodzenie ośrodkowego układu nerwowego. Osunąłem się na kolana, świadomy, że cokolwiek się stało, zniszczyło jej mózg.

Nie potrafię dokładnie powiedzieć, co się potem wydarzyło. Może ktoś postawił mnie na nogi. Może podniosłem się chwiejnie siłą własnej woli. Phil powiedział coś o Elle i upadku z drabiny, coś o napadzie padaczkowym w karetce. A Carl wisiał nad nami i mówił coś o pełnościennym zawale serca i pięciu punktach w skali Glasgow. Coś – o zatrzymaniu oddechu tylko na cztery czy pięć minut. Coś – o jej nieruchomych i rozszerzonych źrenicach. Coś – o jej tomografii. Coś – o operacji.

Dotknąłem zimnej nienaturalnie wygiętej dłoni Elle. Ludzie wpatrywali się we mnie, pełni współczucia. Ludzie, z którymi pracowałem. Ludzie, którzy nic mnie nie obchodzili. Wyjąłem z kieszeni latarkę i sprawdziłem jej źrenice. No, Elle, pomyślałem. Zareaguj. Udowodnij, że przecucie mnie myli. Że. Oni. Wszyscy. Się. Mylą.

Poświeciłem w zielone oczy żony, które nie były wcale zielone, lecz czarne. Przez ogromne nieruchome źrenice.

Badanie odruchów potwierdziło, że wypadek zniszczył mózg Elle.

Spotkałem się wzrokiem z Philem, jego oczy wypełniały łzy.

– Pokażę ci tomografię. Przed chwilą założyłem jej monitor ciśnienia wewnątrzczaszkowego. Jest wysokie. Podałem jej sterydy i mannitol. Chcę ją natychmiast wziąć na dół. Zrobię, co w mojej mocy. D’Amato będzie mi asystować. Sala już czeka.

Przez ułamek sekundy pomyślałem, że ja też chcę operować, ale potem oprzytomniałem. Prędzej zamieniłbym się w superbohatera, niż otworzyłbym jej mózg albo przyglądałbym się, jak robi to ktoś inny.

Phil uniósł tomogram, na którym widniał krwiał uciskający tkankę mózgową. Oparłem się o ścianę. To nie może się dziać.

Nie minęło jeszcze dwanaście godzin, odkąd kochaliśmy się z Elle na tarasie. Na pewno jeszcze tam śpię, mam koszmarne sny, martwię się, że Elle opiera się o rozchwianą barierkę. Muszę się obudzić. Rozglądając się wokół – analizując szczegóły tego, co mnie otacza, linie zmarszczek na twarzy Phila, gdy jego logiczny umysł obmyśla plan operacji, smar na kółkach łóżka – odrzuciłem rzeczywistość na rzecz wiary, iż to wyrazisty koszmar senny. Bezsilność waliła w moje wyparcie niczym w bęben. Pielęgniarka, którą teraz rozpoznałem, podniosła na mnie wzrok znad przewodów oplatających Elle.

Nie. To dzieje się naprawdę. Moja żona, dziewczyna, w której kocham się od siedemnastego roku życia, dziewczyna, którą kochałem jeszcze wcześniej jako najdroższą przyjaciółkę, upadła i roztrzaskała sobie głowę. Nawet najlepszy znany mi neurochirurg, mój najbliższy przyjaciel i współpracownik, nie zdoła jej poskładać.

Przez minutę stałem bez ruchu, wspominając, jak bardzo Elle nie chciała umierać powoli, w cierpieniach, jak jej matka. Phil wcisnął mi umieszczony na podkładce formularz zgody na zabieg.

– Podpisz, żebym mógł ją wziąć na salę operacyjną. Nie muszę ci niczego tłumaczyć – powiedział.

– Powinniśmy pozwolić jej odejść.

Odwrociłem się i popędziłem do łazienki, gdzie zwróciłem lunch. Miałem wrażenie, że także wszystko inne, co kiedykolwiek zjadłem, wylądowało w tamtej podłej szpitalnej toalecie. Wiercie mi; człowiek jest w stanie wycisnąć się do cna.

Phil otworzył drzwi i zastał mnie wymiotującego.

– Matt, muszę ją wziąć na dół. Natychmiast. Nie ma czasu na bzdury. Posłuchaj, to okropne, wiesz równie dobrze jak ja, że ona prawdopodobnie z tego nie wyjdzie, ale jeśli nie spróbujemy, znienawidzisz samego siebie. – Znowu wyciągnął do mnie podkładkę.

Co przysiągłem Elle w dniu naszego ślubu? Że będę ją kochał i szanował. Muszę



uszanować jej życzenia. Ona by tego nie chciała. Wiedziałem, jakie ma szanse. Znałem konsekwencje.

Chwyciłem podkładkę i mimo wszystko podpisałem zgodę.

Phil zniknął za drzwiami; zostawił mnie samego, pogrążonego w żalu z powodu każdej zdrady, jakiej się kiedykolwiek wobec niej dopuściłem. Pragnienie, by żyła, było podyktowane egoizmem – wiedziałem, jakie cierpienia ją czekają, wiedziałem, że po tak drastycznym urazie jej mózg nigdy nie będzie taki jak przedtem. Na tym polegał problem; jako neurochirurg znałem jej rokowania. Nie mogłem znaleźć ukojenia w ślepej nadziei: nikt i nic nie mogło ocalić Elle. Ale potrzebowałem jej. Chciałem, by Phil ją ratował, nawet jeśli ratunek był niemożliwy.

Obmyłem twarz wodą i wróciłem do pokoju. Pielęgniarka podłączała przenośny respirator, żeby można było przewieźć Elle na blok operacyjny.

– Dasz nam chwilę sam na sam? – spytałem.

Pielęgniarka przez chwilę krzątała się niepewnie wokół sprzętu, po czym dotknęła mojego ramienia, tak jak uczestnik pogrzebu dotyka żałobnika.

– Musimy wziąć ją na blok operacyjny.

Położyłem rękę na dłoni Elle. Cholerna kropłówka przeszkadzała. Pochyliłem się i pocałowałem ją w policzek. Nie mogłem pocałować jej w usta, bo wystawała z nich niczym trąba słonia rurka intubacyjna.

– Kocham cię, Pip. Zawsze cię kochałem. Zrozum, nie mogę żyć na tym świecie bez ciebie. Wróć do mnie. Proszę.

Do pomieszczenia weszli sanitariusze, anestezjolog i dwie pielęgniarki. Odblokowali kółka łóżka i odjechali z Elle w płataninie aparatury podtrzymującej życie.

Pozostawiony sam przy windzie, zacząłem chodzić w kółko. Musiałem powiedzieć o wszystkim naszej rodzinie, ojcu Elle i mojej matce, i nie miałem pojęcia, jak to zrobić. Wyjąłem z kieszeni komórkę i utkwilem wzrok w ekranie, na którym widniała informacja, że mam wiadomość głosową od Elle. Przyłożyłem telefon do ucha.

– Hej, to ja. – Westchnęła cicho. – Zróbmy sobie dziś cichy wieczór we dwoje. Może poszlibyśmy na spacer po plaży? Słuchaj, wiem, że się pogodziliśmy, ale jest mi potwornie przykro z powodu wczorajszej kłótni. Spędźmy dziś razem trochę czasu, w spokoju, rozmawiając i trzymając się za ręce i... tak bardzo cię kocham. – Przerwała, a potem ciągnęła dalej tonem, w którym pobrzmiwał uśmiech. – Zadzwon, jak odsłuchasz tę wiadomość, to coś zaplanujemy, dobrze? Nie mogę się doczekać, kiedy cię zobaczę! Pa.

Nie mogłem oddychać. Elle. Jezus. Musi z tego wyjść. Phil otworzy jej czaszkę i okaże się, że nie jest tak źle, jak wynikało z tomografii. Zacząłem mamrotać. Elle jest genialna. Jeśli ktoś może wyjść z uszkodzenia mózgu, to właśnie ona. Będę z nią ćwiczyć. Jest wytrwała. Może błędnie to wszystko odczytuję. Przyłożyłem telefon do ucha i wsłuchując się ponownie w jej głos, podążyłem z potokiem ludzi z powrotem na Oddział Ratunkowy. Kiedy się zbliżałem, Carl wpatrywał się we mnie. Chciałem jeszcze raz obejrzeć tomogramy. To jakieś szaleństwo. Proszę. Niech mi powie, że nie jest tak źle, jak myślę.

– Ja... nie bardzo wiem, co wcześniej mówiłeś. Chyba jestem w szoku. Co się właściwie stało? – spytałem.

Carl pomasaował sobie czoło.

– Ratownicy powiedzieli, że zabrali ją z domu brata. Jest teraz w poczekalni. Wygląda na to, że uderzyła głową o kamień, spadła z drabiny z wysokości około trzech metrów. Twój szwagier zapewne będzie mógł ci powiedzieć coś więcej. W drodze do szpitala miała długi napad drgawek, może dziesięciominutowy. Kiedy ratownicy ją tu dowieźli, nie oddychała. Mieliśmy problem z intubacją i doszło do zatrzymania krążenia, ale dość szybko przywróciliśmy czynności

życiowe.

– Jak długo tu była, zanim do mnie zadzwoniłeś?

– Dwadzieścia minut. Cały czas usiłowałem ją ratować – powiedział.

Przełknąłem ślinę, starając się pozbierać myśli. Nic, co powiedział Carl, nie brzmiało pocieszająco i miraż zrodzony z mojego wyparcia rozplynął się w powietrzu.

– Gdzie są jej tomogramy?

– Phil wziął je ze sobą.

Racja. Nie myślę jasno.

– Muszę porozmawiać z bratem Elle – powiedziałem.

Kiedy skierowałem się do poczekalni, podszedł do mnie dyrektor generalny szpitala i wyciągnął dłoń.

– Doktorze Beaulieu. Słyszałem, że pańska żona jest w drodze na salę operacyjną. Mam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze. – Zawahał się przez chwilę, po czym dodał: – Nie wiem, czy jest pan w tej chwili na to gotowy, ale dziennikarze proszą o oświadczenie.

– Dziennikarze?

– Wypadek został odnotowany przez policję – wyjaśnił Carl. – Jeśli Elle McClure trafia do szpitala, to jest to ważna informacja. Elle jest tu znaną osobistością. Maine przypomina małe miasteczko. Ludzie pamiętają ją z NASA.

Przez chwilę nic z tego nie rozumiałem, po czym zdałem sobie sprawę, że Carl mówi o promie kosmicznym. Elle jest astrofizyczką, obecnie wyklada w college'u. Ale cztery lata temu poleciała w kosmos i uczestniczyła w misji NASA, która przyciągnęła uwagę całego świata.

Carl zaczął się bawić stetoskopem i skinął na dyrektora.

– Słuchaj, ze względu na ochronę danych osobowych my nie możemy im nic powiedzieć, ale gdybyś ty mógł...

– Nie teraz. Przepraszam. Muszę porozmawiać z bratem Elle.

Przepchnąłem się do poczekalni, kwadratowego pomieszczenia sześć na sześć metrów, wyposażonego w plastikowe ławki i płaski ekran na ścianie.

Christopher stał, studiując zawartość automatu z przekąskami. Gdy pociągnąłem go za łokieć, odwrócił się gwałtownie.

– Matt, wreszcie. – Wzrok Christophera zaczął biegać gorączkowo między mną a podwójnymi drzwiami Oddziału Ratunkowego. – Nikt nie chce mi nic powiedzieć.

– Co się stało? – spytałem.

– Wszystko z nią dobrze?

– Nie. Co, u diabła, robiła na drabinie?

Przez chwilę stał z otwartymi ustami.

– Elle wpadła, a my z Arienne myśliśmy właśnie okna. Mała zgłodniała, więc Arienne poszła ją nakarmić, Elle powiedziała, że pomoże i zajęła miejsce Ari na drabinie, a ja wróciłem do środka, no wiesz, żeby zająć się tym samym oknem z drugiej strony, upewnić się, że nie zostały żadne smugi – i wtedy Elle zemdląca. Ale wszystko będzie dobrze, prawda?

Zemdląca? To słowo obudziło w moim umyśle jakieś mgliste skojarzenie. Próbowałem zapanować nad głosem i skupiłem się na napisie „Ocena stanu zdrowia poszkodowanych” nad drzwiami. Przywoławszy ponownie w myślach tomografię komputerową, nie mogłem spojrzeć Christopherowi w oczy. Nastąpiło zatrzymanie krążenia. Jej wygląd i sztywność odmóżdzeniowa wskazywały na poważne uszkodzenie mózgu. Wyznałem samemu sobie i Chrisowi niepojętą prawdę.

– Nie. Nie będzie dobrze. – Miałem wrażenie, że temperatura w pomieszczeniu spadła nagle o kilka stopni. – Gdzie twój ojciec?

– Zaraz. Co ty mówisz? – spytał Christopher.

– Doznała poważnego urazu głowy. Bardzo poważnego. Gdzie twój ojciec? Wie o jej wypadku?

Christopher pokręcił głową.

– Ale nie spadła przecież z bardzo wysoka. Owszem, rozcięła sobie głowę, ale... jesteś neurochirurgiem. Możesz ją wyleczyć, prawda? Widziałeś ją? Rozmawiałeś z nią?

– Jest nieprzytomna – odparłem, próbując zachować spokój. – Widziałem ją. Ja... posłuchaj, Phil ją operuje. Zadzwoń do ojca. Powiedz mu, żeby przyjechał. – Zamrugałem kilka razy. – Chris... Elle prawdopodobnie z tego nie wyjdzie.

– Co?

– To poważny uraz. – Odwróciłem się i odszedłem.

Może nie wykazałem się empatią, zostawiając go samego z tym rokowaniem, ale musiałem powiedzieć o wszystkim jeszcze jednej osobie. Mojej matce. To ją zabije. Albo mnie.

Matka była położną – od prawie czterdziestu lat; nie wiedziałem, czy tego dnia pracuje. Pojechałem windą na Oddział Położniczy, minąłem ochronę, machając identyfikatorem, i skierowałem się do dyżurki pielęgniarek. Kilka osób mnie rozpoznało, uśmiechnęło się na powitanie, a jedna powiedziała:

– Cześć, Matt. Linney jest na przerwie, chyba znajdziesz ją w pokoju socjalnym.

Skręciłem i idąc dalej korytarzem, minąłem rodzącą pacjentkę, która z trudem popychała stojak z kroplówką. Przystanąła, wyraźnie zmagając się ze skurczem.

Kiedy otworzyłem drzwi, z pokoju socjalnego dobiegł donośny śmiech. Mama siedziała przy stole, z kubkiem szpitalnej lury w ręku. Spojrzała na mnie i zamarła.

– Kto? – spytała.

– Elle. Spadła z drabiny.

I tak po prostu w jednej chwili szlochałem w silnych ramionach matki. Trzydziestosiedmiolatek, a byłem jak noworodek wydający z siebie pierwsze jęki życia.

Tyle że mój płacz był raczej krzykiem śmierci.

None

## Operacja

Krążyłem po szpitalnych korytarzach niczym Pac-Man, wędrowałem po planszy, liczyłem płytki linoleum i skręcałem, kiedy zderzałem się ze ścianą.

Matka chodziła ze mną i zadawała mi pytania, które nic nie wnosiły, jak na przykład: „Czemu Elle zemdląca? Była chora?”.

Nie miało znaczenia czemu – liczył się tylko skutek jej upadku.

– Wątpię, żeby zemdląca. Christopher miał trzymać drabinę, a zamiast tego poszedł się odlać.

– Przestań.

– Wiesz, jaki on jest. Ma dwadzieścia osiem lat, a wciąż zmusza Elle, żeby mu myła okna, bo sam boi się wejść na własną cholerną drabinę. Poza tym masz pewność, że nie zostawiłby jej w potrzebie?

Mama chwyciła mnie za rękaw.

– Jesteś zdenerwowany i szukasz winnego.

Wyszarpnąłem się jej i skręciłem w kolejny korytarz.

– Elle zemdląca tylko raz w życiu, wtedy gdy miała krwotok, gdy straciliśmy Dylana. – Nawet ja, lekarz, byłem zdumiony, ile krwi może stracić przy porodzie kobieta, kiedy wszystko idzie nie tak. A wtedy wszystko poszło zupełnie nie tak. – Elle nie zdarzają się omdlenia – dodałem.

Mama się zatrzymała.

– Kiedyś zemdląca u ojca na podjeździe.

Stałem jak wryty i odwróciłem się do niej.

– Kiedy?

– Była w ciąży, przed którymś poronieniem, wcześniej. Kazała mi przysiąc, że ci nie powiem, bo nie chciała cię martwić. Chyba teraz nie jest w ciąży?

Zawahałem się przez chwilę, zanim odpowiedziałem.

– Nie. Nie jest.

Zacząłem znowu nerwowo krążyć, rozmyślając nad tym, że mój umysł jeszcze nie przyswoił zaistniałej sytuacji, że moje serce zabiło jak szalone na myśl o dziecku – o rodzinie. Ale Elle nie jest w ciąży. Po ostatnim razie nie pozwoliłbym jej ponownie ryzykować zdrowia. Nawet pokłóciliśmy się o kolejną próbę – wczoraj, nie dalej jak wczoraj.

Odrzuciłem ten pomysł jednym krótkim słowem: „Nie”. „Nie” przychodziło mi łatwo. Ale wciąż widziałem Elle stojącą na tarasie. Słońce padające na rzekę oświetlało ją niczym aureola, rozjaśniając jej włosy tak, że stawały się białe, jak miała w dzieciństwie. Z upływem lat włosy nabrały barwy miodu, ale zieleń oczu pozostała taka sama – ciepła jak seks, a niekiedy paralizująca jak gniew. A wtedy Elle była zła.

Oparłem się o ościeże drzwi poddasza i obserwowałem ją, podbicie jej stopy, łuk nagiej łydki, biodra skręcone lekko w moją stronę, wcięcie w talii. Nawet rozszoszczona była piękna, może nawet jeszcze piękniejsza. Jej wygląd nie zmienił się specjalnie od czasów, gdy była dziewczyną, stanowczą i pewną swoich przekonań.

– W życiu trzeba podejmować ryzyko, inaczej można by się zaszyć w jaskini. – Westchnęła, potem podeszła i dotknęła palcami mojej twarzy. – Przepraszam. Wiem, że utrata tego dziecka cię załamała. Mnie też. Ale powinniśmy próbować dalej. Mam trzydzieści pięć lat, Matt. Mój czas jest ograniczony. Chcę spróbować jeszcze jeden, ostatni raz.

Czas.

Niecałe dwadzieścia cztery godziny temu chciała podjąć ryzyko. A teraz czas dobiegł końca. To koniec Elle. Mój koniec.

Gdy przywieźli Elle z bloku operacyjnego, wyczytałem z miny Phila w drodze do pokoju lekarza dyżurnego OIT, co zaraz od niego usłyszę.

– Matt – powiedział, składając dłonie, niemal jakby prosił o wybaczenie. – Niewiele mogłem zrobić. Miała krwotok podpajęczy i rozdarcie opony. – Zamilkł na chwilę, żeby złapać oddech. – Jest źle. Przy takim obrzęku mózgu zapewne doszło do wklonowania pnia. Usunąłem część czaszki, zatamowałem krwawienie, usunąłem te krwiaki, do których mogłem dotrzeć, ale wszystko od płatów czołowych po płaty ciemieniowe jest trafione... – Rozwodził się dalej nad szczegółami.

Milczałem.

– Kiedy narkoza przestanie działać, powinniśmy stwierdzić śmierć mózgową – powiedział. – Zająknął się, po czym dodał: – Nie mogę uwierzyć, że cię o to pytam, ale czy ty... cóż, czy Elle chciała zostać dawcą?

Przytaknąłem. Zaznaczyła odpowiednią rubrykę w prawie jazdy; przyszło mi jednak do głowy, że jej schorzenie autoimmunologiczne może ją dyskwalifikować.

– Porozumiem się z bankiem narządów – powiedział.

Otworzyłem szarpnięciem drzwi, próbując się opanować. Musiałem zobaczyć Elle. Mimo iż rozumiałem rozległość zniszczenia, żona nie była dla mnie zwykłą pacjentką. Nie potrafiłem rozpatrywać tej sytuacji w kategoriach medycznych. Phil mógł mi przedstawić jak najczarniejszy scenariusz, ale to były tylko słowa. Nie potrafiłbym zliczyć, ile razy przekazywałem takie same rodzinom pacjentów.

Zapadałem się do wewnątrz, jak te czarne dziury, którym Elle poświęca tyle czasu. Poświęcała. Jej istnienie, w najbardziej pragmatycznym sensie, dobiegło końca. Dowód: opis operacji sporządzony przez Phila, wyniki tomografii komputerowej i bezwładne ciało mojej żony na łóżku przede mną. Stałem w drzwiach i patrzyłem, jak pielęgniarki podłączają monitory, pompy do dożylnego podawania leków i zmywają antyseptyk z jej ogolonej głowy.

Nabrałem powietrza, przygotowując się na nieuniknione. Nie ma badania, które pozwoliłoby jednoznacznie stwierdzić śmierć mózgową. Aby ustalić, czy do niej doszło, sprawdzamy przepływy krwi w tętnicach mózgowych, odruchy rogówkowe, przeprowadzamy test bezdechu; kierujemy się zbiorem kryteriów, reakcjami organizmu – lub ich brakiem. Stałem, nieco chwiejnie, ale stałem, z trudem łapiąc powietrze. Musi minąć trochę czasu, zanim będę mógł przyjąć to do wiadomości. Elle nie odniosła żadnego innego poważnego urazu. Czemu nie roztrzaskała sobie ręki lub nogi? Gdyby nawet złamała kręgosłup lub kark. Dlaczego musiała uderzyć o kamień właśnie głową?

Dotyk ręki Phila na ramieniu przestraszył mnie.

– Chcesz, żebym porozmawiał z twoją rodziną?

– Nie. Pójdę do nich za minutę. – Co znaczy kolejna minuta albo kolejny rok? Na razie mają chociaż nadzieję. Moje słowa położą kres wszystkiemu. Wśliznąłem się do pokoju i ująłem dłoń Elle. Była taka zimna. Przed operacją nie zdjęli jej obrączki. Przynajmniej tyle mnie wtedy było przy niej.

– Przepraszam – powiedziała jedna z pielęgniarek. – Muszę sprawdzić kroplówkę.

Wycofałem się do kąta, obok umywalki. Zsunąłem z palca swoją obrączkę i przeczytałem napis. „Moje życie, moja miłość, Pip”. Włożyłem ją z powrotem na palec i ślaniając się, ruszyłem na korytarz i do poczekalni Oddziału Intensywnej Terapii.

Przystanąłem na chwilę, po czym wszedłem. Tam są nasze rodziny – błąd: nasza rodzina. Kiedy pobraliśmy się z Elle, z liczby mnogiej zrobiła się pojedyncza. Prawdę mówiąc, nigdy nie

istniał wyraźny podział na Beaulieu i McClure'ów. Wychowaliśmy się z Elle w sąsiednich wiktoriańskich domach, a obie rodziny przenosiły się swobodnie z jednej kuchni do drugiej. W obu czuliśmy się jak u siebie.

A teraz nasza rodzina siedzi w poczekalni OIT. Ojciec Elle, Hank; brat Christopher i jego żona Arianne. I moja matka. Muszę powiedzieć im wszystkim, że straciliśmy Elle. Ich oczy, jedno po drugim, odnalazły mnie w progu. Ojciec Elle przycisnął pięść do ust. Christopher zerwał się na równe nogi. Matka niepewnie nabrała powietrza, po czym pochyliła się, zgięła się w pół i zaczęła cicho szlochać. Mama kochała Elle; zawsze ją kochała.

Usiadłem obok niej i gładziłem ją po plecach. Pod względem uczuć znajdowałem się w komorze deprywacyjnej albo w tunelu bez światła i nie sądziłem, bym je miał jeszcze kiedyś zobaczyć.

Słowa zaczęły mi spływać z ust, najpierw powoli, mechaniczne słowa, przygotowane wcześniej, w których imię jakiegoś nieszczęśnika zastąpiłem imieniem Elle.

– Elle doznała ciężkiego i nieodwracalnego urazu mózgu. Jej ośrodki świadomości uległy zniszczeniu. Już się nie obudzi. Zaznaczyła na prawie jazdy, że chce zostać dawcą. – Obserwowałem ich twarze, kiedy zmagali się z tą informacją. – Gdy narkoza przestanie działać, dwóch lekarzy stwierdzi, czy Elle spełnia kryteria śmierci mózgowej; najprawdopodobniej tak będzie, a jeśli jej choroba autoimmunologiczna nie zdyskwalifikuje jej jako dawcy, cóż – ona chciałaby oddać swoje narządy. Zapewne w ciągu dwudziestu czterech godzin pojawi się tu zespół transplantacyjny.

Christopher pokręcił głową i powiedział płaczliwie:

– Nie. Nie. To na pewno jakaś pomyłka.

Teść wpatrywał się we mnie z niedowierzaniem sączącym się ze wszystkich porów jego skóry.

– Nie zamierzasz zrobić nic, żeby ją uratować?

– Nie mogę nic zrobić. Nikt nie może – wyjąkałem pogrążony we własnym wyparciu.

– Niektórzy ludzie budzą się ze śpiączki – powiedział Hank z taką pewnością, że jego słowa zabrzmiały jak prawda.

– Ona się nie obudzi. To coś więcej niż śpiączka. Śpiączka jest zazwyczaj skutkiem nie tak rozległych obrażeń. Nie znaczy, że niepoważnych, ale Elle doznała wyjątkowo ciężkiego i rozległego urazu. – Zamilkłem. Matka wzięła moją dłoń w rękę, a ja ciągnąłem dalej: – Poza tym nie chciałaby tak żyć. Właściwie każda część jej mózgu jest nieodwracalnie uszkodzona.

– Zamierzasz się poddać? Nie pozwolę na to. – Hank walnął pięścią w oparcie krzesła.

Utkwiłem wzrok w rogu sufitu.

– Ja się nie poddam. I nie jest to coś, na co możemy pozwolić lub nie pozwolić. Niestety nie. Idę posiedzieć przy niej. Jeśli chcecie do niej pójść, pożegnać się, dajcie pielęgniarkom pół godziny, żeby ją przygotowały.

– O mój Boże. – Christopher trząsnął się, jakby miał zaraz zasłabnąć; jego żona objęła go ramieniem.

Hank wstał gwałtownie i kiedy podniosłem się, by wyjść, stanął w drzwiach.

– Nie ma mowy, żebyś pozwolił mojej córce umrzeć. Zdobędę nakaz sądowy.

Kiedy próbowałem go ominąć, popchnął mnie na ścianę. Poczułem od niego whisky. Skąd, u diabła, wziął alkohol w szpitalu? A co ważniejsze, kiedy wrócił do nałogu? O ile wiem, ostatnie dwadzieścia lat nie pił. Ale to bez znaczenia. Nie wiem, kiedy zaczął znowu pić, i tak naprawdę mam to gdzieś.

Chwyciłem go za nadgarstki i oderwałem je od swoich ramion.

– Na nic nie pozwalam. Gdybym mógł cokolwiek zrobić, zrobiłbym to. Kocham ją, ale

w chwili gdy upadła, było już za późno. A ona nie chciała umierać tak jak jej matka, dobrze o tym wiesz.

Mama wcisnęła się między nas niczym sędzia między bokserów.

– Daj spokój, Hank, usiądź. Matt ma rację. Elle sporządziła testament życia – wiele lat temu. Po śmierci Alice. Gdy skończyła osiemnaście lat.

Mama zawsze wykazywała się przytomnością umysłu, a to rzeczywiście brzmiało jak coś w stylu Elle, choć nie było prawdą. Elle mówiła wszystkim, że jej zdaniem ojciec postąpił niesłusznie w obliczu choroby żony, ale powiedziałyby mi, gdyby spisała taki akt woli. Mimo to byłem mamie wdzięczny za to kłamstwo.

Matka pociągnęła nosem.

– Na Boga, ty piłeś? – spytała Hanka głosem pełnym zawodu.

Pokręcił głową.

– Tylko jednego.

Oczy mamy wypełniła litość lub złość – trudno powiedzieć – i odwróciła się od niego na pięcie.

– Tato! – krzyknął Christopher. – Co ty wyprawiasz? Chryste. Zadzwoń do sponsora. Znajdziemy ci mityng.

Przez chwilę w oczach Christophera zobaczyłem Elle – to, jak zawsze próbowała zapanować nad ojcem – ale to wrażenie szybko minęło. Hank chwycił swoją marynarkę i przecisnął się obok syna. Christopher wycofał się i siadając obok żony, przeistoczył się na powrót w małego chłopca. Zastanawiałem się, jak on przetrwa bez opieki Elle.

Zastanawiałem się, jak ja przetrwam.

Nawet kiedy pielęgniarek nie było w pokoju Elle, widziały, co się w nim dzieje, bo od dyżurki oddzielała go tylko szklana ściana. Dawniej, gdy patrzyłem na pokoje na Intensywnej Terapii chłodnym lekarskim okiem, kojarzyły mi się z akwariami dla rybek, ale teraz ta metafora wydawała mi się wyjątkowo mroczna i trafna. Wyobraziłem sobie Elle unoszącą się ku powierzchni, brzuchem do góry, zagubioną – a może to byłem ja, bezcielesny i wyrwany z kontekstu. Nie mogłem się skupić ani niczego zrozumieć. Zawładnął mną dysonans poznawczy. Szeptalem bez przerwy do Elle, błagałem, żeby się obudziła. Wiedziałem, co się dzieje. Nie mogłem tego zaakceptować, mimo że każdy rekwizyt wiązał mnie w tej nierzeczywistości. W jednej chwili patrzyłem na monitor ciśnienia wewnątrzczaszkowego Elle, a w następnej mój umysł pogrążał się w fantastycznych wyobrażeniach – jak te akwaria.

Podobno tuż przed śmiercią całe życie przesuwa się nam przed oczami. Zastanawiałem się, o czym myślała Elle – jak uniknąć smug na oknie? Czy powinna psikać windekssem wprost na szybę, czy na papierowy ręcznik? Jej upadek: okno bez zacieków.

A może myślała o nas?

Żałoba dzieli się na etapy, pięć, jeśli przyjąć punkt widzenia Kübler-Ross: zaparcenie, targowanie się, depresja, gniew i akceptacja. U mnie pierwsze cztery nakładały się na siebie, ale byłem jak najdalszy od zaakceptowania czegokolwiek. W tej chwili przeważał gniew, gniew wobec niej, gniew wobec jej brata. Nie potrafiłbym nawet wyrazić, jak bardzo byłem zły na Hanka. Wściekłość. Czulem nieopanowaną oślepiającą wściekłość. Chciałem przebić pięścią ścianę, pieprzoną szklaną ścianę, ale zachowałem jakąś resztkę rozsądku. Zmusiliby mnie, bym opuścił Oddział Intensywnej Terapii – i Elle. W tym celu musieliby mnie oczywiście zabić, ale to miało swoje dobre strony; też byłbym martwy.

Zewnętrzne okno o podwójnej szybie wychodziło na podjazd dla karettek i nie otwierało się, co było dobre, zważywszy, że właśnie rozważałem, jak by tu skończyć ze sobą. Otrząśnij się, Matt. Okno i tak jest za nisko.

Słońce opuściło już niebo i na górę zaczął się wkradać księżyc. No, Matt. Znajdź jakąś furtkę. Cudowną operację, nikomu dotąd nieznaną zastosowanie leków. Wymyśl jakieś cholerne nowatorskie rozwiązanie i uratuj Elle. Poświęciłem medycynie dwadzieścia lat nauki i kolejne siedem zakontraktowanej niewoli. Należała mi się za to jakaś rekompensata. Desperacko potrzebowałem przeblysku geniuszu, który zwróciłby mi Elle.

Gniew zaczął ustępować miejsca głębokiej pustce. Przygnębiony, chodziłem w kółko po pokoju, od czasu do czasu zaglądając przez szklaną ścianę do dyżurki pielęgniarek. Nie wiem, co spodziewałem się tam zobaczyć. Może Elle. Ciało spoczywające na łóżku nie było tak naprawdę moją genialną żoną. Nie było tu jej mądrego umysłu. Dobrego serca. Ująłem jej dłoń i usiadłem obok na pomarańczowym, obitym skórą fotelu. Obudź się, proszę.

Po jakimś czasie włączyłem mały telewizor i wyszukałem CNN. Po informacji o trzęsieniu ziemi w Peru pojawiła się wiadomość o jakimś niepowodzeniu w Iraku. Właśnie kiedy miałem zgasić odbiornik, na ekranie ukazało się zdjęcie Elle. Z gali NASA. Wyglądała fantastycznie, w brzoskwińowej sukni na wąskich ramiączkach, która leżała na niej tak, jakby Elle się w niej urodziła. Miała wtedy dłuższe włosy, do połowy pleców, i przypominała bardziej hollywoodzką debiutantkę niż twardego naukowca, którym była. „Była?” Użyłem czasu przeszłego.

Pogłośliłem.

– Była astronautka Elle McClure uległa wypadkowi i przebywa obecnie w szpitalu w Maine. Rzecznik rodziny wydał następujące oświadczenie: „Elle McClure Beaulieu jest na Oddziale Intensywnej Terapii, gdzie czeka na wyniki badań. Rodzina prosi o modlitwę w jej intencji”.

Ja o nic nie prosiłem. Nie wydałem żadnego oświadczenia ani nikogo do tego nie upoważniłem. Na ekranie pojawiło się nagranie z jej zajęć poza pojazdem, tak zwanego spaceru kosmicznego.

– Zapewne pamiętają państwo, że w 2004 roku, w czasie misji, której celem była wymiana niektórych części teleskopu Hubble’a, doktor McClure uratowała astronautę André Jaberta. Kombinezon Jaberta przebił mikrometeoryt, a McClure wciągnęła kolegę do wahadłowca, zanim skafander całkiem się rozhermetyzował. Ten incydent zmusił Atlantis do awaryjnego lądowania, ale Jabert przeżył i wziął udział w kolejnym locie NASA. McClure pracowała w NASA jeszcze cztery miesiące, potem wróciła do rodzinnego miasta, gdzie poślubiła neurochirurga Matthew Beaulieu. Obecnie naucza w Bowdoin College i współpracuje jako konsultantka zarówno z MIT, jak i NASA.

Prasa miała przygotowane nekrologi wszystkich ważniejszych postaci. Wyciągnęli właściwy i przeczytali.

– Nauczała. Poprawcie to. Wszystko jest już teraz w czasie przeszłym – wymamrotałem, wyłączając telewizor.

Zobaczyłem, że przy dyżurce stoi ginekolożka Elle i rozmawia z Philem. Przywitałem ją skinieniem głowy.

Nie mogłem się skupić i wróciłem do rozmyślań nad śmiercią przez zatrucie dwutlenkiem węgla, przedawkowanie Vicodinu lub strzał w łeb – po pochowaniu Elle zamierzałem wybrać jedną z tych opcji. Zastanawiałem się też, jak upozorować wypadek i czy wtedy rodzina łatwiej zniosłaby moją śmierć.

Rzecz w tym, że niemal słyszałem, jak Elle ze mnie szydzi. „Myśl o samobójstwie wielką jest pociechą: dzięki jej niejedną noc złą przepędza się dobrze”<sup>[1]</sup>. Lubiła cytować Nietzschego; a przynajmniej często cytowała jego co mniej mizoginistyczne myśli. Wybierała sobie to, co jej pasowało. Jak się nad tym zastanowić, jego ateizm też jej nie odpowiadał. To ja



wykorzystywałem cytaty o treściach ateistycznych, zwłaszcza przy tych rzadkich okazjach, kiedy w niedzielę wcześniej rano Elle udawała się do kościoła, a ja chciałem dłużej pospać.

Gdzie jest teraz Bóg?

W drzwiach pokoju pojawił się sprzęt, ale podniosłem wzrok, dopiero kiedy usłyszałem swoje imię.

– Mogę wejść, Matt? – Blythe Clarke, ginekolożka Elle, stała przede mną i wkładała fartuch. Jak zwykle jej zupełnie siwe włosy zdobiła różowa opaska.

Wolałbym tortury niż pogawędkę. Bałem się, że następna osoba, która powie, że jej przykro, dostanie ode mnie w nos. Mimo to mruknąłem:

– Oczywiście.

Ku mojemu zdziwieniu Blythe przysunęła do łóżka przenośny ultrasonograf.

Zmrużyłem oczy, zastanawiając się, o co, u diabła, chodzi. Poza urazem mózgu Elle nie odniosła żadnych poważniejszych obrażeń. Phil stał w drzwiach, a Blythe położyła kartę Elle na urządzeniu i przysunęła stół do mojego fotela.

– Wiesz, że wszystkim pacjentkom po urazach robimy testy ciążowe.

– Ona nie jest w ciąży.

Ścisnąłem sobie grzbiet nosa. Poza paroma chwilami z matką jakoś się trzymałem. Nie mogę zmarnować tych ostatnich godzin z Elle na płacz. Później będzie na to czas.

– Test ciążowy dał wynik dodatni – powiedziała Blythe. – A poziom beta hCG wskazuje, że to prawie osiem tygodni.

Phil odchrząknął.

– Jakimś cudem przeoczyliśmy to przed operacją. Nie wiem, jak to się stało.

– Nie. To niemożliwe – powiedziałem, przypominając sobie test ciążowy pod umywalką w łazience, który kupiła w zeszłym miesiącu i nie wykorzystała go, bo w drodze ze sklepu do domu dostała miesiączkę. To było zaledwie parę tygodni temu. Poza tym zachowywaliśmy ostrożność.

– Zazywała małą dawkę aspiryny? – spytała Blythe.

– Tak.

Po trzecim poronieniu Blythe zdiagnozowała u Elle schorzenie autoimmunologiczne. Aspiryna to naprawdę cudowne lekarstwo; podziałała nawet na zespół antyfosfolipidowy Elle.

Blythe podała mi wydruk z laboratorium.

Chwyciłem kurczowo kartkę. Elle rzeczywiście jest w ciąży.

– Naprawdę? Parę tygodni temu miała miesiączkę. To nie jakaś pomyłka? – spytałem.

– Może miała pseudomiesiączkę i dlatego nie wiedziałeś. Chcę zrobić USG, żeby sprawdzić, czy uda mi się uwidocznić bicie serca płodu. Po tym, co się dzisiaj wydarzyło, istnieje wysokie prawdopodobieństwo poronienia.

Przezesłem palcami włosy, wciąż oszołomiony.

Blythe skinęła na pielęgniarkę, która zaciągnęła rolety i zasłony wokół łóżka, zaciemniając pomieszczenie. Blythe wyjęła przypominającą różdżkę głowicę, nałożyła na nią sterylną osłonkę i pokryła ją żelem.

– Matt, muszę przeprowadzić badanie wewnętrzne. Może wolisz wyjść?

– Nie, ale czy ty mógłbyś, Phil?

Phil się wycofał.

Młoda pielęgniarka uniosła prawe udo Elle i okryła jej krocze. Blythe wprowadziła sondę do pochwy.

Ze zdenerwowania przyspieszyło mi tętno. Ile zdjęć rentgenowskich zrobiono jej tego dnia? Ile leków teratogennych podano jej na Oddziale Ratunkowym? Jak to mogło wpłynąć na

rozwijający się płód? Jednocześnie przypomniałem sobie, że czytałem artykuł o kobiecie w stanie śmierci mózgowej, której udało się donosić dziecko, i zacząłem się zastanawiać, czy to możliwe.

– Jest – powiedziała Blythe, wskazując na ekran. – Bicie serca.

Zmrużyłem oczy i podszedłem do ultrasonografu. Drobne migotanie na monitorze przydało mi sił.

– Naprawdę jest w ciąży.

– Rzeczywiście wygląda to na ósmy tydzień. – Blythe najechała na odpowiednie miejsce kursorem, zaznaczyła je i zapisała wynik na twardym dysku. Biorąc głęboki oddech, zwróciła się do mnie. – Mogę podzwonić i dowiedzieć się, jak by to miało wyglądać. Nigdy nie zajmowałam się takim przypadkiem, ale kiedyś na konferencji jedna prelegentka mówiła o podobnej sprawie. Rodzina nie wiedziała, że kobieta jest w ciąży, okazało się to, kiedy uległa wypadkowi motocyklowemu. Przez całą ciążę była w stanie wegetatywnym, a mimo to urodziła zdrowego chłopca.

Przypomniałem sobie, że trzeba oddychać, dopiero gdy na skraju pola widzenia zaczęły mi tańczyć gwiazdy.

– Zważywszy na wywiad Elle... myślisz, że to możliwe?

– Może – wzruszyła ramionami. – Phil mówił, że przysadka mózgowa i podwzgórze wyglądały prawidłowo. Jeśli uraz nie zniszczył przysadki mózgowej, jej ciało powinno być w stanie regulować poziom hormonów i utrzymywać właściwą temperaturę. Ale nie jestem pewna, Matt. Trudno powiedzieć.

– Była w ciąży cztery razy; żadnej nie donosiła.

– Ostatnio było blisko. Dziecko zmarło z przyczyn, które nie powinny więcej wystąpić.

Krew odpłynęła mi z głowy, kiedy przypomniałem sobie martwe ciało Dylana w moich ramionach.

Blythe położyła mi rękę na ramieniu. – Nie chcę ci mówić, co masz robić. Ale uważam, że zanim podejmiesz decyzję o odłączeniu Elle od aparatury podtrzymującej życie, powinieneś znać wszystkie fakty.

[1] Fryderyk Nietzsche, *Poza dobrem i złem*, w przekł. S. Wyrzykowskiego.

None

Po operacji

Mama weszła do pokoju Elle z dwoma kubkami kawy i torebką kanapek ze sklepu po drugiej stronie ulicy. Odłożyłem ją na bok. Nie wiedzieć dlaczego, kiedy przepelnia nas żal, ludzie próbują wypełnić nas jedzeniem. Nie potrzebowałem jedzenia. Potrzebowałem powodu, dla którego warto by żyć.

– Musisz jeść, Matthew.

Wzruszyłem ramionami i wpatrywałem się dalej w okno, zadręczając się rozmyślaniami o tym, czego chciałyby Elle.

Mama znowu położyła mi na kolanach kanapki i zwróciła się ku Elle.

– Myślisz, że cierpi?

– Nie. Ona...

Mózg Elle jest martwy. Niczego już nie doświadcza, a ja tak za nią tęsknię, że nic nie może wypełnić pustki, którą po sobie zostawiła.

Mama pochyliła się i pocałowała Elle w policzek.

– Myślisz, że może nas słyszeć?

– Nie.

Jej płaty skroniowe, ta część mózgu, która odpowiada za słuch, były przesiąknięte taką ilością krwi, że wystarczyłoby jej na ich własne Morze Czerwone. Nie mogła słyszeć. Ani widzieć. Ani działać. A mimo to spędziłem ostatnią godzinę, szepcząc i pytając ją, czego by chciała.

Mama dotknęła lekko mojego ramienia i powiedziała:

– Jest późno. Odwiozę cię do domu.

– Nie chcę do domu.

Matka przysunęła swój fotel do mojego i zajęła i tak już bardzo ograniczoną przestrzeń między łóżkiem i ścianą.

– Kiedy zmarł twój ojciec, minęło dużo czasu, zanim go opuściłam. Ale jeśli to prawda – jeśli doznała śmierci mózgowej – to już jej z nami nie ma. Nie musisz tu siedzieć.

Nie chciałem płakać. Ani z powodu Elle, ani z powodu taty. Ale wzmianka o nim sprawiła, że omal się nie rozkleiłem. A żywotność żalu, jego nieskończoność, stała się moją przyszłością. Poza tym miałem nadzieję, że dusza Elle wciąż jest w pobliżu, mimo że nie wierzyłem w takie głupstwa.

– Ty możesz iść, mamo. Nic mi nie będzie – powiedziałem stanowczo.

Poczułem to w jej wydechu – pragnienie, by zrobić to, co robią matki. Chciała zabrać mnie z dala od tego smutku, ale nie mogła nic na to wszystko poradzić.

Zapewne starając się odciągnąć mnie stamtąd, jeśli nie ciałem, to chociaż myślą – przenieść mnie we wspomnienia, w radośniejsze czasy – powiedziała:

– Pamiętam, jak Alice i Hank przynieśli Elle ze szpitala.

Skinąłem głową, niespecjalnie jej słuchając. Elle zapewne poroni, ale ze wszystkiego, co mówiła o ciąży i dzieciach, wynikało jasno, że chciałyby, bym spróbował. Właściwie prawie wszystko, co kiedykolwiek powiedziała, na to wskazywało.

Prawie wszystko. Elle nie chciała żyć w stanie wegetatywnym, ale jednocześnie ryzykowała życie dla spraw, które uważała za ważniejsze niż ona – jak wtedy na promie kosmicznym.

Mama dalej wspominała:

– Alice położyła mi Elle na rękach, a właściwie tobie, bo siedziałeś u mnie na kolanach.

Pamiętasz może?

– Miałem dwa i pół roku. Jak mógłbym pamiętać? – Niemniej słyszałem tę historię tyle razy, że znałem ją na pamięć: jak to trzymałem na rękach Elle, kiedy miała zaledwie trzy dni.

– Myśleliśmy, że jesteś głuchy. Wiedziałeś o tym? – Mama mówiła tyleż do mnie co do siebie. Ona też próbowała oderwać się myślami od stanu Elle.

– Myśleliście, że cierpię na autyzm.

Pediatra stwierdził, że coś ze mną nie w porządku, gdyż do dnia, w którym McClure'owie przynieśli do nas swoją nowo narodzoną córkę, nie wypowiedziałem ani jednego słowa. Rodzice byli ze mną u wielu specjalistów, ale żaden nie umiał ustalić, co mi jest – poza tym, że nie mówię.

Mama wytarła łzę z policzka.

– Ja nigdy w to nie wierzyłam. Wiedziałałam, że wszystko będzie dobrze, a kiedy Elle zakwiliła, powiedziałeś „Pip”. Nazywałeś ją tak bardzo długo. Do czasu, gdy zaczęliście ze sobą chodzić.

Skinąłem. Nadal się tak do niej czasem pieszczotliwie zwracałem, rzadko w obecności innych. Pokręciłem obrączką na palcu. „Moja miłość, moje życie, Pip”.

– Według twojego taty nie mogłeś znieść, że to ta mała dziewczynka skupia na sobie całą uwagę.

– Raczej oczekiwałem na nią. Nie mogę sobie wyobrazić tego świata bez niej. – Zadrzałem, bliski łez.

– Ja też nie. To wydaje się niemożliwe, Matt, ale życie toczy się dalej. Ja przetrwałam śmierć ojca. Ty też to przetrwasz.

– Elle jest w ciąży – powiedziałem.

Matka otworzyła szeroko oczy.

– W ciąży?

– Wygląda to na ósmy tydzień, ale nic nie wiedzieliśmy. Miała miesiąckę.

– O mój Boże. A więc to dlatego zemdlła.

– Może. – Pokręciłem głową na myśl, że ciąża ściągnęła na nią to wszystko. A więc to przeze mnie, ja jej to zrobiłem.

– Dowiedziałem się parę godzin temu. Z rutynowych badań.

– Przykro mi, skarbie. – Mama położyła rękę na mojej dłoni. – Zbyt wiele dziś straciłeś.

– Blythe Clarke myśli, że można spróbować uratować... dziecko. Dzwoni po wszystkich perinatologach w kraju. W paru podobnych sytuacjach udało się doprowadzić do rozwiązania.

– Matt... chyba nie mówisz poważnie. Nie ma mowy, żeby Elle chciała być trzymana przy życiu w takim stanie.

– Nie podjąłem jeszcze decyzji, ale myślę, że chciałaby, bym spróbował – odparłem.

Mama zamrugała szybko.

– Spisała testament życia.

– Myślałem, że ściemniałaś.

– Nie, naprawdę go spisała. Nie pamiętasz, jak bardzo była nieszczęśliwa, że ojciec tak długo trzymał matkę przy życiu?

– Wiem, mamo, ale Alice miała raka i cierpiała. Elle nic nie boli. Nie sądzisz, że chciałaby, żeby to dziecko przeżyło?

Mama zacisnęła powieki, a po chwili zakryła twarz dłońmi.

– Jeśli to znaczy, że miałyby być miesiąccami trzymana przy życiu?... Nie. Nie mogę pozwolić, żeby to, co spotkało Alice, spotkało też Elle. Mój Boże, nie wolno myśleć, że ta ciąża może zostać donoszona. Elle tyle razy poroniła.

– To było spowodowane zespołem antyfosfolipidowym. Jest na to lekarstwo.  
– Skarbie, ostatnim razem przyjmowała lekarstwa, a i tak straciliście dziecko.  
– Nie przez chorobę.  
– Ale dziecko zmarło. – Mama sięgnęła po moją dłoń. – Strasznie mi przykro, ale tak było. Elle też omal nie umarła. A ty chyba też. Nie chcę, żebyś obudził w sobie nadzieję tylko po to, żeby ją zaraz stracić. Pozwól Elle odejść w spokoju.  
– Chciałaby, żebym ratował dziecko.  
Mama wstała, wyjrzała przez okno i westchnęła.  
– Ciąża jest zbyt wczesna. Na pewno nie chodzi o to, że chcesz zachować coś z Elle?  
– Oczywiście, ale jestem też przekonany, że Elle chciałaby, bym postawił dziecko na pierwszym miejscu.  
Mama pokręciła głową.  
– Na tym etapie to właściwie nie dziecko. Matt, na miłość boską, do ósmego tygodnia to jeszcze nawet nie jest płód.  
Popatrzyłem na nią ze złością. Nie potrzebowałem lekcji embriologii.  
– Wiem – powiedziała. – Serce mi krwawi. I zrobiłabym wszystko, gdybym sądziła, że można zwrócić Elle życie. Jesteś zdruzgotany, ale spróbuj spojrzeć na to z perspektywy lekarza. Jakie są twoim zdaniem szanse, że teraz donosi ciążę, skoro nigdy dotąd jej się to nie udało? Sto do jednego, tysiąc? Kocham ją. Jest dla mnie jak córka – przecież wiesz. Chcę, żeby się obudziła, ale... – Głos jej się załamał. – Ale tak się nie stanie. Trudno jest pozwolić odejść ukochanej osobie. Ale kazała mi obiecać, że nie pozwolę, by spotkała ją coś takiego.  
– To moja żona.  
– Wiem, ale jesteś pogrążony w cierpieniu i nie myślisz jasno. – Na twarzy matki malował się żal, ale też nieustępliwość.  
Poczułem panikę, nie dlatego, że bałem się matki, ale dlatego, że to najbardziej uparta osoba, jaką znam. – Kiedy Elle napisała ten testament życia? Gdzie on jest? Jest tam mowa o ciąży? – spytałem.  
– To było dawno temu. Nie pamiętam, czy zawiera wzmiankę o ciąży, ale odnajdę go i sprawdzę.  
Do pokoju wróciła Blythe Clarke, ale zatrzymała się na widok surowej miny matki.  
– Cześć, Linney. Matt, mam dla ciebie więcej informacji. Kiedy będziesz gotowy.  
Wstałem i obszedłem fotel mamy.  
– Śmiało, Blythe. Powiedziałem mamie, że Elle jest w ciąży.  
Blythe wyjęła z kieszeni fartucha palmtop.  
– Na razie ciąża rozwija się prawidłowo. Szanse powodzenia będą zależeć od tego, czy uda się utrzymać Elle w stabilnym stanie.  
– Ale to dopiero ósmy tydzień? – spytała mama.  
– Tak – potwierdziła Blythe.  
Mama zacisnęła powieki.  
– Nie mogę pozwolić, żebyś to zrobił Elle. Nie. Przecież to będzie trwało miesiącami. – Mama sięgnęła po torebkę. – Wrócę za parę godzin – powiedziała.  
Opuściła pokój jak pędząca autostradą ciężarówka.  
Blythe utkwiała we mnie wzrok.  
– Co to znaczy?  
– Najpierw powiedz, czego się dowiedziałaś.  
Zawahała się, po czym odpowiedziała:  
– Znalazłam ponad dziesięć niepotwierdzonych przypadków. Nie mogę nic obiecać. Jest

sierpień. Jeśli utrzymamy ją przy życiu do świąt, dziecko będzie miało dwadzieścia sześć tygodni.

– Strasznie mało.

– Tak. Chciałabym, żeby wytrzymała do lutego, ale gdyby dziecko urodziło się w święta, choć małe, najprawdopodobniej by przeżyło; a przynajmniej miałoby szansę.

Wyobraziłem sobie Oddział Intensywnej Terapii Noworodków i leżące tam wcześniaki, nie miniaturowe pucułowate istotki jak te donoszone, lecz mizerne małe stworzonka o cienkiej skórze, walczące o życie.

– Matka powiedziała, że Elle spisała testament życia czy oświadczenie woli. Do dziś nic o tym nie wiedziałem.

– Hm... – Blythe zmarszczyła czoło; wyglądała na zdziwioną. – Mam dziś dyżur, więc będę w okolicy. Gdybym była potrzebna, dzwoń w każdej chwili. A jak nie, to wpadnę rano.

– Dobrze – powiedziałem, kiedy odchodziła.

Pogrążony w myślach, nie zauważyłem, że korytarzem zbliża się mój brat Mike.

– Jak ona się czuje? Przyleciałem, jak tylko się dowiedziałem.

– Wejź, jeśli chcesz – odrzekłem.

Zerknął na swój umazany smarem kombinezon.

– Jest bardzo źle?

Nie znalazłszy słów, zadrżałem.

Mike chwycił mnie, przyciągnął do siebie i przytulił, jakbym był małym dzieckiem. Po czym rozplakał się.

– Chodź – powiedziałem, ujmując go za łokieć.

Wyprowadziłem go z pokoju. Mimo iż Elle nie mogła nas usłyszeć, nie potrafiłem wymówić przy niej słów „śmierć mózgowa”. Kiedy szliśmy szpitalnym korytarzem, powiedziałem mu, że Elle jest w ciąży.

Wypuścił powietrze, jakby dostał cios w brzuch.

– Kilka miesięcy? Jesteś pewien, że chciałbyś tak długo to ciągnąć?

– Jest szansa. Więc tak, wygląda na to, że bym chciał. Tak. Jestem przekonany, że powinniśmy spróbować – odparłem, tak naprawdę niepewny niczego poza tym, że mój świat się zawalił.

None

Dzień drugi

Rano do pokoju przyszedł Phil. Wyprostowałem się i zacząłem rozmasowywać zeszywniałe mięśnie karku, podczas gdy mój współpracownik przeprowadzał badanie neurologiczne. W nocy kilkakrotnie sprawdzałem źrenice i odruchy Elle. Nie było żadnej poprawy i jako lekarz nie spodziewałem się cudu. Jako mąż chciałem ją odzyskać, wciąż szukałem więc cienia nadziei.

– Jest tu Melanie – powiedział Phil. – Chciałaby wkraść się na chwilę i zobaczyć Elle.

Na Oddział Intensywnej Terapii szpitala Longfellow Memorial zwykle wpuszczano tylko rodzinę, ale coś mi mówiło, że pielęgniarki przymkną oko, jeśli żona neurochirurga złamie zasady.

– Powiedz jej, żeby weszła.

Phil podszedł do drzwi i przywołał ją. Kiedy Mel pojawiła się w drzwiach, wyglądała tak, jakby miała się rozplakać, ale przełknęła ślinę i rozłożyła ramiona.

– Tak mi przykro – powiedziała.

Przytulała mnie tak długo i mocno, że w innych okolicznościach byłoby to krępujące, a i tak żałowałem, gdy w końcu mnie puściła. Ofiarowała mi tyle pociechy, ile mogła. Czy jestem głodny? Czy potrzebuję czegoś z domu? Może czystych ubrań?

Mel usiadła obok Elle i wzięła Phila za rękę, jakby potrzebowała jego siły.

– Phil mówi, że mnie nie słyszysz, ale... Boże... – Jej dolna warga zadrżała; podniosła wzrok na Phila. – Naprawdę nie możesz nic zrobić?

Z Phila uszło całe powietrze i pokręcił głową.

Melanie przez chwilę przyciskała grzbiet dłoni do ust.

– No dobrze. Posłuchaj, Elle. Kochamy cię. Masz się nie martwić o Matta – ani o nikogo z nas. Zajmiemy się nim. Obiecuję.

Mel wstała gwałtownie i schroniła się w ramionach Phila.

Po godzinie do pokoju wszedł Christopher. Wstrząśnięty, nie chciał oglądać siostry poprzedniego dnia.

– Hej – powiedział takim tonem, jakbyśmy rzucali sobie piłkę bejsbolową, po czym zacisnął szczękę. – Ogolili jej głowę.

– Do operacji – odparłem.

Jego wzrok przeniósł się na podłogę.

– To nie fair.

Fair? Cały Christopher, ale nie byliśmy na boisku sportowym.

– Nie przyszło mi do głowy, że może zemdleć – powiedział.

– Chcesz, żebym cię rozgrzeszył i powiedział: „Zdarza się, Christopherze”? Dobra. Rzeczywiście wypadki się zdarzają. Ale ten by się nie zdarzył, gdybyś wszedł na własną cholerną drabinę.

Złapał ramę w nogach łóżka.

– Wysokości nigdy nie robiły na niej wrażenia. Nigdy się niczego nie bała.

Pokręciłem głową i wyprowadziłem go z pokoju. Elle nie może mnie usłyszeć. Nie może usłyszeć brata ani nikogo, ale a nuż nagle wydrę się na Christophera za jego zniewieściałość, przez którą musiał poprosić starszą siostrę, żeby była jego złotą rączką. Nie chciałem, żeby Elle zobaczyła, jak spuszczam łanie jej najdroższemu Christopherkowi.

Elle.

Zatrzymałem się na korytarzu i spojrzałem przez szklaną ścianę na jej nieruchome ciało,

zamknięte oczy spuchnięte po operacji i upadku. Nawet gdyby je otworzyła, nie zobaczyłaby mnie.

Nic dziwnego, że rodziny moich pacjentów zmagają się z wyparciem. Rozumiałem fizjologię obrażeń Elle. Ale nic z tego nie miało dla mnie sensu. Nie mogłem pojąć, co się stało w moim świecie.

– Matt? Słyszysz mnie?

Odwrociłem się do Christophera i pokręciłem głową.

– Co?

– Po co mnie tu wyciągnąłeś?

Na krótką chwilę żal wyparł gniew, ale zaraz moja wściekłość znów podniosła łeb.

– To nieprawda, że Elle niczego się nie bała. Po prostu ukrywała swoje lęki lepiej niż większość ludzi.

– Czego się bała, pomijając to, że mogłaby skończyć tak jak mama?

Wpatrywałem się w niego przez chwilę. Elle bała się powolnej śmierci. Jak w ogóle mogłem rozważać trzymanie jej przy życiu? Mogłem, bo powiedziałem sobie, Elle chciała zaryzykować życie, by mieć dziecko.

– Tego, że nie zrealizuje swoich marzeń.

– To nie to samo. – Zacisnął usta i zaczął unikać mojego wzroku. – Bała się tylko tego, że umrze jak mama. Kiedy wyłączą maszyny? Ja... powinienem tu wtedy być.

– Nie zostaną wyłączone. Zmieniłem zdanie.

– Czemu? Phil wymyślił coś, co jej pomoże? – Christopher otworzył szeroko oczy i nadzieja rozjaśniła mu twarz niczym słońce, które wychyla się zza burzowej chmury.

O Boże, jak bym chciał sięgnąć i zagarnąć dla siebie część jego błogiej niewiedzy. Pokręciłem głową.

– Nic nie można zrobić.

Zacisnął wargi i zaczął lustrować wzrokiem korytarz, moją twarz, wreszcie własne dłonie, które potem przycisnął sobie do oczu.

– Tata wczoraj gadał bez sensu. Jak zawsze, kiedy pije.

Zaszurałem nerwowo nogami, wspominając czasy, gdy Hank zupełnie się rozsypał, Chris miał niecałe osiem lat, ich matka umierała, a Elle musiała udźwignąć to wszystko na swoich młodych ramionach.

– Trochę się dziwię, że pamiętasz czasy, kiedy twój ojciec pił – powiedziałem.

Hank od dawna był trzeźwy – przynajmniej do wczoraj.

– Byłem wystarczająco duży. Zdziwiłbyś się, co pamiętam. Nie możesz narazić Elle na to, co przeszła mama.

Ponownie spojrzałem przez szkło na Elle, przerażony własną decyzją.

– To nie to samo. Ona nie cierpi. I... jest w ciąży. Jeśli utrzymamy ją w dobrej formie dość długo, możemy uratować dziecko.

Szczęka mu opadła.

– Co? Tylko nie to. Ile to już razy? Cztery? Pięć ciąż? – Zacisnął pięści, jakby chciał kogoś udusić, najprawdopodobniej mnie. – Cholera. Mówiłem ci ostatnim razem, żebyście więcej nie próbowali. Wtedy mało nie umarła. – Podszedł do pokoju i zaczął się trząść ze złości lub żalu.

Nie wiedziałem, co powiedzieć, więc nie powiedziałem nic, bo tym razem Elle znalazła się w stanie śmierci mózgowej. Przeze mnie.

Christopher rzadko bywał tak opiekuńczy w stosunku do Elle. Była siedem lat starsza. Ale po ostatniej ciąży wziął mnie na bok, żeby ze mną porozmawiać. Wtedy się z nim zgodziłem.



Kolejna próba byłaby zbyt ryzykowna.

– Nie mówiła mi, że spodziewa się dziecka – powiedział Chris.

– Nawet o tym nie wiedzieliśmy. To dopiero początek.

– Chcesz powiedzieć, że trzeba by ją trzymać przy życiu przez dziewięć miesięcy? Nic z tego. Elle tego nie chciała. Ja tego nie chcę. Widziałem już, jak mama w ten sposób umierała.

Ruszył korytarzem i wypadł przez drzwi OIT. Popędziłem za nim. Był w połowie drogi do windy, kiedy złapałem go za ramię.

– Tu nie chodzi o to, czego ty chcesz, Chris. Tu chodzi o Elle. O rodzinę, której ona pragnęła.

– Zaraz, chcesz, żebym czuł się winny, bo Elle spadła z drabiny, kiedy ty znowu zrobiłeś jej dziecko? Dupek!

Drzwi windy się otworzyły i wysiadła z niej moja matka. Wyglądała na wyczerpaną. Twarz okalały jej kosmyki siwych włosów.

– Christopher, skarbie. – Pocałowała go w policzek, po czym szybko przeniosła uwagę na mnie. – Znalazłam. Zajęło mi to pół nocy, ale proszę. – Podała mi dokument zatytułowany „Testament życia”, nie „Oświadczenie woli pacjenta”.

Przeczytałem szybko formularz. Wystarczyło postawić krzyżyk przy wybranej odpowiedzi.

Czy życzy sobie pan/pani mechanicznej wentylacji, jeśli nie będzie pan/pani w stanie oddychać samodzielnie?

Tak

Nie x

Czy życzy sobie pan/pani karmienia przez sondę, jeśli nie będzie pan/pani w stanie jeść?

Tak

Nie x

Ani słowa o ciąży. Cholera.

Młoda dłoń Elle odpowiedziała na wszystkie pytania przecząco. W jednym zdaniu napisała: „Nie chcę, żeby podtrzymywano mnie przy życiu, jeśli nie będzie prawdopodobieństwa, że wyzdrowieję”. Poniżej jej podpis, ze wszystkimi zawijasami przy „l” i „e”. Co gorsza, Elle poświęciła czas i energię na to, żeby dokument został potwierdzony przez notariusza.

Potarłem oczy i spróbowałem przywołać wspomnienie. Czy na Oddziale Ratunkowym, kiedy urodził się Dylan, pytano Elle o oświadczenie woli? Tak nakazują przepisy. Czyż nie zwróciłbym uwagi, gdyby powiedziała, że ma taki dokument? Z drugiej strony byłem pewnie zbyt pochłonięty naszym zmarłym synkiem. Musiałbym sprawdzić w dokumentacji szpitalnej.

– To bez znaczenia – powiedziałem. – Dokument jest stary. Po naszym ślubie status prawny Elle uległ przecież zmianie. Ja jestem jej mężem, jej najbliższą rodziną.

– Matthew, wiesz dobrze, że testament życia nie ma nic wspólnego z najbliższą rodziną ani ze stanem cywilnym. Tu chodzi o to, kogo Elle wyznaczyła na wykonawcę, a wyznaczyła mnie – odparła mama.

– O czym ty mówisz?

Mama odwróciła kartkę, na której widniał zapis, że Elle upoważnia moją matkę do podejmowania konkretnych decyzji, jeśli Elle nie będzie ich mogła podjąć sama. To dawało mamie pełnomocnictwo medyczne.

Uniosłem dłoń w sprzeciwie.

– Nie. Elle jest w ciąży. Wiesz, jak bardzo pragnie dziecka – powiedziałem.

– Zgadza się z Linney – powiedział Christopher.

– To nie jest głosowanie. – Zgniotłem testament życia.

– Oddaj dokument – zażądała matka.

Zacisnąłem pięść, zastanawiając się, jak daleko może to wszystko zajść. Matka zmyje mi głowę, jakbym miał dwa lata? Ja tupnę nogą? Wydawałoby się, że kiedyś jednak powinniśmy wyjść poza taki układ, w którym ona myśli, że rzuci mi karcące spojrzenie, a ja położę uszy po sobie.

– Nie będziemy jej trzymać przy życiu. Dzwonię do pielęgniarki naczelnej – oświadczyła mama.

– Po co ci pielęgniarka naczelna? – spytałem. Jezu, nie chciałem, żeby zrodziły się z tego jakieś szpitalne plotki.

– Bo Elle wybrała mnie, żebym się nią zaopiekowała, a ty poważnie rozważasz utrzymywanie jej przy życiu, kiedy ona tego nie chciała. Nie wolno jej traktować jak inkubator dla czegoś, co nawet nie jest jeszcze dzieckiem. Kobiety to coś więcej niż pojemniki na potomstwo.

Serce waliło mi w piersi tak, że przed oczami pojawiły mi się plamki.

– Ona nie jest inkubatorem, tylko matką dziecka.

– Skarbie, bądź realistą – odparła mama zdecydowanie mniej bojowym tonem. – To ledwie płód, a nawet gdyby był bardziej rozwinięty, Bóg jeden wie, co się z nim stało wczoraj. Tomografia komputerowa? Rentgen klatki piersiowej? Leki? Nie myślisz logicznie. Jesteś zbyt zdenerwowany. – Mama wyciągnęła otwartą dłoń w oczekiwaniu, że oddam jej testament życia.

Nie zrobiłem tego.

Byłem pewny, że Elle nigdy nie rozważała tego scenariusza.

– Wiem o tym i martwię się z tego powodu, ale...

– Nie ma żadnego ale – przerwał mi Christopher. – Daj spokój. Nie będziesz trzymał jej przy życiu. – Odwrócił się i odszedł zdecydowanym krokiem.

Mama dotknęła mojego ramienia, ale ja się odsunąłem.

Kiedy wparowaliśmy do dyżurki, pielęgniarka Elle spojrzała na nas zaskoczona.

– Wezwij pielęgniarkę naczelną. Chcę z nią porozmawiać. Chcę też porozmawiać z dyrektorem i ze szpitalnymi prawnikami. Musi się zebrać komisja etyczna. I chcę mówić z kierownikiem archiwum. Jak najszybciej – powiedziałem.

Pielęgniarka pobladła.

– Nieważne – rzuciłem. – Sam do nich zadzwonię.

Po pięciu minutach zebrania komisja etyczna, składająca się z dyrektora generalnego, prawnika i rady duszpasterskiej, była pogrążona w zagorzałej dyskusji.

Matka rzuciła na stół pognieciony dokument.

– Po to spisuje się testament życia, żeby uniknąć takich sytuacji jak ta.

– W Maine – powiedział szpitalny prawnik, niski, gruby facet o uszach odstających niczym skrzydła motyla – to, co pacjent oświadcza, kiedy jest do tego zdolny, innymi słowy, kiedy może sam mówić, przeważa nad wszystkim innym.

Wyciągnąłem dokumentację Elle z urodzenia naszego syna.

– Tutaj właśnie spytano Elle, czy ma oświadczenie woli. Odparła, że nie.

– Ale miała je. Jak widać. – Mama postukała palcem w testament życia.

– Elle podpisała to pół życia temu – odparłem. – Na pewno nie brała wtedy pod uwagę tych konkretnych okoliczności.

– Skąd wiesz? Wtedy nawet z tobą nie rozmawiała – zaripostowała mama.

To prawda. Przez kilka lat, kiedy byliśmy z Elle w college'u, nie utrzymywaliśmy kontaktów.

– Zmieniła zdanie w mojej sprawie, jak i w wielu innych. To było siedemnaście lat

temu! – krzyknąłem.

Dyrektor szpitala wstał z miejsca.

– Przestańcie. Szpital nie weźmie na siebie odpowiedzialności za tę decyzję, a już na pewno nie w sytuacji, gdy nie jesteście zgodni. Nie wiem, jak to wygląda w świetle prawa.

– Tu nie chodzi o to, czego chce lub nie chce rodzina – wyjaśnił prawnik. – Chodzi o to, czego chciała pacjentka. Do tego się to wszystko sprowadza. Niepokoi mnie, że mamy dwa sprzeczne dokumenty.

Dyrektor nabrał powietrza i powiedział:

– Niech zdecyduje sędzia. Przedstawcie nakaz sądowy.

None

## Dzień drugi

Wyjąłem wizytówkę z napisem: „Jake Sutter, prawnik”. Poprzedniej wiosny wpadliśmy z Elle na Jake’a w hallu w kinie. Wręczył mi swoją wizytówkę i powiedział: „Zadzwoń do mnie. Umówimy się na drinka”. Do wczoraj, kiedy poszukiwałem w portfelu danych o ubezpieczeniu, nie pamiętałem, że ją mam.

Kiedy powiedziałem sekretarce, że mieszkaliśmy z Jakiem w jednym pokoju na studiach, zaproponowała mi spotkanie za tydzień. Powiedziałem, że jestem mężem Elle, i to przyniosło lepsze rezultaty: po minucie zostałem połączony.

– Matt? A niech to. Słyszałem w wiadomościach. Jak ona się czuje? – spytał Jake.

– Nie jest dobrze. – Rzuciłem się w wir opowieści i mówiłem pięć minut bez przerwy, po czym umilkłem, żeby nabrać powietrza. – Nie jestem pewien, jak się do tego odnieść, mam na myśli wzgląd prawny.

Po chwili ciszy padły jego słowa:

– Wiem, jak sobie z tym poradzić, ale najpierw chciałbym ci powiedzieć, jak bardzo mi przykro z powodu Elle. Wczoraj, kiedy wieść się rozniosła, Yvette mówiła, żebym do ciebie zadzwonił, ale pomyślałem, że jesteś w szpitalu i rzeczywiście wygląda na to, że nie odstępujesz Elle na krok.

– Zgadza się – potwierdziłem. – Wyszedłem tylko na posiedzenie komisji etycznej.

– To, co powiedział wasz prawnik, jest do pewnego stopnia prawdą. Sędzia będzie chciał ustalić, czego w takich okolicznościach życzyłaby sobie Elle. Mamy do czynienia z delikatną materią, ale wiem, jak to rozegrać. Kiedy możesz przyjść do mnie do kancelarii? Odwołam inne spotkania.

Jak zwykle Jake uważał, że wszystko wie najlepiej, i tym razem miałem nadzieję, że ma rację.

– Nie chcę jej zostawiać. Możesz przyjechać tutaj?

– Hm... – Przełknął głośno ślinę. – Taką sprawę niełatwo omawiać w pokoju szpitalnym.

Cholera, zapomniałem, jak bardzo Jake nienawidzi szpitali, ale nie miałem teraz czasu, żeby zajmować się jego medycznymi fobiami.

Wylądowaliśmy z Jakiem w jednym pokoju w akademiku, bo ten, kto odpowiadał za podział studentów pierwszego roku, uznał, że łączy nas geografia. Poza nią jednak nie mieliśmy ze sobą wiele wspólnego. Jake był synem byłego gubernatora Maine, a ja byłem synem pracownika fizycznego z małego miasteczka. Jake dorastał w znacznie bardziej ekskluzywnej okolicy. Niemniej jednak obaj byliśmy ambitni, więc mimo iż nigdy się nie kumplowaliśmy, dobrze nam się razem mieszkało. Po studiach przez pewien czas utrzymywaliśmy kontakt, ale kiedy dostałem się na medycynę, coraz trudniej mi się z nim rozmawiało. Wystarczyło, że powiedziałem „krew”, a on zieleniał i mówił, że gdyby Bóg chciał, byśmy oglądali krew, nie dałby nam skóry.

– Słuchaj, z tą sprawą wiąże się całe mnóstwo kwestii medycznych – powiedziałem. – Gdyby ci było trudno się tym zajmować, może podałyby mi nazwisko kogoś, kto mógłby...

– Daj spokój, Matt. Nie będę przecież siedział przy łóżku Elle, tylko na sali sądowej. Tak, szpitale mnie denerwują. Wszyscy ci uskarżający się ludzie i te zapachy i... Kiedy moja żona rodziła Janey... nie mogłem patrzeć na to, jak cierpi. Może jestem zbyt wrażliwy. Tak więc owszem, nie lubię szpitali. Nie wiem, jak ty możesz tam pracować. Ale z tym, co w słowie i w piśmie, dam sobie radę.

Innego dnia, w innym miejscu i czasie wyśmiałbym jego wizerunek własny. Naprawdę

uważał się za szlachetnego, ale gdy ludzie mówią mi, że są zbyt wrażliwi, by zająć się kimś rannym lub chorym, ich hipokryzja zawsze doprowadza mnie do szału. Byłem pragmatykiem, który pragnie działać – pomagać ludziom, a nie odwracać wzrok – ale w tej sytuacji nie miało znaczenia, czy Jake jest wrażliwy, czy nie. Nie potrzebowałem go, żeby trzymał Elle za rękę – ani mnie. Potrzebowałem kogoś, kto pokona matkę w sądzie.

– Jake...

– A niech to. Jesteś moim przyjacielem. W zaistniałej sytuacji przyjadę do szpitala. Może zrobimy tak – powiedział. – Znajdź jakieś miejsce, gdzie będziemy mogli swobodnie porozmawiać – poczekalnię albo nie, lepszy byłby gabinet. Powiem ci wszystko, co musisz wiedzieć, żeby zacząć działać. Nie będziesz mieć wobec mnie żadnych zobowiązań. Jeśli chcesz, skonsultuj się z innym prawnikiem. Powiem ci, jakie pytania powinieneś zadać, ale nie ma w Portland nikogo z takim doświadczeniem jak moje.

Choć Jake nigdy nie należał do osób przesadnie skromnych, teraz akurat nie docenił swoich kwalifikacji. Wątpiłem, by ktokolwiek inny w Portland w stanie Maine prowadził sprawy przed Sądem Najwyższym Stanów Zjednoczonych.

– Dobrze – powiedziałem.

Zarezerwowałem pokój tuż za OIT. Dziesięć po siódmej Jake wkroczył, choć nie tak dumnym krokiem jak zwykle, ubrany w szyty ręcznie garnitur, włoskie buty i z kroplą potu na górnej wardze.

– Usiądź. – Położyłem przed nim kopię testamentu życia Elle. – A oto kopia jej karty informacyjnej ze szpitala zeszłej zimy.

Jake zajął miejsce u szczytu laminowanego słojuwanym drewnem stołu.

– Zeszłej zimy?

– W lutym straciliśmy dziecko. Urodziło się martwe.

Wpatrywał się we mnie przez chwilę, po czym uczynił coś, co uznałem za kiepską próbę wyrażenia współczucia.

– Matt. Przeszedłeś...

Przerwałem mu, nie podnosząc nawet wzroku.

– Przy przyjęciu Elle zaznaczyła, że nie posiada oświadczenia woli. Widzisz? – Wskazałem niewyraźny podpis na szpitalnym druku. Pierwszy raz naprawdę przyjrzałem się jej pismu. Nie byłem specjalistą, ale nawet ja widziałem, jak bardzo musiała być słaba, kiedy podpisywała ten dokument. Tamtej nocy była tak mało przytomna, że mogła nie wiedzieć, co podpisuje.

Jake zmienił pozycję na krześle i przyjrzał mi się uważnie.

– Wszystko w porządku?

Zerknąłem na niego, skinąłem głową i odwróciłem wzrok. Nie poradziłbym sobie z kolejną falą cierpienia, nawet jeśli on był gotowy mnie wysłuchać.

Taktownie skupił się na drugim dokumencie.

– Jest to „testament życia”, ale jego treść niezupełnie odpowiada nazwie. Testament życia to zbiór konkretnych wskazówek. Podpada pod kategorię oświadczenia woli, ale jego zakres jest wąski; to wytyczne spisane przez pacjenta i nieobejmujące sytuacji nieprzewidzianych. Elle rzeczywiście dała wskazówki, ale udzieliła też twojej matce trwałego pełnomocnictwa zdrowotnego. Ten tak zwany testament życia podpada pod szerszą kategorię oświadczenia woli. Ważne jest to, że Elle sama dokonała pewnych wyborów, ale też wyznaczyła kogoś innego do podejmowania decyzji, których ten formularz nie przewiduje. Dla sądu oznacza to, że Elle wiedziała, iż pewnych okoliczności nie sposób przewidzieć, i ufała, że twoja matka podejmie decyzję w jej imieniu. Teraz muszę ci powiedzieć coś, czego nie chciałbyś usłyszeć.

Wysunąłem krzesło i opadłem na nie.

– Uważasz, że nie mam szans.

– Masz szanse. I to duże. Rzecz w tym, że cenisz sobie prywatność, a ten proces cię jej pozbawi. Reporterzy już koczują przed szpitalem, a będzie jeszcze gorzej, bo to może przebić sprawę Roe kontra Wade.

– Jak to? Przecież tu nie chodzi o aborcję.

– Z twojego punktu widzenia nie. Tobie chodzi o żonę i nienarodzone dziecko, czyli coś bardzo osobistego. Jednakże z prawnego punktu widzenia chodzi tu o prawa nienarodzonego dziecka i prawa jego matki, a to będzie miało dalekosiężne konsekwencje. Prawo do życia, prawo do śmierci. Prawa nienarodzonych. Roe kontra Wade. Ale odłóżmy to na razie na bok. – Odchylił się na krzesło i przygryzł wargę.

– W tym stanie – kontynuował – takie spory rozpatruje sąd do spraw spadkowych i opiekuńczych. Nie ma ławy przysięgłych, tylko sędzia. Gdyby Elle nie była w ciąży, liczyłoby się tylko to, co zostało zawarte w tym oświadczeniu – postukał palcem w kartkę. – Nieważne, że ten dokument jest bardzo stary ani że Elle nie miała wtedy partnera. Wyraziła jasno, że nie chce żyć, jeśli będzie śmiertelnie chora albo znajdzie się w stanie wegetatywnym. – Opuścił wzrok na dokumenty przed sobą i podrapał wypielęgnowanymi paznokciami szorstki cień zarostu na brodzie. – Mówisz, że nie wiedziałeś o tym oświadczeniu woli?

– Matka powiedziała mi o tym dziś rano. Ale miałem świadomość, że Elle tak do tego podchodzi. Zanim stwierdzono, że Elle jest w ciąży, zgodziłem się na odłączenie jej od aparatury podtrzymującej życie... – Głos mi się nagle załamał i ukryłem twarz w dłoniach.

– Już dobrze. – Jake ścisnął mnie za ramię, poczekał, aż się opanuję, po czym spytał, czy możemy kontynuować. – W wielu stanach nie byłoby problemu, bo ciąża automatycznie unieważnia oświadczenie woli kobiety, ale Maine do nich nie należy. Jeśli deklaracja istnieje, zachowuje ważność.

Już chciałem spytać, gdzie tak jest, gdyż przemknęło mi przez myśl, że może moglibyśmy przenieść ją do szpitala w innym stanie, ale to by się zapewne nie udało. Stan Elle nie był na tyle stabilny. A matka by nie odpuściła.

– Czy to twoje dziecko? – spytał Jake. – Pytam, czy zbadano DNA.

– Oczywiście, że moje. Elle nigdy by nie...

– Nie to mam na myśli. Muszę wiedzieć, że to genetycznie twoje dziecko. Nie korzystaliście z dawcy spermy ani niczego takiego?

– Czemu, u diabła, o to pytasz?

– Odpowiedz na pytanie, Matt. Czy dziecko jest genetycznie twoje?

– Tak.

– To dobrze. To na wypadek, gdyby ta kwestia została podniesiona. Tymczasem musisz złożyć dokumenty z prośbą, żeby sąd uznał Elle za niezdolną do czynności prawnych. Tu, w Maine, używamy nieco łagodniejszego określenia: „ubezwłasnowolnienie”. Ten termin lepiej się kojarzy, ale oznacza tyle, że Elle nie jest w stanie podejmować decyzji w swoich sprawach. Tak więc będę potrzebował od lekarzy stosownych pisemnych oświadczeń.

Skinąłem głową, a Jake ciągnął dalej, wyjaśniając, że złoży do sądu wnioszek o przyznanie mi opieki prawnej nad Elle. To jednak nie oznacza, że będę mógł podejmować za nią decyzje w kwestiach zdrowotnych. Wskazał na testament życia Elle.

– Kiedy sędzia zobaczy dokument, może go uznać za wiążący.

– Myślisz, że moja matka ma prawo zdecydować o odłączeniu Elle od aparatury podtrzymującej życie?

Jake pokiwał głową na boki, jakby ważąc tę kwestię.

– Mamy dokumentację szpitalną, która pozwoli nam zakwestionować ważność poprzedniego dokumentu, ale tak, istnieje możliwość, że sędzia da twojej matce prawo do podejmowania decyzji medycznych za Elle. – Wziął głęboki oddech. – I dlatego chcę ustalić z całą pewnością, że dziecko jest twoje. Jeśli zajdzie taka potrzeba, będziemy mogli podejść do tej sprawy z zupełnie innej strony. Gdyby sędzia opowiedział się po stronie twojej matki, będę wnioskował, by sąd przyznał ci opiekę prawną nad twoim nienarodzonym dzieckiem.

– Dobra. To brzmi dobrze. Jak by to wyglądało? – spytałem, prostując się na krześle.

– To skomplikowane. Wiesz, że zajmowałem się sprawami pro-life?

Przytaknąłem.

– Matka będzie utrzymywać, że tu chodzi o prawo Elle do śmierci. A ja przysięgam, że gdy dziecko przyjdzie na świat, pozwolę jej odejść, ale...

Przerwał mi.

– Obiecuję, że podejmę wszelkie kroki prawne, żeby twoje dziecko dostało szansę. Pozwolić Elle odejść to jedna kwestia, ale najbardziej aktualna i paląca to utrzymać ją przy życiu, dopóki na świat nie przyjdzie dziecko, zgadza się?

– Tak – odpowiedziałem na jego retoryczne pytanie.

– Pozwól, że ci to wyjaśnię. Widzisz, w oczach sądu dzieciom nienarodzonym nie przysługują prawa człowieka – a przynajmniej do niedawna im nie przysługiwały. A sędzia przyzna ci opiekę tylko nad kimś, kto jest podmiotem praw człowieka. Nienarodzeni nie mają głosu. To stanowi dla nas przeszkodę, ale mam plan. Przekonam sędziego. On orzeknie na naszą korzyść. To orzeczenie ustanowi precedens...

Zakaszlałem.

– Nie myśl o precedensach. Tu chodzi o Elle i dziecko.

– Twoje dziecko – powiedział tak, jakby znowu kwestionował moje ojcostwo.

– Tak – odparłem.

– I wierz mi, uratowanie tego dziecka jest dla mnie ważne, ale ustanowienie takiego precedensu będzie bardzo istotne dla ruchu obrony życia. To dlatego ta sprawa ma znacznie szerszy zasięg, niż ci się wydaje. Ty skupiasz się tylko na żonie i dziecku, ale z pomocą przyjdzie ci cały ruch obrońców życia. Otrzymamy wszelkie wsparcie od prawników o poglądach pro-life. Napiszą amicus curiae. Zbadają temat. Zrobią wszystko.

– Co napiszą? Zresztą nieważne. Czemu środowisko pro-life miałyby zajmować się tą sprawą? Elle nie będzie miała aborcji.

Pod palcem spoczywającym na górnej wardze Jake'a pojawił się pełen wyższości uśmiešek. Wiele razy widziałem ten wyraz na jego twarzy. Jake starał się stwarzać wrażenie szczerości i nabrałby mnie, gdybym nie znał go od czasów college'u i gdybym nie wiedział, jak ogromne ma ambicje.

– Nie – powiedział – ale czy nie widzisz tu zbieżności? Zakończenie życia Elle będzie również oznaczać przerwanie jej ciąży. Może uda mi się przedstawić to jaśniej. Czternasta poprawka daje ludziom prawa. Wszelkie prawa. Jeśli sąd przyzna ci opiekę nad twoim nienarodzonym dzieckiem, to czyni z twojego nienarodzonego dziecka osobę – pod względem prawnym – osobę o pełni praw. Takie orzeczenie przebiję sprawę Roe kontra Wade. Jeśli tamto orzeczenie zostanie podważone, poszczególne stany odzyskają prawo do podejmowania własnych decyzji w kwestii aborcji.

– Jeszcze raz powtarzam. Nic mnie to nie obchodzi!

Rzucił mi gniewne spojrzenie i ciągnął dalej.

– Dobra, w porządku, ale jeśli sąd przyzna ci opiekę nad dzieckiem, będzie to miało daleko idące konsekwencje. A nawet jeżeli sędzia podejmie decyzję na naszą niekorzyść,

możemy się od niej odwołać. Co z pewnością pozwoli nam zyskać trochę czasu. A jeśli przegramy też apelację, możemy pójść z tą sprawą na samą górę. Możemy wnioskować o certiorari.

– O co?

– O certiorari, rewizję wyroku. Oznacza to, że prosimy Sąd Najwyższy o zbadanie słuszności decyzji sądu niższego szczebla. Jeśli Sąd Najwyższy przyzna ci opiekę, tym samym amerykański rząd przyzna płodowi status osoby. Wtedy wszystkie płody będą miały takie prawa jak ludzie. A każde działanie, które prowadziłyby do zniszczenia płodu, stałoby się zabójstwem. Aborcja stałaby się bezprawna.

– To strasznie naciągane, a ja chcę tylko dać szansę temu konkretnemu dziecku – powiedziałem.

– Pamiętasz sprawę Scotta Petersona?

– Co to, u diabła, ma wspólnego z Elle?

– Cierpliwości. Pamiętasz tę sprawę?

Oparłem się na krzesło i spoglądałem ze złością na Jake'a. Taki właśnie był. Dawał się ponieść dygresjom. W college'u zawsze mogłem wtedy wyjść z pokoju, a tutaj nie mogę.

– Peterson? Drań, który zabił swoją ciężarną żonę? Oczywiście, że pamiętam – odparłem.

– Został skazany za zabicie zarówno żony, jak i nienarodzonego syna. Potem Kongres przegłosował Ustawę o nienarodzonych ofiarach okrutnych przestępstw. To wielki krok naprzód, bo chroni dzieci w czasie ciąży. Autorzy projektu ustawy są z obozu pro-life. Potocznie nazywa się ją Laci albo Prawem Connora.

– Och, na miłość boską. Odpuść sobie te szczegóły i przejdź do rzeczy.

– Właśnie to robię. Tamta ustawa chroni nienarodzonych i daje nam podstawę prawną.

Skwitowałem to mruknięciem, ale porównywanie tego, co się dzieje z Elle, ze sprawą Scotta Petersona zdrowo mnie wkurzyło. Chciałem położyć kres temu cyrkowi, zanim namiot zostanie rozbity.

– Jeśli wystąpimy o przyznanie ci opieki nad dzieckiem, poprą nas obrońcy życia...

– A jeśli spróbujesz zrobić z tego sprawę o aborcję, wywołamy sprzeciw Narodowej Organizacji Kobiet, której członkinie są zapewne równie radykalne jak ci ludzie z pro-life. Zamienisz ten proces w cyrk.

Matka należała do NOK. W większości kwestii wykazywała się zdrowym rozsądkiem, interesowało ją tworzenie nowych możliwości dla kobiet, ale w jej obozie było parę gorących głów, takich, które – gdyby tylko nadarzyła się okazja – ugotowałyby w oleju przeciwników klinik aborcyjnych.

Jake siedział pewny siebie, a na moją wzmiankę o NOK uśmiechnął się szyderczo.

– Ruch pro-life to inicjatywa humanitarna – powiedział. – Ale nie dyskutujmy na ten temat. To nie wszystko. Walka o przyznanie ci opieki nad dzieckiem to ryzykowna taktyka. Oto dłaczego. Dotąd były tylko dwa takie przypadki. Pierwszy, na Florydzie, skupiał w sobie wszystkie kontrowersyjne kwestie: kobieta niepełnosprawna umysłowo i gwałt. Stan starał się uzyskać prawo do opieki nad nienarodzonym dzieckiem. W końcu sąd apelacyjny odmówił wyznaczenia opiekuna stanowego z dwóch przyczyn: po pierwsze, stan nie miał żadnych podstaw do roszczeń – stąd moje pytanie, czy dziecko Elle na pewno jest twoje – a po drugie, na Florydzie nie istnieją żadne ustawy, żadne prawa, które pozwoliłyby przyznać płodowi opiekuna prawnego.

– Czyli tamta kobieta poddała się aborcji? – spytałem.

– Ostatecznie nie. Sprawa trwała tak długo, że dziecko zdążyło się urodzić. Jestem gotowy zastosować tę samą strategię. Jestem człowiekiem z zasadami, który chodzi w niedzielę



do kościoła, dla którego wiara stoi na pierwszym miejscu, ale jestem też realistą. Stan nie wygrał tamtej bitwy, ale wygrał wojnę. Dziecko przeżyło... – Uniósł palec. – To było jedno dziecko, a ja podejmę się ratowania twojego. Ale werdykt przyznający ci opiekę prawną może ocalić ponad milion dzieci rocznie. Bardzo mi przykro, że to się przydarzyło Elle, ale...

Zacisnąłem pięści.

– Ani mi się waży robić z niej męczennicę!

Zamilkł i nie odzywał się tak długo, że doszedłem do wniosku, iż nie ma na to odpowiedzi. A może wiedział, że za próbę riposty wykopałbym go ze szpitala.

– Rozumiem – powiedział. Potem zaczął gadać mało składnie o jakiejś sprawie z Pensylwanii. – Sędzia opowiedział się za przyznaniem opieki, ale nie sądzę, by ta decyzja utrzymała się w sądzie apelacyjnym.

Wstałem i zacząłem chodzić w kółko po niewielkim pokoju konferencyjnym.

– A więc ta taktyka, wnioskowanie o przyznanie mi opieki prawnej nad dzieckiem, daje nam pięćdziesiąt procent szans? W najlepszym wypadku.

Jake mrugnął potwierdzająco.

– Tak, ale nam może pójść lepiej, bo, jak sam powiedziałeś, to nie jest sprawa o aborcję. Jako ojciec masz prawa, a przynajmniej będziesz je miał, kiedy dziecko się urodzi. To niezwykle przekonujący argument.

Oparłem się o stół, przyciskając dłonie do blatu.

– Ale moje prawa zaistnieją dopiero po urodzeniu się dziecka, chyba że uda ci się odmienić świat i skłonić go do przyznania mi opieki nad płodem?

– Właśnie – powiedział.

Zerknąłem na chwiejne pismo Elle na pierwszej stronie karty szpitalnej.

– A co ze stwierdzeniem Elle, że nie ma oświadczenia woli?

– Na pewno w pierwszej kolejności użyję tego argumentu. Ale musisz zrozumieć, że najprawdopodobniej będzie zeznawał brat Elle, a jego słowa mogą wpłynąć na sędziego.

– Christopher? Skąd wiesz, co on ma do powiedzenia w tej sprawie?

– Wystąpił w popołudniowych wiadomościach.

– Co zrobił?! – Krew pulsowała mi w skroniach.

– Usiądź.

Usłuchałem go, zdumiony, że Chris miał czelność iść z tym do mediów.

– Pierwsze dorwały go lokalne stacje, ale potem jego wystąpienie wyemitowały sieci telewizyjne. Powiedział, że obrażenia jego siostry są śmiertelne, ale ty trzymasz ją przy życiu, kierując się błędnym pragnieniem ratowania jej. Powiedział, że w testamencie życia Elle jasno wyraziła życzenie, by pozwolono jej umrzeć. Powiedział, że choć to najdzielniejsza osoba, jaką zna, zawsze bała się takiego życia.

– Cholera.

Jake skrzywił się.

– Wyświadczyć sobie przysługę i uważaj na język – przynajmniej przed kamerami. Rzucą się na nas wszystkie media. Ważne, jak się im zaprezentujesz.

– A ty myślisz, że mówiąc „o jejciu”, zyskam ich przychylną?

Jake pokręcił głową.

– Wierzę ci, że w tych okolicznościach Elle chciałaby pozostać przy życiu. Użyjemy wszelkich argumentów łącznie z tym, iż w niektórych stanach nie wolno odłączyć od aparatury podtrzymującej życie kobiety, która jest w ciąży, ale chcę, byś zrozumiał, że próbuję cię chronić. Część ludzi będzie cię demonizować za to, że postępujesz wbrew woli żony. Może się wydawać, że jesteś gotów skazać ją na wielomiesięczne cierpienie. Prawda jest taka, że postępujesz wbrew

jej życzeniom zawartym w oświadczeniu woli.

Przełknąłem jego słowa, które paliły mnie, jakbym przelykał ług.

– Musisz sprawić wrażenie męża pogrążonego w żałobie, a przy tym świętego. –  
Podsunał mi teczkę. – To jest umowa o moje honorarium. A to informacja o zaliczce.

Utkwiłem wzrok w mnóstwie zer i gwizdnąłem. Mam na karku osiem lat kredytu studenckiego, prowadzę co prawda własną praktykę, ale za krótko, żeby go spłacić, a co dopiero, by móc wydać taką kwotę.

– Matt, jeśli sędzia da nam choć cień szansy i nie każe z miejsca zastosować się do oświadczenia woli Elle, uda mi się. Gwarantuję, że jestem twoją najlepszą opcją.

– Nie mam takiej gotówki. Zresztą nawet gdybym miał, nie wziąłem książeczki czekowej.

– Nie martw się o zaliczkę – powiedział Jake. – Zrzeknę się jej. Jesteśmy przyjaciółmi. Chcę poprowadzić tę sprawę, ponieważ w nią wierzę. Możemy nawet pomówić o obniżonej stawce za godzinę, zależnie od tego, jak długo będzie się toczyć proces. Podpisz tylko tutaj. – Przerzucił kilka kartek, po czym wskazał puste miejsce na podpis.

Wziąłem głęboki oddech i podniosłem długopis.

– Zanim to podpiszę, musisz zrozumieć jedną rzecz. Nie obchodzą mnie twoje polityczne cele. Nie chcę, żebyś zrobił z Elle reklamę czegokolwiek.

– Zanim z tobą skończę, zmienisz zdanie.

Jake nie rozumiał. On nigdy nie rozumiał. Ludzie to nie przedmioty, które można wykorzystywać dla tego, co on postrzega jako dobro wyższe.

– Nie – zapewniłem. – Jeśli chcesz mnie reprezentować, ta sprawa ma dotyczyć tej konkretnej sytuacji, nie twoich przekonań pro-life, ani twojej ambicji, żeby zająć stołek gubernatorski tak jak twój ojciec.

– Nie jestem już zainteresowany stanowiskiem gubernatora. Yvette nie chce być żoną polityka, a ja już dawno zrezygnowałem z prób przekonania jej. Interesuje mnie tylko ratowanie twojego nienarodzonego dziecka. – Jake postukał palcem wskazującym w miejsce na podpis. – Mogę tego dokonać. Jestem ekspertem w dziedzinie prawa konstytucyjnego. Na miłość boską, dojeżdżam do Bostonu, gdzie prowadzę zajęcia z pierwszej poprawki na Harvardzie. Jestem członkiem Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Prawnego. Regularnie dostaję telefony z prośbą o konsultację w sprawach pro-life.

Stało mi przed oczami pewne wspomnienie z kursu wprowadzającego dla studentów pierwszego roku, na którym wszyscy zadawali te same trzy pytania: Jak się nazywasz? Skąd jesteś? Co studiujesz? Jake zawsze odpowiadał na nie dziwnie. Mówił: Jake Leahy Sutter, jestem z prawicy, studiuję kierunek, który zaprowadzi mnie do Sądu Najwyższego, najlepiej na fotel pierwszego prezesa.

– Zawsze chciałeś być sędzią. Uważasz, że ta sprawa ci to zapewni?

Zmrużył oczy i odchylił się na krześle.

– Daj spokój. Nie ma mowy, żebym kiedykolwiek dostał stołek sędziowski. Jestem za bardzo pro-life. To kontrowersyjna kwestia. Odmówiłem zachowania politycznej neutralności.

– W porządku, Jake, mam twoje słowo, że skupisz się jedynie na Elle i dziecku? Tak czy nie?

Wydał policzek i skinął głową.

None

### Dzień trzeci

Pod sądem, gdzie miała zapasć decyzja o losie mojej żony, pikietowali już obrońcy życia. Nie. Muszę przestać myśleć w ten sposób. Los Elle został przesądzony, kiedy upadła. Ja walczę o życie dziecka – naszego dziecka. Elle nie wyglądała jeszcze na ciążarną. Na tym etapie nie dawało się też wyczuć ruchów dziecka. Objawiało się jedynie jako piknięcia w badaniu USG. A mimo to wiedziałem, że gdyby mogła, już by czytała swojemu brzuchowi opowieść o księżycu.

Poprawiłem krawat i przedarłem się przez gąszcz reporterów, którzy wciskali mi mikrofony w twarz.

– Doktorze Beaulieu, jak się miewa pańska żona?

– Jej brat twierdzi, że tego nie przeżyje. Czy mógłby pan to skomentować?

Gość, którego znałem z liceum, wydarł się na mnie:

– Matt, tylko jedno pytanie o Elle!

– Bez komentarza – powiedziałem.

Usłyszeli wersję Christophera. Nie zamierzałem rzucać im na żer niczego więcej, co powinno pozostać sprawą prywatną.

Po obu stronach drzwi stali aktywiści pro-life z napisami: „Dawajmy życie, nie odbierajmy go. Ratujmy Elle”. Chociaż zasadniczo byli po mojej stronie, starałem się unikać kontaktu wzrokowego. Oni nie pikietowali na moją rzecz, a już na pewno nie chodziło im o Elle. Przybyli tu powodowani własnymi celami, a nasza tragedia była dla nich jedynie sposobem wypromowania się.

Wszedłem do gmachu sądu; liczyłem, że ktoś zatrzyma reporterów i protestujących na zewnątrz. Tak się jednak nie stało.

Sąd federalny w budynku obok miał wykrywacze metalu, a sąd okręgowy hrabstwa Cumberland był prawdopodobnie jedyną w kraju instytucją niewyposażoną w wykrywacze. Dziennikarze przemierzali ze mną rotundę, głodni informacji, wykrzykujący pytania.

Jake spotkał się ze mną w połowie drogi do sali, zwrócił się do reporterów i powiedział:

– Z pewnością rozumiecie, państwo, że to trudny okres dla doktora Beaulieu i jego rodziny. W tej chwili nie mamy żadnego komentarza, ale kiedy sytuacja się zmieni, zorganizuję konferencję prasową i będziecie mogli zapytać, o co tylko zechcecie.

Ku mojemu zaskoczeniu wycofali się. Ale ich oczy spoczywały dalej na mnie, jakby szukały gorączkowo jakiegoś dowodu na skrywaną mroczną tajemnicę.

Na końcu korytarza o marmurowej szachownicowej posadzce obok Christophera stała matka. Wyglądała, jakby dopiero co płakała. Kiedy mijaliśmy ją z Jakiem, omal jej nie pożałowałem. Omal. Cierpiała, ale toczyliśmy wojnę. Miłość może przewycięzać podziały, ale może też dzielić. Reporterzy znaleźli Chrisa, który ochoczo rozpoczął z nimi rozmowę.

Zwróciłem się do Jake'a i powiedziałem cicho:

– Skąd obrońcy życia wiedzieli, że tu dziś będziemy?

– Daj spokój – odparł Jake.

– Zachęcałeś ich, żeby się tu pojawili?

– Nie musiałem. Od chwili kiedy brat Elle zaczął się wypowiadać publicznie, wszyscy dziennikarze interesują się tą sprawą, a działacze pro-life prowadzą własną kampanię.

– Ale skąd wiedzieli o rozprawie sądowej?

– Jestem pewny, że studiują wokandę tak jak reporterzy. Ja bym tak robił. Starają się zapobiegać przemocy wobec kobiet i zabójstwom popełnianym na dzieciach – powiedział.

Zacisnąłem zęby.

– Jake.

– Tak, wiem. Tym razem to nie moja walka. – Wyrównał sobie kłapy marynarki. – A przy okazji, wyglądasz okropnie. Kiedy ostatnio spałeś?

– Pójdę spać, jak przekonasz sędziego, żeby pozwolił utrzymać Elle przy życiu.

– Po to tu właśnie jesteś. – Jake stanął pod wejściem na salę sądową i szepnął: – To może trochę potrwać. Musisz miarkować siły, innymi słowy, zacząć sypiać. Szczerze mówiąc, będę przeszczęśliwy, jeśli sędzia będzie działał w takim tempie jak moja babcia z parkinsonem. Im dłużej to wszystko będzie trwało, tym bardziej rozwinie się ciąża Elle i tym lepiej dla nas. I módl się, żeby sędzia miał serce i katolicką matkę. – Jake uniósł brwi. – Zaraz, ty jesteś katolikiem. Powiedz swojemu księdzu, że chcę, by zeznawał.

– Mojemu księdzu?

– Działasz zgodnie ze swoimi przekonaniem religijnymi. – Zrobił krok do mnie i przemówił cicho. – Akurat w kwestii pro-life katolicy mają rację. Chcę, żebyś sprawiał wrażenie człowieka pobożnego, nawet jeśli jesteś poganinem.

Choć wychowano mnie na katolika od chrztu po bierzmowanie, a nasz ślub uświetniła uroczysta msza, nie chodziłem do kościoła, a nawet nie byłem pewny, czy Bóg istnieje. Elle natomiast wierzyła. Od czasu do czasu chadzała nawet na mszę. Mnie podobała się idea łaskawego Boga i wierzyłem w chrześcijańskie „miłuj bliźniego swego jak siebie samego”. Z filozoficznego punktu widzenia kupowałem to. Z duchowego punktu widzenia pozostawałem sceptykiem. Jeśli Bóg nie istnieje, a niebo i piekło to mity, straciłem Elle na zawsze. Chciałem więc wierzyć w Boga, tak jak dziecko chce wierzyć w Świętego Mikołaja.

Jake zerknął na swoje wibrujące blackberry i wyłączył je. Poszedłem w jego ślady, zauważając przy tym kolejną wiadomość głosową od Melanie.

– Nigdy nie rozumiałem – powiedział Jake – czemu katolicy modlą się do świętych albo czczą Marię, ale twój Kościół przynajmniej wierzy, że życie rodzi się w chwili poczęcia. – Uśmiechnął się szeroko. – Zresztą już najwyższa pora, żeby dali ci coś poza rybą w piątek.

Nie miałem siły ani ochoty tłumaczyć mu doktryny katolickiej.

– Zamierzasz więc wykorzystać argument religijny?

– Oczywiście. Wolność religijna jest zapisana w konstytucji. Czyżbyś o tym nie wiedział?

Christopher i moja matka otworzyli drzwi do sali i zniknęli za nimi. Matka też była katoliczką, ale taką typową amerykańską, niepraktykującą. I wierzyła w prawo kobiety do wyboru.

Kiedy przechodziliśmy przez drzwi, Jake poklepał mnie po ramieniu.

– Weź głęboki oddech. Miejmy nadzieję, że sędzia nie uzna testamentu życia Elle za ważny, zanim będziemy mieli możliwość przedstawić nasz punkt widzenia.

Rozejrzałem się po publiczności w poszukiwaniu ojca Elle. Od wielu dni nikt nie widział Hanka. W jednej z tych dziwnych chwil zapomnienia, które dopadają umysł, nim ten w pełni przyjmie do wiadomości czyjąś śmierć, pomyślałem: „Elle będzie się strasznie martwić o ojca”.

Ściany sali od podłogi do sufitu wyłożone były dębowymi panelami. Mama nie zdecydowała się na prawnika, siedziała więc sama na miejscu pozwanego, ale Christopher był tuż za nią i szeptał jej do ucha.

Jake i ja zajęliśmy miejsca przy stole z napisem „Powód”. Jake zaczął przeglądać papiery, które wyjął z aktówki, podczas gdy ja starałem się unikać wzroku mamy. Zazwyczaj moją sześćdziesięcioletnią matkę można było wziąć za pięćdziesięcioletkę, ale w porannym świetle wpadającym z zewnątrz uderzyło mnie, jak cienka wydaje się jej skóra. Matka starzała się i wyglądała koszmarnie, ale zapewne ja nie wyglądałem o wiele lepiej. Przyszło mi do głowy, że

jeśli to się nie uda – jeśli dziecko umrze razem z Elle – śmierć z wyczerpania zaoszczędziłaby mi zachodów samobójstwa.

Do sali wszedł woźny.

– Proszę wstać. Przewodniczy sędzia Martin Wheeler.

Na ten sygnał sędzia wszedł i zajął swoje miejsce. Powstaliśmy, a następnie opadliśmy niczym fala na oceanie. Sędzia, mężczyzna w średnim wieku, przekartkował papiery przed sobą, po czym wyjął ze skórzanego etui okulary bez oprawek i wyczyścił je chusteczką, mówiąc jednocześnie:

– Pierwsza sprawa dotyczy opieki prawnej nad Elle Lenore Beaulieu. Jej mąż, doktor Matthew Beaulieu, złożył wniosek o opiekę, a Elinor Beaulieu, która również ubiega się o opiekę, zgłosiła sprzeciw wobec tegoż wniosku. Proszę zaprotokołować, że Elinor Beaulieu jest teściową Elle Lenore Beaulieu. Mamy więc zbieżność nazwisk, ale i podobieństwo imion.

Matka podniosła rękę.

– Mogę wyjaśnić. Alice, matka Elle, nadała córce imię po mnie. Ale mnie wszyscy mówią Linney, więc pan też może mnie tak nazywać, jeśli tak będzie łatwiej.

Sędzia zacisnął wargi i spodziewałem się, że zaraz usłyszę naganę lub lekcję etykiety sądowej. On jednak odparł z cierpliwością opiekuna w przedszkolu:

– Tak. – Przeliterował ich imiona i oficjalnie uczynił moją matkę Elinor panią Linney Beaulieu. – Czy ma pani reprezentację prawną, pani Beaulieu?

Matka pokręciła głową.

– Nie. Złożyłam dokumenty tak, jak mi kazano w biurze do spraw spadkowych. Elle spisała testament życia. Nie chciała żyć w ten sposób.

– Formalnie ten dokument to oświadczenie woli, chociaż jest nazwany inaczej. Ale do tego i do pani oświadczenia przejdziemy za chwilę – odrzekł sędzia Wheeler. – Na wstępie musimy oficjalnie ustalić, że Elle Beaulieu jest trwale pozbawiona zdolności do czynności prawnych.

Zmienił pozycję na fotelu i omówił oświadczenia lekarzy, w których opisano obrażenia odniesione przez Elle oraz rokowania. Sędzia podniósł wzrok i zwrócił się do Jake'a, czy potwierdza, iż Elle jest trwale pozbawiona zdolności prawnej. Potem zwrócił się z tym samym pytaniem do mojej matki.

– Tak, Wysoki Sądzie.

– Widzicie, jak przyjemnie zgadzać się w różnych kwestiach. Proponuję, żebyśmy w przyszłości robili to częściej – powiedział sędzia. – Elle Beaulieu zostaje uznana za trwale pozbawioną zdolności prawnej i może być teraz nazywana „podopieczną”.

Z trudem przełknąłem ślinę, tłumiąc odruch wymiotny. „Podopieczna” była kolejnym krokiem w procesie pozbawiania Elle jej człowieczeństwa. Brzmiało to podobnie jak „ciało” albo „ono”.

Sędzia Wheeler odłożył dokument na bok.

– W sprawie o opiekę mamy spór. Jednakże, choć obie strony złożyły stosowne wnioski, jak się zdaje, istotą sporu jest kwestia, czego w tych okolicznościach chciałaby Elle. Doktor Beaulieu przyznaje, że gdyby żona nie była w ciąży, odłączyłby ją od aparatury podtrzymującej życie. Uważa on jednak, iż w obecnej sytuacji Elle pragnęłaby, aby jej ciąża rozwijała się dalej, nawet jeśli oznaczałoby to trzymanie jej przy życiu przez okres jej trwania. Doktor Beaulieu zgadza się odłączyć żonę od aparatury podtrzymującej życie, gdy dziecko przyjdzie na świat.

Sędzia spojrzął znad okularów.

– Z wniosku pani Linney Beaulieu wynika, że ma ona odmienne zdanie. Pani Beaulieu stwierdziła, iż ona i Alice McClure, matka Elle, przyjaźniły się całe życie. Linney miała wkład

w wychowanie Elle i była jej matką chrzestną. Po śmierci Alice McClure pani Beaulieu pozostała w bliskich i pełnych miłości relacjach z Elle. Alice McClure walczyła z nieuleczalnym nowotworem złośliwym, trzy miesiące przed śmiercią zapadła w śpiączkę. W tym okresie opiekowały się nią w domu pielęgniarki hospicyjne. Pod wpływem tych wydarzeń nastoletnia wówczas Elle nabrała głębokiego przekonania, że wobec osób śmiertelnie chorych nie należy podejmować żadnych nadzwyczajnych środków, by przedłużyć im życie. Elle, gdy tylko osiągnęła pełnoletność, podpisała ten tak zwany testament życia i wyznaczyła panią Linney Beaulieu na wykonawczynię swojej woli, gdyby kiedyś została trwale pozbawiona zdolności prawnej. Gdyby opieka nad Elle została powierzona pani Beaulieu, pani Beaulieu zaleciłaby lekarzom odłączenie Elle od aparatury podtrzymującej życie, by mogła umrzeć w spokoju.

Wheeler zamilkł, odłożył dokumenty sądowe i złożył dłonie na biurku.

– Pani Beaulieu, czy kiedy pisała pani swój wniosek, miała pani świadomość, że Elle jest w ciąży?

– Tak. Ale to jeszcze bardzo wczesny okres. Żeby płód miał prawdziwą szansę, potrzeba by miesięcy...

Z miejsca dla publiczności wstała jakaś kobieta o niechlujnym wyglądzie i krzyknęła:

– To dziecko, nie płód. Dziecko!

Matka zwróciła głowę w jej stronę.

Kobieta uśmiechnęła się szyderczo i znowu wrzasnęła:

– Elle nosi w łonie dziecko!

– Spokój! – Głos Wheelera obniżył się do wibrującego tembru i wszystkie głowy znów zwróciły się ku niemu. Sięgnął po młotek i choć go nie użył, i tak poczułem jego władzę. – To jest sąd i jeśli ktoś z publiczności odezwie się nieproszony, zostanie usunięty z sali.

Jake ścisnął długopis, jakby chciał nim zadźgać swój notatnik. Przeniosłem uwagę na sędziego i spróbowałem odkryć nieprzeniknioną prawdę ukrytą między zmarszczkami na jego twarzy. Nie umiałem powiedzieć, czy kobieta go rozzłościła, czy też patrzył gniewnie, chcąc w ten sposób pokazać swoją władzę. Po pięciu sekundach zmarszczka między jego brwiami zniknęła, a twarz nabrała łagodniejszego wyrazu.

Zawsze miałem określone wyobrażenie o sędziach; widziałem ich jako schludnych mężczyzn o żołnierskiej postawie, w średnim lub starszym wieku. Ale Wheeler miał przydługie kręcone włosy, słabo maskujące postępującą łysinę, zaokrąglone barki i delikatną linię szczęki. Mimo to w chwili gdy kobieta zaczęła wykrzykiwać, udało mu się przyjąć władcą postawę.

Przekartkował papiery przed sobą i wyciągnął spośród nich pognieciony przeze mnie testament życia Elle.

– Ten dokument z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku to oświadczenie woli podpisane przez Elle McClure Beaulieu. Miała wtedy osiemnaście lat, z prawnego punktu widzenia była więc osobą dorosłą. A tu – powiedział, wyciągając kolejny papier – mamy formularz przyjęcia do szpitala, który Elle podpisała w lutym tego roku. Wynika z niego, że Elle nie ma oświadczenia woli. Ta rozbieżność może oznaczać, iż Elle anulowała poprzedni dokument. Jednakże jej brat Christopher McClure złożył pisemne oświadczenie, w którym twierdzi, że wielokrotnie rozmawiał z siostrą na temat prawa do śmierci i że Elle nie chciała, by jej życie było sztucznie przedłużane.

Wheeler rozejrzał się po sali sądowej.

– W tej sprawie chodzi więc nie tyle o przyznanie opieki, ile o to, czego pragnęłyby dla siebie Elle w tych tragicznych okolicznościach. Na okres rozpraw, podczas których postaramy się rozstrzygnąć ten problem, przyznaję opiekę prawną nad Elle Matthew Beaulieu. Panie Sutter, jak pan przewiduje, ile dni zajmą panu przygotowania do przedstawienia sprawy i ilu świadków

zamierza pan powołać?

Jake podrapał się po brodzie i przerzucił kartki w terminarzu.

– Przewiduję, że zajmie mi to około pięciu dni – powiedział. – Na świadków wezwę doktora Beaulieu, męża Elle, ekspertów medycznych, w tym doktora Philipa Greya, oraz przyjaciół rodziny, duchownych...

Próbowałem niepostrzeżenie pokręcić głową, kiedy wymieniał Phila, ale Jake nie zauważył.

Sędzia zapisał nazwiska, po czym podniósł wzrok.

– Mam inną sprawę przewidzianą na przyszły tydzień, ale możemy zacząć pierwszego września – nie, chwileczkę, to Dzień Pracy. Będziemy kontynuować trzeciego września. – Przeniósł uwagę na mamę. – A pani, pani Beaulieu? Ile czasu będzie pani potrzebowała, żeby się przygotować?

– Nie wiem, jak to wszystko działa, ale czy nie moglibyśmy zrobić tego wcześniej, Wysoki Sądzie? Elle nie chciałyby być trzymana przy życiu tak długo.

Wheeler pokręcił głową i odpowiedział jej rzeczowym tonem.

– Pani Beaulieu, rozumiem pani pośpiech, jednakże moja wokanda jest pełna spraw, w których stronom się spieszy tak samo. Sugeruję, żeby skorzystała pani jednak ze wsparcia prawnika, który pomoże pani przygotować się do rozprawy.

– Wysoki Sądzie, większość stanów unieważnia oświadczenia woli, gdy kobieta jest w ciąży. Wnioskuje więc o...

– Maine nie należy do tych stanów, panie Sutter. Sąd zamyka rozprawę. – Zgarnął swoje papiery i opuścił salę, nie oglądając się za siebie.

Cholera. Utkwiłem wzrok w Jake'u. Nie powiedział prawie nic. Czemu nie wnioskował o przyznanie mi opieki prawnej nad dzieckiem?

Jake zamknął głośno aktówkę.

– Załatw nam jeszcze tamten pokój konferencyjny. Zamów go na długo, jak najdłużej. Będziemy potrzebowali dokumentacji medycznej Elle, a ja muszę porozmawiać z lekarzami. I z tobą.

– Nie chcesz, żeby Phil zeznawał – szepnąłem.

– Omówimy to później. Prywatnie. – W jego pospiesznie wypowiedzianych słowach pobrzmiwał gniew.

– Matt! – zawołała matka.

Wszystkie mięśnie w barkach mi się napięły. Odwróciłem się do niej plecami i wyszedłem z sali.

None

Dzień trzeci

Szklane ściany na OIT nie dawały Elle żadnej prywatności – ale teraz ktoś zaciągnął zasłony wokół jej łóżka. Kiedy wróciłem z sądu i nie zobaczyłem jej, zbliżając się wielkimi krokami do jej pokoju, miałem w głowie tylko jedną myśl: Elle umarła, a mnie przy niej nie było.

Odsunąłem zasłonę, czym przeraziłem młodą pielęgniarkę, która trzymała miskę z wodą i ręczniki.

– Och, doktor Beaulieu. Właśnie miałam ją umyć.

Oddychanie przestało być czymś oczywistym. Płuca Elle osiemnaście razy na minutę otwierała mechaniczna wentylacja. Ja zapomniałem oddychać z powodu miski i gąbki, jakbym utracił najbardziej podstawowy instynkt nakazujący mi utrzymać się przy życiu. „Właśnie miałam ją umyć”.

– A, tak, tak. Na przyszłość mam na imię Matt. Ja ją umyję – powiedziałem.

– Nie musi pan tego robić.

– Proszę. Chcę się nią zająć.

Tak niewiele mogłem teraz dla Elle zrobić. A tyle wciąż chciałem jej dać: życie, w którym zestarzelibyśmy się razem, z dziećmi i wnukami, i rodzinnymi obiadami. A mogłem ją tylko umyć.

– W porządku – powiedziała pielęgniarka. Odstawiła miskę, sprawdziła kroplówkę i wyszła.

Gdy zobaczyłem Elle na Oddziale Ratunkowym, wiedziałem, że sytuacja jest poważna. Ale nawet teraz, choć od paru dni oglądam ją w takim stanie, jej wygląd robi na mnie piorunujące wrażenie. Śmierć to nie postać w kapturze. To zanikanie. Nie czuję jej już. W wątpliwej aurze prywatności za zaciągniętą zasłoną zwiesiłem głowę i otarłem łzy.

– Hej, Pip. – Pocałowałem Elle w prawy policzek. Jej lewe oko było nadal spuchnięte. – Tęskniłeś za mną? Ja potwornie za tobą tęsknię. Postaraj się wytrzymać, proszę – wyszeptalem.

Spojrzałem na jej brzuch. Znajdowało się w nim dziecko, które jest częścią Elle i częścią mnie; dziecko, które chciałem kochać, ale pod wpływem żalu wydawało mi się obcą istotą z innego świata. W przeszłości jednak, przy każdej ciąży, Elle brała moją dłoń i kładła ją sobie na brzuchu.

„Hej. – Niemal ją słyszałem. – Przywitaj się z dzieckiem”.

Wyciągnąłem dłoń i delikatnie położyłem ją na podbrzuszu Elle.

– Ty też, dzieciaku – powiedziałem. – Ty też się trzymaj.

Wyjąłem namoczony ręcznik i mówiłem dalej do Elle, tak jakby mogła mnie słyszeć. – Spodziewałem się, że sędzia będzie siwowłosym klaunem. Ale ten gość wygląda jak Tom Hanks w czasach *Dużego*. Tyle że bez takiego poczucia humoru. To nie znaczy, że w tym wszystkim jest coś śmiesznego. Nie zdołałem odczytać jego intencji. Powiedział mamie, żeby wynajęła prawnika. Dla nas zapewne byłoby lepiej, gdyby tego nie zrobiła.

Delikatnie obmyłem twarz Elle, uważając na rurkę intubacyjną wystającą jej z ust i sondę żywieniową wciśniętą do nosa; szpeciły jej piękną twarz. Wiedziałem, że za dzień czy dwa rurka intubacyjna zostanie usunięta i zastąpiona tracheostomią, ale wiedziałem też, że nawet bez tej rurki Elle już nigdy nie będzie wyglądała tak jak dawniej. Nie było jej już za tymi oczami.

Phil usunął fragment lewej kości ciemieniowej, by zmniejszyć ucisk wywołany obrzękiem mózgu, przez co jej głowa straciła normalny kształt. A włosy – przy zaplanowanej operacji czaszki pielęgniarki zazwyczaj gołą tylko część głowy, ale na bloku operacyjnym nie było czasu na względy estetyczne. Ogolili Elle całą głowę. Po zaledwie dwóch dniach na



ciemieniu widniał już blond meszek.

Był taki okres, kiedy rozjaśniała włosy pasemkami, ale po ślubie pozwoliła im wrócić do naturalnego koloru, ciepłego odcienia blondu. Nie chciała stosować niczego chemicznego, kiedy mogła zajść w ciążę. – Żadnych barwników w jedzeniu ani na włosach – oświadczyła. Chciała mieć dzieci, zdrowe dzieci, i obsesyjnie starała się robić wszystko jak należy.

A teraz, zamiast karmić ją organicznymi pokarmami, pompowaliśmy w nią sterydy i silne diuretyki, które miały zmniejszyć obrzęk mózgu. Prześwietlenia oznaczały dużą dawkę napromieniowania.

Zanurzyłem ręcznik w letniej wodzie i wyżyłem go, po czym zsunąłem z Elle koszulę szpitalną, uważając na kroplówki. Elle była sportowcem, brała nawet udział w maratonach, i była w doskonałej formie. Namydliłem ręcznik i umyłem jej bezsilne ciało, które zaczęło już tracić swoje kształty.

Phil Grey obszedł zasłonę, a ja odruchowo zakryłem Elle ręcznikiem.

– Oj, przepraszam. – Phil stał tam, mrugając z zakłopotaniem, w ubraniu operacyjnym.

Powitałem go skinieniem głowy.

– Jak tam operacja?

– Bez niespodzianek – odparł. – Rozmawiałem z D’Amatem. Mówi, że ktoś od nich zastąpi cię na czas zwolnienia. I przesyła pozdrowienia.

– Podziękuj mu ode mnie. Kiedyś mu się zrewanżuję.

– Nie wątpi w to. – Phil podrapał się po policzku i odwrócił wzrok. – Jak poszło w sądzie? – spytał.

– W porządku. – Wrzuciłem gąbkę do miski, po czym wstałem i włożyłem mokre dłonie do kieszeni. – Ustalił datę przesłuchań. Mój prawnik chce wezwać na świadka Blythe i jednego lekarza z OIT. Możliwe, że ciebie.

– Jesteś pewny, że chcesz to robić? – zmarszczył czoło.

Nie byłem niczego pewny, ale bałem się wyrazić niepewność – nawet przed nim, bo mógłby o tym powiedzieć w ewentualnych zeznaniach.

– Tak – odparłem. – Tak powinno się postąpić. – Odwróciłem się w stronę okna. – Czy na moim miejscu pozwoliłbyś Melanie odejść?

Phil westchnął głęboko.

– Tak. Myślę, że tak. Pierwsza zasada etyki lekarskiej. Nie szkodzić. Elle nie chciała być trzymana przy życiu. A ty i tak ją stracisz.

– Już ją straciłem. – Spuściłem wzrok. – Wiem, że szanse są bardzo nikłe, ale Elle chciałaby ratować dziecko. Co powiesz, jeśli zostaniesz wezwany na świadka?

Zastanowił się chwilę, po czym zadrżał.

– Prawdę. Z medycznego punktu widzenia na razie jej stan jest stabilny. Jeśli rzeczywiście przeżyje, pozostanie w trwałym stanie wegetatywnym – może nawet przez wiele lat. Jesteś na to przygotowany? Co jeśli to się będzie ciągnęło bez końca?

Głowa mi pulsowała jak przy gorączce.

– Kiedy dziecko się urodzi, pozwolę jej odejść.

– Pamiętasz, ile czasu zajęło sądom odłączenie Terri Schiavo? – spytał Phil. – Kiedy w wiadomościach mówiono o tej sprawie, Elle była bardzo poruszona. Nie zgadzała się z obrońcami życia.

– To inna sytuacja. Rodzice Terri Schiavo wypierali fakty. Uważali, że ich córka na nich reaguje. Ja wiem, jaka jest prawda.

– Ale ojciec Elle nie. Mówiłeś, że jest przeciwny odłączeniu jej.

Na chwilę zamyśliłem się nad moim teściem, jego trzeźwością i tym, czy gdyby Elle

dotrwała do porodu lub poroniła, jego sprzeciw stałby się problemem.

– Kiedy zajdzie potrzeba, zajmę się Hankiem – o ile go jeszcze kiedyś zobaczę.

Coraz bardziej martwiłem się o teścia. Zastanawiałem się, czy się przypadkiem nie zapił na śmierć albo nie zabił na drodze.

– Tak czy owak – powiedział Phil – koniec końców będziesz musiał się z nią pożegnać, a wtedy będziesz już tylko pamiętać, czym się stała, a nie jaka była.

– Powtórzę coś oczywistego, mianowicie: Elle jest w ciąży. Mamy więc zasadniczą różnicę między „tak” i „owak”. Ona pragnęła dziecka.

– Ona go pragnęła? A ty?

Spojrzałem mu w oczy. Jasne, że pragnąłem dziecka z Elle; oboje chcieliśmy mieć rodzinę. Ale samotnie? Czy chcę sam wychowywać dziecko? Czuję się taki samotny. Skinąłem głową.

Philowi rozszerzyły się nozdrza i odetchnął.

– W porządku. – Parę minut gadał o jej stanie klinicznym. Potem powiedział: – Melanie prosi cię do nas na obiad.

Pokręciłem głową.

– Ale podziękuj jej ode mnie.

Przyglądał mi się przez kilka sekund, jakby miał mnie zacząć przekonywać, więc opracowałem w myślach linię obrony, ale ostatecznie powiedział tylko:

– Dobrze. – Wyszedł, nie ociągając się dłużej.

Ponieważ woda zrobiła się chłodna, zmieniłem ją i wróciłem do mycia Elle. Nie było po niej widać ciąży; miała płaski brzuch. Może piersi odrobinę się zaokrągliły. Jak zawsze przyglądałem się z zachwytem jej małym stopom i przez ułamek sekundy pozwoliłem swojemu umysłowi napawać się obrazem Elle trzymającej nowo narodzone dziecko. Potem ta chwila minęła.

Wytarłem dłonie, wyjąłem komórkę i po raz kolejny odtworzyłem jej ostatnią wiadomość głosową.

– Hej, to ja – powiedziała.

None

### Dzień trzeci

Zazwyczaj odłączamy pacjenta od aparatury podtrzymującej życie w ciągu kilku godzin od orzeczenia śmierci mózgowej. Najdłużej utrzymywałem kogoś „przy życiu” w poprzednie święta. Nastolatkę, która jako świeżo upieczony kierowca zmierzyła się z pierwszą burzą śnieżną, zjechała z drogi i uderzyła w drzewo. Jej ojciec, rezerwista stacjonujący w Iraku, otrzymał specjalną przepustkę i pędził do domu. Utrzymaliśmy dziewczynę przy życiu tak długo, by zdążyć się z nią pożegnać. Od poślizgu opon do stwierdzenia zgonu upłynęły cztery dni, siedem godzin i trzydzieści minut.

Żeby uratować dziecko, u Elle byłoby to pięć lub sześć miesięcy.

Jake zaanektował pokój konferencyjny OIT z zamiarem przepytania wszystkich lekarzy Elle; na pierwszy ogień poszedł Phil. Uważał, że to się nie może udać. Ciało Elle może zacząć gasnąć w każdej chwili. A przynajmniej to właśnie powiedział Jake’owi, podczas gdy ja stałem przy oknie, wpatrując się pustym wzrokiem w deszczowe chmury zbierające się na horyzoncie.

Znałem Phila od czasu mojej rezydentury na neurochirurgii. Był o rok starszy, genialny, pełen współczucia i bezkompromisowy. Wierzył, że trzeba ratować ludzi – kiedy jest co ratować. Wierzył w godne życie. I wierzył, że każdy powinien móc o sobie decydować. On. Jego pacjenci. Elle.

Co więcej, Phil znał Elle osobiście. Nie, nie należy mówić o swoich pacjentach poza pracą, ale my byliśmy przyjaciółmi. Utrzymywaliśmy kontakty towarzyskie. Czasem rozmawialiśmy w domu o sprawach zawodowych. Żony były przy tym obecne. A Elle i Melanie miały zwyczaj wyrażać swoje opinie. Kiedy jest się neurochirurgiem, nieustannie staje się oko w oko z kwestiami jakości życia. Mnie zawsze dręczyły. Phila też. A teraz, tłumacząc Jake’owi, w jakim stanie jest Elle, Phil powiedział jasno, że jego zdaniem nie da się uratować dziecka w jej łonie.

Może myśl, że jakaś część żony mogłaby żyć dalej, była irracjonalna, ale w noc przed wypadkiem Elle przekonywała mnie, że czasem trzeba podejmować ryzyko. Miała wtedy na myśli kolejną ciążę. Spierałem się z nią, bo byłoby to dla niej szalone ryzyko. Nie chciałem narażać życia Elle, ale to było wtedy. Teraz i tak jest w stanie śmierci mózgowej. A dziecko, choć wydawało się to zupełnie nieprawdopodobne, nadal żyje.

A ja słyszałem ją – naprawdę słyszałem echo słów, które wypowiedziała w desperacji tamtej nocy, kiedy zmarł Dylan. Błagalne słowa, prośby, bym go uratował, nawet jeśli to miałoby zabić ją.

Tamta noc rzeczywiście omal jej nie zabiła. Dlatego właśnie nie chciałem więcej próbować. I dlatego od tamtej nocy Elle miała założoną diafragmę. Przecież byliśmy ostrożni, do cholery. Gdyby znowu nie zaszła przeze mnie w ciążę, nie zemdlaby i nie spadła. Gdybym, zamiast polegać na jej głupiej wkładce, po śmierci Dylana podwiązał sobie nasieniowody.

Wtedy chciała dziecka i teraz też by go chciała. To jedyne, co mi zostało: dać jej dziecko wbrew wszystkim, którzy uważają, że powinienem o nim zapomnieć. Postępuję słusznie. Naprawdę. I wkurzało mnie, że rodzina sądzi, iż zna Elle lepiej niż ja – albo że jestem głupcem, który nie jest w stanie zmierzyć się z rzeczywistością. Że nie potrafię pozwolić jej odejść. Nie chciałem pozwolić Elle umrzeć, ale na ratunek było już za późno.

Wypadłem z pokoju konferencyjnego i skierowałem się do jedynej ogólnodostępnej łazienki na tym piętrze. Zamknąłem za sobą drzwi i ukryłem się w ciszy pomieszczenia. W ciemności osunąłem się na ziemię i pogrzyżyłem się w rozpacz, którą tak usilnie starałem się zwalczyć rozumem. Jeśli się załamie, nie potraktują mnie poważnie. Jeśli stracę wiarygodność,

staną po stronie mojej mamy. Jeśli zamienię się w bełkoczącego wdowca, nikt nie uwierzy, że jestem zdolny do logicznego myślenia. Ale co jeśli się mylę? Zaczęłam walić czołem o kafelki na ścianie, raz za każdą podyktowaną emocjami myśl, która powstała mi w głowie. Nie wiedziałam, jak długo jeszcze uda mi się zachować pozory. Chciałem umrzeć. Chciałem kogoś zabić.

Grzbietem dłoni wytarłem gile ściekające mi z nosa. Zaczęłam kopać ścianę pod umywalką, jednocześnie waląc w nią głową. Raz za razem. Raz za razem.

Przebiłem nogą ściankę działową.

Ach. Cholera. Wydobyłem stopę z dziury i zacząłem po omacku szukać włącznika światła. Cholera.

Spróbowałem przywrócić ścianie pierwotny wygląd, ale posypała się w kawałkach. Wyślizgnąłem się z łazienki i wpadłem wprost na Jillian Waters, przełożoną pielęgniarek, która przyglądała mi się uważnie.

– Ja... ee... zrobiłem dziurę w ścianie.

Zajrzała do łazienki, po czym zwróciła się do mnie.

– Nieźle. Wszystko w porządku?

Z trudem wydałem z siebie głos. Załamał się, kiedy odpowiadałem:

– Tak.

– Słuchaj, idź na spacer. Ja dam znać ekipie technicznej. Nie, że ty to zrobiłeś, tylko... no wiesz... Chcesz, żebym po kogoś zadzwoniła?

– Nie. Dziękuję.

Zaczęłam przemierzać korytarze jeden za drugim, dotarłem do klatki schodowej, wszedłem na następne piętro, obszedłem ortopedię, wróciłem na klatkę, kolejne piętro – telemetria, powtórka, pediatria. Przeszedłem pół oddziału, kiedy zobaczyłem dwunastoletniego chłopca, którego operowałem dzień przed wypadkiem Elle. Siedział na wózkach, a rodzice go popychali – zbliżali się do mnie z naprzeciwka.

Zatrzymałem się i przywołałem na twarz sztuczny zawodowy uśmiech.

– Witaj. Pewnie mnie nie pamiętasz. Jestem doktor Beaulieu. To ja cię operowałem.

Chłopiec uniósł dłoń i machnął nią słabo.

Pani Nguyen przykucnęła do wysokości wzroku syna.

– Doktor B. mówi, że silny z ciebie chłopiec.

Chłopak skinął, wykrzywiły mu się usta, ale język nie radził sobie ze zniekształconymi słowami. Nie mogłem go zrozumieć. Jego ojciec wyciągnął dłoń i uścisnął moją.

– Doktor Grey jest bardzo zadowolony z postępów Marka. Terapeuta mowy powiedział, że mógłby zacząć z nim pracować już od poniedziałku.

– Dobrze, bardzo dobrze.

– Ogromnie nam przykro z powodu wypadku pańskiej żony. Widzieliśmy pana na OIT w sąsiednim pokoju, kiedy Mark tam leżał; był pan bardzo zajęty – powiedziała pani Nguyen.

Skinąłem głową.

– Nie zajmuję się teraz pacjentami, ale cieszę się, że radzisz sobie lepiej, Mark.

– I naprawdę się cieszyłem, ale zarazem nie chciałem tu stać i rozmawiać z nimi.

Mark znowu pomachał.

Tym razem odpowiedziałem mu machnięciem.

– Świetnie sobie radzisz, dzieciaku. Wpadnę do ciebie później – rzuciłem, choć nie miałem w najbliższych planach powrotu do normalnego życia zawodowego i do obchodów.

– Panie doktorze, Mark widzi podwójnie – poskarżył się ojciec.

Cholera. Tylko przypadkiem trafiłem na pediatrię. Chciałem odejść, zostawić ten problem komuś innemu.

– Poszukam oftalmoskopu i za kilka minut przyjdę do jego pokoju.

Ścianę Marka zdobiły kartki z życzeniami szybkiego powrotu do zdrowia, zapewne dzieła młodszej siostry, sądząc po uśmiechniętych buźkach, słoneczkach i fioletowych stokrotkach. A może to były jeżówki? Elle uwielbiała jeżówki.

Matka Marka podłączyła jego pompę infuzyjną do gniazdka w ścianie, podczas gdy ja przystąpiłem do badania. Zabawne, że matki zawsze tak robią, od razu zaczynają działać, uczą się wszystkiego, co im potrzebne, żeby zadbać o dzieci.

Wtedy właśnie zdałem sobie sprawę, że dziecko w brzuchu Elle nigdy nie będzie miało matki, która robiłaby wokół niego te wszystkie rzeczy. To ja będę musiał je robić. Będę musiał zostać ojcem i matką w jednym.

Badanie neurologiczne Marka wypadło pomyślnie. Funkcje poznawcze trudno było ocenić ze względu na kłopoty z mową. Miał afazję, zaburzenie mowy o podłożu neurologicznym, prawdopodobnie zarówno czuciową, jak i ruchową. Kiedy poprosiłem, żeby wskazał matkę, nie potrafił tego zrobić; oczy kobiety wypełniły się łzami, ale chłopiec zapewne nie wiedział, co znaczy „wskazać” i „matka”. Być może wiedział, kim ona jest.

Kucnąłem, zniżając się do wysokości chłopca.

– Wiemy, że masz trudności ze zrozumieniem nas, ale myślę, że będziesz robić postępy. – Uśmiechnąłem się, licząc, że mój ton i wyraz twarzy dadzą mu otuchy. Zerknąłem na ojca. – Skąd pan wie, że Mark widzi podwójnie?

– Powiedział dzisiaj „dwa, dwa”, *hai bà me. hai cha*. I wskazał na moją dłoń, a potem obok mojej dłoni.

– Rozmawiacie między sobą po wietnamsku?

Pani Nguyen pochyliła się ku mnie.

– Ale mówimy też po angielsku.

– Czy kiedy spotkałem was na korytarzu, Mark mówił po wietnamsku?

– Powiedział: „Cześć” – odparła.

– Dobrze. A teraz odpowiedział mieszaniną obu języków. Proszę go poprosić po wietnamsku, by wskazał ojca.

Matka wypowiedziała polecenie, a chłopiec wskazał właściwie. Tym razem w jej oczach stanęły łzy ulgi.

– Dobrze. Rozumie – powiedziałem. – Mózg wciąż jest obrzęknięty, ale myślę, że z czasem i przy właściwej terapii nastąpi poprawa. Tymczasem dam znać doktorowi Greyowi co i jak.

Kiedy wróciłem na OIT, Phil badał właśnie Elle.

– Coś się stało? – spytałem.

– Nie – odparł, ściągając rękawiczki. – Pielęgniarka chciała, żebym rzucił okiem na cięcie. Zdjąłem jeden szew i przykleiłem steri-strip. To nic takiego.

Zerknąłem na cięcie potyliczne i skinąłem. Nieszkodliwy rumień.

Dobra, muszę zebrać myśli.

– Mały Nguyen oprócz afazji ma podwójne widzenie. Przedmiotowo jest tak samo jak w twoich ostatnich obserwacjach – powiedziałem.

– Zlecę rezonans magnetyczny.

– Już to zrobiłem. Zleciłem na cito. Kiedy wychodziłem, właśnie go zabierali.

– Dobrze. W takim razie sprawdzę wyniki. Co do Elle, nie spodobało ci się to, co mówiłem w pokoju konferencyjnym – twojemu prawnikowi.

– Nieszczęśliwie. – Przetarłem oczy. – Z medycznego punktu widzenia rozumiem, czemu to powiedziałeś. Mamy rzeczywiście nikłe szanse. Ona ma nikłe szanse. Dziecko ma nikłe szanse

na przeżycie. Zrozum jednak. Muszę spróbować. – Pokręciłem głową. – Idź, zajmij się tym dzieciakiem Nguyenów. No idź.

Phil wywlókł się z pokoju, oglądając się na mnie.

Niech to szlag.

– Hej, Pip. Pamiętasz tego dzieciaka, którego operowałem dzień przed wypadkiem – zamiast spędzić ten czas z tobą? Nieźle sobie radzi, na tyle, na ile to możliwe, ale wiedz, że gdybym przypuszczał, iż nasz czas dobiega końca, nie zostawiłbym cię nawet na minutę.

Cisza, przerywana sykiem respiratora i piknięciami innych urządzeń, obnażyła stworzone przeze mnie pozory.

– Tęsknię za tobą, Elle. Jezu, tęsknię za tobą.

Skierowałem się z powrotem do pokoju konferencyjnego. Na pytania Jake'a odpowiadał teraz lekarz z OIT, Clint Everest. Jeden z tych patykowatych gości, którzy będąc łysi lub prawie łysi, wcale nie starają się tego ukryć. Zamiast robić sobie zaczeskę goilił się na zero. Choć byliśmy mniej więcej w tym samym wieku, on sprawiał wrażenie człowieka, który widział już wszystko. Miał dyplom z intensywnej terapii i immunologii i zawsze brał przypadki autoimmunologiczne, toczeń rumieniowaty układowy, zespół Guillaina-Barrégo, chorobę Addisona. Opowiadał Jake'owi o schorzeniu autoimmunologicznym Elle, które nie należało do szczególnie poważnych, chyba żeby była w ciąży – tak jak teraz.

Wiedziałem już to wszystko i nie miałem cierpliwości, żeby jeszcze raz wysłuchiwać.

– Jeśli będziesz chciał ze mną porozmawiać, jestem u Elle – powiedziałem.

– Robi się późno – odparł Jake. – Pogadam z tobą jutro rano.

Powędrowałem z powrotem do pokoju Elle i zająłem miejsce obok jej łóżka. Jej dłoń zaczęła się przykurczać. Dawniej w takiej sytuacji wzywałem fizjoterapeutów, żeby starali się opóźnić narastanie objawów uszkodzeń neurologicznych. Ale nie teraz. Nie byłem w stanie odwrócić wzroku. Mózg Elle doznał urazu, wobec którego bezsilny byłby każdy neurochirurg, ale mogłem spróbować popracować nad kondycją jej ciała. Otworzyłem szufladę w stoliku nocnym, poszukałem balsamu, który zapewnia szpital, ująłem dłoń Elle i zacząłem masować.

\*\*\*>

Z głębszej drzemki, w którą zapadłem, wyrwał mnie głos wypowiadający moje nazwisko.

– Doktorze Beaulieu?

Deb była pielęgniarką z nocnej zmiany, jedną z najbystrzejszych, jakie znałem.

Potrząsnąłem głową, żeby się wybudzić. Elle wciąż była obok mnie.

– Wiesz, że mam na imię Matt.

– No tak – odparła Deb. – Dzwoni jakaś kobieta. Keisha? Mówi, że jest w Nowej Zelandii i nie może zadzwonić na komórkę, ale że będziesz chciał z nią porozmawiać.

Zanim Deb skończyła nawijać o swoich przeczuciach, że to kolejna dziennikarka, zerwałem się z krzesła i popędziłem do dyżurki pielęgniarek.

– Nie, wszystko w porządku – zapewniłem ją.

Sekretarka wskazała na telefon i podniosłem słuchawkę.

– Keisha?

Na linii było niewielkie opóźnienie i minęła chwila, zanim w słuchawce rozbrzmiał miękki bahamski akcent Keishy.

– Matthew, powiedz, że to, co mówią w wiadomościach, to nieprawda.

Osunąłem się na krzesło i utkwilem wzrok w słabo oświetlonym pokoju Elle.

– Miała wypadek – zacząłem. – Nie wiem, co ci powiedzieć. Nie wiem, co słyszałaś.

Cichy szloch po drugiej stronie świata może zabrzmieć nie mniej dramatycznie niż zderzenie dwóch planet.

– Powiedz, że ona nie umarła.

Odetchnąłem głęboko i powiedziałem najbliższej przyjaciółce Elle o dziecku.

None

Dzień czwarty

Hank stał przede mną i głaskał Elle po rękę. Nie była podobna do ojca. Miała jasną skórę i delikatne rysy matki, podczas gdy on był ciemny, o surowej urodzie. Czy raczej dawniej był ciemny, zanim włosy mu się przerzedziły i posiwiały, ale to nadawało mu bardziej dystyngowany wygląd. Hank zawsze miał w sobie pewność, był zwarty i gotowy. A przynajmniej tak wyglądał przez ostatnie dwadzieścia lat.

Kiedy nie pił. Bo wtedy prezentował się inaczej – wymięty, roztrzęsiony.

Dziś oczy miał rozbiegane, choć ubranie wciąż elegancko wyprasowane. Nie potrafił utrzymać ze mną kontaktu wzrokowego ani mówić spokojnie, kiedy patrzył na Elle, ale powiedział mi, że przez te ostatnie kilka dni był w ciąży i wypił tyle, że stracił przytomność w barze i wyładował w szpitalu Brunswick. Wypisali go trzeźwego i pełnego skruchy. Ze spuszczonego wzrokiem zwrócił się do mnie.

– Nie wiem, co powiedzieć poza tym, że przepraszam. Wiem, że ona będzie mną rozczarowana.

– Elle powiedziała ci, że cię kocha. Tylko nie powtarzaj już tego błędu – odrzekłem, dusząc w sobie gniew.

– Znowu spieprzyłem sprawę – powiedział.

Znowu. Tak. Znowu. Na parę lat pograżył się głęboko w otchłani alkoholizmu – kiedy matka Elle chorowała i przez jakiś czas potem. Traciliśmy Alice, a piętnastoletnia Elle usiłowała radzić sobie z własnym cierpieniem, opiekować się Christopherem i zajmować się pijanym ojcem. Wszyscy mu to wybaczyliśmy, ale nikt nie zapomniał. Przez niego sytuacja była wtedy jeszcze trudniejsza.

Ale wytrzeźwiał i pod wieloma względami stał się człowiekiem, którego szczerze podziwiałem – walczył ze swoimi demonami, pomagał innym w AA. No i został moim teściem, a także – duchowo – ojcem.

Zwilżył wargi.

– To prawda? Co piszą w gazetach? Elle jest w ciąży?

Przytaknąłem.

– A teraz walczysz w sądzie o jej życie? – zacisnął powieki w oczekiwaniu na moją odpowiedź, jakby się modlił.

Zastanowiłem się, jak to ująć.

– Walczę o życie dziecka, Hank.

Przez chwilę miałem przed oczami Dylana. Mój syn miałby teraz sześć miesięcy, gaworzyłby i ssał kciuk. Walczyłem o niego i przegrałem. Ze względu na Elle tym razem musiało być inaczej.

– Pomogę ci – oświadczył Hank. – Masz dobrego prawnika?

– Jake’a Suttera. Jest świetny. Chodziłem z nim do college’u.

Hank skrzywił się.

– Ten, co był na waszym weselu? Niski gość o zgrzytliwym głosie? Ten, co nigdy nie przestaje gadać o polityce?

– Właśnie on. Prowadził sprawę pro-life przed Sądem Najwyższym zaledwie kilka lat po...

– Wygrał?

– Nie, ale było pięć do czterech głosów, co oznacza, że przekonał część sędziów.

– Jest drogi? Bierze od ciebie pieniądze?



– Tak i tak. Ale to bez znaczenia. Muszę to zrobić. – Wymamrotałem coś, że to mnie zrujnuje, ale że to nic nie znaczy. Teraz nic nie ma znaczenia.

– Ja mam pieniądze, Matt.

– Nie chciałem przez to sugerować...

– Mogę zapłacić. Kto wie? Może zanim urodzi się dziecko, Elle zdoła się obudzić. – Hank wskazał na nią. – A więc rozumiemy się. Walczę o życie mojego dziecka.

– Doceniam twoją pomoc, Hank, naprawdę. I chciałbym, żebyś był po mojej stronie, ale posłuchaj... – Nie mogłem znaleźć właściwych słów. Musiałem wyrazić się jasno, a nie chciałem posłać go z powrotem do najbliższego baru. – Dałbym wszystko, żeby Elle się obudziła, ale tak się nie stanie. – Zwiesiłem głowę, wyobrażając sobie obrażenia, jakich według słów Phila doznał mózg Elle. Nie jakiegoś pacjenta. Mojej żony.

Nie ma znaczenia, jak bardzo tego pragnę, nie ma znaczenia, jak uparcie Hank będzie wypierał prawdę o jej stanie – bo ona się nigdy nie obudzi. Nie był to jednak właściwy moment, żeby burzyć wyobrażenia teścia.

Nasz dom należał do Elle. Dostała go po dziadku. Będę musiał spytać Jake'a, czy mogę sprzedać dom, jeśli przyznano mi tylko tymczasową opiekę nad żoną. Co prawda jestem rozchwytywanym neurochirurgiem, ale wciąż jeszcze spłacam kredyt studencki. Tak więc pieniądze, w aspekcie praktycznym, mają znaczenie: pozwalają walczyć. A poza tym potrzebowałem kogoś po swojej stronie.

– Możliwe, że będę potrzebował twojej pomocy, zależnie od tego, jak długo to się będzie ciągnęło. Koszty leczenia, honorarium Jake'a. Naprawdę nie chcę cię o to prosić. Nie prosiłbym, gdybym mógł poradzić sobie sam. – Mógłbym pewnie zaciągnąć pożyczki, umówić się ze szpitalem. Coś bym wymyślił.

– To moja córka – odparł – i stać mnie na to, żeby się nią zająć. Pieniądze zawsze znaczyły dla mnie tylko jedno: że mogę opiekować się rodziną.

– To moje zadanie, dać jej opiekę. – Zawsze opiekowaliśmy się sobą nawzajem. Elle. Ja.

– Poszczyściło mi się w nieruchomościach. Po prostu łut szczęścia. Tak więc zamknij się. Jesteśmy rodziną. Rachunki zostaną zapłacone – oświadczył.

Rozdzwonił się jeden z monitorów Elle. Pulsoksymetr pokazał spadek saturacji do osiemdziesięciu procent, a potem do siedemdziesięciu pięciu, a skóra Elle poszarzała. Zwiększyłem dawkę tlenu podawaną przez respirator, następnie chwyciłem stetoskop i zacząłem osłuchiwać jej płuca. Do pokoju wpadła pielęgniarka.

– Trzeba ją odessać – powiedziałem, a moje myśli pędziły jak oszalałe.

Nieustanna kakofonia i drobne kryzysy charakterystyczne dla Oddziału Intensywnej Terapii były mi dobrze znane, i wiedziałem, że rurki intubacyjne często się zatykają i wymagają tego typu zabiegów higienicznych, ale Elle nie była dla mnie zwykłą pacjentką. Była moją żoną. Obserwowałem więc twarz pielęgniarki w poszukiwaniu wskazówek. Czy będę musiał przejąć pałeczkę i wymienić rurkę intubacyjną Elle? A może powinienem zadzwonić po lekarza z OIT.

Sekundnik zrobił powoli pełne kółko na tarczy zegara, zanim poziom tlenu Elle wrócił do normy, a ja mogłem wreszcie zacząć oddychać.

Pielęgniarka podniosła na mnie wzrok i uśmiechnęła się.

– Wszystko w porządku.

– Dobrze – powiedziałem, zauważając, że Hank się wycofał i ściska brzeg blatu przy umywalce; poblady wyglądał starzej niż kilka minut temu. – Takie rzeczy zdarzają się co pewien czas – zapewniłem go, licząc, że nie zorientuje się, jak bardzo jestem zdenerwowany.

– Matt, chcę się napić – powiedział. Zanim zdążyłem zaprotestować, ciągnął dalej: – Ale zamiast pić, zadzwonię do sponsora. Jeszcze raz. A potem nadal będę chciał się napić.

Stałem tuż przed nim.

– Nie rób tego. Potrzebuję cię trzeźwego. Potrzebuję twojej pomocy, żeby to przetrwać. I nie chodzi o pieniądze.

Potał oczy, rozmazując łzy.

– Ona naprawdę umrze, tak?

– Może dziecko przeżyje – odparłem. Poklepałem go po ramieniu, a on rozplakał się, tak jak płakał w ramionach Elle po śmierci żony.

Nie płakałem razem z nim. Nie mogłem się rozkleić na oczach kolegów. Ale słowa Hanka sprawiły, że stopniała we mnie kolejna warstwa wyparcia: „Ona naprawdę umrze, tak?”. Nie, Hank, pomyślałem. Ona już umarła. Już ją straciliśmy.

Phil wszedł na poranny obchód i wręczył mi paczuszkę jedzenia od Melanie: pokrojone jabłko i kanapki bez skórki, z masłem orzechowym i dżemem. Uniósł brew.

– Łatwo się domyślić, że mamy w domu przedszkolaki. Proszę – wyciągnął spod pachy gazetę. Nagłówek „Portland Press Herald” oznajmiał:

### **CIEŻARNA ASTRONAUTKA W STANIE ŚMIERCI MÓZGOWEJ**

#### ***Rodzina walczy w sądzie***

Phil oparł się o ścianę, podczas gdy ja przebiegłem szybko wzrokiem artykułu. Mój znużony umysł przyswoił słowa dziennikarki z obojętnym zdziwieniem. Opisowała wydarzenia z sali sądowej niemal bez żadnego koloryzowania i byłem jej wdzięczny za tę drobną łaskę. Niemniej jednak przeniesienie życia Elle na czarny druk uczyniło je czymś namacalnym, twardym i dostępnym dla wszystkich.

– Cholera – powiedziałem.

– W „Boston Globe” też o tym piszą. Pewnie w każdej większej gazecie. Sieci telewizyjne postawiły na bardziej sensacyjną wersję.

– Mianowicie?

– Że to dzieje się wbrew woli Elle. Przedstawiają stanowisko jej brata. A eksperci pro-life zieją nienawiścią. Włącz wiadomości; sam zobaczysz.

Pomasowałem kark i zerknąłem na ciemny ekran wiszący na ścianie.

– Można się było tego spodziewać.

Phil wziął głęboki oddech.

– Powinieneś pójść dziś do domu i przespać się. To moja wina. Gdybym się nie upierał, żeby operować...

– Przestań i zastanów się. Gdybyś nie operował, dziecko też by już nie żyło. Robię to tylko ze względu na dziecko.

Phil odwrócił wzrok.

– Przykro mi, że to się dzieje – powiedział. – Z początku nie chciałem, żebym operował. Czuję, że znalazłem się w tej sytuacji przeze mnie. A media... – przerzucił kartki gazety.

– Cholera, Phil. Mówiłem, przestań. To, że sprawą zainteresowała się prasa, jest niefortunne. Jake uprzedzał mnie, że może się zrobić nieprzyjemnie. – To wszystko tylko nieuniknione straty wśród ludności cywilnej. Analogia wojenna nabierała coraz więcej sensu. Toczyłem wojnę, a jej celem było ocalić to, co pozostało z Elle: jej dziecko. Zdawałem sobie sprawę, że jestem człowiekiem zdesperowanym, a człowiek zdesperowany to człowiek niebezpieczny – i nierozważny. Nie obchodziło mnie, czy stracę reputację lub źródło utrzymania. Nie obchodziło mnie, czy ta sprawa zabije lub zniszczy mój związek z matką i szwagrem. Gdyby dziecko nie przeżyło, nie miałbym nic do ocalenia. Trzymałem się kurczowo tego dziecka, jakby

to ono miało mnie uratować, a nie na odwrót.

Phil zaszurał stopami.

– W porządku. Nie będę cię przekonywał, ale wyglądasz na wykończonego. Stan Elle jest stabilny. Gazometria jest dobra. Idź do domu i prześpij się. Odkąd to się stało, właściwie nie spałeś. Może to ci pomoże.

Myśl o śnie była kusząca, nawet jeśli nie podobała mi się insynuacja, że nie myślę jasno. Wiedziałem też, że Phil ma rację – istotnie nie myślałem jasno – ale bałem się zostawić Elle, bałem się, że ktoś pod moją nieobecność odłączy ją od aparatury podtrzymującej życie. Na pewno moje zachowanie wydawało się Philowi irracjonalne. Na co dzień wierzyłem, że jakość życia jest równie ważna jak jego długość. I wiedziałem, że gdybyśmy zamienili się rolami, ja też prawdopodobnie nie zgadzałbym się z jego decyzją.

Powtarzałem sobie, że Elle chciałaby, bym ratował dziecko, ale wiedziałem również, jak bardzo byłaby przerażona, leżąc w łóżku i nie mając kontroli nad pęcherzem ani jelitami. W tym, jak umiera, nie ma nic ładnego ani podniosłego. I choć wierzyłem, że dla ratowania tego dziecka rzuciłaby się z promu kosmicznego, to się nie liczyło. Teraz śpi tak, jak ja jej posłałem. Pozostawanie u jej boku było moim obowiązkiem.

– Trochę śpiam – powiedziałem.

– Trochę nie wystarczy. Wyglądasz jak śmierć. Słuchaj, Matt, powinniśmy zrobić jej tracheostomię i założyć PEG. Clint się tym zajmie. Chcesz, żeby przedstawił ci korzyści i możliwe powikłania czy po prostu podpiszesz?

Phil położył przede mną formularz zgody na tracheostomię i PEG, zabieg polegający na wprowadzeniu do żołądka przezskórnego drenu do żywienia.

Przysunąłem formularz i złożyłem chwiejny podpis.

Phil skinął głową.

– Weź przysznic, ogól się, a jak wrócisz, będzie po wszystkim. Nie zgadzam się, żebyś się temu przyglądał.

– W porządku.

– Przy okazji, zwiększyłem Markowi Nguyenowi dawkę deksametazonu. Obrzęk narastał. Dzięki, że zleciłeś mu ten rezonans.

– Drobiazg. – Wstałem i pokój zawirował.

– Musisz się przespać. Połóż się na kilka godzin w dyżurce. Przepisać ci coś?

– Nie.

Musiałem zachować jasność umysłu. Kiedy wróciłem po godzinie, w pokoju zdawała się panować jeszcze większa cisza. Z ust Elle nie wystawała już rurka intubacyjna na kształt trąby słonia. Zamiast tego rozcięli jej tchawicę i założyli rurkę tracheostomijną. Z jej pięknej szyi, z dołeczka, który całowałem z taką czułością, sterczał teraz plastik. Wyjąłem z portfela zdjęcie. Jej oczy migotały jak zawsze, kiedy spoglądała na mnie z uśmiechem. Nie mogłem sobie przypomnieć, by kiedykolwiek nie wyglądała tak, jakby wiedziała coś, czego ja nie wiem; ta tajemnica zawsze mnie fascynowała.

Ale teraz tak nie wyglądała. Teraz na nic nie reagowała, a w jej oczach widniała pustka.

Przemyłem jej spierzchnięte wargi wodą i wmasowałem w nie wazelinę.

– Wszystko w porządku, Pip – powiedziałem.

Ale te słowa były kłamstwem, a wypowiedziałem je nie przez wzgląd na nią, lecz na siebie.

None

Dzień czwarty

Wymknąłem się przez wyjście dla personelu i opuściłem szpital nie niepokojony przez dziennikarzy ani działaczy pro-life. Szedłem szybko, pospiesznie, ledwo zwracając uwagę na park. Wzgórze, na którym znajduje się szpital, wznosi się nad zachodnim krańcem Oregonu. W ładny dzień widać stamtąd Góry Białe. Tego dnia w ciężkim powietrzu wisiała zapowiedź popołudniowej burzy. Mimo wszystko dobrze było znaleźć się na dworze, ruszyć się. Po kilku minutach zwolniłem. Oddychając głęboko, rozejrzałem się wokół.

Choć była dopiero połowa sierpnia, tu i ówdzie leżały liście klonu przebrane w kolory jesieni. Schyliłem się i podniosłem jeden z nich, przedwcześnie opadły, prążkowany na czerwono i złoto. Był piękny i smutny, jak Elle. Cholera, dopatrywałem się jej już we wszystkim. Byłem tak wyczerpany, że nie mogłem się skoncentrować.

Miałem spotkać się z Jakiem i omówić z nim sprawę. Mimo awersji do szpitali on i jego żona mieszkali w pobliżu; gdy dotarłem do końca głównej alei, zobaczyłem ich, stojących ręką w rękę, wpatrzonych przed siebie. Oboje w lnianych ubraniach w stonowanych barwach, swobodnych i neutralnych. Yvette niemal przy nim ginęła. Za naszych studenckich czasów na Columbii sądziłem, że Jake zainteresował się nią z powodu jej drobnej budowy. Przy niej wydawał się wyższy – nieduży facet z jeszcze mniejszą dziewczyną. Była całkiem ładna, ale tak cicha, że czułem się w jej towarzystwie nieswojo.

Elle nazwała kiedyś Yvette miniaturką. Przyjrzałem jej się wtedy z ukosa. Każdy inny powiedziałby „niska”, „drobna”, może „filigranowa”, ale nie dla Elle takie pospolite określenia.

– No pomyśl – powiedziała. – Jest jak laleczka o idealnych proporcjach. Nawet jej głos to głosik.

– Nie przypuszczałem, że potrafisz być taka złośliwa.

– Nie jestem złośliwa – odparła Elle, prostując plecy. Skończyliśmy właśnie poranne bieganie. – Oni są idealnym przykładem przyciągania się przeciwieństw. Yvette jest nieśmiała. On nie. Ona jest miła. On... no dobrze. Poddaję się. Wychodzi na to, że jestem złośliwa.

Przyciągnąłem ją do siebie i uniosłem jej podbródek.

– Czy my też jesteśmy przeciwieństwami?

Elle przechyliła głowę, rozważając moje pytanie. Zarzuciła mi ręce na szyję.

– Cóż, siła przyciągania jest potężna, ale nie, jesteśmy pokrewnymi duszami i dopełniamy się nawzajem.

Patrząc teraz na Jake'a i jego żonę stojących tak blisko, odczułem gwałtowny paroksyzm zazdrości. Czy kochali się tak samo, czy też jakoś inaczej niż my – mieli siebie. A ja miałem tylko samotność. Jej ciężar przygniótł mnie z taką siłą, że nie wiedziałem, czy będę w stanie poruszyć nogami i wrócić do szpitala, do Elle.

Zanim podjąłem decyzję, czy mam się do nich odezwać, Jake mnie zauważył i pomachał mi. Yvette wzięła go pod rękę i ruszyli w moim kierunku. On uściśnął moją dłoń, ona unikała mojego wzroku.

– Zaproś Matta na obiad – zwróciła się do Jake'a.

Pokręciłem głową. Gładka konwersacja przy stole była ostatnią rzeczą, jakiej mi było trzeba.

– Dziękuję, ale mam już inne plany.

Odpowiedziała uśmiechem, ale w jej wzroku był smutek. Wyciągnęła rękę i musnęła mój łokieć. Był to najcieplejszy gest, jaki wykonała pod moim adresem przez te wszystkie lata znajomości.

– Zostawiam was, chłopcy, porozmawiajcie sobie – powiedziała.

Pocałowali się i Yvette odeszła.

Gdy tylko znalazła się poza zasięgiem głosu, Jake natychmiast przeszedł do swoich planów. Po rozmowie z Philem uznał, że nie będzie to dla nas dobry świadek.

– Czy ktoś z przyjaciół Elle może zeznać przed sądem, że jej największym pragnieniem było mieć dziecko?

Powiedziałem mu o Keishy i że jest teraz na rocznym urlopie w Nowej Zelandii.

– Ale za parę dni wraca do domu.

– Muszę z nią porozmawiać przed piątkiem. Jutro po południu, po chrztach, jestem umówiony z waszym księdzem. W sprawie Schiavo Kościół na wiele się nie przydał, ale w końcu ona nie była w ciąży.

– Masz świadomość, że nie jesteśmy gorliwymi katolikami? – spytałem. Nawet Elle chodziła na mszę nie częściej niż parę razy w roku.

– Musisz zacząć chodzić na nabożeństwa choćby dla zachowania pozorów. Kiedy byłeś ostatnio?

Ostatni raz byłem w kościele pół roku temu.

– Na pogrzebie Dylana – odparłem. – Mieliśmy mszę za jego duszę. Tylko dla rodziny.

– Zbyt dawno. Ostatnie namaszczenie. Katolicy tego przestrzegają. Czy ona miała ostatnie namaszczenie?

Szukał na oślepie. Nawet ostatnie namaszczenie było dla niego tylko chwytem taktycznym.

– Nie. Ona ma na imię Elle. A tak przy okazji, to się nazywa sakrament chorych, nie ostatnie namaszczenie.

– W porządku – zgodził się nieco mniej lekceważącym tonem. – Musimy pokazać, że jesteście praktykującymi katolikami. Byłoby dobrze, gdyby przyszedł do niej ksiądz. Wiem, że nigdy nie byliście specjalnie religijni, ale w końcu braliście ślub kościelny.

– Elle tego chciała.

Może chciałyby też sakramentu chorych? Ze względu na nią, nie na Jake'a, postanowiłem jednak wezwać księdza.

– Od czasu do czasu chodziła na mszę. Zwykle beze mnie.

– A od czasu pogrzebu była?

Jake wykonał zapraszający gest w stronę ławki parkowej.

Opadłem na podniszczoną powierzchnię i spojrzałem przed siebie, ale z dołu napływała mgła i przesłaniała widok.

– W Wielki Piątek. Chodziła na tę Drogę Krzyżową czy jak tam, dawniej zawsze z matką.

Alice przywiązywała do tego wielką wagę. Choć od śmierci matki minęło już tyle lat, Elle nadal w każdy Wielki Piątek szła do kościoła, a potem składała kwiaty na grobie matki.

– Mój wspólnik mówi, że księża strasznie się czepiają, jeśli na przykład ktoś powie, że jest członkiem gminy, a nie jest. Muszę mieć pewność, że mogę go spokojnie posadzić na miejscu dla świadka.

Jake usiadł obok mnie, zdjął kolorową gumkę opasującą plik kartek i zaczął je przerzucać.

Zabawne, że mówiąc o religii katolickiej, zawsze używał nietrafnych określeń. Nigdy nie słyszałem, żeby katolicy mówili „gmina”. To jest parafia. Nie nabożeństwo, tylko msza. Niechętnie uprzytomniłem sobie, że te pojęcia, język katolicyzmu, są nieodłączną częścią mojej tożsamości; czułem się związany z niedzielnymi porankami w kościele, Eucharystią i pochyleniem głowy podczas *Credo* „...i za sprawą Ducha Świętego przyjął ciało z Maryi Dziewicy” – choćbym nie wiem jak się przed tym bronił.

– No więc dalej; gdy będziesz zeznawał – podjął Jake – ze względów taktycznych właśnie

ciebie będę pytał o jej stan neurologiczny, nie Phila. Jesteś takim samym specjalistą jak on. Zaświadczysz, że osoba w jej sytuacji jest niezdolna do odczuwania bólu. Nieświadoma.

Skinąłem głową. Ona nie czuje bólu. Ani lęku. Próbowałem przekonać sam siebie.

– Jeśli ktoś podniesie problem, że twoje świadectwo nie jest całkowicie obiektywne z powodu twojego osobistego zaangażowania, wezwę innego neurologa lub neurochirurga. Potem jeszcze podsumujesz wasze wspólne życie, opowiesz sądowi o waszych staraniach o dziecko, jak bardzo ona tego pragnęła mimo tylu poronień. To pokaże, czego ona mogłaby sobie życzyć, gdyby miała wpływ na sytuację. – Jake przerzucił jeszcze kilka kartek. – Zważywszy tak jednoznacznie negatywną reakcję sędziego na okoliczność, że w innych stanach zawiesza się ważność oświadczenia woli na czas ciąży, nie używałbym teraz tego argumentu.

Choć szczerze wierzyłem, że Elle życzyłaby sobie, aby podtrzymywać ją przy życiu, poczułem się nieswojo na myśl o automatycznym unieważnieniu w innych stanach. To było coś, nad czym potrzebowałem się jeszcze zastanowić, ale swoją drogą ciekawe, ile kobiet o tym wie.

– Czy możemy poprosić sąd, aby rozprawa odbywała się bez udziału dziennikarzy? Pierwsze strony gazet nie są właściwym miejscem dla szczegółów naszego pożycia.

Jake nachylił się do mnie.

– Wiem, jaką wagę przywiązujesz do prywatności, ale ich obecność będzie dla nas dobra. Im więcej będzie się działo publicznie, tym trudniej będzie zlekceważyć kwestię losu dziecka. Może nawet politycy się zmobilizują i przepchną ustawę o oświadczeniach woli kobiet ciężarnych. Jasne, że sędzia, wydając werdykt, nie będzie się kierował opinią publiczną. Ale sędzia zawsze chce wypaść dobrze; chce, żeby jego decyzje i poczynania były poza wszelką krytyką. A nie, żeby zostały obalone w procesie apelacyjnym. To może działać zarówno na naszą korzyść, jak i na naszą niekorzyść, ponieważ jeśli wystąpimy o ustanowienie opiekuna dla płodu, będę od niego oczekiwał sporej aktywności. Wiem z dobrych źródeł, że sędzia Wheeler stara się o stołek w sądzie apelacyjnym. Dobrą nowiną jest to, że ludzie, z którymi prowadzi rozmowy, skłaniają się raczej na prawo. Niestety to również oznacza konserwatyzm w kwestiach konstytucyjnych. Cała nadzieja, że środowisko pro-life będzie o tym trąbić.

Jake wybrał fiskkę z kalendarzem.

– Za trzy tygodnie Elle wejdzie w drugi trymestr. Czy dobrze wiem, że najwięcej ciąż obumiera w pierwszych trzech miesiącach?

– Nie przy jej chorobie. Przy zespole antyfosfolipidowym często zdarza się to później.

Przełknąłem ślinę. Pierwszy raz było to w dwunastym tygodniu, drugi w czternastym, trzeci w dziewiętnastym. Potem Dylan – martwe urodzenie.

– Nie rozmawiałeś jeszcze z położnikiem Elle, prawda?

– Nie. Doktor Clarke będzie u mnie w biurze w poniedziałek rano.

– Bardziej mnie niepokoi stan ogólny Elle, zabiegi podtrzymujące życie. Im dłużej to trwa, tym większe prawdopodobieństwo innych powikłań – powiedziałem.

W alejce pojawiły się dwie kobiety z wiązką kolorowych balonów z życzeniami powrotu do zdrowia. Jake wstał i gestem zaprosił je do nas.

– Matt, chciałbym, żebyście się poznali. To Sherry O'Reilly, a to Patricia Kent z organizacji Dzieci od Poczęcia. Wiesz coś o niej?

Odetchnąłem głęboko i wstałem z ławki.

– Przecież ci mówiłem. To nie ma nic wspólnego z twoją sprawą.

– Gdyby zechciał nam pan poświęcić minutę swojego czasu, panie doktorze – przemówiła kobieta o okrągłych policzkach emerytowanej przedszkolanki. – Gdyby pan zechciał wysłuchać, przekonałby się pan, w jaki sposób możemy pomóc pana żonie i nienarodzonemu dziecku.

Odwróciłem się, zdecydowany nie dać się wyprowadzić z równowagi. Ale zrobiwszy

tylko kilka kroków, obróciłem się z powrotem do nich.

– Od trzydziestu czy czterdziestu lat ruch antyaborcyjny wystawia swój spektakl niemożności obalenia prawa. Więc na czym, do jasnej cholery, opiera pani swoje przekonanie, że jesteście w stanie mi pomóc?

– Ponieważ zawsze łatwiej jest dostrzec indywidualną sytuację i wczuć się w nią – odparła ta o wyglądzie przedszkolanki. – Tyle się mówi o prawach kobiet, a mnie się wydaje, że w tym przypadku mamy do czynienia z kobietą, która swoje prawa straciła. Gdyby nie ten upadek, pańska żona nie przerwałaby ciąży, prawda?

– Nie. Ale to nie ma nic wspólnego z obecnym problemem.

– Ależ oczywiście, że ma. W środowisku pro-life wasza sytuacja wywołuje duże poruszenie. Musimy się tylko zorganizować, stworzyć kompleksowy plan, w którym znalazłyby się wszystkie elementy, od kontaktów ze światem prawa po grupy modlitewne.

– Jesteśmy w stanie zmobilizować najtęższe prawnicze głowy, by szukały furtki w przepisach – dorzuciła druga kobieta.

Wbiłem rozwścieczony wzrok w Jake'a.

– Rzecz w tym, że wy wszyscy wychodzicie z błędnego założenia. Nie chodzi o to, czego Elle życzyłaby sobie dla siebie zdrowej, tylko o to, czego by sobie życzyła, gdyby znalazła się w stanie śmierci mózgowej.

Gdy jest w stanie śmierci mózgowej, poprawiłem się w myślach.

– Tak – zwróciłem się do kobiet. – Myślę, że Elle chciałaby, żebym ratował dziecko. Proszę bardzo, możecie się modlić. Tylko trzymajcie mi się z daleka od sądu. Rozjuszycie sędziego i tyle mi z tego przyjdzie. Tak właśnie było, kiedy tamta kobieta się wyrwała.

Następnie skierowałem uwagę – czy raczej gniew – na Jake'a.

– Widziałeś wyraz twarzy Wheelera. A jak sam słusznie zauważyłeś, to on w tej sprawie decyduje. A poza tym nie obchodzi mnie ten cały wasz cyrk. Chodzi o moją żonę i moje dziecko.

Dwie alejki dalej zatrzymałem się i spojrzałem w twarz depczącemu mi po piętach Jake'owi.

– Jeszcze jeden taki numer i zwalniam cię. Ja piernicę. Właściwie już powinienem cię zwolnić.

– Popełniasz błąd. Chcesz uratować jedno życie. A możemy, jestem przekonany, że moglibyśmy skończyć z legalnymi aborcjami.

– Ostrzegam cię po raz ostatni! – wrzasnąłem, nie bacząc, kto może mnie słyszeć. – Nie zgadzam się, żebyś wykorzystywał Elle dla swoich celów. Albo przyjmujesz moje warunki, albo się wynoś.

– Matt, Matt, Matt. – Jake pokręcił głową, jakby przemawiał do naiwnego dziecka. – Myślisz, że znajdziesz kogoś bardziej kompetentnego ode mnie? A może twoim zdaniem wystarczy, żebyś sam stanął przed sądem i gorąco poprosił, żeby utrzymywano Elle przy życiu w nieskończoność?

– Tego nie powiedziałem – odparłem, choć prawdę mówiąc, ta myśl przemknęła mi przez głowę.

– Ile ty masz lat? To jest prawo. Opiera się na precedensach. I ustawach. I wygrzebanych z mroków zapomnienia wyjątkach. Prawo precedensowe. Musimy przedstawić sędziemu jakiś powód, dla którego ma pozwolić na sztuczne podtrzymywanie życia Elle, która wszakże wyraźnie stwierdziła, że nigdy by tego nie chciała. Działam w twoim najlepszym interesie. Staram się wykorzystać każdą furtkę prawną. Czy naprawdę jesteś tak ślepy, że tego nie dostrzegasz?

Obserwowałem go, z jego rozdętym ego i aroganckim przekonaniem o własnej

wyższości. Mimo całej wściekłości zadawałem sobie pytanie, czy on jednak nie ma racji. Czyżbym rzeczywiście był naiwny? Uratowanie dziecka Elle – nie Elle; naszego – z medycznego punktu widzenia byłoby cudem. Czy patrzę na sprawę realistycznie? Najprawdopodobniej nie. A jednak zamierzam zrobić właśnie to, czego tak bardzo bała się moja żona. A jednocześnie obawiam się naruszenia naszej prywatności? Nie chcę zrobić z tego cyrku? Który z nas, ja czy Jake, balansuje na cieńszej linii? W nosie mam Roe kontra Wade. Uważam, że nie można zmuszać kobiet, by rodziły niechciane dzieci. Ale dziecko w łonie Elle nie było dzieckiem niechcianym.

– Uspokój się – odezwał się Jake. – Chodźmy do twojego gabinetu i zastanówmy się, jak będziemy ratować wasze dziecko. – Podniósł ręce w geście obronnym. – Moje priorytety są jasne. Ta sprawa. A ty? Co zamierzasz zrobić?

Przełknąłem ślinę, chcąc zwilżyć zaschnięte gardło.

Poklepał mnie po ramieniu, wskazał kierunek i ruszyliśmy do mnie.

Jake wziął z biurka oprawioną w ramkę fotografię Elle.

– Wygląda jak anioł.

Potrafiła wyglądać jak anioł, ale był to zbyt uproszczony opis osoby, która to smagała sarkastycznym dowcipem, to oczarowywała mnie w łóżku. Jej głęboka uczuciowość i empatia stapały się z kalejdoskopem innych zalet i paru wad: mówiła mi, jak mam prowadzić, za cholerę nie odłożyła niczego na miejsce i śmiała się z własnych dowcipów. A poza tym, ponieważ umiała liczyć karty nawet przez sen, oszukiwała w oczko. Kochałem ją i zawsze będę ją kochał. Nasz związek był tylko naszą sprawą, niczyją inną. Nie chciałem tłumaczyć się przed Jakiem. Ani przed sędzią. Ani przed tymi dobrodziejkami z parku. A już zwłaszcza przed pełną dziennikarzy salą sądową. Ale Jake w pewnym stopniu miał rację: żeby wygrać, muszę pójść na pewne ustępstwa.

– Potrafiła być aniołem i diabolicą – odpowiedziałem, wydeptując ścieżkę na nowym berberyjskim dywanie. Zawsze uspokajałem się, chodząc, a z dala od łóżka szpitalnego Elle czułem się szczególnie zdenerwowany, jak w klatce. Jake przyjrzał mi się znacząco. Już w czasach studenckich, gdy dzieliliśmy pokój w akademiku, moja nadruchliwość go drażniła, a znaleźliśmy się na tyle, że byłem w stanie zrozumieć go bez słów.

– Dobrze, dobrze. – Opadłem na fotel.

Jake znowu wyciągnął swoje użyteczne rekwizyty.

– Wyglądasz okropnie – powiedział.

– Mówiłeś mi to już wczoraj.

– No i nadal wyglądasz okropnie.

Pokiwał głową, jakby potwierdzając, że okazał swojemu klientowi wystarczająco dużo troski i może iść dalej. Poprawił się na swoim fotelu.

– Ustalmy kilka niezbędnych faktów. Czy Elle spisała testament?

– Tak.

– Daj mi kopię. Muszę się z nim zapoznać. W miarę swoich możliwości przygotuj mi też wykaz jej majątku osobistego.

– Oboje spisaliśmy testament, gdy Elle była w ciąży, to znaczy ostatnim razem. Głównie po to, żeby ustanowić opiekunów prawnych. Mieli nimi być mój brat Mike i jego żona.

Jake coś sobie zanotował.

– A majątek?

– Ziemia od ponad stu lat należy do rodziny Elle, więc właścicielką jest ona, ale w razie jej śmierci ja miałem ją odziedziczyć albo, w razie śmierci nas obojga, nasze dzieci. Gdybyśmy oboje zmarli bezdzietnie, ziemia ma wrócić do jej brata. Mamy standardowe polisy



ubezpieczeniowe i trochę oszczędności, akcji, płyt – nie szczególnie cennego. Dopiero od czterech lat mam prywatną praktykę. Ciągle jeszcze spłacam kredyt studencki. Poza tym obaj z Philem musimy inwestować, kupować sprzęt medyczny i biurowy. Postanowiliśmy wykupić budynek.

Jake podniósł wzrok znad swoich papierów.

– A jej dochody?

– Ludziom się wydaje, że skoro astronauta mają prestiż, to mają też kupę pieniędzy, ale tak nie jest. NASA wcale nie płaci dużo. Ci, którzy tam pracują, robią to dlatego, że marzą o kwazarach i odkryciu mikroorganizmów na Marsie. Elle nie ma jeszcze stałej umowy w Bowdoin. To znaczy nie miała. Nie spaliśmy na forsie, ale żyjąc skromnie, trochę odkładaliśmy. Mamy wspólne konto oszczędnościowe.

– Muszę ci zadać to pytanie. Czy w jakikolwiek sposób zyskałbyś finansowo, gdyby Elle przeżyła kilka miesięcy dłużej? Niektóre intercyzy zawierają warunek, że współmałżonek dziedziczy dopiero po iluś tam latach trwania małżeństwa.

– Chryste, nie. Poważnie sugerujesz, że robię to wszystko dla pieniędzy?

– Nie, ale jeśli możesz coś na tym zyskać, to ktoś może to wykorzystać.

– Nie mieliśmy intercyzy.

– To mi wystarczy. Daj mi jeszcze kopię jej ostatniej woli, żebym miał swój egzemplarz.

Dalej, czy kiedy ją spisywała, była mowa o testamencie życia?

Przewrócił kartkę.

– U adwokata byliśmy razem. Ja też chciałem uregulować swoje sprawy, ale nie przypominam sobie, żebyśmy rozmawiali o testamencie życia. – Wyteżyłem pamięć. – Ale zaraz... zostałem wtedy wezwany do szpitala do nagłego przypadku. Poszedłem do tego adwokata jeszcze raz następnego dnia.

– Porozmawiaj z tym adwokatem. Dowiedz się, czy coś mu na ten temat mówiła. Zanim przejdziemy do waszego związku, powiedz mi jeszcze, jakie miała poglądy. Wierzyła w Boga. Jaki miała stosunek do aborcji?

– Nie zaczynaj od nowa – spiorunowałem Jake'a wzrokiem.

Pokręcił głową i kilka chwil siedzieliśmy w milczeniu. Ciszę przerywało tylko tykanie zegara na ścianie.

– Nie postawię cię więcej w takiej sytuacji, co jednak nie znaczy, że nie będę chciał zbadać wszelkich możliwości wykorzystania poparcia ruchu pro-life. Ale nie będę niczego przed tobą ukrywał, nawet gdybym sądził, że możemy osiągnąć coś niezwykle ważnego.

– Wiesz, że jesteś gnojkiem, prawda?

– Jestem twoim adwokatem i w tej sprawie masz mnie słuchać. Musimy przekonać sędziego, że wiemy, jakie decyzje podejmowałaby sama Elle. Jej światopogląd jest ważny. Ważne jest, jaki byłby jej stosunek do swojego nienarodzonego dziecka. Więc ważne jest też, jak postrzegala dzieci, zanim przyjdą na świat.

Wstałem i podszedłem do okna. Mgła tak zgęstniała, że ledwo widziałem przeciwną stronę ulicy. Moje perspektywy na przyszłość, być może także zdolność rozeznania, komu mogę zaufać, były tak samo mgliste. Wiedziałem tyle, że potrzebuję jego pomocy. Nie miałem pojęcia, skąd mógłbym wziąć innego prawnika, który miałby szansę wygrać tę sprawę.

– Więc jaki był jej pogląd na kwestię aborcji?

Zdecydowałem się powiedzieć Jake'owi półprawdę.

– Nie była zwolenniczką aborcji.

– Masz coś na piśmie?

– Na piśmie? Po co miałyby pisać cokolwiek na temat aborcji?

Odetchnął głęboko.

– Mogła należeć do jakiejś grupy przy swoim kościele.

– Nie. Nie była zaangażowana w nic takiego.

– Czy wspierała jakieś organizacje pro-life?

– Nie.

– Jakąś działalność charytatywną?

– Na rzecz walki z rakiem piersi, jej matka zmarła z tego powodu. Sponsorujemy też czworo dzieci z Gwatemali, poprzez organizację Save the Children. Braliśmy je pod opiekę kolejno, gdy traciliśmy własne.

– No dobrze. Ale potrzebujemy jeszcze jakiegoś dowodu, że była pro-life, wierzyła, że życie zaczyna się od poczęcia, że to dziecko dla niej byłoby już realną osobą. Może za czasów studenckich chodziła na jakieś zajęcia z etyki, może w jej papierach został jakiś tego ślad.

– Jej przedmiotami kierunkowymi były fizyka i astronomia. Doktorat napisała o falach magneto hydrodynamicznych.

– O czym?

– To coś z fizyki... ma związek z gwiazdami neutronowymi... tak mi się wydaje.

Jake potrząsnął głową.

– Skoro uczyła się w Bowdoin, musiała chodzić na jakieś kursy humanistyczne. To jest college humanistyczny.

– Nie wiem. W tym czasie nasze kontakty nie były szczególnie ożywione.

– No tak, przecież zerwaliście ze sobą na pierwszym roku. Jak mogłem zapomnieć, że snułeś się wtedy, słuchając tej piosenki U2, jak to szło? *I'm Losing You*?

– *The Sweetest Thing* – poprawiłem go. Ale tak jak w piosence, traciłem ją. Znowu. Tylko że tym razem było to znacznie gorsze.

– No tak. Słuchaj, musisz przejrzeć jej rzeczy, jeśli tylko ma jeszcze jakieś papiery ze studiów. Wszystko, co napisała. Interesuje nas wszystko, co mogłoby wskazywać, że postawiłaby dziecko na pierwszym miejscu.

Oczami duszy zobaczyłem Elle, jak siedzi na brzegu rzeki przepływającej obok naszej posiadłości, macha nogami zanurzonymi w wodzie, a w rękach trzyma pamiętnik. Zobaczyłem ją skuloną przy oknie w zimowy wieczór, jak patrzy na padający śnieg, a potem pisze w swoim zeszyte. Przypomniałem sobie, jak zaledwie kilka dni temu siedziała ze skrzyżowanymi nogami, pisząc i pisząc w świetle lampy przy przeszklonych drzwiach prowadzących na taras.

– Co jest? – spytał Jake.

– Nie wiem.

Potarłem dłońmi oczy, zastanawiając się, co pisała przez te wszystkie lata. Kiedyś powiedziała mi, że zaczęła prowadzić pamiętnik, kiedy, jeszcze w liceum, wyjechałem na wymianę zagraniczną. Najpierw listy. Zaczęła od listów do mnie, listów, których nigdy nie wysłała. Powiedziała mi, że w dalszym ciągu zaczyna swoje zapiski od „Matt” zamiast „Drogi pamiętniku”. Ale nigdy nie pokazała mi żadnego zeszytu ani żadnego wpisu. A ja, trochę się obawiając, nigdy nie zaryzykowałem zerknięcia. Raz, kiedy spytałem, co tam tak pisze, odpowiedziała tylko: „Niektórzy medytują. Ja w taki sposób podsumowuję swój dzień. To tak, jakbym rozmawiała z przyjacielem. Fakt, że ty jesteś moim najbliższym przyjacielem, ale spójrz na to w ten sposób: oszczędzam ci marudzenia”.

Może i nie chciałem wiedzieć, czy marudzi na mój temat. Boże, ależ za nią tęsknię. Oddałbym wszystko, aby ją usłyszeć, nawet jak się piekli, nawet jak nazywa mnie dupkiem.

– Dobrze się czujesz? – spytał Jake, przywołując mnie do rzeczywistości.

Podniosłem na niego wzrok.

– Tak, tak. Zobaczą, co mi się uda odkopać, ale wątpię, czy znajdę coś przydatnego. Posłuchaj, prawda jest taka, że politycznie rzecz biorąc, Elle była za prawem do wyboru.

Jake odrzucił głowę do tyłu i zamknął oczy.

– Nie chcę tego słyszeć.

– Powiedziałem „politycznie rzecz ujmując”. Nie była osobą, która próbowałaby narzucać komukolwiek swoje poglądy. Nie chciała słuchać o nieżywych dzieciątkach w śmietnikach ani o młodych kobietach wykrwawiających się na śmierć przez jakiegoś potwora z drucianym wieszakiem w brudnych łapach. Ale nigdy nie przerwałaby ciąży, bez względu na konsekwencje. Nie chciałem zwierzać się Jake’owi, ale na wypadek gdyby to wyszło na jaw w czasie procesu... a mogłoby, ponieważ moja matka wie... nie chciałem utrzymywać go w nieświadomości.

– Gdy Elle miała piętnaście lat, a ja siedemnaście, zaszła ze mną w ciążę.

Brwi Jake’a momentalnie podjechały w górę. Pochylił się do przodu.

– Co się stało z dzieckiem?

Odetchnąłem głęboko i opowiedziałem mu o córce, którą straciliśmy dawno, dawno temu.

None

Dwadzieścia lat przed wypadkiem Elle

Pod koniec maja 1988 roku, spędziwszy pierwszą klasę liceum na wymianie zagranicznej w Walii, wróciłem do domu. Myślałem, że za granicą wydorostałem, tak jakby pierwszy raz czynił z chłopca mężczyznę. Później miałem sobie zdać sprawę, że utrata dziewictwa nie wyzwala w nas ducha dorosłości. Byłem tym samym żującym gumę siedemnastolatkiem, który wyjechał dziesięć miesięcy wcześniej, najmłodszym z czterech braci, zuchwałem. Powiedziałem sobie, że wreszcie zacznę być traktowany jak mężczyzna, a nie jak rodzinne popychadło.

W domu niewiele się zmieniło – no, może trochę. Mój brat Mike wyprowadził się, a mama zastąpiła tapetę w jego dawnym pokoju okropnymi kwiecistymi wzorami, ale poza tym żaden widelec ani talerz nie zmienił swojego miejsca w kredensie.

Natomiast w domu obok umierała Alice McClure, najlepsza przyjaciółka mamy, i w różnych sprawach musiała się zdać na Elle – począwszy od opieki nad młodszym siedmioletnim bratem po pilnowanie, ile piwa wypija Hank.

Zanim wyjechałem do Walii, Elle zawsze za mną łąziła; z tymi swoimi dużymi szarozielonymi oczami przypominała namolnego szczeniaka. Byłbym najlepszy w klasie, gdyby Elle nie przeskoczyła dwóch roczników i nie wylądowała razem ze mną. Była jednym z tych cudownych dzieci, podczas gdy ja byłem tylko genialny. Stanowiła dla mnie konkurencję, a ja ją tolerowałem. Dziewczyna zza płotu. Sąsiadka. Przyjaciółka z konieczności. A mimo to, co dziwne, w oddaleniu tęskniłem za nią jak za nikim innym, zwłaszcza gdy nagle, bez żadnego wyjaśnienia, przestały przychodzić jej codzienne listy. Kilka godzin po powrocie odszukałem ją. Nie dlatego, że rozumiałem, jaka jest prawda: że kocham ją głębiej, niż kiedykolwiek pokocham kogokolwiek innego. Wtedy tego nie wiedziałem. Nie wyrosłem jeszcze z dziecięcego narcyzmu.

Nie, zabębniłem pięścią w jej tylne drzwi, bo nie pojawiła się na lotnisku z resztą rodziny. Dałem jej drugą szansę, by powitała mnie w domu, i zaprosiłem ją na imprezę zorganizowaną na moją cześć przez kumpla ze szkoły.

Elle wyróżniała się z otoczenia i nie pasowała do towarzystwa. Mimo to zgodziła się, acz niechętnie, bo ja ją zaprosiłem. Kiedy z piwem w ręku przybijałem sobie piątki z hordą, która przyszła świętować mój powrót, zorientowałem się, że Elle zniknęła.

Gdy wychodziliśmy, jej ojciec powiedział, że mam się nią opiekować. Cholera, pomyślałem. Znalazłem ją dwadzieścia minut później na trawniku, wpatrzoną w rozgwieżdżone niebo. Mogłem się domyślić, że ogląda gwiazdy przez swój teleskop lub bez niego. Powinienem był od tego zacząć poszukiwania.

– Za tłoczno tam dla mnie – powiedziała.

Opadłem na trawę obok niej i wyciągnąłem się z rękami pod głowę.

– Gdzie jest Orion?

Zachichotała.

– Na letnim niebie nie widać Oriona. Tam – wskazała pewnym ruchem – są Wega, Altair i Deneb, letni trójkąt; każda najjaśniejsza w swoim gwiazdozbiornie.

Zerknąłem na nią. Hamowała się. Zapewne miała w głowie całą encyklopedię informacji o nich, na przykład masa słoneczna i jasność każdej gwiazdy.

– Widziałam też parę spadających gwiazd – powiedziała.

– Czego sobie życzyłaś?

Skrzywiła się i pokręciła głową.

– Trzeba by cudu, żeby moje życzenie się spełniło.

– Ale jakie to życzenie?

– Nieważne. Nie mogę zdradzić, czego sobie życzę, bo wtedy się nie spełni. – Jej głos był napięty jak żyłka wędkarska zahaczona o lilię wodną. Usiadła i odwróciła wzrok. Głos znowu jej się załamał: – Wracam do domu.

Położyłem jej rękę na ramieniu i przyciągnąłem ją do siebie. Twarz Elle była ciepła i mokra i zastanawiałem się, jak mogłem nie zauważyć, że płacze.

– Co się dzieje?

Nic nie powiedziała, ale przyłgnęła do mnie. Na pewno chodzi o matkę.

– Raka piersi da się wyleczyć, prawda? – spytałem.

– Tak, jeśli zostanie w porę wykryty – odparła.

– A został wykryty, prawda?

– Są przerzuty do kości.

I nagle blond peruka à la Barbie na głowie jej matki stała się czymś więcej niż tylko wyrazem próżności. Mama poinformowała mnie o nowotworze Alice listownie w styczniu. Napisała, że Alice ma być poddana chemioterapii i naświetlaniom, ale wtedy nie zrozumiałem tego w pełni. Alice może umrzeć. Alice. Boże.

– To groźne? Kiedy rak jest w kościach? – spytałem.

– Bardzo groźne. Nie mów nikomu, dobrze? – Elle drżała. – Mama stara się być dzielna.

Elle też się starała. Była nieustraszona. Już jako nastolatka.

Pocałowałem ją w czoło; opiekuńczy gest, nic więcej.

– Zobaczmy, czy pojawi się kolejna spadająca gwiazda – powiedziałem.

Położyliśmy się na trawie, ramię w ramię. Wziąłem ją za rękę i obserwowałem niebo, szukając jakiegoś sposobu, żeby poczuła się lepiej. Nie miałem żadnego pomysłu. Ta noc miała się potoczyć inaczej – miało być fajnie. Przyjaciele. Impreza.

Leżeliśmy z Elle na tyle blisko latarni, że kiedy mój wzrok przyzwyczał się do ciemności, zobaczyłem jej twarz i przyłapałem się na tym, że się w nią wpatruję. Nie miała już aparatu na zębach i wypiękniała pod moją nieobecność.

Co pewien czas jakieś dzieciaki wychodziły na trawnik i kręciły się nieopodal. Żadne się do nas nie odezwało. My nie odzywaliśmy się do nich. Ani do siebie. Po chwili oddech Elle się wyrównał. W oddali rozległy się mocne basy w dobiegającej z domu piosence Billy’ego Idola. Byliśmy oddzieleni od muzyki i wszystko wokół oddalało się coraz bardziej, aż zapadłem w sen i coś mi się przyśniło. Co? Jak wszystkie sny i ten się rozwiął.

Kiedy się obudziłem, moja twarz niemal dotykała twarzy Elle. Wcisnąłem tarczę i spojrzałem na zegarek. Było po wpół do jedenastej.

– Obudź się – szepnąłem.

Nie podniosła głowy, a jej oddech się pogłębił. Kierowany tyleż ciekawością co pożądaniem, musnąłem ustami jej usta. Wtedy otworzyła oczy. Nasze usta stykały się delikatnie, a ja zastanawiałem się, czy jestem tym samym facetem, którym byłem w Walii – który widzi w seksie cel do osiągnięcia.

Boże, usta Elle były takie miękkie. Spodziewałem się, że w każdej chwili wybuchnie dziecinnym śmiechem, tak jak jej brat, kiedy tego wieczoru połaskotała go na odchodne. Ona też była dzieckiem, ale nie zaśmiała się.

I po raz pierwszy nie wyglądała jak dziecko. Przebiegłem palcami po jej policzku, zastanawiając się, czemu nigdy wcześniej nie przyszło mi do głowy, żeby ją pocałować.

Jej oddech przyspieszył, a usta przyłgnęły do moich mocniej, choć z wahaniem. Spróbowałem wsunąć język do jej buzi, ale tego było już za wiele. Odsunęła się i dotknęła opuszkami palców swoich warg, a potem, wpatrując się w moje oczy, wyciągnęła rękę i dotknęła moich ust, jakby oddawała mi pocałunek.

Nie miałem pojęcia, co teraz zrobić. Pragnąłem jej, ale to była Elle.

Wstała, spoglądając na mnie równie niepewnie.

– Chyba już późno. Powinam wracać do domu.

Wstałem i założyłem jej kosmyk włosów za ucho; chciałem ją znowu pocałować, tym razem na poważnie, ale cofnęła się.

– Elle. – Co miałem powiedzieć? Że nie chcę, by odchodziła? Musiała. O tej porze powinna już być w domu. – Odprowadzę cię.

Nie rozmawialiśmy o pocałunku. Przez kilka minut w ogóle nie rozmawialiśmy.

Szliśmy niespiesznie ulicą, a drzewa, wysokie dęby, klony i sosny, przesłaniały nocne niebo. Potknąłem się na wyboju i czując się jak straszny łamaga, spróbowałem zbyć to śmiechem.

– Powinienem być wziąć ze sobą latarkę. – Moje ramię otarło się o jej rękę, trochę celowo, trochę dlatego, że nic nie widziałem. Chciałem wziąć jej dłoń, ale przecież przerwała pocałunek, a myśl o zmianie tak głęboko zakorzenionej relacji wydawała się ryzykowna, jak nic, na co się dotąd w życiu porwałem.

Kiedy minęliśmy kolejną przecznicę, zatrzymała się.

Odwrociłem się do niej. Musiałem znowu jej dotknąć.

– Matt? – Jej szept rozniósł się w atramentowym powietrzu. – Czy to się liczy jako pocałunek?

– Co? To? Cóż, hmm, pewnie tak. Co masz na myśli?

– Nigdy wcześniej z nikim się nie całowałam. Czy to był pocałunek? Chciałeś mnie pocałować?

– Tak. Z początku nie, ale później tak. Chciałem cię pocałować. Czy to dziwne?

Elle wsunęła dłoń w moją.

– Nie, było przyjemnie.

– Co powiesz na drugi pocałunek? – Przysunąłem się bliżej i pochyliłem się nad nią.

Z podjazdu wyjechał samochód i niczym przyłapani na gorącym uczynku spiskowcy puściliśmy swoje dłonie i zażenowani przeszliśmy pozostałe dwie przecznice.

W domu Elle w salonie świecił na niebiesko włączony telewizor.

– Już po jedenastej – powiedziałem. – Spóźniłaś się. Wejść z tobą i wszystko wytłumaczę.

Otworzyła drzwi frontowe. Jej ojciec leżał nawalony na kanapie.

– Nie ma potrzeby. Wygląda na to, że zasnęła – wyszeptała Elle. – Dobranoc, Matt. – Drzwi powoli zamknęły mi się przed nosem.

Przez okno zobaczyłem, jak Elle zbiera butelki po piwie ze stolika przed ojcem, zapala światło w kuchni i znika na tyłach domu.

W Walii uprawiałem seks z dziewczyną, na której mi nie zależało – a przynajmniej niespecjalnie. Mogłoby mi zależeć, ale ją jeszcze bardziej niż mnie interesował tylko podbój.

Ta nowo narodzona fascynacja Elle nie może być taka. Musi nam na sobie zależeć, bo inaczej skończy się to katastrofą. Nawet jako siedemnastolatek tyle wiedziałem na pewno. Rzecz jednak w tym, że mnie naprawdę na niej zależało. I to właśnie było przerażające. Już ją kochałem – nawet jeśli jeszcze nie tak jak później. Przez pewien czas usiłowałem sobie wmawiać, że to tylko głupie zauroczenie.

Poza tym Elle była jeszcze dzieckiem. Potem próbowałem racjonalizować, tłumacząc sobie, że za dwanaście dni skończy piętnaście lat, potem, że za jedenaście. A potem to wszystko straciło na znaczeniu; matka Elle trafiła do szpitala z zakażeniem krwi, a jej dziadek zmarł na udar. Jakby tego było mało, mnie potrafił samochód.

A właściwie potrącił mnie Hank – choć nie zrobił tego specjalnie.

Był pijany, a ja wyszedłem pobiegać po zmroku. Zaczęło padać i jakimś cudem Hank mnie potrącił i złamał mi nogę, lewą kość piszczelową. Odjechał niczego nieświadomy. Moi rodzice zorientowali się następnego dnia. Jego samochód zatrzymał się na podjeździe kilka minut po tym, jak to się stało, a potem tata znalazł na zderzaku strzępek moich spodenek.

Dla mamy i taty to był dylemat moralny. Hank musi przestać pić, zanim kogoś zabije, zwłaszcza że tym kimś mógłbym być ja. Tata uważał, że aresztowanie za potrącenie kogoś po pijaku i ucieczkę z miejsca wypadku mogłoby mu uświadomić, że jest alkoholikiem. Mama martwiła się chorobą Alice i tym, co by się stało z Elle i Christopherem, gdyby Hank poszedł siedzieć. Mając umierającą matkę i ojca kryminalistę, najprawdopodobniej trafiliby do rodziny zastępczej. Moi rodzice byli tylko przyszywanymi krewnymi i nie łączyły ich z nimi więzy krwi.

Rodzice postanowili sami rozwiązać ten problem. Skonfrontowali się z Hankiem, który, pełen skruchy i ulgi, że swoją złamaną nogę da się wyleczyć, poszedł na pierwsze spotkanie AA, zaproponował, że opłaci mi college, i przestał pić – na chwilę.

Dorośli byli tak zaaferowani, że często korzystaliśmy z okazji z Elle i całowaliśmy się, kiedy nikt nie patrzył. Nikt nawet nie zauważył, że się w sobie zadurzyliśmy. Czemu mieliby się zorientować? Wszyscy zakładali, że łączy nas ta sama relacja co zawsze. Nie umiem powiedzieć, czy miłość od pierwszego wejrzenia to mit, czy też prawdziwe zjawisko, ale moja miłość do Elle była równie niespodziewana. Chciałbym móc powiedzieć, że było to uczucie czyste i niewinne, że byłem gotowy czekać w nieskończoność, aż będziemy się kochać. Miałem jednak siedemnaście lat. Doświadczyłem już kształtu dziewczęcej miednicy ocierającej się o moją. Wiedziałem, że Elle jest za młoda. Naprawdę wiedziałem. Ale nie mogłem pojąć pragnienia, jakie we mnie wzbudzała. A dopiero z perspektywy czasu zdałem sobie sprawę, jak wielkim błędem było nakłanianie jej, żeby poszła ze mną do łóżka.

Pracowałem na nocną zmianę w firmie pocztowej L.L. Bean's, przesypiałem ranki i spędzałem z Elle te popołudnia, kiedy nie musiała pilnować Christophera; wtedy też próbowałem wędrować rękami w miejsca, do których ona wciąż wzbraniała mi dostęp.

Elle była ulubienicą dziadka i zostawił jej dom, żeby mogła w nim zamieszkać, jak dorośnie. Póki co stał pusty i dostępny. Korzystaliśmy z tego. Szamocząc się niepewnie, z dodatkowym utrudnieniem w postaci gipsu na mojej nodze, tarzaliśmy się po sofie, a raz udało mi się doprowadzić ją do sypialni i rozebrać do połowy, zanim powiedziała „nie”. Rodzice zdawali się nic nie wiedzieć ani niczym się nie niepokoić. Hank uczęszczał dalej na spotkania AA. Alice, choć wciąż leżała w szpitalu, była w lepszym stanie, a moi rodzice byli zajęci opieką nad Christopherem i własną pracą.

W połowie sierpnia Elle słuchała uważnie prognozy pogody, bo zbliżał się deszcz Perseidów, a spadające gwiazdy widać tylko przy bezchmurnym niebie. Wytaszczyła teleskop na taras na dachu domu dziadka. Dzień wcześniej Alice wyszła ze szpitala i nasze rodziny zrobiły sobie spokojny popołudniowy piknik nad rzeką. Alice, Hank i moi starzy zebrali się pod nami na balkonie, a Christopher biegał w kółko, wymachując hiperaktywnymi rękami. Jednym miejscem, w którym mogliśmy się zawsze schronić przed Christopherem, był taras, bo choć dzieciak biegał i machał rękami, nigdy by nie poleciał. Potwornie bał się wysokości. Dom dziadka Elle stał na terenie obejmującym pół kilometra kwadratowego i rozciągającym się nad rzeką Harraseeket. Większość terenu była zalesiona, z wyjątkiem trawnika, który biegł w dół nad brzeg rzeki. Gospodarstwo, jak je nazywaliśmy, było tak naprawdę wiktoriańskim ośmiokątem, owocem dawnej mody architektonicznej. Dom miał ganek na całej długości i taras na dachu, z którego Elle uwielbiała oglądać nocne niebo.

– Do oglądania spadających gwiazd nie potrzeba teleskopu – powiedziałem, pocierając

piszczel. Teraz kiedy zdjęli mi wreszcie gips, drapałem się przy najlżejszym świądzie.

– Ćśśś, nie mów rodzicom, że nie potrzebuję teleskopu dziadka. Każą mi zostać w domu i oglądać z ogrodu.

– Nie usłyszą nas stąd. – Wciągnąłem Elle na poddasze, gdzie mogłem ją pocałować. Przycisnąłem ją do ściany, wsunąłem dłoń pod koszulkę i rozpiąłem jej stanik.

– Matt, nie; nie rób tego.

Zignorowałem jej słowa, całowałem jej szyję, uszy, każde miejsce, które wywoływało w niej jakąś reakcję.

– Moi rodzice. Mogą przyjść nas szukać.

Położyłem dłoń na jej piersi.

– Matt, jutro wieczór. Nie teraz.

– Jutro? – Wyprostowałem się. Cóż, zeszywniało mi coś więcej niż nogi.

Zadrżała lekko, po czym spojrzała na mnie nie-do-końca-pewnym wzrokiem. – Jeśli będziesz miał zabezpieczenie... Nocuję tu jutro, żeby obserwować Perseidy. Sama. Mógłbyś, no wiesz, zakraść się tutaj? Nie pracujesz jutro, prawda?

Na chwilę zaparło mi dech w piersiach.

– Mówisz poważnie?

Skinęła.

– Chcę... iść z tobą do łóżka.

– Boże, kocham cię, Pip.

– Ja ciebie też. Musimy tylko być ostrożni.

I byliśmy. Ale jak się okazało, niewystarczająco.

None



Dwadzieścia lat przed wypadkiem Elle

We wrześniu 1988 roku poszedłem do ostatniej klasy liceum, ale Elle już mnie wyprzedziła. W poprzednim semestrze dostała zgodę na uczęszczanie do Bowdoin College, jako że w liceum Freeport nie wiedziano już, co z nią robić, a ona nawet w college'u zrobiła ogromne wrażenie. Profesor odpowiadający za rekrutację spojrział na jej wiek, oceny i bezbłędny wynik z egzaminu wstępnego i przyjęto ją na semestr jesienny. Ponieważ była zbyt młoda, żeby prowadzić samochód, zaproponowałem, że mogę ją odbierać po południu, ale był to tylko pretekst, by spędzać z nią więcej czasu sam na sam i mieć okazję побыć z nią w domu dziadka.

Pogoda się pogorszyła i rokowania Alice też. W pełni świadoma tego, co ją nieuchronnie czeka, Alice postanowiła wbrew mężowi przerwać leczenie.

Łzy Elle nie były dla mnie zaskoczeniem. Chciała spędzać więcej czasu z matką, urywała się więc z zajęć, potem uczyła się pół nocy i generalnie przestała o siebie dbać, żeby tylko osiągnąć cel. Mimo to znajdowaliśmy czas, żeby побыć razem. Ta cała sytuacja zamiast nas od siebie oddalać rodziła między nami intymność. Naprawdę czułem ból Elle i chciałem zdjąć go jej z ramion. Byliśmy dziećmi, ale byliśmy też rodziną, nasza dwójka, i widziałem przed nami tylko jedną przyszłość: kiedyś się pobierzemy.

W połowie listopada rozpaliliśmy piec w domu dziadka i przytuliliśmy się na kanapie. Elle nie czuła się dobrze. Wszyscy to widzieli. Mama wciąż powtarzała:

– Czemu Hank nie zatrudni pomocy domowej? Stać go na to.

Pogłaskałem Elle po włosach. Zerwała się nagle i popędziła do łazienki. Przez wyłożone dębem drzwi dobiegły mnie odgłosy torsji.

W mojej głowie powstała irracjonalna myśl. Wiedziałem, że rak nie jest zaraźliwy, ale podatność na chorobę jest dziedziczna. Zaraz jednak, czując się jak głupek, zdałem sobie sprawę, że to chemioterapia wywołuje nudności, a nie sam rak.

– Pip?

– Idź sobie.

– Mogę wejść?

– Nie!

– Elle, jesteś chora. Chcesz iść do lekarza?

Drzwi skrzypnęły i blada jak ściana Elle wśliznęła się z powrotem na kanapę i ukryła twarz w dłoniach.

– Co się dzieje? – spytałem, masując jej plecy.

Oczy zrobiły się jej wielkie jak spodki.

– W pierwszej chwili nie zwróciłam na to uwagi. – Broda jej drżała. – Teraz myślę, że jestem w ciąży.

Elle nie chciała, żebym jej towarzyszył w czasie badania. Siedziałem więc w poczekalni kliniki planowania rodziny i zabijałem czas, czytając materiały o chorobach przenoszonych drogą płciową. Nie miałem żadnej z nich. Zawsze używałem prezerwatywy. Zawsze. Przeniosłem uwagę na literaturę o metodach zapobiegania ciąży. O prezerwatywach. O tym, jak używać ich właściwie. Wiedziałem jak. Zużyłem już niejedno opakowanie. Tylko, głupstwo, nigdy nie przeczytałem instrukcji. Nauczyłem się jak wszyscy inni – od kolegów.

Trzeba czekać, aż ci stanie i nałożyć gumkę, rozwijając ją. Po wszystkim wyrzucasz ją razem z opakowaniem, żeby rodzice go nie znaleźli. Tyle że w tych wskazówkach brakowało pewnej drobnej informacji, mianowicie, że zanim się wysuniesz, musisz się upewnić, że ciągle ci stoi. Po seksie z tamtą dziewczyną w Walii skwapliwie wychodziłem. Z Elle lubiłem zostawać

w środku dłużej. I kiedyś, gdy się wycofywałem, prezerwatywa zsunęła się do połowy. Nie spadła całkiem, więc myślałem, że jesteśmy bezpieczni. Chryste.

Drzwi do gabinetu otworzyły się i kobieta w białym fartuchu gestem zaprosiła mnie do środka.

Elle siedziała na fotelu ginekologicznym w okropnym stroju szpitalnym. Tyle że nie miała nóg w strzemionach. Zwiesiła nisko głowę i nie spojrzała na mnie.

– Chcesz sama powiedzieć Mattowi czy ja mam to zrobić? – spytała pani doktor.

Elle przygryzła wargę i wpatrywała się w swoje dłonie, splecione tak, że bieleły.

– Elle jest w ciąży, to przypuszczalnie dziesiąty tydzień – powiedziała lekarka. – Macie różne opcje do wyboru. Jeśli chcecie dokonać aborcji, musicie zdecydować się szybko. Mamy na to mniej więcej dwa tygodnie. Możecie zatrzymać dziecko. Albo możecie rozważyć oddanie go do adopcji. Namawiam was, żebyście porozmawiali z rodzicami.

Elle wstała i złapała tył koszuli.

– Nie. Mama i tata nie mogą się o tym dowiedzieć. Ani teraz. Ani nigdy. – Pobiegnęła do łazienki i trzasnęła drzwiami.

Przez chwilę tylko się gapiłem, po czym poczułem na sobie wzrok lekarki.

– Jej mama jest bardzo chora – powiedziałem gwoli wyjaśnienia. Wtedy dotarła do mnie powaga sytuacji.

– Chciałabym, żebyście porozmawiali z jednym z naszych doradców.

– Oczywiście – odparłem.

Gdy lekarka opuściła gabinet, Elle wyszła z łazienki już w swoim ubraniu, z wyrazem przerażenia na twarzy. Rzuciła buty na podłogę i wcisnęła w nie stopy.

– Chodźmy.

– Pani doktor chce, żebyśmy porozmawiali...

– Nie mogę. Nie teraz. Muszę się zastanowić. Proszę, Matt. Zawieź mnie do domu.

Ale nie zawiozłem jej. Kiedy wsiedliśmy do samochodu, przyszedł mi do głowy inny pomysł i zjechałem na drogę międzystanową. Jechałem, a w głębi duszy obrzucałem się oskarżeniami. W milczeniu. Obiecałem, że się nią zaopiekuję, że się zabezpieczę, i byłem tak cholernie pewny siebie, tak pewny, że wiem, co robię. A ona mi zaufała.

Po godzinie zjechałem z autostrady ku nadmorskiej miejscowości. Zachmurzone niebo miało w sobie listopadową szorstkość. Było szare; liście zniknęły. Zaparkowaliśmy obok zabitego deskami motelu na plaży i ruszyliśmy przed siebie po piasku. Znad Atlantyku wiał wiatr, chłodny, ale nie lodowaty. Wziąłem Elle za rękę i szliśmy szeroką plażą.

– Zrobimy to, co zechcesz – powiedziałem.

– Nie chcę być w ciąży. Wyglądam, jakbym była w ciąży?

Pokręciłem głową. Ale jej piersi były większe, a płaski przedtem brzuch zaokrąglił się nieco. Wcześniej przypisywałem te krągłości dojrzwaniu.

– Chcesz poddać się aborcji?

Spojrzała na mnie.

– Jak mogłabym to zrobić? Moja mama umiera. Ciągle błagam Boga, żeby ją ocalił, a ty chcesz, żebym drugą ręką zabiła dziecko?

– Nie, Pip, nie powiedziałem tego.

Nie wiedziałem, co myślę. Ani co powiedziałem. Ani czego chcę. Chciałem, żeby nie była w ciąży.

– Moi rodzice nam pomogą. Oczywiście po tym, jak mnie zabiją.

– Mam piętnaście lat. Nie mogę mieć dziecka. Muszę się opiekować Christopherem. Obiecałam to mamie.

Elle zaczęła płakać – nie chlipać, ale szlochać. Wzięłem ją w ramiona i usiedliśmy przytuleni na zimnym piasku.

Właśnie pryskają nasze marzenia, moja medycyna, MIT i NASA Elle. Do tego dochodzą jeszcze inne kwestie. Alice będzie się musiała dowiedzieć. I moi rodzice; rozczaruję ich niewyobrażalnie. Hank będzie żałował, że tylko złamał mi nogę, a nie zabił mnie. Sytuacja jest naprawdę koszmarna. Jednakże część mnie, maluteńka część, czuła zachwyty, że stworzyliśmy razem dziecko. Nie chciałem tego, ale stworzyliśmy je.

– Jak myślisz, jak długo uda mi się to ukryć? – spytała Elle.

– Nie można ukryć ciąży. Wkrótce stanie się to dość oczywiste.

Elle obciągnęła przód obszernego swetra, jakie były wtedy w modzie.

– W końcu tak, ale jeśli uda mi się to ukryć przez jakiś czas, jeśli mama się nie dowie... nie chcę, żeby umarła, ale lekarze powiedzieli, że zostały jej dwa, trzy miesiące. Gdyby udało mi się to ukryć tak długo, nie musiałaby się martwić jeszcze o mnie. Jak mogłam jej to teraz zrobić? – Elle znowu się rozplakała; tym razem objęła rękami podbrzusze.

– A co potem?

– Nie jestem gotowa. Chcę kiedyś mieć dziecko – ale nie teraz. Chcę pójść na MIT. Chcę... – Zaczęła się trząść, jakby zmarzła, jakby była przerażona. – A gdybyśmy oddali je do adopcji?

– Oddali dziecko? Nie. Nie wiem. – Wstałem i wyciągnąłem do niej rękę. Doszliśmy do końca plaży, gdzie rzeka przecina piasek i wpada do oceanu. – A gdybyśmy się pobrali?

Przycisnęła dłoń do ust.

Powinienem był uklęknąć. Wiedziałem, że tak należy zrobić, kiedy prosi się dziewczynę o rękę. Więc zrobiłem to, czując się jak głupek, nie tylko jak złoczyńca.

– To i tak jest na zawsze, prawda? Pobierzmy się więc.

Uklękła przede mną i ukryła twarz na mojej piersi. Siedziała tak przytulona przez kilka minut, a ja pomyślałem, że to szaleństwo. Ślub i zabawa w dom.

– Kocham cię – szepnęła. – Wiesz, że cię kocham, prawda?

Przytaknąłem.

– Ale, Matt, jak moglibyśmy się pobrać? Jesteśmy na to za młodzi. Ja jestem za młoda. Nie jestem gotowa na ślub... ani na dziecko. Część mnie chce tego. Chcę tego wszystkiego, tyle że jeszcze nie teraz. Nie w tej chwili.

Nie wiedziałem, co powiedzieć, więc milczałem.

– Czy ty naprawdę chcesz, żebyśmy się teraz pobrali i mieli dziecko? – spytała.

Odsunęliśmy się odrobinę od siebie, żeby spojrzeć sobie w oczy. Pokręciłem głową.

– Ja też nie. No to co zrobimy? – szepnęła.

Naszą ulicę rozświetlały czerwone światła karetki. Elle otworzyła drzwi samochodu, zanim zdążyłem się zatrzymać.

– Co ty wyprawiasz? – wrzasnąłem i wcisnąłem hamulec.

Wyskoczyła i popędziła ile sił w nogach do domu, a ja poszedłem za nią.

Sanitariusze przypinali do noszy Alice, bladą, bez peruki, o ziemistej cerze, a moi rodzice przyglądali się z boku.

– Mamusiu? Co się stało? – Elle złapała Alice za rękę. Sanitariusze wnieśli nosze do ambulansu. Elle próbowała wsiąść, ale moja mama ujęła ją za ramię i odciągnęła na bok. W ciemnościach dobiegło nas słowo „drgawki”. Elle wyrwała się i wskoczyła do karetki. Pocałowała matkę w czoło. – Mamusiu, kocham cię.

– Zabieramy twoją matkę do szpitala. Musisz natychmiast wsiąść – powiedział kierowca.

– Chodź, Elle – powiedział Hank. Trzymał na rękach Christophera. Odwrócił się i odszedł, jakby Elle miała go tylko słuchać, jakby nie potrzebowała ojca tak samo jak Christopher. Pociągając nosem, Elle wysiadła z karetki i ukryła się w moich ramionach.

– To nie może się dziać. Wszystko naraz.

Przytuliłem ją mocno i szepnąłem:

– Będzie dobrze. Naprawdę. Kocham cię i przysięgam, że się tobą zaopiekuję. – Niewiele myśląc, pocałowaliśmy się, a kiedy odsunęliśmy się od siebie, zauważyłem zdziwione spojrzenie matki.

Ojciec stał na ganku i przyglądał mi się uważnie.

– Gdzie, u diabła, byłeś? Mielicie wrócić do domu wiele godzin temu. Martwiliśmy się.

Pokręciłem głową.

– Poszliśmy na spacer. Co się stało?

Elle oderwała się ode mnie i popędziła przez trawnik za Hankiem i Christopherem, a moja mama poszła za nią.

Tata odprowadził Elle wzrokiem.

– Alice dostała drgawek na podłodze w kuchni. Co jest między tobą i Elle?

– Kocham ją.

– Kochasz? Od kiedy?

Wzruszyłem ramionami.

– Od lata.

Nabrał głęboko powietrza.

– Synu, ona jest dla ciebie za młoda. Ma czternaście lat.

– Nie, w lipcu skończyła piętnaście. Poza tym nie rozumiesz, tato. Ja ją naprawdę kocham.

Coś w tym, jak ojciec zaczął mi się przyglądać, uświadomiło mi, że wyjawilem więcej, niż zamierzałem. Tata potarł łysiejące czoło.

– Matt, nawet o tym nie myśl. Jest za młoda. Ty też jesteś za młody. Nie rób tego. Mówię serio.

Patrzyłem na niego ze złością, ale za parę miesięcy miało się stać oczywiste, że ostrzegł mnie za późno. Nadchodził właśnie kres wszelkich naszych marzeń.

Następnego dnia jeszcze raz zaciągnąłem Elle do kliniki planowania rodziny, gdzie po koszarnej sesji z pracownicą społeczną dostaliśmy adres agencji adopcyjnej i przychodni, w której Elle będzie mieć opiekę do porodu. Opracowaliśmy plan, ale sprawy tylko się komplikowały.

Alice wypisano do domu naszpikowaną lekami przeciwpadaczkowymi i wyposażoną w nowy zestaw środków przeciwbólowych. Nie tylko Elle i ja skrywaliśmy tajemnicę. Alice w milczeniu zносиła coraz silniejszy ból. Zupełnie jakby czekała na ostatnie święto spędzone z rodziną, następnego dnia po Święcie Dziękczynienia nie obudziła się. Nikt nie mógł jej wybudzić, znowu przyjechała karetka, ale tym razem Elle sprawiała wrażenie zrezygnowanej. Trzymała na rękach brata, który obejmował ją kurczowo za szyję. Hank chodził w kółko, wyliczając ratownikom leki, które przyjmowała Alice.

Próbowałem wziąć Christophera, ale nie chciał puścić Elle. A przecież ona w trzecim miesiącu ciąży nie powinna dźwigać trzydziestopięciokilogramowego chłopaka. W końcu skłoniłem ją, żeby usiadła z Chrisem na schodach.

– Wszystko w porządku, Chris. Mama śpi. W szpitalu ją obudzą.

– Ale ja chcę do mamy.

– Nie martw się. Ja się tobą zajmę. No chodź, zrobię śniadanie – powiedziała, prowadząc

go do środka.

Hank na próżno błagał, żeby poddano Alice kolejnej chemioterapii. Lekarz powiedział, że Alice może do końca zostać w szpitalu i tam umrzeć, ale Hank może ją też zabrać do domu i zorganizować opiekę hospicyjną.

W ten sposób dom McClure'ów przemienił się w Oddział Agonalny.

Alice zapadła w coś, co lekarze nazywali „płytką śpiączką”, która jednak robiła doprawdy głębokie wrażenie. Leżała na wypożyczonym łóżku szpitalnym na środku salonu, często wijąc się z bólu. Ponieważ nie mogła jeść i pić, karmiono ją przez sondę wprost do żołądka. A ponieważ nie mogła korzystać z toalety, dom wypełnił smród moczu i kału.

Pielęgniarka hospicyjna, gdy akurat nie doglądała Alice, nie odwracała jej, nie przewijała, nie przygotowywała pokarmu, wypełniała ciszę trajkotem. Nieustannym. Monotonnym.

Siedziałem w kącie na fotelu i udawałem, że mnie tam nie ma, z nosem w książce, uszami zasłoniętymi słuchawkami walkmana, przez które nie zawsze płynęła muzyka. Próbowałem wtopić się w tapetę. Być tam i jednocześnie nie być.

Pielęgniarka natomiast, kobieta o okrągłych policzkach i jeszcze okrągłej pupie, usiłowała wtopić się w rodzinę i matkować dzieciom.

– Kiedy ustawicie choinkę?

Elle zerknęła na nią znad książki, którą właśnie czytała Alice.

– Co?

– Czy twoja mama lubi Boże Narodzenie, Elle?

Elle zacisnęła usta.

– Może ucieszyłaby ją choinka. A co ty chciałabyś dostać na święta? Dziewczynki w twoim wieku lubią ubrania – ciągnęła dalej pielęgniarka.

– Pewnie ma pani rację – powiedziała Elle, podnosząc się. – Naprawdę uważa pani, że powinniśmy udekorować dom?

– Powinniście zrobić wszystko; upiec ciasteczka, zrobić grzany cydr, wszystko, co zwykle robicie.

Elle spojrzała przez salon na brata, który budował fort z LEGO.

– Hej, Christopher, chcesz mi pomóc piec ciasteczka? Dam ci oblizać łyżkę.

– Taak! Hurra! – Pobiegł do kuchni.

Alice jęknęła, jak to się często zdarzało, i pielęgniarka wstała.

– Może jej pani dać więcej leków przeciwbólowych? – spytała Elle.

Pielęgniarka zerknęła na zegarek.

– Dopiero za godzinę.

– To nie w porządku – powiedziała Elle.

– Cierpienie nigdy nie jest w porządku. Ani wobec twojej matki, ani wobec innych chorych, ani wobec dzieci takich jak ty.

\*\*\*>

Popołudniami odrabiałem prace domowe u McClure'ów, żeby dotrzymać im towarzystwa, ale rozmawialiśmy coraz mniej. Nigdy nie byliśmy sami, a takie tematy jak szkolne imprezy, kto z kim chodzi albo ostatni mecz drużyny koszykarskiej nie przenikały przez pancierz Elle. Na ogół miałem wrażenie, że wcale mnie nie słyszy.

Hank znowu zaczął pić. Kiedy przychodził do domu, bełkotał i potykał się na równej drodze. Zagadnąłem o to Elle, ale tylko wzruszyła ramionami.

Pewnego wieczoru usłyszałem, jak moi rodzice się kłócą.

– Porozmawiaj z nim! – krzyczała mama.

– Rozmawiałem. – Tata opadł na fotel. – Ciągałem go po spotkaniach AA, groziłem

nawet, że zawiadomimy policję o tym, co zrobił Mattowi. Jak twoim zdaniem mogę go powstrzymać, jeśli postanowił zapić się na śmierć?

Mama fuknęła, wypadła z domu i pobiegła do McClure'ów. Po kilku minutach do drzwi zapukała Elle.

– Matt – zawołał tata. – Ellie przyszła. Może byście się gdzieś przejechali, na przykład do kina. Weź samochód. Tylko się zachowujcie – dodał, ściskając kluczyki w ręku.

Wyszliśmy, upajając się wolnością, przytuleni. Nie przestaliśmy uprawiać seksu. Teraz odczuwaliśmy jego nieodzowność; miłość fizyczna nie tylko zaspokajała pragnienie dotyku, ale dawała nam pewność, że razem jakoś to przetrwamy. Elle była mi potrzebna. A kiedy byliśmy razem, ona okazywała mi, że ja jestem potrzebny jej.

To Boże Narodzenie było żalosną namiastką świąt. Moja matka musiała pracować, a my, ojciec, bracia i ja, mieliśmy iść na kolację świąteczną do ciotki Beth. Poszliśmy z Mikiem spytać McClure'ów, czy chcieliby nam towarzyszyć.

Elle wpuściła nas przez drzwi kuchenne, zaprosiła do stołu, proponując gorącą czekoladę i słodkie bułeczki.

– Niestety, nie mamy czasu, Elle – powiedział Mike. – Przyszliśmy tylko spytać, czy nie chcielibyście pójść z nami.

– Nie możemy. Nie ma dziś pielęgniarki. Muszę zajmować się mamą – odparła Elle.

Hank siedział w salonie i ślinił się w poduszkę kanapy. Nawet w Boże Narodzenie. Niech go szlag.

Elle uściśnęła mnie, a kiedy się cofała, włosy jej się odsunęły i na policzku ukazał się ciemnofioletowy siniak.

Mike stał przy drzwiach.

– Musimy iść, Matt.

– Co się tu stało? – Odgarnąłem włosy Elle, żeby się lepiej przyjrzeć.

– Nic. – Przykryła policzek włosami i przyklepała je.

– Coś się stało – powiedziałem.

Przełknęła i wyszeptwała:

– Byliśmy z tatusiem na pastercie. Był... pijany.

– Zaraz, wsiadłaś z nim do samochodu, kiedy był nietrzeźwy?

Mój wzrok przeniósł się gorączkowo na podjazd, gdzie spodziewałem się zobaczyć rozbite auto.

Elle pociągnęła mnie za rękaw.

– Wiem, ale nie zdawałam sobie sprawy, ile wypił. W kościele zrobił awanturę i diakon nas wyprosił. Tata zamachnął się na niego i niechcący trafił mnie. Nie chciał...

Wpadłem do salonu, gotowy ściągnąć Hankę z kanapy i... nie wiem co. Nie zastanawiałem się nad tym, co zrobić. Mike chwycił mnie za ramię.

– Hej!

Do domu wszedł tata i zobaczył całe zamieszanie.

– Co się tu dzieje?

– Hank uderzył Elle! – wrzasnąłem i próbowałem wyrwać się Mike'owi.

– To był wypadek. On nie chciał – zapewniła Elle.

– Mike, idź z Mattem do samochodu. Ja się tym zajmę – powiedział tata.

Brat właściwie wyniósł mnie na dwór. Nie byłem już małym braciszkiem, ale Mike był ciągle największy i najsilniejszy. Popchnął mnie na samochód.

– Uspokój się. Tata to załatwi.

Kiedy tata wreszcie wszedł, powiedział, że Hank jest zupełnie nieprzytomny, zbyt

pijany, żeby można się z nim porozumieć.

– Tato, on jeździ po pijaku. Elle była z nim w samochodzie. Uderzył ją.

– Zajmę się tym, Matt. Rozumiesz? Zajmę się tym – powiedział stanowczo.

Po czterech godzinach, gdy tylko wróciliśmy od ciotki Beth, ruszyłem w kierunku domu McClure'ów.

– Idź do domu, Matt – powiedział tata. – Ja z nim porozmawiam, o ile się obudził.

Ale wyrwałem się ojcu i otworzyłem szarpnięciem tylne drzwi McClure'ów.

Hank siedział w kuchni, z głową w dłoniach.

Opadłem na krzesło po drugiej stronie stołu i wycelowałem palec w jego twarz.

– Jeśli jeszcze raz skrzywdzisz Elle, powiem policji, co mi zrobiłeś. Jesteś załosnym pijakiem i jeszcze gorszym ojcem. Nie waż się jej więcej tknąć!

Hank podniósł na mnie wzrok, zupełnie zdezorientowany.

– Co?

Elle gładziła mnie po ramieniu.

– Naprawdę nic się nie stało. To był wypadek. On nawet tego nie pamięta.

– Czego nie pamiętam? – wybełkotał Hank.

– Za dużo wypileś, tatusiu. I, tak jakby, uderzyłeś mnie pięścią. Nie chciałeś tego zrobić, po prostu mnie trafiłeś.

– Musisz się pozbierać, Hank, bo inaczej będziemy zmuszeni zawiadomić o wszystkim policję – oświadczył tata, opierając się o blat i spoglądając Hankowi prosto w twarz. – Stracisz nie tylko żonę, ale i dzieci.

Elle wybuchnęła płaczem i rzuciła się na górę, a ja za nią. Za nami poszedł ojciec.

– Nie możesz tego zrobić, Dennis! – wrzasnęła Elle do ojca. – To nie jest wina tatusia. Martwi się z powodu mamy. Nie jest sobą. – Jej głos brzmiał słabutko, jak głos małej dziewczynki. – Potrzebuję go.

Tata odsunął mnie i uniósł jej brodę, żeby przyjrzeć się siniakowi.

– Wiem, że go potrzebujesz, ale dłużej tak być nie może. Komuś w końcu stanie się prawdziwa krzywda. – Ojciec przytulił Elle, ale zaraz odsunął się i spojrzał na jej brzuch. Jego oczy przeniosły się na mnie. – Nie. – Pokręcił głową, zaciskając powieki. – Nie – powtórzył. – Nie chcę o tym wiedzieć. Nie dzisiaj.

None

Dziewiętnaście lat przed wypadkiem

Elle nie wróciła do Bowdoin na letni semestr. Powiedziała, że nie może zostawić matki. Mnie powiedziała, że to z powodu ciąży – nim skończy się semestr, urodzi się dziecko. Koniec wiosny. Koniec wszystkiego. W mojej siedemnastoletniej głowie rosło przerażenie i musiałem porozmawiać o tym z ojcem. Sądząc po jego reakcji na brzuch Elle, znał prawdę. Sądząc po tym, jak mnie unikał od tamtego czasu, nienawidził mnie. Wiedziałem, że go rozczarowałem. I nie byłem pewny, co jest gorsze. Przed ciążą Elle zamierzałem studiować na którymś z prestiżowych uniwersytetów. Prawda była taka, że już college był wielkim osiągnięciem. Ojciec, chociaż przyjęto go do Dartmouth, nie poszedł na studia. Mój najstarszy brat urodził się sześć miesięcy po tym, jak rodzice skończyli liceum; moi trzej bracia też wybrali edukację zawodową. Keith był przedsiębiorcą budowlanym, Doug hydraulikiem, a Mike mechanikiem. Były to dobre ścieżki życiowe. Tyle że ja chciałem czegoś innego. Chciałem udowodnić, że mogę osiągnąć coś więcej. Tymczasem udowodniłem, że jestem na tyle głupi, że zrobiłem dziewczynie dziecko.

Z pudełkiem Cheerios w ręku opadłem na krzesło w kuchni.

– Wczoraj w nocy spadł śnieg – powiedział beznamiętnym głosem ojciec. Odezwał się do mnie pierwszy raz od wielu dni. Od tygodni. Nabrał owsianki na łyżkę.

Nie musiał mi mówić, że bym wyszedł i zamiótł podjazd. To się rozumiało samo przez się. Trzy lata temu dostał zawału serca, odgarniając śnieg. Wstałem, poszedłem do schowka na buty i płaszcze i włożyłem kurtkę.

– W domu obok źle się dzieje. – Westchnął, wypowiedziawszy tę oczywistą prawdę. Nie musiałem odpowiadać. – Matka uważa, że jeśli Hank nie przestanie pić, skończymy jako opiekunowie Elle i Christophera. Ale twoja matka nie wie jeszcze, że Elle jest w ciąży.

Zastanawiałem się, czy gula w moim żołądku przypomina jakoś wrażenie, które stwarza dziecko rosnące w łonie Elle. Czuję, że oczy ojca przeszywają moje plecy. Odwróciłem się, gotowy do walki, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Zobaczyłem, że jest smutny, nie zły.

– To skomplikuje sytuację. Nie wyobrażam sobie, żeby Alice miała jeszcze długo żyć. – Tata wypuścił powietrze. – Co zamierzacie w sprawie dziecka?

Zacząłem się jękać; zapomniałem języka w gębie.

Wstał i położył mi rękę na ramieniu.

– Byłbym hipokrytą, gdybym cię potępił, ale Elle jest taka młoda. Oboje jesteście tacy młodzi.

Czy to było rozgrzeszenie? Nie wiedziałem, ale jego gest dodał mi otuchy.

– Elle chce oddać dziecko do adopcji – powiedziałem.

Na twarzy taty ukazał się wyraz zadumy.

– Kiedy ma termin porodu?

– Pod koniec kwietnia.

Podszedł do zlewu i powiedział cicho:

– Oddanie dziecka jest trudniejsze, niż się zdaje. Kiedy mama była w ciąży z twoim najstarszym bratem, myśleliśmy o tym, ale gdy tylko poczuła ruchy dziecka...

– Elle nie chce na razie, by ktokolwiek o tym wiedział. Hank będzie w szoku, prawda?

– Tak. Nie wiem. Pewnie tak.

– Elle chce poczekać, nie mówić, dopóki Alice... no wiesz... – Aż umrze. – Nie wszystko naraz.

– Jezus. No dobrze. – Wpatrywał się przez firanki w dom McClure'ów. – To



niewiarygodne, że ona wciąż żyje. Lekarze uważali, że nie dotrwa do świąt. A jest połowa stycznia.

Parę dni później Elle wzięła moją dłoń i położyła ją sobie na brzuchu.

– Czujesz? To dziecko. To trwa już jakiś tydzień, ale teraz jestem pewna.

Nic nie poczułem. Właśnie miałem ją zbyć protekcyjnym „Tak, fajna sprawa”, kiedy poczułem lekkie poruszenie pod jej skórą.

– Cholera – powiedziałem. – Niemożliwe.

Uśmiechnęła się, jakby była w pełni zadowolona.

– Wow. To nie ty to wywołujesz?

– Nie. Ona to robi sama. Dziwnie myśleć, że mam w sobie nowego człowieka.

– Ona?

Elle wzruszyła ramionami.

– Nie martw się. Wiem, że nie możemy jej zatrzymać. Lub jego. Ale, Matt, Kocham to dziecko. Marzę, by trzymać je w ramionach i wdychać ten słodki dziecięcy zapach.

Przypomniałem sobie smród pieluch w domu mojego brata, mdły, kwaśny, okropny fetor. Serce waliło mi jak oszalałe, bo wiedziałem, że Elle nigdy nie odda tego dziecka, tak jak moja matka nie oddała mojego najstarszego brata Douga. Za rok będziemy brnąć przez życie z dzieckiem i bez przyszłości. Czuję tylko kwaśny fetor.

– Wiesz, o jakim zapachu mówię, prawda? – spytała Elle.

Chciałem się do niej uśmiechnąć, ale nie mogłem.

– Chyba tak.

– Nieważne. Rzecz w tym, że dzieci pachną życiem, a w moim domu czuć śmierć.

W szkole znowu zaczęła ze mną flirtować była dziewczyna, Donna. Nie wiem, dlaczego myślała, że jestem dobrym celem, ale zawsze kiedy szedłem do szafki, była tam, odrzucała włosy, dotykała mojej dłoni.

– W piątek jest zimowa potańcówka. Jeśli ładnie poprosisz, zgodzę się pójść z tobą.

– Spotykam się teraz z Elle – powiedziałem, ale przyszło mi do głowy, że zabrzmiało to tak, jakby to była sytuacja przejściowa, jakbym następnego dnia mógł się już z nią nie spotykać. Nie rzuciłbym Elle, kiedy jest w ciąży, i nie zamierzałem rzucać jej później. A jednak czułem coś w rodzaju ulgi, że jeśli dziecko pójdzie do adopcji, nasz związek znowu stanie się kwestią mojego wyboru. Kochałem ją, ale strasznie się bałem.

Donna zaśmiała się szyderczo.

– Elle tyje. Widziałam ją ostatnio w L.L. Bean’s. Stać cię na kogoś lepszego. Chodź ze mną na potańcówkę, proszę.

– Jestem z Elle. – Odszedłem, zastanawiając się, jakim cudem ani moja mama, ani Hank nie zauważyli, że to wcale nie zwykła tusza.

Jak zawsze po szkole, zanim wpadłem do McClure’ów, poszedłem do domu zostawić książki. Koszmar trwał – na środku salonu, który przemianowałem w głowie na umieralnię. Raz się nawet zapomniałem i powiedziałem tak na głos, ale udałem, że chodziło mi o jadalnię.

Alice wydawała z siebie gardłowe jęki, które naznaczały każdą chwilę na 43 Chamberlain Street. Pielęgniarka właśnie ją przewracała, żeby nie zrobiły się odleżyny.

– Cześć, Matt – powitała mnie pielęgniarka.

– Gdzie jest Elle?

– Na górze. Nie czuje się za dobrze. Namówiłam ją, żeby sobie ucięła drzemkę.

– Aha. – Ruszyłem po schodach, zastanawiając się, czy to przez ciążę. – Zajrzę do niej tylko.

– Mogę coś powiedzieć?

Odwrociłem się i spojrzałem na tę korpulentną kobietę.

– Hanka nie ma, a Christopher jest jeszcze w szkole, inaczej nie poruszałabym tego tematu, ale to staje się dość widoczne.

Serce mało nie wyskoczyło mi z piersi.

– Co?

Oczy jej się zwężyły i popatrzyły na mnie tak, jakbym robił z siebie idiotę, próbując ukryć prawdę.

– Słyszałam, jak mówiła matce.

Jak Elle mogłaby powiedzieć matce.

– Co pani ma na myśli?

– Robię sobie przerwy, a kiedy wychodzę zapalić, Elle zawsze siedzi przy Alice; czasem słyszę, jak do niej mówi. Posłuchaj, Elle bardzo się boi. Udaje, że radzi sobie ze wszystkim, ale tak nie jest. To tylko dziecko.

– Co powiedziała Alice?

– Obiecała, że nazwie córkę po niej – odparła.

Usłyszałem w myślach głos ojca, który mówił, że kiedy matka poczuła ruchy, nie zdołała oddać brata. Elle wybrała imię. Jezu.

– Trudno być ciężarną piętnastolatką – powiedziała pielęgniarka. – A jeszcze trudniej patrzeć, jak umiera twoja matka, nie wspominając już o ciągu alkoholowym ojca. Wiem, że ty też jesteś tylko dzieciakiem, ale musisz być przy niej, bo inaczej ona tego nie przetrwa.

Nie wiedziałem, co takiego zrobiłem, że pielęgniarce przyszło do głowy, iż mógłbym kiedykolwiek opuścić Elle. Mruknąłem coś i ruszyłem na górę po schodach. Oboje się baliśmy. To prawda. Przyjęto mnie do wszystkich college'ów, do których aplikowałem. Wciąż chciałem studiować na Columbii, ale zważywszy na okoliczności, miałbym szczęście, gdyby udało mi się dojeżdżać na uniwersytet stanowy w południowym Maine – albo chociaż do dobrej szkoły zawodowej. Byłem przepelniony urazą. Poczuciem winy i goryczy. Może pielęgniarka to zauważyła.

Uchyliłem drzwi do sypialni Elle. Poruszyła się, gdy skrzypnęły, po czym opadła znowu na poduszki. Jej koszula trochę się podniosła i ukazała brzuch ciąży. To, że moja matka niczego nie zauważyła, było absurdem. Hank miał wymówkę. Przez ostatnie kilka miesięcy ani przez chwilę nie był trzeźwy.

Nagle Elle przyciągnęła do siebie nogi, jakby przeszył ją ból, i uniosła się.

– O Boże. – Otworzyła oczy.

Usiadłem przy niej.

– Co się dzieje, Pip? Jesteś chora?

– Matt. Och. – Skrzywiła się. – Skurcze.

– Ale to chyba nie dziecko?

Objęła rękami brzuch.

– Oczywiście, że nie. Do porodu jeszcze kilka miesięcy.

Przyjąłem jej wyjaśnienie.

– Potrzebujesz lekarza?

– Chyba nie. Matt, pielęgniarka wie o dziecku. Spytała mnie prosto z mostu.

– Wiem. Musimy powiedzieć twojemu ojcu, zanim dowie się inną drogą.

– Jeszcze nie. – Mina jej się wydłużyła.

Nie wiedziałem, czy to ze strachu, czy ze wstydu, a nie chciałem pytać. Rozejrzałem się po pokoju w poszukiwaniu jakiegoś innego tematu. Ostatnimi czasy rozmawialiśmy tylko o dwóch rzeczach: jej matce i dziecku. Ten dom zamieniał się w piekło.

– W piątek wieczór jest potańcówka. Chcesz pójść?

Rozpromieniła się.

– Naprawdę?

– Pewnie. Byłoby fajnie, prawda? Pójść gdzieś. Nigdy nie byliśmy razem na żadnej szkolnej imprezie.

Uniosła brew i wskazała na swój brzuch.

– A co z tym?

– Kogo to obchodzi? I tak wkrótce wszyscy się dowiedzą. Podejźmy do tego z podniesionym czołem. – Położyłem rękę na jej brzuchu. – A jak się miewa malec?

– Jest spokojny – odparła.

Od dwóch miesięcy patrzyłem, jak jej matka wije się w cierpieniach. Nauczyłem się rozpoznawać ból, napięcie i fale, które wzbudza u dotkniętej nim osoby.

Brzuch Elle zrobił się twardy jak kamień, nabrała gwałtownie powietrza.

– Co się, u diabła, dzieje? – Ale znałem odpowiedź na to pytanie. Matka mówiła, że w czasie skurczu porodowego brzuch kobiety może stać się twardy jak granit. – Czy ty rodzisz?

– Nie – odparła. – Jest za wcześnie...

Chwyciła mnie za ramię.

– Zabieram cię do szpitala. Zaczekaj tu.

– Może do przychodni?

– Do szpitala. – Popędziłem na dół i przystanąłem w salonie. Pielęgniarka zerknęła na mnie. – Coś jest nie tak z Elle. Zaraz wracam.

Pielęgniarka pobiegła na górę, po dwa stopnie naraz.

Samochód mojej matki stał na podjeździe. Przesadziłem pokryty śniegiem płot i wpadłem do kuchni. Mama obierała marchewki i nuciła jakąś głupią piosenkę Supremes *Stop before you... break my heart*.

– Muszę pożyczyć samochód.

– Chwyciłem kluczyki z haczyka i skierowałem się ku drzwiom.

Mama odwróciła się gwałtownie.

– Nie pożyczaj cudzego, jak nie masz swojego. Muszę pojechać do...

– To nagły wypadek. Chodzi o Elle. Jest chora. Muszę ją zawieźć do szpitala.

Mama złapała torebkę ze stołu kuchennego.

– Co z nią? Gdzie jest?

Musiałem skłamać. To nie było coś, co mogłem tak po prostu z siebie wyrzucić.

– Zatrucie. Nie jestem pewny. Daj mi samochód, mamo.

– Jeśli Elle jest chora, ja ją zawiozę.

Nie wiedziałem, co zrobić, a zanim udało mi się coś wymyślić, wchodziliśmy oboje przez drzwi frontowe McClure'ów. Alice leżała nieruchomo, tak że zacząłem się zastanawiać, czy nie zdecydowała się wreszcie umrzeć. Mama przystanąła na chwilę, żeby sprawdzić co z nią, a ja popędziłem po schodach do pokoju Elle, który okazał się pusty. Wróciłem na korytarz. Mama była w trzech czwartych drogi na górę.

Pielęgniarka wyszła z łazienki.

– Musi pojechać do szpitala. Zdaje się, że to przedwczesny poród.

– Kto rodzi? – spytała mama.

Przełknąłem ślinę.

– Elle. Jest w ciąży.

Na twarzy mojej mamy pojawiło się zdumienie, ale nie zatrzymała się ani się nie zawahała. Otworzyła szarpnięciem drzwi do łazienki i zobaczyła Elle zgiętą wpół na podłodze.

- Który to miesiąc? – Mama kucnęła obok Elle.
- Piąty. Mam się jutro zgłosić na badanie kontrolne.

Mama położyła dłoń na brzuchu Elle, żeby ocenić częstotliwość skurczów. Po dwóch minutach byliśmy w drodze do szpitala. Matka odłożyła na bok zdumienie, rozczarowanie i złość i skupiła się na kwestiach praktycznych.

- Muszę skontaktować się z twoim ojcem, Elle. Wiesz, gdzie on jest?
- Proszę, nie mów mu. – Elle pokręciła głową.

Jakbym usłyszał małą dziewczynkę, nagle uświadomiłem sobie coś bardzo oczywistego, co jednak na co dzień zupełnie do mnie nie docierało. Elle jest dzieckiem. I ja też jestem dzieckiem.

- Ojciec musi wyrazić zgodę na leczenie.

Matka weszła w rolę, w której rzadko ją widywałem. Opowiadała, że jako położna widziała multum rodzących kobiet, ale jakoś nigdy nie myślałem o niej w tym kontekście, przejmującej kontrolę nie jako moja matka, ale ktoś inny.

– Przecież jestem w ciąży. Czy to nie znaczy, że mogę... w przychodni... pozwolili mi... aach. – Twarz Elle znowu wykrzywiła się z bólu.

- Gdzie twój ojciec?

Elle odpowiedziała przez zaciśnięte zęby:

- Nie wiem, upija się gdzieś.

Elle wykazała się tu sporym optymizmem. „Upijanie się” sugerowało, że w którymś momencie poprzedniego dnia Hank był trzeźwy. Albo w poprzednim tygodniu. Albo miesiącu.

Kiedy dotarliśmy do szpitala, matka chwyciła wózek i zawiozła Elle wprost na górę, na salę porodową. Trzy pielęgniarki, które pracowały z mamą, wydawały się nieco zdezorientowane. Jedna rzuciła żartobliwie:

- Zaczęłaś nam ściągać dziewczyny z ulicy, Linney?

– To mój syn, Matt. A to jego dziewczyna, Elle McClure. Jest w dziewiętnastym lub dwudziestym tygodniu i ma skurcze porodowe. Kto z położników ma dyżur?

- Blythe Clarke. Jest na zastępstwie. Wszyscy inni są na jakiejś konferencji.

– Dzięki Bogu. Elle, przebierz się w to. – Mama dała Elle koszulę szpitalną i wypchnęła mnie na korytarz.

Jej twarz nabrała surowego wyrazu. Szepnęła:

– Czemu mi nie powiedziałeś? Uczyłam cię, jak zapobiegać ciąży. A jeśli już mnie nie słuchałeś, to Elle mogła się przecież poddać aborcji. Jezu, ona ma piętnaście lat. Całe twoje życie właśnie wylądowało w koszu.

Uznałem, że to nie najlepszy moment, by ją poinformować, że kiedy robiła mi ten wykład, starałem się ze wszystkich sił nie słuchać, oraz że owszem, zabezpieczałem się – tyle że nieprawidłowo. Nie był to też właściwy moment, by informować ją, że Elle od razu odrzuciła myśl o aborcji. Choć mama była na mnie bardzo zła, jeszcze bardziej zły byłem na siebie ja, i w tamtej chwili miałem gdzieś, czy matka mi kiedykolwiek wybaczy. Było mi przykro, że ją zraniłem, zapewne zawstydziłem przed współpracownicami, ale obchodziła mnie tylko Elle.

- Nic jej nie będzie?

Mama gestem irytacji wyrzuciła ręce do góry, po czym wróciła na salę. Podążyłem za nią. Pielęgniarka zapinała pasy wokół brzucha Elle.

– Muszę znaleźć tętno dziecka. – Wodziła po brzuchu Elle urządzeniem przypominającym dysk, najpierw nad pępkiem, potem pod. Z jednego boku na drugi. Głośnik wydawał z siebie lepki szeleszczący odgłos. Pielęgniarka spojrzała niespokojnie na moją matkę.

- Krwawiłaś? – spytała mama, przejmując urządzenie i przesuwając sondę wciąż

odpowiadającą tym samym szorstkim mlaskaniem.

– Nie, mam tylko skurcze. – Elle nabrała powietrza. – O, w tej chwili.

– To skurcz porodowy, kochanie – powiedziała mama.

– Ale jest przecież za wcześnie – odparła Elle.

Jej reakcja sprawiła mi niechęć. Jak może nadal wypierać fakty. Ponieważ mama często opowiadała o swojej pracy, wiedziałem, że w pewnych okolicznościach da się zatrzymać przedwczesny poród, ale nie zawsze. Czasem dzieci rodziły się tak wcześnie, że spędzały całe miesiące na Oddziale Intensywnej Terapii Noworodków.

Mama dalej szukała tętna. Elle i ja wielokrotnie słyszeliśmy je w przychodni. Teraz nie było słyhać niczego takiego.

Mama przełknęła ślinę.

– Gdzie znajdował tętno lekarz w przychodni?

Elle wskazała miejsce na brzuchu.

– Czy czujesz ruchy? – spytała pielęgniarka.

– Nie, od wczoraj nie – odparła Elle.

Mama zacisnęła zęby.

– Idź po przenośne USG – zwróciła się do drugiej pielęgniarki.

– Co się dzieje? – spytałem, ale w głębi duszy myślałem: Co jeszcze może pójść nie tak?

– Czasem trudno znaleźć tętno – powiedziała mama.

– Czy to dlatego dziecko jest takie spokojne? – spytała piskliwym głosem Elle.

Zrozumiała, tak jak i ja, co się dzieje. Nie tylko rodziła; coś było nie tak z dzieckiem. Obszedłem łóżko szpitalne i stanąłem w miejscu, gdzie nie oddziaływały nas ani urządzenia, ani ludzie. Ukryła twarz na mojej piersi, a ja swoją w jej włosach.

Pielęgniarka wjechała z ultrasonografem i ustawiła go przy łóżku Elle. Wtedy na salę weszła doktor Clarke, z różową opaską we włosach, jakby chciała pokazać, że jest dziewczyną. Choć w tamtych czasach jej włosy nie były tak białe jak teraz, i tak wydawała mi się bardzo wiekowa.

– Co my tu mamy? Witaj, jestem doktor Clarke. Masz opiekę prenatalną, skarbie?

– W przychodni w Brunswick – odparła Elle.

Blythe zaczęła zadawać pytania. Elle i ja udzieliliśmy ponownie wszystkich informacji. Witaminy, przyjmowane. Badania krwi, zrobione. Wszystko w porządku, tak. Dziewiętnasty tydzień.

– No dobrze, zobaczymy. – Przejechała głowicą po brzuchu Elle. Na ekranie pojawił się okrągły kształt.

– To głowa twojego dziecka. – Oczy pani doktor przeniosły się z ekranu na twarz Elle i z powrotem.

– To jest klatka piersiowa. – Przełknęła ślinę.

Matka zacisnęła powieki.

Doktor Clarke wzięła głęboki oddech.

– Kiedy ostatni raz czułaś ruchy dziecka?

– Wczoraj wieczór, kiedy kładłam się spać.

Doktor Clarke położyła rękę na dłoni Elle, a drugą wskazała na monitor.

– To serce twojego dziecka. Strasznie mi przykro, ale nie bije.

Elle przyjrzała się uważnie ekranowi.

– Ale... ale... ono przecież musi bić. Chce pani powiedzieć... o nie, proszę. O Boże, proszę, nie. – Monitor pokazał wznoszącą się falę. Mimo to pisnęła: – Mówi pani, że ona nie żyje?

– Obawiam się, że tak – odparła cicho doktor Clarke.

Owładnęło mną jednocześnie mnóstwo emocji: smutek, niepokój, złość, rozczerowanie i – choć było mi wstyd – ulga. Czułem ulgę i byłem przerażony, że ją czuję. Wziąłem Elle za rękę, ale odtrąciła mnie. Tak samo zareagowała na dotyk mojej matki.

– To dość silny skurcz. Obejrzę szyjkę macicy – powiedziała doktor Clarke.

Pielęgniarka podała lekarce opakowanie sterylnych rękawiczek i śliską maź.

– Uciekaj stąd, Matt – powiedziała mama, popychając mnie w kierunku drzwi.

– Linney, zostaniesz ze mną? – spytała żałośnie Elle, a jej głos znowu zabrzmiał dziecięco.

– Dobrze, skarbie – powiedziała mama.

– A co ze mną?

– Zaczekaj kilka minut na zewnątrz – przegoniła mnie mama.

Elle otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, po czym zamknęła je z powrotem.

I tak zostałem wykluczony, bezużyteczny, dręczony poczuciem winy i smutkiem. Elle mnie tam nie chce. Chce mojej matki, jakiegokolwiek matki, bo Elle jest dzieckiem. Ja też chciałem matki, ale myślałem tylko o tym, jak mama mnie nienawidzi i jak bardzo skrzywdziłem Elle. Stałem pod drzwiami i podsłuchiwałem.

– Pełne rozwarcie. Elle, przy następnym skurczu masz przecieć, dobrze? – powiedziała doktor Clarke.

– Dobrze.

– Podajmy jej kroplówkę. Niech przyjdzie ktoś z laboratorium i pobierze krew. I skontaktujcie się z przychodnią, żeby przekazali nam jej dokumentację.

Zdawało się, że minęła wieczność, ale to było pewnie tylko pół godziny. Mama wyszła, dotknęła mojego rękawa i poprowadziła mnie korytarzem. Wpatrywałem się w nią; brakowało mi odwagi, żeby zadać pytania. Czy Elle nic nie jest? Co się stało?

Matka unikała mojego wzroku, aż znaleźliśmy się przy oknie na końcu korytarza.

– Mamo?

– Fizycznie Elle nic nie będzie.

– A co z dzieckiem?

– To była dziewczynka. Chcę, żebyś tam wszedł, do Elle, i choć to będzie bardzo trudne, powinieneś wziąć dziecko na ręce. Jeśli tego nie zrobisz, nigdy nie uwolnisz się od myśli o tym.

Miałem nogi jak z gumy. Myślałem, że wymierza mi karę – mam patrzeć na swój błąd. Wtedy mnie przytuliła.

– Kocham cię, Matt. Wejdz do środka, porozmawiaj z Elle. Ja zadzwonię do domu. Twój ojciec pewnie już wrócił z pracy. Czy on wie?

Skinąłem, myśląc, że matka zapewne zrobi mu piekło za to, że jej nie powiedział.

– Jak już rozmawiam z ojcem, przyjdę do ciebie, kiedy będziesz trzymał na rękach swoją córkę.

Moją córkę?

Elle siedziała na łóżku, blada i wymizerowana. Pielęgniarka wstrzyknęła coś do kroplówki. Elle nie podniosła na mnie wzroku, wpatrywała się tylko w swoje kolana.

– Hej – powiedziałem.

– Uważasz, że powinniśmy nadać jej imię? Nie chciałam niczego wybierać... chociaż właściwie to wybrałam. Ale ona miała należeć do kogoś innego. Zamierzałam nazwać ją Allie, po mamie – ale teraz nie wydaje się to właściwe. Sądzisz, że powinniśmy wybrać dla niej imię?

Byłem zaskoczony, ale powiedziałem:

– Tak. – Wtedy właśnie zobaczyłem dziecko, owinięte w kocyk, na kolanach Elle. Było

malutkie, miało może dwadzieścia centymetrów. Przełknąłem głośno ślinę.

– Jakie imiona lubisz? – spytała Elle.

To pytanie wydało mi się zupełnie absurdalne. Jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie. Nigdy nie zawołam jej na kolację ani nie zaśpiewamy jej *Sto lat*.

– Nie wiem.

– Powinno być wyjątkowe, bo to jedyna rzecz, jaką jej kiedykolwiek damy.

Wtedy dotarło do mnie, co się dzieje. To było dziecko – z którego mogła wyrosnąć osoba. Zabrakło mi tlenu.

– No dobrze, imię.

Elle wyciągnęła rękę i położyła mi dłoń na ramieniu.

– Nazwijmy ją tak jak ty zechcesz – zdołałem powiedzieć.

– Celina. To piękne imię, prawda? Bogini księżycy i...

– Niech będzie. – Przerwałem Elle, bo wiedziałem, że nie wytrzymam już nic sentymentalnego. Na przykład, że zawsze, spoglądając na księżyc, pomyślimy o Celinie. Już i tak wiedziałem, że tak będzie.

– Myślę, że byłaby ładna. I oczywiście mądra – powiedziała Elle.

– Genialna jak ty. – Przysunąłem się bliżej, żeby zobaczyć.

– Chcesz ją potrzymać?

Skinąłem, choć tak naprawdę nie chciałem.

Elle położyła mi na rękach kocyk i nie byłem w stanie wyczuć w nim ciężaru dziecka. Jakby w ogóle go tam nie było.

– Przepraszam, Matt. – Elle potarła oczy.

– Za co?

– To na pewno moja wina. Otacza mnie śmierć. Panuje w moim domu. W moim ciele. Wszędzie. Tak bardzo mi przykro.

Usiadłem na łóżku obok Elle i pocałowałem jej włosy.

– Nie, Pip. To nie... twoja wina. – Ja czułem się winny. Przypuszczałem, że Elle nie zdoła oddać dziecka. I miałem o to żal, ale widząc teraz Celinę, zrozumiałem, że ja też nie potrafiłbym się z nią rozstać.

Mama zapukała do drzwi, wśliznęła się do sali i usiadła na krześle w kącie. Miała zaczerwienione oczy.

– Kiedy będziecie gotowi, zaberą ją. Muszą cię niedługo przenieść do zwykłego pokoju.

– Zaberą ją? Co z nią zrobią? – Elle wzięła ode mnie Celinę i przytuliła ją mocno.

– Niektórzy decydują się na pogrzeb. Jeśli płód jest tak niedojrzały, na ogół sprawę załatwia szpital. – Mama chciała powiedzieć, że ją wyrzucą.

– Nie. Ma być pogrzeb – oświadczyłem.

– Załatwia? Boże – szepnęła Elle. – Ale pogrzeb? Nie mogę powiedzieć tacie. W obecnej sytuacji. Co zrobimy, Linney? – Zaczęła szlochać.

Przez kilka minut w wymownej ciszy sali przytulałem Elle, a ona przytulała Celinę.

W końcu mama przemówiła.

– Nie zgadzam się z tobą w kwestii informowania Hanka, ale może rzeczywiście nie w tej chwili. Zobaczą, co uda mi się załatwić ze szpitalem. Spróbuję ich nakłonić, żeby przesłali rachunek do naszego domu, nie do twojego. Jeśli nie pogrzeb, to może kremacja. My pokrylibyśmy koszty. Wtedy zrobicie z jej prochami, co zechcecie. Możecie przechowywać je w urnie albo pogrzebać czy też rozsypać nad wodą – cokolwiek postanowicie.

– Kremacja? – Mieliby ją spalić. Czuję, że zaraz zwymiotuję. – Nie ma mowy.

Elle otarła twarz.

– Niech będzie, Matt. – Po policzkach znowu pociekły jej łzy. Rozmazała je jedną ręką, drugą trzymając dziecko przy sercu. – Znasz tę piosenkę, *Woodstock*. Mówi ona: „Jesteśmy gwiazdowym pyłem”. I tak jest. Pochodzimy z pyłu kosmicznego. Wszystko na ziemi to tylko proch. – Głos jej się załamał.

Do sali weszła pielęgniarka.

– Musimy cię przenieść, Elle. Jesteś gotowa, skarbie?

– Będę za tobą tęsknić. – Elle pocałowała małą główkę Celiney i przekazała mi zawiniątko.

Mieli ją spalić, nieważne, w jaki eufemizm ubrała to Elle. Oszołomiony, szepnąłem do Celiney:

– Przepraszam.

Mama wzięła ode mnie zawiniątko i zamrugła, żeby strząsnąć łzy.

– Chodź, mały aniołku. Żałuję, że nie będę cię mogła poznać.

Od tamtego czasu starałem się co roku oglądać Perseidy. Teraz wydaje się, że to było tak dawno temu, kiedy to obserwowaliśmy je z Elle pierwszy raz w domu jej dziadka – teraz naszym domu. Niedługo po tej pierwszej wspólnej nocy poczęliśmy Celinę. W późniejszych latach jeździłem godzinami, poszukując otwartego i dostatecznie ciemnego miejsca, potem wspinałem się na dach samochodu i oglądałem widowisko świetlne. Wierzyłem, że Celina będzie wiedziała, że o niej myślę. W kolejnych latach, nie mając innej możliwości, oglądałem niebo z dachu w Nowym Jorku i tylko udawałem, że widzę delikatne nitki ognia.

Celina, nasz mały lśniący gwiazdny pyłek.

None



Po wypadku Elle  
*Dzień czwarty*

– A więc straciliście Celinę. – Jake pokręcił głową. – Przez chorobę autoimmunologiczną Elle?

– Pewnie tak. – Wziąłem z półki podręcznik, w którym był rozdział o zespole antyfosfolipidowym, i położyłem go na biurku przed Jakiem. – Mam tu dla ciebie przyjemną lekturkę, gdyby naszła cię ochota.

Otworzyłem szafkę na dokumenty i wyciągnąłem teczkę z artykułami o zespole antyfosfolipidowym w ciąży i również rzuciłem ją na blat. – Albo możesz oprzeć się na tym, co powiedział ci Clint, kiedy z nim rozmawiałeś.

– Dużo tu tego. Odrabiasz swoją pracę domową – powiedział Jake, przerzucając kartki.

– To nie jest problem neurochirurgiczny. Przed diagnozą Elle to schorzenie było tylko drobnym przypisem w mojej edukacji medycznej. Ale przez ostatnie cztery lata całkowicie zawiądnęło moim życiem.

– Jest coś jeszcze, o czym powinienem wiedzieć?

– Mojego ostatniego dziecka nie zabiła ta choroba.

– A co?

– Byliśmy w domu. Elle odeszły wody. Wszystko poszło nie tak. I to bardzo szybko. Wezwałem karetkę, ale... – Głos mi się załamał. Znowu zacząłem chodzić w kółko. – Nie dotarliśmy do szpitala na czas. Zbyt późno, żeby uratować dziecko.

Spędziłem z Jakiem wyczerpującą godzinę, omawiając to, co się stało, i dlaczego później nie chciałem próbować począć kolejnego dziecka.

Opowiedziałem mu nasze historie rodzinne, choć moją w większości już znał. Opowiedziałem mu o Elle, o tym czasie, który spędziła z dala ode mnie, kiedy nie byliśmy razem. Ta część obejmowała NASA i Adama, chociaż nie wymieniłem go chyba z imienia; powiedziałem tylko, że z nim mieszkała.

W końcu o siódmej pożegnaliśmy się.

Dzień czwarty

Wszedłem do naszej pustej kuchni i zapaliłem światło. Pod rozkładanym krzesłem kuchennym leżały buty do biegania Elle, a bostońska paproć nad zlewem przywędła z braku wody. Spodziewałem się, że nasz żółty labrador Hubble przybiegnie mnie przywitać, ale przed kilkoma dniami zabrał go mój brat Mike.

Cisza.

Elle była obecna w każdym pokoju, w wybranych przez siebie kolorach ścian, w książkach ustawionych na półkach, na naszych wspólnych zdjęciach. Zdjęciach z naszymi przyjaciółmi i tych z czasów NASA. Nie była bałaganiarą, ale też nikt by jej nie zarzucił pedanterii. Przedmioty lądowały tam, gdzie lądowały.

– Grawitacja – mawiała. – Zajmę się tym później. – Ale nie zawsze zajmowała się drobniejszymi sprawami.

Czasem znajdowałem rachunki powciskane w dziwne miejsca.

– Jesteś jak roztargniony profesor – powiedziałem kiedyś.

– Wiem, gdzie co jest. Wszystko. Przyznaję, że Martha Stewart byłaby zdruzgotana moim brakiem zewnętrznej organizacji. – Elle popukała się w skroń. – Ale tutaj mam bardzo szczegółowy algorytm.

– Oczywiście – powiedziałem, po czym wziąłem rachunki na siebie.

Wchodząc do sypialni, miałem nadzieję zanurzyć się w zapachu, który zostawiła na pościeli, ale tamtego ranka zdjęła powłoczki i zostawiła kołdrę niedbale złożoną na ławce w nogach łóżka.

Poszedłem do łazienki po nową pościel. Na blacie leżała torba z apteki. Znalazłem w niej aspirynę i zdjęcia z naszej wycieczki na Wyspę Księcia Edwarda sprzed miesiąca. Większość fotografii przedstawiała mnie. Elle uwielbiała robić zdjęcia z dużej odległości, niepostrzeżenie. Mówiła, że wtedy można odkryć ducha danej osoby, prawdę o niej.

Taka była Elle, pełna mistycyzmu i przesądów, i sprzeczności. Uwielbiałem to w niej. Świat mógł w niej widzieć ambitnego naukowca. I pewnie nim była. Ile osób zdobywa doktorat przed ukończeniem dwudziestego drugiego roku życia?

Ale zarazem moja genialna żona bała się, by czarny kot nie przebiegł jej drogi. Wypowiadała życzenie na widok spadającej gwiazdy, mimo że mogła obliczyć trajektorię orbitalnego rozpadu satelity i wyjaśnić zjawiska chemiczne i fizyczne zachodzące przy rozszczepieniu jądra atomu. I nigdy nie pozwalała, by pusty fotel na biegunach się bujał – miało to coś wspólnego z proszeniem się o śmierć dziecka. Z pustką. Mimo to straciliśmy nasze dzieci. Wszystkie, zanim się urodziły.

Dlaczego wierzyłem, że tym razem może być inaczej? Że to dziecko przeżyje... że Elle uda się pozostać przy życiu na tyle długo, by się rozwinęło? Bo tym razem musi być inaczej. Bo muszę dać jej dziecko, którego pragnie. Bo wciąż widzę, jak trzyma Celinę i szlocha. Bo tak.

Na monitorze ultrasonografu dziecko w brzuchu Elle było zaledwie cieniem. Przebłyskiem. Ale ja musiałem sprawić, by stało się realne.

Dylan był realnym dzieckiem; ważył dwa kilogramy. W szpitalu zważyli jego ciało i podali nam parametry życiowe, jakby parametry życiowe miały go ożywić. Te liczby miały być dla nas punktem zaczepienia, czymś konkretnym, co mogliśmy opłakiwać. Wziąłem syna w ramiona. Próbowałem na powrót tchnąć w niego życie. I nie udało mi się. Może to właśnie usiłuję zrobić teraz – ożywić to dziecko – ożywić na powrót jakąś część Elle. Nie wierzyłem, że dziecko przywróci jej życie, ale marzyła o potomstwie. Musiałem podtrzymać jej nadzieje

i marzenia.

Przeszukałem zdjęcia i znalazłem takie, na którym się uśmiecha. Jej szeroki uśmiech. Przepadł na zawsze. Co mam zrobić, Pip?

Kilka dni temu powiedziała, że kolejna ciąża jest warta ryzyka.

Czy była warta trzymania jej przy życiu? Czy Elle by tak myślała, czy też czepiam się kurczowo urojenia?

Wsunąłem do kieszeni na piersi zdjęcie Elle na czerwonej plaży, a pozostałe fotografie włożyłem z powrotem do reklamówki. Nagle zamarłem. Kilka dni temu pod umywalką leżał test ciążowy. Otworzyłem drzwiczki i sięgnąłem po niego. Nie ma. Rozejrzałem się wokół. Nie ma. Czyżby go zużyła? Czyżby wiedziała? Czy też może po prostu wyrzuciła go, żebyśmy się więcej o to nie spierali? Nie wiedziała. Nie mogła wiedzieć. Gdyby wiedziała, nie weszłaby na drabinę.

Nasza sypialnia była mała i minimalistycznie urządzona, pomalowana na chłodny szary. – Szarość uspokaja – powiedziała Elle. Mieściło się w niej tylko duże łóżko, strasznie krótkie jak na kogoś mojego wzrostu, ale to oznaczało, że w nocy zawsze się dotykaliśmy, co miało swoje dobre strony. Nie mogłem w nim spać bez niej, ani teraz, ani nigdy. Wziąłem kołdrę i poduszkę z zamiarem udania się z nimi na dół, na kanapę w salonie, ale kiedy znalazłem się przy drzwiach na poddasze, stanąłem jak wryty, zagubiony w odchłani tego, co się wydarzyło przez ostatnie kilka dni.

Powlokłem się na górę. Zaledwie pięć nocy temu wróciłem do domu późno po pilnej operacji przeprowadzonej w dniu, który powinienem być mieć wolny. Elle czekała na poddaszu; siedziała po turecku pod lampą podłogową, czytała pamiętniki matki i pisała w swoim.

Elle powinna wciąż tu być, ukrywać listy pod klapą w podłodze, gdzie trzymała je z dala od świata. Jaka jest szansa, że napisała tam, iż jej zdaniem życie zaczyna się w chwili poczęcia? Nikła, ale to nie miało znaczenia; nie mógłbym teraz przeglądać jej zapisków. To tu widziałem ją po raz ostatni, tu ją przytulałem, a przy tym było to miejsce, gdzie kochaliśmy się po raz pierwszy. I ostatni.

Ale jej tu nie było. A w domu panowała cisza, która odbija echem puls w uszach.

Zapaliłem lampę i wyszedłem drzwiami na taras. Czekając, aż przeleci jakiś meteor, rozłożyłem kołdrę, po czym usiadłem i spojrzałem na nocne niebo. Szczyt aktywności Perseid już minął, ale Ziemia wciąż przemierzała ten obszar kosmosu. Czego bym sobie życzył? By czas się cofnął. Powiedziałbym jej, żeby nie wchodziła na drabinę. Życzyłbym sobie, żeby dziecko przeżyło mimo nikłych szans. Albo żeby umarł we śnie i połączył się z Elle w nicości. Próżnia niemal mnie pochłonęła.

Zwinałem się na boku i zacząłem płakać. Płakałem gwałtownie, jak nigdy dotąd.

Kiedy się obudziłem, pierwsze promienie poranka barwiły niebo. Wszystko mnie bolało od twardego podłoża, od katharsis i od jaśniejszej wizji tego, co przyniesie mi przyszłość.

None

## Dzień piąty

Powinienem być się spodziewać pisma Elle na zaparowanym lustrze w łazience. Napisała: „To, co najśłodsze na świecie!”. Prawie każdego dnia Elle zostawiała parę słów na szkle i kiedy brałem prysznic, jej wiadomość mi się objawiała. Czasem był to fragment wiersza. Lubiała Dickinson, Thomasa i Rossetti. Czasem pisała po prostu: „Uratuj dziś życie” albo „Kocham cię”. A ja uśmiechałem się, po czym wycierałem lustro, zanim zacząłem się golić. Dziś wytarłem się i oparty o ścianę czekałem, aż para wyschnie. Patrzyłem, jak wiadomość miłosna od Elle znika.

Odkręciłem jeszcze raz prysznic, by para od nowa wypełniła łazienkę, ale słowa już się nie pojawiły. Para skondensowała się i spłynęła ciężkimi kroplami. Zastanawiałem się, czemu napisała tych pięć słów. Czy chodziło jej o tytuł piosenki U2, którą kiedyś w kółko puszczałem? Prawdopodobnie chciała mi w ten sposób po prostu powiedzieć, że mnie kocha. Kochała mnie. I to było najśłodsze na świecie.

Doleciał mnie zapach kawy i chleba kukurydzianego, a wraz z nimi odgłosy bieżącej wody i brzęk naczyń. W jednej chwili pojąłem, że w domu jest mama. Tupiąc głośno, zszedłem po schodach, gotowy ją wyrzucić. Zrobiłbym to, ale jej oczy były smutne i puste. Gdybyśmy nie byli po przeciwnych stronach tego sporu sądowego, moglibyśmy opłakiwać Elle razem. Mogłaby mi powiedzieć, co dało jej siłę, żeby przetrwała śmierć ojca.

Ale teraz czułem, że straciłem kogoś jeszcze – matkę. Przed tym wszystkim, przed wypadkiem Elle, byliśmy z mamą dość blisko. Ale na sali sądowej w jednej kwestii mama miała rację: Elle była jej jeszcze bliższa, bliższa niż synowa.

Czasem nawet bliższa niż syn.

Kiedy wszedłem do kuchni, mama odwróciła się ode mnie.

– Hubble jest u Mike’a. Zrobiłam ci śniadanie i...

– Sam potrafię o siebie zadbać.

– Upiekłam wczoraj udziec jagnięcy i zrobiłam ci parę kanapek. Nie martw się, usunęłam większość tłuszczu; musisz coś jeść, a przecież uwielbiasz jagnięcinę. – Wytarła blat gąbką.

– Sam potrafię o siebie zadbać – powtórzyłem.

Zachowywała się tak, jakbym wciąż zależał od jej jedzenia, jej sporządzenia, jej kodeksu moralnego, a krzątając się, nie przestawała gadać, jakby przedstawiała nastolatkowi listę wytycznych.

– Powinniśmy się teraz trzymać razem – powiedziała.

– Nie mogę się z tobą trzymać, kiedy chcesz zabić moją żonę.

Mama nabrała gwałtownie powietrza i zrobiła krok w tył.

– Nie mówisz poważnie! Kocham Elle.

– Wyjdź – powiedziałem. Przez sekundę chciałem pozbyć się jej siłą, wyrzucić ją za drzwi. Na sekundę zapomniałem, że to moja matka. Trzymać się razem? To ona nas rozdzieliła. Elle i ja wzięliśmy ślub. Co się mówi w trakcie ceremonii? „Co Bóg złączył, człowiek niech nie rozłącza”. Pewnie. Spróbujcie to powiedzieć mojej matce. – Wyjdź – powtórzyłem.

Mama udała, że mnie nie słyszy. Wytarła ręce w ścierkę, potem, niecałkiem ukradkiem, osuszyła oczy. Nalala dwie filiżanki kawy i postawiła je na stole.

– Usiądź na dziesięć minut. Zjedz coś. Nie jestem gotowa pochować również ciebie. No chodź, chleb kukurydziany to twój przysmak.

– Ale jesteś gotowa pochować Elle? Jezu. – Patrzyłem na nią przez chwilę ze złością, nie chciałem odpuścić, próbowałem ją ukarać. Wyciągnęła do mnie talerz.

Niech to szlag. Nie chciałem tracić czasu na szykowanie sobie śniadania ani zatrzymywanie

się w jakimś barze szybkiej obsługi, chwyciłem go więc i usiadłem przy stole.

– Nie jesteśmy wrogami, tylko przeciwnikami – powiedziała.

Nie odzywałem się do niej, kiedy pochłaniałem jej jedzenie i piłem wielkimi łykami jej kawę.

– Bez przerwy dzwonili dziennikarze – powiedziała, podsuwając mi kawałek papieru. – Mam nowy numer; zastrzeżony.

Zerknąłem na migającą sekretarkę.

– Może ty też powinieneś zmienić numer. – Utkwiła wzrok w swojej kawie. Rzadko unikała kontaktu wzrokowego.

Wstałem i odsłuchałem połowę z ponad dwudziestu wiadomości, usuwając je, gdy tylko rozmówca się przedstawił.

– Czemu nie zostawiać mnie w spokoju?

– Bo czują, że jakaś mała część Elle należy do nich. Kiedy poleciała w kosmos, przemówiła do wyobraźni osób, które chciały wierzyć w bohaterów. Bo ludzie nie chcą być trzymeni przy życiu wbrew swojej woli.

Posłałem mamie wrogie spojrzenie.

– Egzystencja na poziomie warzywa budzi w ludziach lęk, kochanie. Przykro mi, ale z racji swojego zawodu dobrze o tym wiesz.

– Człowiek w stanie wegetatywnym to nie to samo co cholerne warzywo, i ty powinnaś o tym wiedzieć. Elle ma uszkodzony mózg. Poważnie uszkodzony, ale jest istotą ludzką, a nie rośliną. – Wyciągnąłem dłoń. Mama ją ujęła, ale strząsnąłem jej rękę. – Oddaj mi klucze.

– Matthew, przykro mi. – Matka potarła czoło. – Myślałam, że w końcu zaczniesz wszystko widzieć jaśniej. Będę musiała zatrudnić prawnika. Po tym piątku widzę to wyraźnie. Jesteśmy po przeciwnych stronach, ale proszę, zrozum.

– Co mam zrozumieć? Co, do cholery? Że nie potrafisz nawet dopuścić do siebie myśli, że mogę mieć rację?

– Ona była przerażona tym, jak umierała Alice.

– To nie to samo. Alice czuła ciągły ból. Elle nie cierpi. Elle jest w ciąży. Alice nie była w ciąży. A nawet gdyby Elle cierpiała, poświęciłaby się dla dziecka.

– Skąd wiesz, że ona nic nie czuje? Kiedy Alice chorowała, lekarze twierdzili, że skoro jest w śpiączce, nie cierpi. Oboje wiemy, że to nie była prawda. Skąd wiesz, czy na jakimś poziomie Elle nie odczuwa bólu? Nie może ci tego powiedzieć. Co jeśli jej czaszkę rozsadza niewyobrażalny ból? Na jakimś pierwotnym poziomie. Co jeśli ona jest uwięziona w tej gehennie?

Poczułem gulę w gardle i ledwo zdołałem wyrzucić z siebie odpowiedź.

– Obejrzałem dokładnie jej EEG. Nie ma na nim żadnej aktywności mózgu, mamo. Ona jest artefaktem. – Jak ja nienawidzę tego słowa – artefakt. Z istoty Elle został tylko elektryczny artefakt. – Jej już tu nie ma.

Matka zadrżała, po czym znieruchomiała, zapewne przyswajając ogrom nieobecności Elle. Podeszła powoli do drzwi i z torebki wiszącej na klamce wyjęła klucz do mojego domu.

– Jesteś zaślepiony w tym, co robisz Elle. I sobie. – Położyła klucz na blacie. – I to mnie przeraża.

None

Dzień szósty

Ludzie bezskutecznie starają się nie gapić na ofiary tragedii. Gapią się na połamane ręce i zastanawiają się, jak to się stało. Gapią się na człowieka bez nogi. Gapili się na mnie, kiedy stałem w kolejce w kafeterii. Ale potrzebowałem kofeiny prawie jak powietrza.

Zadzwoiła moja komórka. Po krótkiej wymianie uprzejmości Jake przeszedł do sedna. Czy przeszukałem nasze papiery? Gdzie jest testament Elle?

Wykończony i zaaferowany wizytą mamy, w czasie tego pobytu w domu ostatecznie nie poszukałem niczego.

– Od naszej ostatniej rozmowy minęły dwa dni – powiedział Jake. – Musimy się przygotować do przesłuchania.

W południe znowu zostawiłem Elle z Hankiem i poszedłem do banku. W skrzynce depozytowej znalazłem nasze testamenty, akty urodzenia, akty prawne, karty ubezpieczenia – bezwartościowe bzdety. Niczego się nie da „ubezpieczyć”, a zwłaszcza naszego życia.

Prawda jest taka, że nie chciałem sporządzać testamentu. Namówiła mnie Elle. Widziałem śmierć we wszystkich jej okropnych kształtach i formach i rozumiałem jej nieuchronność. Ale przygotowywanie się na nią wymagało odwagi, a ja nigdy nie byłem odważny.

Elle była. Wystarczy wyobrazić sobie wsiadanie do wahadłowca niecały rok po katastrofie Columbii. Była przerażona. Szczęśliwa, ale przerażona. Zrobiła to jednak.

Potem powiedziała, że kiedy przypinali ją w Atlantis, myślała, że ciąży nad nią klątwa; miała tylko nadzieję, że reszta załogi nie zginie razem z nią.

– To było głupie – powiedziała. – Nie śmieć się, ale w linii genealogicznej mojej mamy od sześciu pokoleń żadna kobieta nie przeżyła więcej niż czterdzieści lat.

Wiedziałem o tym, oglądaliśmy kiedyś rodzinne groby, ale drażniłem się z nią.

– Co? Jakaś stara wiedźma rzuciła klątwę na wszystkie kobiety w twojej rodzinie?

– Nie śmieć się.

Śmiech to mechanizm obronny. Widziałem, jak umierała jej matka. Znałem dziadka Elle i widziałem u niego blizny pozostałe po wypadku, w którym zginęła jego żona.

Kiedy o tym rozmawialiśmy, Elle była w bardzo zaawansowanej ciąży z Dylanem. Ujęła moją dłoń, żebym poczuł, jak kopie.

– Nie umrę młodo. Będziemy obserwować, jak nasz syn rośnie, ale na Atlantis byłam przerażona. Myślałam, że być może skazuję na śmierć również moich towarzyszy.

Pocałowałem ją w usta, a potem pocałowałem jej brzuch.

– Będziemy rodziną. Przeżyjemy razem długie i szczęśliwe życie.

– Gdyby była mi przeznaczona wczesna śmierć, zginęłabym w czasie tamtego spaceru kosmicznego, prawda? Sporządźmy testamenty, choćby po to, żeby odpędzić złe duchy – powiedziała.

Tak więc solidarnie z nią, poszedłem do prawnika i spisałem taki sam testament jak ona – zaspokajając jej wiarę w przesady – by mogła spać spokojnie. Ale i tak straciliśmy Dylana. Ja straciłem Elle. Jedynym, co mi zostało – jedyną częścią Elle, jaka mi została – było dziecko w jej łonie.

Pojechałem do domu i przeszukałem nasz gabinet, przejrzałem papiery, wyciągi z kont, rachunki i dokumentację medyczną. Nie było w nich nic, co potwierdzałoby nasze stanowisko. Nie mogłem znaleźć jej prac ze studiów ani podręczników; może trzymała je w swoim gabinecie w Bowdoin.

W oddali rozległ się pomruk popołudniowej burzy, po chwili znad rzeki do domu dotarł wiatr. Skierowałem się na górę sprawdzić, czy okna są zamknięte i przejrzeć dzienniki Elle. Nagle na poddaszu coś huknęło, więc popędziłem po schodach. Francuskie drzwi prowadzące na taras, miotane podmuchami wiatru, przewróciły lampę podłogową. Zamknąłem je na zasuwę, po czym schyliłem się, żeby podnieść lampę, której żarówka się rozbiła. Świetnie. Po prostu świetnie. Odsunąłem drobne kawałki szkła i otworzyłem klapę w podłodze. Elle trzymała pamiętniki swoje i matki we wnęce w podłodze poddasza. Był to jeden z wielu sekretnych schowków w tym starym domu – pamiątka po przemycającym alkohol pradziadku. Pamiętniki Alice nie były ważne. Potrzebowałem tylko zapisków Elle. Znalazłem setki, może nawet tysiąc, listów, znacznie więcej, niż się spodziewałem. Zastanawiałem się, od czego zacząć, czy układała je chronologicznie, czy też wciskała do schowka jak leci. W pewnym momencie zaczęła pisać w zeszytach i tych było może z siedemdziesiąt. Jezu, co jeśli pisała o Adamie i ich wspólnym życiu, ich pożyciu seksualnym.

Ja też miałem inne związki w latach, które spędziliśmy z Elle osobno, fascynowały mnie inne kobiety, ale nie chciałem wiedzieć o niej. Z nim.

Odsunąłem od siebie tę myśl; miałem w końcu szukać tylko jednej rzeczy: dowodu, że unieważniła swoje oświadczenie woli. W głębi duszy wiedziałem, że jest mało prawdopodobne, by to zrobiła. Elle była naprawdę głęboko przeciwna, by pozwolić tak umierać, jak umierała jej matka. Wyjąłem dzienniki i zeszyty w marmurowych okładkach i rzuciłem je na podłogę, bo w kieszeni rozdzwoniła mi się komórka. Wyciągnąłem ją, spodziewając się, że to szpital. Nie miałem racji. To tylko znowu Melanie.

– Cześć, Mel – powiedziałem.

– Przyjdź do nas na obiad. Robimy grilla. Tylko kukurydzę i burgery. Dobrze ci zrobi, jak spędzisz trochę czasu na świeżym powietrzu.

– Dzięki za zaproszenie, ale muszę wyszukać pewne dokumenty dla mojego prawnika. Innym razem.

Rozłączywszy się, spojrzałem na ogromną stertę. Przesiedzę nad tym całą noc. Albo i dłużej. O wiele dłużej. Potrzebowałem przede wszystkim kawy i zapewnienia, że stan Elle nadal jest stabilny, zadzwoniłem więc do szpitala. Pielęgniarki powiedziały, że nic się nie zmieniło, a potem do telefonu podszedł Hank i potwierdził to. Zgodził się zostać tam na noc.

Pominałem większość wczesnych wpisów Elle i skupiłem się na tych, które powstały po naszym ślubie. Trochę dziwnie było czytać listy adresowane do „Matta”. Jeszcze dziwniejsze było to, że czasem zdawała się rzeczywiście zwracać do mnie. Większość wpisów była pełna miłości. Kilka nie; jeden – napisany po tym, jak utknąwszy w szpitalu, zapomniałem do niej zadzwonić, inny po tym, jak ją wystawiłem, bo zważyło się na mnie w pracy mnóstwo papierkowej roboty. Inne wpisy pełne były sentymentalnych głupstw. I upajałem się nimi, zapomniawszy, że mam przed sobą zadanie, muszę znaleźć określoną treść, coś na temat testamentu życia.

Około północy zniosłem papiery do salonu i po pewnym czasie zasnąłem, śniła mi się Elle w moich ramionach i jej głos, gdy czyta mi listy.

*2 października 2004*

*Matt,*

*Rano staniemy razem przed naszymi przyjaciółmi i rodzinami i przyrzekniemy sobie nawzajem. Powinnaś się denerwować. Powinnaś się martwić, czy postępuję słusznie.*

*Tymczasem czuję niesamowity spokój.*

*Decyzja, żebyśmy dziś spali osobno, to największy absurd, jakiego się w życiu dopuściłam. Oto pewna prawda, w jednej kwestii Kościół katolicki ma rację: Małżeństwo to jedyny sakrament, którego nie udziela ksiądz. Przewodniczy mu, ale sakramentu udziela kobieta mężczyźnie i mężczyzna kobiecie. Ja poślubiam Ciebie. Ty poślubiasz mnie. Tylko z tego powodu chciałam wziąć ślub w kościele, dlatego upierałam się przy tym, chociaż nieczęsto chodzę na msze. Wierzę w to, że zawieramy to małżeństwo między sobą, jak w nic innego.*

*Kochałam Cię całe życie. Nigdy w to nie wątp. Nawet kiedy nie widziałam prawdy, kochałam Cię. Czulałam Cię w mojej duszy. Tak więc ten ślub jutro rano jedynie przypieczętuje to, co zawsze widziałam jako swoje przeznaczenie. Nasze przeznaczenie. Kocham Cię, Matthew. I będę Cię kochać do końca życia. I dłużej.*

*Ucałowania,*

*Pip*

None



Dziewiętnaście lat przed wypadkiem

Postanowiłem zostać lekarzem po tym, jak po raz pierwszy w życiu zobaczyłem cud medyczny. Miałem siedem lat. Byłem z rodziną na pikniku nad jeziorem Sebago i mój wówczas dziesięcioletni brat Mike zeskoczył do wody z liny, na której się huśtał. Nie wynurzył się, żeby zaczerpnąć powietrza. Tata zanurkował i wyłowił go, bezwładnego i sinego. Mama zrobiła mu sztuczne oddychanie z masażem serca – pełną resuscytację krążeniowo-oddechową. Dwa dni później, z podbitym okiem i dziesięcioma szwami, Mike wrócił ze szpitala.

Nie wszystkie zakończenia są szczęśliwe, ale zrozumiałem to dopiero po ponad dziesięciu latach. Alice umierała. W ostatnich tygodniach wszystko poszło nie tak. Najpierw Elle straciła dziecko, a potem pielęgniarki hospicyjne zadzwoniły do opieki społecznej.

Patrząc na to z perspektywy czasu, trudno uwierzyć, że wcześniej nie zgłosiły tego, co działo się w domu McClure'ów. Może tłumaczyły sobie, że cały czas są tam moi rodzice albo że Christopher i Elle nie są maltretowani fizycznie. Ale Hank zaczął znikać na całe dni.

Po kilku tygodniach hospicjum zawiadomiło opiekę społeczną o zaniedbywaniu dzieci, podając jako przykład okoliczność, że pod nieobecność Elle, kiedy Christopher wrócił ze szkoły, w domu nie było nikogo, kto mógłby się nim zająć. Nie powiedziano gdzie i dlaczego była wtedy Elle, tylko że nie było jej w domu. Pielęgniarka opiekowała się jej umierającą matką, ale nie odpowiadała za ośmioletniego chłopca. Tamtej nocy Hank w ogóle nie wrócił do domu ani nie zadzwonił. Pielęgniarka poinformowała, że zazwyczaj wygląda, jakby był nietrzeźwy.

Nim to się stało, moi rodzice też się spierali, czy nie zadzwonić do władz.

– Zanim Matt i Elle stracili głowę – powiedziała mama – mogliśmy przygarnąć dzieci, ale teraz nie możemy mieć Matta i Elle pod jednym dachem. Nie uda nam się ich upilnować.

– Kiedy McClure'owie mieszkają tuż obok, też nie jesteśmy w stanie ich upilnować – odparł tata. – Co za różnica?

Wspominałem, że przez kaloryfer w mojej sypialni słyszałem wszystko, co mówiło się w kuchni? Słowa rodziców żądliły mnie niczym stado szerszeni.

Nadal co dzień po szkole chodziłem do domu McClure'ów. Elle szybko odzyskała smukłą sylwetkę. Pragnąłem jej, ale ona mnie nie chciała. Powiedziała, że boi się znów zająć w ciąży. Już raz wszystko zepsuliśmy. Nie chciała stosować pigułki, bo obawiała się, że dostanie raka piersi, jak matka. Łącząca nas fizyczna i emocjonalna więź wygasiała, w miarę jak uwaga Elle coraz bardziej skupiała się na stanie Alice.

– Pozwól jej odejść, tatusiu – błagała Elle. – Przestańmy ją karmić. Gdyby mamusia nie miała sondy... wreszcie zaznałaby spokoju. Spójrz na nią! Proszę! Ona cierpi. Czy nie mogą chociaż dać jej więcej leków?

Elle błagała pielęgniarki. Błagała Hanka. Ale Hank, kiedy nawet pojawiał się w domu, był tak pijany, że nie widział tego, co widzieli wszyscy wokół. Pewnie o to mu właśnie chodziło.

Raz, kiedy pielęgniarka wyszła na dwór zapalić, Elle spróbowała otworzyć zamknięte na klucz pudełko z lekami. Gdy pielęgniarka wróciła, zagroziła, że zawiadomi policję. Może to wtedy hospicjum uznało, że ta rodzina jest w poważnych tarapatach.

– Co zamierzałaś zrobić? – wrzasnąłem, kiedy Elle opuszczała gniewnie pokój.

– Chciałam tylko dać mamie dość leku, żeby uśmierzyć jej ból. To okropne. Tak samo złe jak tortury. Czemu oni nie pozwolą jej odejść? Czemu lekarze tego nie przerwą? Tata może upijać się do nieprzytomności, ale mamie pozwala cierpieć.

– Co według ciebie powinni zrobić? Pomóc jej umrzeć? Zabić ją z litości?

Elle odwróciła się do mnie na podjeździe.

– Naprawdę uważasz, że to byłoby złe? Gdybym to była ja, chciałabym umrzeć.

Stawała mi się obca, kiedy się tak zachowywała; jej oczy były rozbiegane, jakby siedziała uwięziona w płonącym pokoju.

– Muszę się uczyć do sprawdzianu półsemestralnego z matmy – powiedziałem, odchodząc, nie chcąc uczestniczyć w tym, co się może wydarzyć.

Minął kolejny tydzień. Hank zniknął na trzy dni.

Wtedy to się stało.

Elle nie powiedziała mi nawet, że go nie ma. Prawie przestaliśmy ze sobą rozmawiać. Dowiedziałem się w domu, kiedy wróciłem ze szkoły. Mama zostawiła na stole kartkę:

*Znaleźliśmy Hanka. Tata wziął go na detoks. Pielęgniarka hospicyjna zawiadomiła opiekę społeczną. Pojechałam do Portland zobaczyć, czy uda mi się uchronić Elle i Christophera przed opieką zastępczą.*

Przeskoczyłem płot między naszymi podjazdami. Drzwi otworzyła pielęgniarka.

– Nie miałam wyboru. Jestem prawnie zobowiązana informować o zaniedbaniu i przemocy w rodzinie. Twój rodzice starają się chronić dzieci, ale sytuacja jest tragiczna.

W głębi zobaczyłem Alice, była jeszcze bardziej wychudzona i z trudem oddychała.

– Nie powiedziałam opiece społecznej o ciąży Elle – dodała pielęgniarka. – A jeśli twoi rodzice zgłoszą się na opiekunów, powiem, że to najlepsze rozwiązanie. To oczywiste, że twoi rodzice kochają te dzieci. Ale, Matt, nie możecie pakować się z Elle w tarapaty. Gdyby coś się znowu stało, gdyby ktoś się dowiedział, oboje na pewno wyładowałiby w rodzinie zastępczej.

– Nic się nie stanie. Elle nie pozwala mi się już do siebie zbliżyć – powiedziałem.

Weźmy jedną nieletnią dziewczynę po przebytej ciąży i jednego napalonego nastolatka w ostatniej klasie liceum i mamy impas, w którym znaleźliśmy się z Elle. Ojciec groził, że zabierze moje oszczędności na college. Matka groziła mi kastracją. Elle kulila się za każdym razem, kiedy próbowałem jej dotknąć. A Alice gnła. Mijał dzień za dniem, a Alice nie umierała. Zdawało się, że nigdy nie umrze.

Koło dziesiątej wieczór mama przyszła do domu z Christopherem i Elle. Elle miała czerwoną twarz, a oczy spuchnięte. Christopher był umazany gilami.

Mama kręciła głową. Tata przywołał mnie i zaniósł Christophera na górę do mojego pokoju. Położywszy go na górnym łóżku, powiedział:

– Jest przestraszony. Chcę, żebyś tu z nim został.

Wyszedłem za ojcem na korytarz.

– Pozwól mi najpierw porozmawiać z Elle.

Tata położył mi rękę na piersi i odepchnął mnie.

– Musisz iść spać. Rano masz szkołę. Matka odprowadzi Elle do domu. Jest tam pielęgniarka, a pracownik opieki społecznej powiedział, że w tej sytuacji Elle może być u siebie.

Nie miałem rano szkoły. Był piątek wieczór, ale kiedy otworzyłem usta, żeby zaprotestować, Christopher zaczął się wydzierać:

– Tu jest za wysoko! Chcę do Elle!

– Idź. Zostań z nim – powiedział tata. – Mama zajmie się Elle.

Nadał się, wróciłem do Christophera.

– Już dobrze, dzieciaku. Jestem tu.

– Chcę do Elle.

– Ja też. – Zdjąłem koszulę i wśliznąłem się pod flanelową pościel na dole.

– Tu jest za wysoko – powiedział Chris. – Mogę spać z tobą?

Jedynym McClure'em, z którym chciałem spać, była Elle.

– Nie. Masz tam barierkę. Nie spadniesz.

– Proszę, mogę z tobą spać?

– Łóżko jest za małe – odparłem.

Było dla mnie za małe i bez niego.

– Elle by mi pozwoliła – nudził.

Cholera. Elle pewnie też słyszy w kuchni jego jęki.

– No dobra – powiedziałem więc, żeby go uciszyć.

Jego nogi zawisły nade mną i stanął mi na ręce. Po kilku minutach układania się zajął miejsce przy ścianie. Spoglądałem przez okno na dom McClure'ów, aż mama odprowadziła Elle. Spodziewałem się, że mama zaraz wróci, ale nie widziałem, jak przyszła.

Rano robiła chleb kukurydziany i smażyła bekon. Usiadłem ciężko przy stole.

– Christopher chrapie.

Mama postawiła przede mną filiżankę kawy. Nieco zdezorientowany, powąchałem ją. Nigdy wcześniej nie dawała mi kawy, choć od czasu do czasu sam wypijałem filiżankę.

– To dla mnie?

Nie odpowiedziała.

– Mamo? Wszystko w porządku?

Spojrzała na mnie, jakby dopiero teraz mnie zobaczyła.

– Pijesz kawę? – spytała. A potem, zanim zdążyłem odpowiedzieć: – Lepiej się pospiesz.

Spóźnisz się do szkoły.

– Jest sobota.

Rozległo się pukanie do drzwi i weszła pielęgniarka.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale... – Odchrząknęła. – Jaką godzinę temu zmarła Alice McClure. Elle strasznie rozpacza.

Nawet po miesiącach modłów o spokój dla matki Elle nie była przygotowana na ten cios.

Nigdy nie jesteśmy przygotowani.

None

Rok przed wypadkiem Elle

Leżeliśmy z Elle w łóżku i omawialiśmy różnice między płciami. Po typowych i oczywistych komentarzach natury anatomicznej, takich, jakimi wymieniają się kochankowie, rozmowa przeniosła się w sferę psychosocjologii, duchowości i – frazesów. Powiedziałem, że mężczyźni są bardziej agresywni, a kobiety bardziej troskliwe.

– Kobiety są silniejsze, bardziej pewne siebie – odparła Elle.

– Skąd ten pomysł? – Napiąłem mięsień.

– Nie, nie, mężczyźni produkują testosteron, dzięki czemu mają potężne mięśnie – nawiasem mówiąc, całkiem niezły – które podkreślają ich autorytet. Mimo to są niepewni siebie. Chcę powiedzieć, że wy – nie mówię tu konkretnie o tobie, ale o was ogólnie – musicie panować nad wszystkim, czego nie rozumiecie. Mężczyźni nie rozumieją kobiet, więc je sobie podporządkowują. Twoja płęć nie chce nawet czytać książek ani oglądać filmów, w których bohaterką jest kobieta; to budzi w nich lęk, a kiedy mężczyźni czują się w jakiejś kwestii gorsi, ukrywają to.

– He?

– Wy, i znowu mam tu na myśli mężczyzn w ogóle – uniosła brwi i dotknęła mnie wymownie – gdybyście mieli problem z erekcją, rzecz jasna nie dotyczy to ciebie... Ale gdyby jakiś mężczyzna miał taki kłopot, czy powiedziałby o tym kumplom z siłowni? Nie sądzę. Nie, przybrałby maskę jeszcze większego macho, chwaliłby się swoimi podbojami i udałoby mu się wszystkich przekonać, że prawdziwy z niego uwodziciel.

– Oczerniasz mnie.

– Nie. Ty nie masz takich problemów. Jak widać. Pozwól, że podam ci inny przykład, trochę nam bliższy. Gdyby kobieta nie mogła donosić ciąży – a jest to coś, co wpędza nas w taki sam kompleks niższości jak impotencja mężczyzn – co by zrobiła? Co ja zrobiłam? Znalazłam inną kobietę, która przeżyła coś podobnego, i razem walczymy ten temat bez końca. Mężczyźni tego nie potrafią. Nie są dość pewni siebie.

– Albo, tak jak powiedziałem, kobiety są z natury troskliwe. Troszczycie się o siebie nawzajem. To to samo. Zawsze się we wszystkim zgadzamy. Zauważyłaś?

Walnęła mnie poduszką w głowę.

Kobietą, którą znalazła Elle, była Keisha Sudani. Niemożność urodzenia dziecka była jedną z ich niewielu cech wspólnych. Keisha nie mogła zajść w ciążę, a Elle nie mogła jej donosić. Obie wykładały w Bowdoin, Elle fizykę i astronomię, a Keisha women's studies. Elle spędzała każdą wolną chwilę na dworze, biegając, pływając, grzebiąc w ziemi w ogródku. Tymczasem Keisha mogłaby zanurzyć rękę w ziemi, gdyby tylko dzięki temu miała zajść w ciążę. Próbowwała wszystkiego, od in vitro, ziół i akupunktury, po sposoby ludów południowego Pacyfiku. Był to jeden z przypadków bezpłodności niediagnostowalnej. Wszystko było idealnie, tyle że Keisha i jej mąż z całego serca pragnęli dziecka – tak samo jak Elle i ja.

Po wypadku Elle  
*Dzień siódmy*

Spędziwszy ostatnich kilka miesięcy w Nowej Zelandii, Keisha przyjechała do szpitala prosto z lotniska, a jej ciemnogrnatowe oczy wypełniły się łzami, kiedy dotknęła ogolonej głowy Elle.

– Moja ty dziewczyno, co też oni ci zrobili – wyszeptala z tym swoim miękkim akcentem. Potem, spotkawszy się ze mną wzrokiem, spytała: – Jak się czuje dziecko? I ty?

– Ja jakoś sobie radzę. Z... – słowo „ciąża” zamarło mi na ustach – ...dzieckiem wszystko w porządku – wyjąkałem. Ale tak o tym myślałem – ciąża. Elle jest w ciąży.

– Mów, czego potrzebujesz, zrobię wszystko – powiedziała Keisha.

– Czy możesz zeznać w sądzie, że Elle chciałaby, by to dziecko przeżyło?

– Nie, ona by tego nie chciała. – Keisha przełknęła ślinę. – Ona by się przy tym upierała. Nie rozumiem, jak twoja matka może w ogóle rozważyć odłączenie Elle od aparatury podtrzymującej życie, kiedy w jej brzuchu rośnie dziecko.

W myślach zobaczyłem, jak Elle bierze moją rękę i kładzie ją sobie na brzuchu, żebym poczuł, jak kopie Celina... i jak kopie Dylan. Dzięki niej nawiązywałem więź z dzieckiem w jej łonie. Przy tym dziecku Elle nigdy tak nie robi. I przyszło mi do głowy, że bez Elle mogę nigdy nie poczuć tej więzi. Uświadomiłem sobie, że będę musiał wychować dziecko sam. Uświadomiłem sobie, że dotąd w ogóle nie wybiegałem myślami tak daleko.

– Matthew, co się stało?

– Nie – odparłem. – Dziękuję. I czy... mogłabyś zająć się jej gabinetem w Bowdoin? Spakować rzeczy? Jeśli znajdziesz coś, z czego można by wywnioskować, jak chciałaby postąpić w takiej sytuacji...

– Będę miała oczy otwarte. – Odwróciła się znów do Elle. – Ten widok łamie mi serce. – Pochyliła się i pocałowała Elle w czoło. – Kocham cię, najdroższa przyjaciółko.

Miałem dwoje sprzymierzeńców: Hanka i Keishę. Ale przeciwnicy mieli przewagę liczebną. Christopher i jego żona Arianne, nieśmiała nieduża blondynka, przyszli zobaczyć Elle, zostali cztery czy pięć minut, a potem opuścili gniewnie pokój. Moi wszyscy trzej bracia przychodzili pojedynczo, a czasami razem, by mi przypomnieć, jak Alice McClure gnła miesiącami w swoim salonie-umieralni. Doug od razu po liceum przeprowadził się do Vermontu i jako że był najstarszy, a ja najmłodszy, nigdy nie byliśmy ze sobą blisko. Objął mnie ramieniem.

– Matty, to koniec. Pozwól jej odejść. Nie patrzysz na to obiektywnie.

– To nie koniec – odparłem. – Póki Elle jest w ciąży, to nie jest koniec.

Keith stosował inną strategię: mama i poczucie winy, które powinno mnie dręczyć, ponieważ się jej postawiłem. Postawiłem? Jakbym był nieposłusznym nastolatkiem, a nie dorosłym mężczyzną. No i Mike – on zawsze, kiedy wchodził do pokoju Elle, zalewał się łzami i pochlipując, bełkotał, że ona nie powinna leżeć w tym łóżku. Powiedziałem mu, żeby więcej nie przychodził. Jeśli ktoś powinien płakać, to ja. Ale ja nie mogłem. Musiałem demonstrować pewność siebie.

Mike przychodził jednak dalej i byłem mu za to wdzięczny. On jeden, choć był przeciwny utrzymywaniu Elle przy życiu, rozmawiał ze mną o innych sprawach. Wciąż przecież byliśmy rodziną.

Między wizytami chciałem tylko siedzieć w kącie pokoju szpitalnego Elle i słuchać jej

głosu, który schronił się w pamiętnikach.

Tymczasem ludzie przychodzili falami, moja rodzina, rodzina Elle, lekarze – ci, których ja powołałem na świadków, i ci, którzy mieli zeznawać na rzecz mojej matki.

Także ksiądz, ojciec Meehan, w czarnych spodniach i czarnej koszuli z koloratką, milcząc, stanął w drzwiach. Miałem mu się przyznać, że był ostatnią osobą, o której pomyślałem? Nie wierzyłem, że dusza Elle wymaga zbawienia ani że jakieś zakłęcie będzie coś znaczyło dla Boga Wszechmogącego, Ojca, Syna czy Ducha Świętego. Czuję się jak hipokryta, wykorzystując ojca Meehana, by móc w sądzie przysiąc na Biblię, że Elle była w stanie łaski bożej i że w utrzymaniu jej przy życiu przejawia się jej prawo do praktykowania religii wynikające z pierwszej poprawki. A jednak wyciągnąłem rękę do księdza i skłamałem – lub też nie. Kto to wie? W moich oczach Elle była dobrą kobietą i nigdy nie przyszło mi do głowy, że po śmierci mogłaby pójść gdziekolwiek indziej niż do nieba. Nie wspominałem, że nie jestem pewny, czy takie miejsce w ogóle istnieje.

Ksiądz udzielił jej sakramentu chorych, modląc się i namaszczając ją olejkiem. Gdy odwrócił się do wyjścia, nie wiem, co we mnie wstąpiło, że opadłem na fotel i zacząłem szlochać.

Zmarszczył czoło i przyciągnął drugi fotel do mojego. Przez kilka minut nic nie mówił, a ja płakałem z twarzą ukrytą w dłoniach. W końcu powiedziałem:

– Przepraszam.

– Pamiętam wasz ślub – odezwał się. – Nie udzieliłem ślubu zbyt wielu astronautkom. Od tamtego czasu właściwie nie bywaliście na mszach. Elle przyszła raz tej wiosny.

Wyciągnąłem chusteczkę z pudełka na stoliku nocnym i wydmuchałem nos.

– Po śmierci Dylana.

Przytaknął i milczał przez chwilę, po czym znowu się odezwał.

– Czy to dlatego straciłeś wiarę, Matt?

– Nie wiem – odparłem. – Może nigdy jej nie miałem.

Ojciec Meehan pokręcił głową, może ze złością, może z litością.

– Rozmawiałem z twoim prawnikiem – powiedział. – Chce, bym zeznał, że jesteście z Elle praktykującymi katolikami, i pewnie dlatego tu jestem. Na pokaz.

Przełknąłem ślinę.

– Nie tylko. Ale Elle chciałyby dać temu dziecku szansę. Chciałyby modlitwy.

Zdawało się, że waży moje słowa.

– A ty? Czy ty chcesz dać szansę temu dziecku?

– Oczywiście. Pragnęliśmy dzieci. – Zawahałem się. – Wiem, że sprawiam wrażenie obojętnego, ale proszę zrozumieć, że moja żona... odeszła... straciłem ją, a ja jestem... zdruzgotany i bardzo zmęczony. Ale chcieliśmy mieć dzieci. Zawsze chcieliśmy mieć dzieci.

– Widzisz, z mojej strony wygląda to tak. Rozumiem, że martwisz się, czy to dziecko się urodzi. I że poza tym – wzruszył ramionami – chyba nic nie ma dla ciebie znaczenia, ale oddaliłeś się od Kościoła.

– Niech ojciec nie karze tego dziecka za mój brak gorliwości religijnej – powiedziałem. – Elle nie chodziła regularnie do kościoła, ale wierzyła w Boga. Może wszystko byłoby łatwiejsze, gdybym ja też wierzył.

– Wiem, że Elle wierzyła. Nie chodziła często na mszę, ale przychodziła do mnie nieraz porozmawiać o straconych ciążach. Wierzyła, że życie zaczyna się w chwili poczęcia. Kiedy powiem to w sądzie, nie będę kłamał. Będę zeznawał – dla niej – dla dziecka. Ale chciałbym cię o coś poprosić.

– Zrobię wszystko. – Byłem gotowy zawrzeć pakt z diabłem albo z jego nemezis.

Wszystko jedno.

– Kiedy dziecko się urodzi, chciałbym, żebyś wrócił do Kościoła. Wróc, nawet jeśli na początku bez wiary. Zachowuj pozory i miej otwarte serce. Ochrcij dziecko. Zobowiąż się, że będziesz je wychowywał w duchu wiary. Widzisz, ja też chcę, żebyś dał temu dziecku szansę.

W sumie było to drobne ustępstwo. Kto by pomyślał, że targowanie się przybierze tak konkretną formę?

– Mam chodzić do kościoła. Dobrze.

Ojciec Meehan uniósł rękę i zrobił znak krzyża.

– Ta niedziela byłaby dobrym początkiem.

None

Dzień ósmy

Kiedy do pracy przystępuje nowa zmiana, szpital nie jest spokojnym miejscem. Pielęgniarki zachowują się tak, jakby to był zwykły dzień w biurze; zapominają, że powinny cicho witać się z koleżankami. Czasem daje się słyszeć narzekanie na nadmiar pracy przewidzianej na nadchodzący dzień, a potem rozpoczyna się przemarsz.

Pielęgniarka z nocnej zmiany i jej koleżanka z dziennej podeszły do łóżka Elle; ta pierwsza przekazywała zmiennicze raport, a jednocześnie obie sprawdzały kroplówki, wszystkie ustawienia, rurki i zapisy na monitorach.

Podźwignąłem moje sztywne ciało z fotela i skierowałem się do pokoju lekarza dyżurnego. Praca w szpitalu miała swoje dobre strony, można było na przykład wziąć gorący prysznic i ogolić się, nie opuszczając budynku.

Kiedy wróciłem, na moim fotelu siedziała matka, z łokciami na kolanach i głową w dłoniach. Mój wzrok przeniósł się błyskawicznie na respirator i monitor Elle – te same ustawienia, prawidłowy rytm zatokowy. Nabrałem powietrza i stałem w milczeniu, czekając, aż mama na mnie spojrzy. Ale nie zrobiła tego. A po chwili zdałem sobie sprawę, że zawsze płacze w ten sposób, w ciszy, z ramionami unoszącymi się niemal niezauważalnie.

– Wszystko w porządku? – spytałem mimo mojego głębokiego gniewu, niechęci i wściekłości. Lista była długa.

Podniosła głowę zaskoczona, otarła pospiesznie łzy i skinęła. Miała na sobie ubranie operacyjne, a na nim biały fartuch, włosy związane w luźny kok.

– To okropne – wskazała na Elle. – Nie powinno tak być. Elle. Elle – powtórzyła jej imię niczym refren.

Część mnie chciała wyrzucić mamę. Ale druga część chciała ją przytulić i uwolnić żal i przerażenie narastające pod maską opanowania.

– Nie – powiedziałem. – Nie powinno tak być. Ale tak jest. Bo na szali wciąż leży ludzkie życie.

– Nie to miałam na myśli... chciałabym cofnąć czas o miesiąc. Chciałabym, żeby znowu była zdrowa.

– Wreszcie. Coś, w czym się zgadzamy. – Poczulem, że moja determinacja słabnie. – Pracujesz dziś?

Skinęła.

– Staram się, ale... cóż...

– Nie mów mi tylko, że przysłali cię tu, żebyś zbadala tętno płodu.

Mama mi się przyjrzała.

– Byłam na oddziale, pracowałam – powiedziała. – Pacjentka przeczytała moje nazwisko na plakietce i spytała, czy jestem spokrewniona z „astronautką”. Kiedy powiedziałam, że tak, kazała mi się wynosić – nazwała mnie zabójczynią dzieci. Mnie?! Miałam już wiele zwariowanych pacjentek. Jednej szesnastolatce nie spodobało się, kiedy kazałam jej przeć z całej siły, i chwyciła mnie za gardło, tak że zostały odciski palców, ale nikt mnie nigdy nie oskarżył o coś tak potwornego jak dzieciobójstwo.

– To co tu robisz? Chcesz, żebym ci powiedział, że jesteś święta? Nie znajdziesz u mnie wsparcia. Mylisz się w kwestii Elle.

Mama nie patrzyła na mnie. Głaskała rękę Elle.

– Nie myślę się. Ona nie chciała w ten sposób umierać. – Pochyliła się i pocałowała ją w czoło. – Kiedy Alice umierała, nie zrobiłam nic. Nie przeciwstawiłam się Hankowi. Nie



naciskałam na onkologów. Nie poszłam do dyrekcji hospicjum. Trzymałam język za zębami jak grzeczna uczynna pielęgniarka. W tamtych czasach pielęgniarki milczały. Nie dochodziły swoich praw. Wtedy nie miałyśmy jeszcze głosu w zespole. Wychowano mnie zgodnie z zasadami starej szkoły, jak to mawiają dziś młode koleżanki. Potem zawsze żałowałam swojego milczenia, bierności. Zawiodłam najlepszą przyjaciółkę. Pozwoliłam jej cierpieć. – Mama masowała dalej rękę Elle. – Nie zrobię tego Elle. Będę bronić jej i tego, co jest słuszne. I przykro mi, że to oznacza sprzeciw wobec ciebie. – Mijając mnie w drodze do drzwi, mama drżała. – Kocham cię, Matt. Nie zapominaj o tym. Ale kocham też Elle.

Hank był zwykle schludnie ubrany w wyprasowane ciuchy prosto z pralni, ale kiedy przyszedł tym razem, wyglądał tak, jakby spał w ubraniu. Zacząłem węszyć. Było od niego czuć old spice'a, ale nie wyczułem piwa ani innego alkoholu. Pokręcił głową.

– Nic nie piłem.

– W porządku – powiedziałem, ledwie skrywając zwątpienie.

– Naprawdę. Wyglądam tak, bo właśnie wysiadłem z samolotu. Wczoraj wieczór poleciałem do Houston.

– Po co?

– Do Adama – odparł szyderczo Hank.

Wiedziałem, że nigdy nie lubił Adama; zawsze sądziłem, że to dlatego, iż Adam jest ponad dziesięć lat starszy od Elle, a ona miała tylko dwadzieścia lat, kiedy z nim zamieszkała.

Szczerze mówiąc, ja też nigdy nie lubiłem Adama. Przez długie osiem lat miał dla siebie kobietę, której pragnąłem: Elle.

– Poleciałeś zobaczyć się z Adamem?

– Zadzwoił do mnie. Matt... Adam powiedział, że ma dowód na to, iż Elle chciałaby zostać odłączona od aparatury podtrzymującej życie. Przylatuje tu jutro i będzie zeznawać.

Poczułem takie napięcie mięśni karku, jakbym miał na sobie kołnierz ortopedyczny.

– Będzie zeznawać? Jaki cholerny dowód?

– Nie powiedział. Czy raczej nie chciał powiedzieć. Dlatego tam poleciałem. Chciałem z niego wyciągnąć, co to za dowód. Od wypadku zostawiał mi wiadomości na sekretarce. Wreszcie zagroził: „Jeśli nie zmusisz tego dupka – czyli ciebie, przepraszam, Matt – żeby odłączył Elle od aparatury podtrzymującej życie, ja to zrobię”. Poleciałem więc do Houston, ale nie zdradził, co takiego ma, tylko że ma dowód.

Nie rozumiałem, czemu Adam się wtrąca po tylu latach.

– Drań – skwitowałem opowieść Hanka. – Zapomnij o nim. Gdyby miał coś ważnego, nie trzymałby w tajemnicy.

Może jednak Elle miała rację. Jak inne osobniki mojej płci, zapędzony w kąt, uciekłem się do przybrania maski odwagi.

Zostawiłem Hanka z Elle i poszedłem spotkać się z Jakiem w moim gabinecie. Przebyłem te cztery przecznice, nie zauważając niczego wokół. Moja recepcjonistka wpuściła Jake'a do środka, nim przyszedłem, i teraz rozmawiał przez blackberry. Opadłem na fotel naprzeciw niego.

– Yvette, Matt właśnie wszedł. Tak, tak, przekażę mu. Kocham cię – rzucił Jake i rozłączył się. – Yvette cię ściska. Nie będziesz mieć nic przeciwko, jeśli to po prostu powiem, prawda?

Ściska? Może wcale nie jest taka zimna, jak mi się zawsze zdawało.

– Słowa w zupełności wystarczą – zapewniłem go.

– Miałeś jakieś problemy z wydostaniem się ze szpitala? – spytał, mając na myśli dziennikarzy.

– Chyba deszcz ich odstraszył. Albo tracą zainteresowanie sprawą. Miejmy nadzieję, że to

drugie.

– Wątpię – orzekł, otwierając aktówkę.

– Keisha przegląda rzeczy Elle w Bowdoin.

– Muszę powiedzieć, że profesor Sudani mi się podoba. I to bardzo. Rozmawiałem z nią parę godzin. Feministka pro-life. Z kimś takim mogę pracować.

Podał mi testament Elle i powiedziałem, że prawnik, z którego usług skorzystaliśmy, nie przygotował oświadczenia woli dla Elle. Potem wspomniałem, że prowadziła pamiętnik, częściowo w formie pojedynczych listów, częściowo w zeszytach.

– No i? – Jake odchylił się na fotelu.

– Nie znalazłem nic o tym, czego by chciała w takich okolicznościach. Przynajmniej na razie.

Spytał, jak długo prowadziła pamiętnik, a kiedy odpowiedziałem, stwierdził, że zleci przejrzenie jej zapisków swoim współpracownikom.

– Nie – sprzeciwiłem się natychmiast. – Te pamiętniki są prywatne. Poza tym jest coś jeszcze. Jej dawny... Adam Cunningham, ten gość, z którym Elle przez jakiś czas mieszkała, odgraża się, że ma jakiś dowód, iż Elle nie chciałaby żyć podłączona do aparatury podtrzymującej życie.

Jakie postukał się kłykciami w brodę.

– Twoja matka zatrudniła prawnika i ten Adam Cunningham jest na jego liście świadków. Powiedz, co o nim wiesz. Utrzymywał kontakt z Elle?

– Może na zasadzie kartki na święta, nic więcej. Jeśli chodzi o jego profesję, to zrobił doktorat w Princeton i pracuje dla NASA jako inżynier kosmiczny. Kiedy ostatni raz o nim słyszałem, zajmował się takimi kwestiami jak osłona termiczna w wahadłowcu kosmicznym.

Jake podniósł swoje wieczne pióro i zamachał nim w moim kierunku.

– Zaraz. Niewykluczone, że kiedyś go spotkałem. W Princeton. Zaciągnąłeś mnie na jakąś imprezę. Elle przyszła z wysokim gościem. To był on?

– Zapewne. Ma posturę koszykarza.

Opowiedziałem Jake'owi o okresie, w którym Elle była w związku z Adamem, że w końcu, jak większość par, rozstali się. Potem Elle wyznała mi, że w gruncie rzeczy nigdy o mnie nie zapomniała i dlatego nie mogła głęboko zaangażować się w ich związek.

– Mój pracownik zbiera o nim informacje. Znajdzie coś, co go zdyskredytuje?

– Poza tym, że to despotyczny złamas? Pewnie nie.

– A co to za dowód? – spytał Jake.

– Nie mam pojęcia. Rozmawiał z Hankiem, nie ze mną. Ale jemu też nic nie powiedział. Jak mówiłem, Adam chce wszystko kontrolować. Tak gra. Wymachuje wielką czerwoną płachtą, a ukrywa nóż.

None

Dziewiętnaście lat przed wypadkiem Elle

Elle i ja nie pozostaliśmy parą, jak powinniśmy. Nasz związek się rozpadł. My... się rozpadliśmy. I to była głównie moja wina.

Tamtej jesieni wyjechałem na Columbię, a Elle została w domu. Po interwencji opieki społecznej Hank oficjalnie przestał pić, ale wciąż od czasu do czasu wpadał w ciąg, a Elle uważała, że Chris jest zbyt młody, by sam się o siebie zatroszczyć. Tak więc, zamiast pójść na wymarzoną uczelnię, dojeżdżała do Bowdoin College, który nie był złą szkołą, ale też nie MIT.

Po sześciu tygodniach pierwszego roku wszystko zepsułem; upiłem się do nieprzytomności na otrzęsinach bractwa i przespałem się z dziewczyną w takim samym stanie, a kiedy przyjechałem do domu na Święto Dziękczynienia, wyznałem Elle prawdę. Zraniona, zupełnie się ode mnie odcięła. Przez pięć lat nie odpowiadała na moje telefony, listy ani próby pod drzwiami.

Dwa lata po naszym rozstaniu poszła w swoją stronę – na studia doktoranckie w Princeton, gdzie Adam Cunningham rzucił się na nią błyskawicznie, jak jastrząb na niechronione gniazdo z małymi myszkami.

A przynajmniej takie odniosłem wrażenie. Nie tyle na podstawie tego, co powiedziała mi Elle – bo nie mówiła mi nic – ile na podstawie wiadomości z drugiej ręki, które przekazywała mi mama. Elle poznała Adama, gdy tylko przyjechała do Princeton, i od tego czasu ciągle kręcił się blisko niej. Elle twierdziła, że przez pierwsze parę lat byli tylko przyjaciółmi. Tak, zabiegał o jej względy, ale miała dopiero osiemnaście lat. A on dwadzieścia dziewięć.

Po wypadku Elle  
*Dzień dziesiąty*

Nigdy nie rozumiałem, czemu Elle była z Adamem aż osiem lat, ale dziesięć miesięcy przed jej misją wreszcie się rozstali. To powinno było oznaczać koniec jego wpływu na życie Elle, ale tak jak niepokoił mnie początek przesłuchań, niepokoiłem się, co też Adam odstawi i co to za tak zwany dowód.

Byłem w pokoju pielęgniarek, gdzie wkładałem na siebie marynarkę od garnituru i rozmawiałem z Clintem o lekach przeciwzakrzepowych podawanych Elle, kiedy zauważyłem, że w pokoju Elle jest Adam, odwrócony plecami do mnie, w charakterystycznej dla niego postawie z dłońmi splecionymi za głową.

Co jeszcze? Może ochrona wpuści też dziennikarzy, żeby zrobili Elle zdjęcia, jak leży na łóżku, z ogoloną głową, nie mogąc nawet przełknąć własnej śliny?

Wparowałem do jej pokoju z pociskiem z dziesięciu dni żalu i złości, gotowym do wybuchu. Celem był Adam. Od lat chciałem mu przyłożyć.

Chwyliłem go za ramię i odwróciłem szarpnięciem.

Kiedy z jego twarzy zniknęło zaskoczenie, jego miejsce zajął wyraz pogardy.

– Elle nie chciała umierać w ten sposób – powiedział. – Czemu jej to robisz?

– Skąd ty się tu, u diabła, wzięłeś? Ochrona powinna wpuszczać tylko rodzinę.

– Powiedziałem, że jestem rodziną. Kiedyś byłem. – Oderwał wzrok od mojej twarzy i przeniósł go na Elle, cień jej dawnej genialnej osoby.

Zadrżałem w zderzeniu z zimną rzeczywistością.

– Nie. Nigdy nie byłeś jej rodziną.

– Owszem. Może nie oficjalnie, ale Teksas uznaje nielegalizowane związki małżeńskie.

– Och, na miłość boską – odparłem.

– Wiem, że „nielegalizowane małżeństwo” to staroświecki termin – powiedział z tym swoim przeciągłym akcentem rodem z Wirginii Zachodniej. – Ale długo byliśmy z Elle parą, dwa razy dłużej niż wy jesteście małżeństwem. I chcę przez to powiedzieć, że wiem, czego by chciała w tych przykrych okolicznościach.

Strach i złość, dwie ściśle splecione emocje, popchnęły mnie ku niemu. Nigdy nie miałem skłonności do przemocy, ale byłem gotowy uczynić wyjątek i nie miało znaczenia, że on jest ode mnie o głowę wyższy.

– Wynoś się – ostrzegłem go po raz ostatni.

Spoglądał na mnie z góry zwężonymi oczami; na jego ustach pojawił się cień zarozumiałego uśmiechu, po czym zniknął.

– Kiedy Elle była ze mną, upoważniła mnie do podejmowania w jej imieniu decyzji zdrowotnych.

Choć nie był to cios fizyczny, zabolął tak samo.

– Nie wtrącałbym się w to wszystko – powiedział – gdybyś pozwolił jej umrzeć w spokoju. Ale nie chcesz tego zrobić. A z tego, co czytałem w gazecie, nie wiedziałeś nawet o tamtym starym oświadczeniu woli, które miała twoja matka. Poczułem się więc w obowiązku zadziałać. Rozmawiałem z prawnikiem twojej matki i składa on już odpowiednie dokumenty, by sędzia nakazał szpitalowi odłączyć Elle od aparatury podtrzymującej życie.

Podłoga jakby kołysała się z boku na bok. Złapałem się barierki łóżka.

– Posłuchaj, Matt – wypowiedział moje imię z prawdziwą pogardą. – Z tego, co mówił mi

prawnik twojej matki, oświadczenie woli, które mu dałem, powinno położyć kres wszelkim dociekaniom w kwestii życzeń Elle.

– Nigdy nie wiedziałeś, czego ona chce. Zresztą przez pięć lat wiele może się wydarzyć.

Albo przez dziesięć dni. Albo w chwili, gdy jej głowa uderzyła o ten kamień.

– Wiedziałem – odparł Adam. – I zaopiekowałem się nią, kiedy nikt inny się nią nie zajmował. Ufała mi, a tobie nigdy. Jak widać, miała rację. Nie podważam tego, że za ciebie wyszła. Choć to brak fantazji opuścić NASA i zakończyć fantastyczną karierę, żeby wrócić do domu i wyjść za chłopaka z sąsiedztwa, jak zrobiła. Ale tego tutaj nie chciała. To ją przerażało. Myśl o tym budziła ją co noc. Oplakiwała matkę, bezbronną w sypialce. Christopher powiedział, że to wspomnienie wiecznie ją dręczyło. Kiedy Elle podpisała oświadczenie woli, cóż, dokonała wyboru i najwyraźniej nie chciała, żebyś ty decydował za nią. Fakt, że jesteś jej mężem, nie daje ci prawa do robienia, co ci się żywnie podoba. Znęcasz się nad nią, a ja położę temu kres. Jestem jej pełnomocnikiem i jeszcze dziś te urządzenia zostaną odłączone. – Pochylił się i pocałował ją w policzek.

Moja ręka jakby sama z siebie wyciągnęła się w jego kierunku. Chciałem rzucić nim o ścianę, ale opanowawszy się w ostatniej chwili, uniosłem dłoń.

– Pokaż mi ten dokument.

– Ma go prawnik twojej matki.

Serce waliło mi młotem, ale jeszcze silniejsze było pragnienie starcia Adama na proch. Może powstrzymał mnie błysk wyrachowanego samozadowolenia w jego oku, myśl, że jeśli stracę nad sobą panowanie, on w jakiś sposób wygra, zachowując zimną krew.

– Dzwonię po ochronę, żeby cię stąd wyprowadzili – powiedziałem. – W tej chwili.

– Nie ma potrzeby. – Uniósł rękę i opuścił pokój dumnym krokiem.

Wyszarpnąłem komórkę z kieszeni spodni i wybrałem numer Jake'a. Po wielu dzwonekach włączyła się poczta.

– Jake, mamy kłopot. Zadzwoń.

– Przez pięć minut próżno dzwoniliśmy do siebie nawzajem. W końcu połączyliśmy się.

– Nowe oświadczenie woli to rzeczywiście problem. Zgodnie z planem za niecałą godzinę mamy być w sądzie. Pozwól, że zamiast marnować czas, trzymając cię za rękę, zastanowię się, co mogę zrobić, by unieszkodliwić Adama.

None

Dzień dziesiąty

W drodze do sądu reporterzy podążali za nami jak za flectistą z Hameln: naszą muzyką były upragnione przez nich nowe fakty. Wykrzykiwali pytania, a my odpowiadaliśmy im upartym milczeniem – aż jedna reporterka zatrzymała się przede mną z mikrofonem. Typowa błękitnooka blondynka o porażająco białych zębach i godnym ich sztucznym uśmiechu nie chciała się przesunąć.

– Jak się czuje Elle? Czy jej stan się poprawił? Zaczęła mówić?

Było jasne, że ta dziennikarka, prezenterka z lokalnej filii, Paige Cartwright, czy jak jej tam, nie ma pojęcia, co to jest śmierć mózgową. A może miała nadzieję, że mnie sprowokuje. Otworzyłem usta, żeby się odezwać.

Jake chwycił mnie za ramię.

– Doktor Beaulieu nie ma żadnego komentarza, ale prosi o modlitwy za swoją żonę i nienarodzone dziecko.

Chciałem czegoś poza modlitwami. Chciałem, żeby te wszystkie dupki zeszły mi z oczu. Chciałem prywatności. I czasu, żeby opłakać stratę żony. I chciałem kontrolować los Elle.

Chciałem, żeby Adam umarł.

A miałem tylko termin rozprawy sądowej. Prawda była taka, że nawet jeśli technologia medyczna mogłaby utrzymać ciało Elle przy życiu na tyle długo, by dziecko zdołało się rozwinąć, sąd może, rzuciwszy tylko okiem na oświadczenie woli przedstawione przez Adama, nakazać szpitalowi, by odłączono aparaturę podtrzymującą życie. Modlitwy? Potrzebowałem czegoś więcej.

Nie miałem cierpliwości do reporterów. Żerowali na naszej tragedii. Paige Cartwright nachalnie wtoczyła mi mikrofon w usta.

– Ale, doktorze Beaulieu, skoro Elle podpisała oświadczenie woli, czy to nie oznacza, że wykorzystuje pan jej ciało wbrew jej woli? Czy zmuszanie jej, by na czas ciąży pozostawała podłączona do tego sprzętu, nie jest rodzajem gwałtu?

– Co?! – wrzasnąłem. – Czy pani ma dobrze w głowie?

– Spokojnie. – Na moim ramieniu spoczęła dłoń Jake’a. – Bez komentarza.

Stałem oszołomiony, świadomy, że powinienem się wycofać, tak rozwścieczony, że gdyby ta kobieta była mężczyzną, przyłożyłbym jej. Widziałem, że mną manipuluje, ale mimo to nie mogłem się ruszyć.

Cartwright przechyliła głowę na bok.

– Nie chciałby pan wytłumaczyć swojego stanowiska? Bardzo chętnie przeprowadziłabym z panem wywiad, doktorze Beaulieu – powiedziała.

– Pani żartuje – odparłem. – Staram się ratować swoją rodzinę, a pani właśnie porównała to do... – Nie mogłem nawet wypowiedzieć tego słowa na głos. – Jest pani bezwzględna manipulanką.

Błysk w jej oku zdradził emocje; może była to pogarda, a może satysfakcja.

– Nie sugerowałam, że Elle zaszła w ciążę w wyniku gwałtu – odrzekła. – Ale zmuszanie jej do wegetacji wbrew jej woli z powodu ciąży, na której utrzymanie według wszelkich doniesień są małe szanse, przypomina gwałt.

Jake wysunął się przede mną.

– Nic nie mów. – Odwrócił się do Cartwright. Widać było, że nawet on z trudem panuje nad głosem, a także że ona liczy, iż w końcu nie zapanuje – on albo ja.

– Tym słowem chce pani sprowokować ostrą reakcję – powiedział Jake. – Nie mamy

żadnego komentarza.

– Merriam-Webster definiuje „gwałt” jako ograbienie lub uprowadzenie kogoś przy użyciu siły – oznajmiła Cartwright. – Jest to okrutne pogwałcenie czyjejs nietykalności. Elle McClure powiedziała, że nie chce być trzymana przy życiu dzięki aparaturze medycznej. Czy to nie jest okrutne pogwałcenie jej woli? Zmusza ją pan do wegetacji. Czy to nie mieści się w definicji gwałtu?

Cartwright była przygotowana, czytała tekst utrwalony w formie szlaku pamięciowego. Elle też miała pamięć fotograficzną; potrafiła powiedzieć, na której stronie i w którym akapicie coś przeczytała. Ale na tej prostej umiejętności kończyło się podobieństwo między Elle a tą wiedźmą. Elle nigdy nie zerowałaby na kimś rozdartym cierpieniem. Elle w ogóle nigdy nie zerowała.

A Paige Cartwright z tego żyła.

– Z drogi – powiedziałem, zaciskając zęby.

Jeden kamerzysta odsunął się i przeszliśmy z Jakiem przez szczelinę w murze reporterów.

Paige ciągnęła jednak dalej:

– Kobiet używano do produkcji potomstwa, zmuszano je do produkcji potomstwa tyranów. Królów. Faszystów.

– Nie można tego porównywać – odezwał się Jake, oburzony prawie tak jak ja.

– W Niemczech faszystowskich kobiety zapładniano jak bydło i zmuszano do rodzenia dzieci dla ojczyzny.

– Och, na miłość boską. – Odwróciłem się gwałtownie, z dłońmi zaciśniętymi w pięści. – To dziecko nie zostało na niej wymuszone. Poczuliśmy je razem, w miłości. Elle pragnęłyby ratować nasze dziecko. A teraz proszę się odczepić.

– Chodź, Matt. Idziemy. – Jake pociągnął mnie za ramię.

Stałem nieruchomo, wpatrując się gniewnie w reporterkę. Kamery wszystko rejestrowały. Niemal widziałem unoszącą się wokół mnie satysfakcję. Nagłówki. *Wybuch męża rannej astronautki*. – Z wysiłkiem zapanowałem nad głosem.

– Elle kochała dzieci. Kochała je. – Przepisnąłem się przez tłum, nie odwracając się więcej za siebie.

Pod drzwiami do sali Jake w końcu spojrzał na mnie i westchnął głęboko.

– Próbowałem cię przygotować. Nie możesz dać się sprowokować, zwłaszcza na sali sądowej. Ale poza nią też nie. Sędzia może obejrzeć wiadomości. Przyznam, że tego się nie spodziewałem, ta kobieta używała bardzo jętrznego języka, ale już po wszystkim. Teraz zapomnij o tym. Musimy wejść na salę i skupić się na tym, co się będzie działo. Ale niczego już nie komentuj.

Skinąłem, ale wciąż trząsałem się z wściekłości. Zrobiłem wdech i wydech i przeszedłem przez ciężkie drzwi.

Kiedy zajmowaliśmy miejsca, zauważyłem, że obok mojej matki siedzi ciemnooki mężczyzna w średnim wieku i stuka naostrzonym ołówkiem w notatnik. Adam siedział wśród publiczności, tuż za nimi.

Jake pochylił się do mnie.

– To prawnik twojej matki, Paul Klein. Pracuje jako prawnik procesowy w całkiem sporej kancelarii; zajmuje się głównie funduszami inwestycyjnymi, ale w przeszłości prowadził też sprawy o błąd w sztuce lekarskiej.

Zaanonsowano sędziego. Wstaliśmy. Usiadłszy, sędzia Wheeler przekartkował leżące przed nim papiery.

– Po pierwsze proszę zaprotokołować, że panią Linney Beaulieu obecnie reprezentuje pan

Paul Klein. Następnie przechodzimy do składania wyjaśnień. Mamy tu podpisane przez Elle McClure oświadczenie woli. W dokumencie tym wymieniony jest Adam Cunningham, który na jego mocy otrzymuje pełnomocnictwo w sprawach zdrowotnych Elle McClure. Panie Sutter, pan ma głos.

Jake wstał i zapiął marynarkę.

– Wysoki Sądzie. Przedstawione przez Adama Cunninghama oświadczenie woli to tylko kopia dokumentu, nie jego oryginał. Przez ostatnie pięć lat Elle Beaulieu nie miała z Cunninghamem żadnych bliższych kontaktów, wyjąwszy ich związki z NASA. Tak więc kiedy wyprowadziła się z ich wspólnego mieszkania, mogła równie dobrze podrzeć oryginalny dokument. Poza tym w Teksasie to oświadczenie woli zostałyby automatycznie unieważnione ze względu na ciężę.

– Tak, ale może pan pamiętać, że nie jesteśmy w Teksasie, panie Sutter – odrzekł sędzia.

– Dlatego wnoszę o wyłączenie tego dokumentu z materiału dowodowego – powiedział

Jake.

Sędzia Wheeler złożył dłonie i pochylił się do przodu.

– Sąd interesuje, czego życzyłaby sobie Elle McClure, gdyby mogła się wypowiedzieć – stwierdził. – Chciałbym usłyszeć, co napisała Elle w tym dokumencie z dwa tysiące trzeciego roku. Staramy się tu złożyć w całość elementy układanki. Panie Klein, czy ma pan dowody, że oświadczenie woli jest aktualne?

– W tej chwili nie jesteśmy w posiadaniu oryginału, Wysoki Sądzie. Staramy się skontaktować z prawniczką, która sporządziła dokument.

– Dobrze – powiedział Wheeler. – Wysłucham zeznania dotyczącego tego oświadczenia, a także wszelkich innych zeznań stron. Ponieważ byliśmy już wcześniej umówieni na dziś rano, chciałbym usłyszeć oświadczenia wstępne.

Jake zapisał w notatniku „Podstawy do apelacji”.

– Mam tylko jedną uwagę – ciągnął dalej Wheeler. – Ze względu na zmianę przedmiotu rozprawy z przyznania opieki na odłączenie podopiecznej od aparatury podtrzymującej życie teraz powódką jest pani Linney Beaulieu. Doktor Beaulieu staje się stroną pozwaną. Panie Klein, jest pan gotowy?

– Tak, Wysoki Sądzie.

Klein zrobił trzy kroki ku publiczności i skierował wzrok na reporterów reprezentujących CNN, FOX, ABC, NBC, CBS, „New York Timesa” i „Boston Globe”. Wśród nich z boku siedziała Paige Cartwright i spoglądała na mnie złowrogo. Prowincjonalna reporterka na tropie wielkiej historii. Było oczywiste, że chce zaistnieć w oczach sieci telewizyjnych. A kiedy sprowokowała mnie pokrętną interpretacją, stałem się łatwym celem i wpadłem w jej cholerną pułapkę. Jęknąłem w głębi duszy i zmusiłem się do przeniesienia uwagi na przód sali i na prawnika mamy.

Przez następne kilka minut Klein przedstawiał stanowisko mojej matki, obracając w palcach niezatemperowany żółty ołówek.

– Zawsze gdy pojawiał się ten temat, kiedy w wiadomościach była mowa o prawie do śmierci, Elle jasno informowała wszystkich wokół, że ona nie chciałaby być utrzymywana przy życiu, gdyby nie było szans na wyleczenie. – Długo mówił o tym, że Elle wyrobiła sobie takie stanowcze przekonanie w wyniku doświadczeń z przedłużającą się śmiercią własnej matki.

Wciąż wyraźnie widziałem Alice na łożu śmierci. Obserwowałem, jak ta śmierć załamała Elle, mimo jej silnego charakteru. Wtedy skupiałem się na Elle. Dopiero na studiach medycznych zrozumiałem, że śmierć Alice odbiła się głęboko również na mnie. Uczuliła mnie na kwestię jakości życia i wpływu choroby na całą rodzinę.



Moją rodzinę. Poza podobieństwem fizycznym Elle do Alice były też inne zbieżności. Obie, matka i córka, zostały pozbawione głosu i możliwości decydowania o swoim losie. A ja, tak jak Hank, walczyłem wbrew wszystkiemu – o cud. Nie podobało mi się to porównanie, choć wiedziałem, że jest prawdziwe.

Po siedmiu czy ośmiu minutach prawnik matki powiedział:

– Jako zdolna do czynności prawnych dorosła osoba Elle podpisała nie jeden, lecz dwa dokumenty wskazujące, że nie chce, by podejmowano nadzwyczajne środki w celu przedłużenia jej życia. Ta kobieta ma niepodważalne prawo do decydowania o sobie. Jej ciąża w żaden sposób tego nie zmienia. Tekszańskie prawo nie ma tu znaczenia, Elle stwierdziła, że pod żadnym warunkiem nie chce być podłączona do aparatury podtrzymującej życie. Proszę uszanować jej życzenie. Dziękuję, Wysoki Sądzie.

Twarz Wheelera nie zdradziła żadnych emocji.

– Sąd wysłucha teraz pana, panie Sutter.

Jake wstał i zerknął szybko na dziennikarzy, po czym zwrócił się do sędziego.

– Wysoki Sądzie, Elle Beaulieu była rozważną kobietą, genialną i skomplikowaną, ale nigdy nie kierowała się tylko jednym motywem.

Mówił tak, jakby rozumiał życzenia Elle, może dlatego, że wykorzystywał wyrażenia, którymi ja opisywałem jej siłę, a przy tym wrażliwość.

– Dzień przed tym potwornym wypadkiem Elle i Matt rozmawiali o możliwości powiększenia rodziny. Niestety żadne nie wiedziało wtedy, że Elle już jest w ciąży. – Jake zamilkł ze wzrokiem utkwionym we mnie i skinął.

Z trudem przełknąłem ślinę. Gdybym tylko wiedział, wszystko potoczyłoby się inaczej. Elle nie weszłaby na drabinę. Może zostałbym tamtego ranka w domu i uczciłibyśmy tę nowinę.

– Jesteśmy tu, żeby ustalić, czego życzyłaby sobie Elle Beaulieu. – Jake pomasaował sobie kark. – Ona pragnęła mieć dzieci, nawet jeśli oznaczało to narażenie własnego życia.

Przedstawił swoje argumenty, przy czym pominął istotny element. Nie złożył wniosku o przyznanie mi opieki prawnej nad płodem, ale wydawało się, że to celowe posunięcie. Oczy Jake'a przeniosły się na mnie, a sędzia poszedł za jego wzrokiem.

– Wysoki Sądzie, Elle poślubiła Matthew Beaulieu i marzyli o stworzeniu razem rodziny. Pozwólmy Elle zrealizować jej marzenie. – Wrócił do naszego stołu, rozpiął marynarkę i usiadł.

Do sędziego poszedł urzędnik sądowy i przekazał mu kartkę.

– Dziękuję panom. Muszę zarządzić dwudziestominutową przerwę. Potem pan Klein może wezwać pierwszego świadka.

Jake spędził przerwę na porządkowaniu swoich notatek, podczas gdy ja czytałem wpis w pamiętniku Elle sprzed czternastu lat.

None

Czternaście lat przed wypadkiem Elle  
Wpis w pierwszym zeszycie  
12 marca 1994

Matt,

*Wczoraj nie napisałam nic. Byłam zbyt wyczerpana, zupełnie pozbawiona energii. Czulałam się osierocona. Nie mogę uwierzyć, że Twój tata zmarł, a ja musiałam Ci przekazać tę potworną wiadomość. Ale Twój brat zadzwonił do mnie i powiedział, że nie chce, byś był sam, kiedy dowiesz się o zawale Dennisa. I spytał, czy mogłabym Cię zabrać. W końcu, powiedział, Nowy Jork jest po drodze z Princeton do Maine. Niezupełnie. A ja nigdy wcześniej nie byłam samochodem w Nowym Jorku. Ale Mike najwyraźniej był i powiedział mi, jak do Ciebie dojechać. A więc przekazanie Ci tych okrutnych słów spadło na mnie. Boże, Matt. Tak mi przykro. Nie chciałam Ci o tym mówić.*

*Muszę zapanować nad swoim rozedrganiem. Nie mogę pisać. I muszę uporządkować swoje uczucia, bo inaczej już nigdy nie zdołam zasnąć.*

*Przez pięć lat konsekwentnie unikałam Cię, gdy akurat byliśmy w tym samym czasie w domu. Nie chciałam z Tobą rozmawiać. Linney mówi, że mam w sobie więcej biernej agresji niż zmieściłoby się między ziemią a księżycem. Ale naprawdę poczułam się do głębi upokorzona. Wierzyłam wtedy, że kochasz mnie tak mocno jak ja Ciebie. A Ty złamałeś mi serce. Wyjechałeś do college'u i obiecałeś, że zawsze będziemy razem. A potem przespałeś się z tamtą dziewczyną. I przyjechałeś do domu, i powiedziałeś, że Ci przykro. Powiedziałeś, że wciąż mnie kochasz. Ale jak mogłeś mnie kiedykolwiek kochać i kochać się z inną? To nie ma znaczenia. Nie powinno mieć znaczenia. Zwłaszcza teraz. Dennis nie żyje.*

*Kochałam Twojego tatę. Serce mi krwawi na myśl o Twojej mamie. A wczoraj musiałam Ci przynieść ten okropny smutek. I strasznie mi przykro, bo nigdy nie chciałam Cię zranić. I to w taki sposób.*

*Kiedy moja mama chorowała, trzymałeś mnie za rękę. Codziennie. Przez te wszystkie popołudnia siedziałeś z mamusią i ze mną. Kiedy dostawałam chrypy od czytania jej całymi godzinami, Ty czytałeś za mnie. Potrzebowałam Cię wtedy i byłeś przy mnie. Kochaliśmy się. Wiem, że tak było. Tak myślałam. Potrzebowałam Cię. Wydaje mi się, że nigdy nie przestałam Cię potrzebować. A wczoraj zdałam sobie sprawę, jaka byłam przez cały ten czas mała. Że nie wybaczyłam Ci – czego? Tego, że dorosteś? Poszedłeś dalej?*

*Gdy powiedziałam Ci o tacie, popłakałeś się. Plakałeś w moich ramionach. A ja chciałam uwolnić Cię od żalu, bo Ty pomogłeś mi przetrwać te mroczne dni, kiedy mama chorowała, kiedy straciliśmy dziecko. I chciałam znowu się z Tobą kochać. Tak jak kochaliśmy się wtedy, gdy nie chodziło tylko o seks. Myślałam o tym przez parę sekund, gdy byłeś w moich ramionach – gdy Cię przytulałam. Chciałam Cię pocałować. Chciałam być jeszcze bliżej, ale minęło za dużo czasu. Wtedy byliśmy dziećmi. Ale wciąż jesteś ogromną częścią mnie, tego, kim teraz jestem,*

*i zrozumiałam to zeszłej nocy, gdy jechaliśmy do domu.*

*W radiu leciało „I Want to Know What Love Is”. Zmieniłam stację. Musiałam. Ta piosenka leciała, kiedy kochaliśmy się pierwszy raz. Tamtej nocy, gdy Perseidy obsypywały nas niebiańskim pyłem.*

*Tym właśnie było nasze dziecko. Gwiezdnym pyłem. Boże, muszę się skupić.*

*Po kilku minutach powiedziałaś: „Pip, zmienilibym Cię za kierownicą, ale przez egzaminy od dwóch dni nie spałam. Prawdopodobnie zabiłbym nas oboje”.*

*Nazwałaś mnie „Pip”. Od lat nikt mnie tak nie nazwał. Nikt prócz Ciebie nigdy mnie tak nie nazywał. Omal się nie rozplakałam. Z powodu Twojego taty. Z powodu naszego dziecka. Z powodu każdej straty, jakiej w życiu doświadczyłam. Ale przede wszystkim dlatego, że poczułam się tak, jakby ktoś rozpoznał we mnie znowu tę dziewczynę. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów przypominałam sobie, kim jestem.*

*I kim Ty jesteś.*

*Tęskniłam za Tobą. Ukrywałam się przed bólem Twojej nieobecności.*

*Przez ułamek sekundy patrzyliśmy sobie w oczy i moje serce zaczęło walić, i pomyślałam, że pewnie słyszysz wewnątrz mojej duszy, i to też mnie przestraszyło. Więc jak tchórz przeniosłam wzrok na żółtą linię na asfalcie i powiedziałam Ci, żebyś się przespał.*

*Oto suma ostatnich dwóch dni. Kochałam Cię. I teraz wierzę, że dawno temu Ty też mnie kochałeś. Czy to nie okropne, że czasem trzeba cierpienia, by zrozumieć, co jest nam bliskie?*

*Ucałowania, Pip*

None

### Czternaście lat przed wypadkiem

Po tych wszystkich latach wciąż pamiętam tamtą podróż do domu i koszmary, które mnie wtedy nawiedziły. Pogrążyłem się w zapomnieniu i śniły mi się torsy bez kończyn, co zapewne nie było zaskakujące, zważywszy że poprzedni tydzień spędziłem nad zwłokami w pracowni anatomii i fizjologii. Tyle że w moim śnie połowę z nich zdobił tatuaż mojego ojca, drzewo z imieniem matki na pniu i imionami braci na gałęziach. I moim imieniem – także moim. Liście były płodem w dłoniach dziewczyny, w dłoniach Elle – na lewej widniał pierścionek z opalem, który jej dałem. Potem ręce stopiły się jak wosk. Jak łzy spadające na Celinę, naszą małą córeczkę.

Głos Elle, prawdziwy lub wyobrażony, powiedział: „Już dobrze, Matt. Już dobrze”.

Obudziłem się nagle, kiedy zatrzymaliśmy się na ulicy, na której dorastaliśmy.

– Jesteśmy na miejscu. – Ujęła mnie za rękę. – Twoja mama nie oczekuje, że będziesz dla niej silny. Linney tego nie potrzebuje. Chce tylko mieć cię blisko. Pozwól jej się wypłakać, a jeśli ty też będziesz chciał płakać, pozwól, by cię przytuliła.

Słowa Elle brzmiały tak pewnie, jakby była wyniosłym mędrcom.

– Skąd wiesz?

– Bo usłyszałam to od niej, kiedy umarła moja mama.

W domu migąło fluorescencyjne światło nad zlewem, współgrając z zimnym i ciężkim mrokiem. Elle weszła za mną do kuchni, zdjęła czajnik z kuchenki i napełniła go wodą.

– Napijesz się herbaty?

Skinąłem.

– Mama pewnie się już położyła. Zastanawiam się, czy powinienem ją budzić.

Jak na sygnał mama zeszła po skrzypiących schodach. Nic nie mówiliśmy. Objęła mnie ramionami, po czym przywołała gestem Elle i ją też przytuliła.

Mama chciała, żeby pogrzeb taty nie był ponury. Rozeszła się wiadomość, że każdy ma koniecznie przygotować pięć anegdot o ojcu. Najlepiej zabawne historie, niezbyt sentymentalne. Przez te dwa dni dowiedziałem się o ojcu więcej niż przez całe życie. Kiedy był w podstawówce, przez sześć miesięcy jadł tylko kanapki z masłem orzechowym. W liceum razem ze swoim ojcem pomogli zbudować dom dla rodziny, która straciła wszystko na skutek wybuchu pieca. Moja matka, choć uwielbiała koty, nigdy nie miała żadnego, bo przerażały one tatę. Wszyscy twierdzili, że to prawda. Zacząłem się zastanawiać: Czemu tak mało wiemy o ukochanych osobach za ich życia?

Patrzyłem na Elle, która stała po drugiej stronie zakładu pogrzebowego. Nie wiedziałem, że potrafi być na tyle mściwa, by odpowiadać mi tylko wrogim milczeniem. I nie wiedziałem, iż ja potrafię zranić ją tak mocno, że to ją odmieni. Ale wtedy podeszła do mnie.

– Wiesz, co zawsze będę pamiętała w związku z twoim tatą?

Nie wiedziałem też, że potrafi przemienić się na powrót w przyjaciółkę, którą dawniej znałem.

– Co?

– Tamto lato, kiedy starałeś się zostać miotaczem w szkolnej drużynie. Wziął mnie na bok i powiedział – Elle zniżyła głos, udając mojego ojca: „Poczekaj tylko, Elle. Matt nie jest szczególnie utalentowanym graczem, ale pracuje ciężko jak nikt”. Był z ciebie taki dumny. A wtedy ty zbiłeś trzech zawodników pod rząd. Twój tata zerwał się na równe nogi i bił brawo ze wszystkich sił. Po czym odwrócił się do mnie i powiedział: „Cóż, talent też ma”. Boże, już za nim tęsknię. – Ścisnęła mi łokieć i odsunęła się. – Za tobą też tęskniłam, Matt.

Po nabożeństwie nad grobem krewni wypełnili kuchnię, a matka zajęła się dzieleniem zapiekaneek na małe porcje. Nie mogła usiedzieć spokojnie ani znieść kolejnych kondolencji; ja też nie mogłem usiedzieć w miejscu, chodziłem więc w kółko. Powinienem był ukryć się w swoim pokoju i wsadzić nos w podręcznik farmakologii, ale nie mogłem się też uczyć. Liczyłem się z tym, że przy następnym teście spadnę z najlepszych pięciu procent w grupie na sam pieprzony dół. Wystarczy jeden test. Jeśli w ogóle będę miał pieniądze na czesne za kolejny semestr.

Wszystko wymykało mi się z rąk. Po pogrzebie Elle sobie poszła, a chciałem jeszcze z nią porozmawiać. Wyszedłem na tylny ganek na zimne nocne powietrze. Zapewne pakuje się na sąsiednim podjeździe, żeby wrócić do Princeton. Kiedy wszedłem na schody domu McClure'ów, światło z reflektorów zalało śnieg i rozświetliło ciemność.

Drzwi otworzył Christopher. Zrobił się z niego głupekowaty wyrostek, z początkami trądziku i, o ile mnie wzrok nie mylił, cieniem zarostu nad górną wargą.

– Wejdiesz, Matt?

Przekroczyłem próg, niezbyt dyskretnie szukając wzrokiem Elle.

– Jest w domu? – spytałem.

– Nie. Kiedy przyjeżdża z uniwersytetu, raczej się tu nie zatrzymuje.

– Nie? A gdzie?

– W domu dziadka. Tak jest lepiej – wiesz, ze względu na ojca.

– Przestali się dogadywać?

– Elle i tata? – Niedowierzająca mina Christophera mówiła więcej niż jakiegokolwiek słowa. Najwyraźniej tak. Chris wzruszył ramionami jak typowy nastolatek, jakby to nie miało najmniejszego znaczenia.

Niepijący od kilku lat, Hank przyszedł niespiesznym krokiem z kuchni, wciąż w elegancko wyprasowanym garniturze i z kubkiem kawy w ręku. Uniósł brwi.

– Trzymasz się jakoś, Matt?

– Tak. A ty?

– Kilka dni temu straciłem najlepszego przyjaciela. Życie jest do niczego. Domyślam się, że ty też nie jesteś tak naprawdę w dobrej formie.

Zachwiałem się w moim opanowaniu i ze wszystkich sił starałem się nie rozkleić.

– Nie chciałem wychodzić bez pożegnania – powiedział. – Ale musiałem porozmawiać chwilę z Elle, zanim wyjedzie. Kiedy wracasz do Nowego Jorku?

– Mam lot o szóstej rano. Chciałem podziękować ci za wszystko, za pomoc w przygotowaniach. Za laudację... Co do Elle... przyjdzie tu jeszcze dzisiaj? – Przyglądałem mu się uważnie, szukając przejawów konfliktu, który sugerowały słowa Christophera, ale Hank nie rozwinął tematu.

– Mało prawdopodobne. Jeśli będziesz czegoś potrzebował, daj mi znać. Masz pieniądze?

– Tak. – Pracowałem na nocną zmianę jako sanitariusz. Zarabiałem dość, żeby starczyło na czynsz. Ale czesne to już inna sprawa, którą musiałem omówić z biurem pomocy finansowej.

– Tata miał ubezpieczenie na życie. Mama sobie poradzi. Wiesz, że Dennis uczynił mnie wykonawcą swojego testamentu?

Wzruszyłem ramionami, trochę zaskoczony, że matka będzie musiała polegać na Hanku w kwestii ubezpieczenia i renty po ojcu.

– Nie musimy tego teraz omawiać. Wycenię majątek ojca, ale może być trochę trudniej pokryć twoje czesne.

– Jakoś sobie poradzę – powiedziałem. – I tak brałem pożyczki.

– Ale tata ci pomagał?

Przytaknąłem.

– Był taki dumny, że dostałeś się na studia medyczne, i to na tak prestiżowym uniwersytecie. Chciałby, żebyś je ukończył. Chcę powiedzieć, że jeśli potrzebujesz pomocy, ja cię wesprę. – Przysiadł na podłokietniku skórzanego fotela.

– Nie mogę przyjąć od ciebie pieniędzy, Hank.

– Czemu nie? Edukacja Elle dobiegła końca, a przynajmniej mój wkład finansowy w jej naukę. Chris to świetny dzieciak, ale naukowcem to on nie będzie. Przebrnie przez studia na uczelni publicznej. Może jeśli będzie wytrwały, uzyska kiedyś dyplom MBA i będzie mógł zarządzać McClure Realty. Stać mnie na to, żeby ci pomóc. Jeśli to godzi w twoją dumę, możesz mi oddać pieniądze, kiedy będziesz już bogatym chirurgiem. Albo jeszcze lepiej, możesz zrobić to samo dla jakiegoś zdolnego dzieciaka, który stanie na twojej drodze.

W głowie mi wirowało. Prawdą jest, że obmyśliłem już kilka scenariuszy, ale żaden nie zakładał, że w ogóle nie będę mógł ukończyć studiów medycznych.

Hank podszedł do mnie i położył mi dłonie na ramionach.

– Chcę powiedzieć, że pomogę ci ukończyć studia i że nie chcę, żebyś się martwił. Kiedy piłem, Dennis i Linney uratowali mi życie. A ja chciałbym ci pomóc w twoim.

Skinąłem głową.

– Świetnie – powiedział. – Zostań lekarzem. Na cześć Alice. By uczyć twojego ojca.

Zastanawiałem się, czy rzeczywiście będę mógł coś zmienić. Tata nie żyje. Alice też. Medycyna nie wydawała mi się już tak cudowną dziedziną jak dawniej. Jak wtedy, gdy matka uratowała Mike'a po tym, jak omal nie utonął. A jeśli nie mogę uratować ludzi, na których mi najbardziej zależy, jaki to wszystko ma sens?

– Spróbuję – powiedziałem. – Teraz, hmm, muszę wracać do domu.

– W porządku, synu. Uważaj na siebie. Będziemy w kontakcie.

Kiedy wszedłem do domu, mama siedziała w jadalni z ciocią Beth i piła kawę; wyglądała na znużoną.

– Możesz wyprowadzić psa?

Szczęściarz, nasz seter irlandzki, leżał zwinięty w kłębek przy kominku w salonie. Na dźwięk słowa „pies” podniósł łeb.

– Chcesz wyjść, piesku?

Po pięciu minutach, ubrany w dres i adidasy, biegłem Bow Street ze Szczęściarzem u boku. Mroźne powietrze wcierało mi się w płuca, ale zimno nie miało znaczenia. Nie miało znaczenia, że powinienem się uczyć. Chciałem zobaczyć się z Elle, a ona była tylko kilka kilometrów stąd. Powiedziała, że za mną tęskniła.

Na rozwidleniu dróg skręciłem w Wolf Neck Road, wspominając, jak zakradaliśmy się tam, by pobyć sami. Dotarwszy na podjazd, przemierzyłem trawnik. Ze względu na panującą ciemność i zamarzniętą warstwę śniegu nie byłem zupełnie pewny, czy dotarłem we właściwe miejsce, ale wyjąłem z kieszeni trochę przyduszoną różę, którą wziąłem z kwiatów przy grobie taty, i położyłem ją w ogródku dla Celiny.

Teraz albo nigdy. Ruszyłem w stronę domu. Kiedy wchodziliśmy na schody prowadzące na ganek, pies zaszczekał. Zanim zdążyłem zapukać, drzwi się otworzyły, ale to nie Elle w nich stanęła. To był tamten facet, z którym przyjechała na święta w zeszłym roku, gdy zwróciła się do mnie tylko raz, mówiąc: „Matt, to jest...”. Jak on się, u diabła, nazywa? Adam jakiś tam.

– Witam – powiedział. – Mogę w czymś pomóc?

Elle zbiegła ze schodów, we flanelowych spodniach od pizamy i koszulce, którą właśnie wkładała. Błękitny koronkowy stanik zniknął pod materiałem.

– Ojej – powiedziała, kiedy mnie zobaczyła. – Matt, nie spodziewałam się ciebie.

Jak widać.

– Adam, pamiętasz Matta? Matt Beaulieu, Adam Cunningham.

– Och. Moje kondolencje, stary. – Adam wyciągnął do mnie rękę. Jego uścisk był mocny i szczerzy, a akcent miał w sobie południową nutę.

Nienawidziłem go.

– Dzięki.

Nie przemyślałem tego. Chociaż na swoją obronę miałem to, że Elle nie wspomniała o tym dupku w drodze tutaj ani w czasie żadnej rozmowy w ciągu tych dwóch dni.

Elle przygryzła dolną wargę i kucnęła, żeby potargać Szczęściarza za uszy, nie patrząc na mnie – ani na Adama.

– Jutro wracam do Nowego Jorku i chciałem, no wiesz, podziękować ci, że mnie tu przywiozłaś.

– Drobiazg. Żaden kłopot. – Wstała.

– My zostajemy parę dni. – Adam objął ją, a ona wpasowała się swobodnie w zgięcie jego ramienia. Ciągnął dalej: – Przyjechałem dziś rano, żebyśmy mogli pojeździć jutro na nartach. Chciałbyś się może czegoś napić?

– Poprosiłbym o wodę. Dla Szczęściarza. W misce. Byliśmy na spacerze i zobaczyłem, że pali się u was światło. – Co za kretyńska wymówka, zwłaszcza że z drogi nie widać domu.

Adam zniknął w kuchni. Elle przeniosła ciężar ciała z nogi na nogę, ale nie zaproponowała, żebym usiadł. Miałem wrażenie, że nie może się doczekać, kiedy się mnie pozbędzie.

Utknąłem, czekając na wodę dla psa.

– Ty i on?

– Mieszkamy razem, więc tak. Zamieszkaliśmy razem jakiś miesiąc temu. Oboje chcemy pracować dla NASA. Mówiłam ci, że wygrałam letni staż?

– Nie. NASA. Super.

Próbowałem zapanować nad oddechem i pozbierać moją roztrzaskaną dumę. Chciałem robić takie wrażenie, jakby informacja, że Elle mieszka z tym gościem, wcale mnie nie speszyła. Tymczasem, wyrwało mi się:

– Jesteś szczęśliwa? Kochasz go?

– Gdybym go nie kochała, nie byłabym z nim. Ale to nie twoja sprawa. – Odwróciła na chwilę wzrok i zacisnęła powieki. – Minęło tyle czasu. Od lat ze sobą nawet nie rozmawialiśmy.

Jej złość mnie powaliła. Nigdy nie chciałem jej zranić, a ona ukarała mnie z premedytacją i wciąż mnie karze. Tak, popełniłem błąd, ale ona też.

– To, że ze sobą nie rozmawialiśmy, nie było moim wyborem. Próbowałem z tobą rozmawiać.

Spiorunowała mnie wzrokiem.

– Nie chcę tego robić. Zwłaszcza tuż po pogrzebie twojego taty. – Zacisnęła dłonie w pięści i zakryła nimi twarz. – Nie chcę cię ranić, a zrobię to, jeśli powiem ci, jak bardzo byłam zła.

– Och, Elle, daj spokój. Chciałaś mnie zranić od chwili, gdy to się stało. I zraniłaś. Milczenie jest równie zjadliwe jak konfrontacja. Miejmy to z głowy. Powiedz to. Zachowałem się jak drań.

Elle opuściła wzrok i powiedziała cicho:

– Owszem.

– Przepraszam. To był mój największy błąd w życiu.

Westchnęła – to było długie i ciężkie, i posępne westchnienie.

– Słuchaj, byliśmy młodzi. Głupi. To, co się między nami wydarzyło, nie miało w ogóle żadnego znaczenia. W obliczu choroby mamy, alkoholizmu taty i konieczności pozostania w domu i opiekowania się Christopherem szukałam po prostu jakiejś drogi ucieczki. Miałeś to nieszczęście, że trafiło na ciebie. Potem dziecko uświadomiło mi, jakie konsekwencje niesie ze sobą zabawa w dom. – Zamilkła nagle i zakryła dłonią usta, spoglądając w stronę kuchni.

– On nie wie?

– Oczywiście, że nie. Czemu miałabym mu o tym mówić? – wyszeptała.

– Nie wiem. Pewnie gdybym...

Podeszła tak blisko, że niemal poczułem jej przesycone złością słowa.

– Czy ty mówisz każdej napotkanej kobiecie, że kiedy byłeś w liceum, zrobiłeś swojej dziewczynie dziecko?

– Nie, ale...

– Czego tu szukasz? Chcesz usłyszeć, że wciąż za tobą tęsknię? Że tracę czas? Mam powiedzieć Adamowi, który jest świetnym gościem, że puściłam się z tobą przy pierwszej nadarzającej się okazji? A z ciebie był taki ogier, że zmajstrowałeś mi dziecko? Powiedziałam mu, że się spotykaliśmy. I że nasz związek źle się skończył. Słuchaj, spotkałeś jakąś studentkę z bractwa, która omdlała i skwapliwie rozłożyła nogi. I dobrze. Dzięki temu przynajmniej miałam na kogo zrzucić winę za moje wszystkie kłopoty. Objuczyłam cię moimi rozczarowaniami, tak jak objucza się osła.

To było tak, jakby ona stworzyła zupełnie inną wersję naszej historii. Stałem chwilę zszokowany, przyswajając jej druzgoczącą analizę, po czym zdecydowałem, że jeśli musi to widzieć w ten sposób – trudno. Ale nie zamierzałem udawać, że ja też tak to pamiętam.

– Z mojej strony to tak nie wyglądało, Pip. Kochałem cię, z całego serca. Nie chciałem się z tobą rozstawać. Chciałem być z tobą... Chciałem... ciebie. Tamta dziewczyna, ona stanęła mi na przeszkodzie. To była jedna noc. Jedna noc. To, co się stało, stało się dlatego, że za dużo wypłem i nie myślałem. Nigdy nie zamierzałem cię zdradzić.

Wziąłem smycz Szczęściarza i skierowałem się ku drzwiom. W kilka sekund nocne powietrze wdarło się we mnie i zorientowałem się, że drzę – nie z powodu niskiej temperatury, lecz dotknięty chłodem Elle. Zastanawiałem się, czy zraniłem ją tak mocno, że stała się taka, czy też w głębi duszy zawsze była tak cyniczna.

– Zaczekaj! Stój. Woda dla Szczęściarza. – Elle zbiegła boso po schodach frontowych. Obrzeża ścieżki były pokryte warstwą lodu, wzorami Jacka Fosta, kruchymi i zimnymi.

Adam przyszedł za nią, zdjął z siebie sweter i włożył go jej przez głowę. Tym gestem tak wyraźnie zaznaczył terytorium, że miałem ochotę go zabić.

– Możesz dać mi chwilę z Mattem? – poprosiła.

Pocałował ją w skroń.

– Jasne, dziecinko. Będę w środku.

Patrzyła, jak Adam wraca do domu, do domu, który jakby był ich wspólny.

– Matt – zaczęła cicho. – Nie chciałam powiedzieć... że się dla mnie nie liczyłeś. Ale to wszystko nie ma teraz znaczenia. A przynajmniej nie powinno mieć. Byliśmy dziećmi. Wtedy nasz związek wydawał się niezwykle silny, bo była to jedyna wartość, której mogłam się trzymać. Ty byłeś tą wartością. Pomogłeś mi przetrwać najtrudniejsze chwile, jakim musiałam kiedykolwiek stawić czoło.

Jedynym źródłem światła była lampa na ganku i źrenice Elle były tak szerokie, jakby napiła się wilczej jagody. Gdyby ktoś przyjrzał się rysom jej twarzy, każdemu z osobna, zapewne uznałby ją za mało atrakcyjną. Nos odrobinę za szeroki. Broda z dołkiem nieco zbyt spiczasta. Usta – cóż, tak, jej usta były idealnie wykrojone. A intensywność jej spojrzenia hipnotyzowała



mnie, jeszcze kiedy Elle była mała i bawiliśmy się w „kto pierwszy mrugnie”. Nie była doskonała, ale tak pełna energii, że wprost upajała. Oczarowany, nie mogłem oderwać wzroku.

Dotknęła mojego przedramienia.

– Wciąż mi na tobie zależy. Ja... kochałam cię. Naprawdę. I... tęskniłam za tobą. Boże, Matt. Chcę już skończyć z tą złością. Złość pochłania tyle energii. Może moglibyśmy rozmawiać czasem, jak przyjaciele? Chciałabym ci się odwdziżyć. Być teraz przy tobie. Po tym jak, no wiesz, straciłeś tatę.

– Nie potrzebuję twojej litości, nie chcę jej. – Odwróciłem się i ruszyłem, ale Szczęściarz wciąż chleptał wodę i kiedy smycz się skończyła, musiałem się zatrzymać.

– A przyjaźń? Chcesz się przyjaźnić? – spytała.

Adam stał w drzwiach i przyglądał się nam. Zastanawiałem się, czy Elle go poślubi.

– Dobrze cię traktuje? – spytałem, spoglądając na dom.

Odwróciła się i uśmiechnęła się do niego.

– Tak. Jest cierpliwy.

– I stary. Jezu, Elle, on wygląda, jakby był po trzydziestce.

Opuściła wzrok i pokręciła głową.

– Chce się mną zaopiekować. Długo czekał. Znaliśmy się parę lat, zanim zostaliśmy parą.

– Rozumiem. – Ale nie chciałem niczego rozumieć. Zmieniłem temat na inny, który przyszedł mi do głowy. – Co z tobą i twoim ojcem? Christopher wspomniał, że się nie dogadujecie.

– Tatusz zaakceptuje Adama, jak już przyzwyczai się do myśli, że razem mieszkamy – powiedziała.

Jasna cholera. Ten nowy temat to niewypał.

Elle zaczęła szczękać zębami. Było lodowato, ale nie chciałem, żeby wracała do domu. Do niego. Będzie z nim. Tej nocy. Chryste. A może dopiero co ze sobą spali.

– Jeśli chcesz, zadzwoń kiedyś – powiedziała. – Może mógłbyś przyjechać z dziewczyną w odwiedziny do Princeton. Ładnie tam. Mnóstwo restauracji.

– Albo ty mogłabyś przyjechać do Nowego Jorku. – Może Adam mógłby zostać w domu.

Wzruszyła ramionami.

– Dobra, zadzwonię – powiedziałem bez przekonania.

Ale zadzwoniłem. Po miesiącu. I dzwoniłem do niej prawie co tydzień tak długo, jak tam mieszkała. Gdy przeprowadziła się do Houston, dość szybko zorientowałem się w rozkładzie zajęć Adama, a także, że lepiej dzwonić, gdy nie ma go w domu. Pod jego nieobecność Elle mówiła z większą swobodą. Szybko odrodziła się między nami głęboka przyjaźń. A ja tłumaczyłem sobie, że dopóki Elle jest częścią mojego świata, dopóki mam ją w swoim życiu, przetrwam.

None

Po wypadku Elle  
*Dzień dziesiąty*

Jedno wiedziałem na pewno: jeśli matka wygra sprawę, dziecko nie przeżyje. A dziecko musi przeżyć, żeby usprawiedliwić to, co robię Elle. Przez dwie zabójcze dla mojego sumienia godziny mama zeznawała, że Elle wolałaby umrzeć niż gnić w szpitalnym łóżku, i opisywała, jak Elle teraz wygląda: leży płasko, bez ruchu, sztywna, nie może przełykać, nic nie widzi ani nie słyszy.

– Gdyby Elle wiedziała, co się z nią dzieje, byłaby przerażona.

Nie mogłem zaprzeczyć argumentom matki, a prawda potrafi unicestwić wszelkie usprawiedliwienia.

Mimo to usprawiedliwiałem się i powtarzałem sobie, że Elle nie wie, co się dzieje, i w związku z tym nie odczuwa strachu ani nie doświadcza fal nieznośnego bólu, jakich doświadczała jej matka.

– Świadek należy do pana, panie Sutter – powiedział sędzia Wheeler.

Jake wstał, zapiął marynarkę i pokręcił głową, jakby szukał właściwych słów. Ale wiedział dokładnie, co powiedzieć. Lubił, jak świadkowie przed atakiem czują, że mają nad nim przewagę.

– Pani Beaulieu, powiedziała pani, że była pani bardzo związana z Elle.

– Tak.

Udając zafrasowanego, Jake popukał się palcem wskazującym w górną wargę.

– Zakładałbym więc, że zrobiłaby pani wszystko, by pomóc synowej.

– Tak.

– Czy Elle kiedykolwiek wspominała pani, że chciałyby mieć dzieci?

W oczach matki pojawił się błysk zrozumienia, a Jake zastawiał swoją pułapkę. Serią pytań insynuował, że ponieważ mama ma już dziewięcioro wnucząt, dziecko w łonie Elle nie znaczy dla niej zbyt wiele. To nie była prawda, nie było to też w porządku, ale nie obchodziło mnie to. Jake ciskał w mamę kolejnymi pytaniami, a wszystkie miały na celu pokazać, jak bardzo Elle pragnęła dziecka, jak cierpiała, kiedy poroniła, i że nadawała dzieciom imiona, zanim się urodziły. A kiedy zaczął mówić o Dylanie, bezmierny ciężar utraty mojego syna rozniósł się po sali jak pieśń żałobna. Dopiero po chwili zdołałem znowu skupić się na zeznaniu.

– Pani Beaulieu, po śmierci Dylana... – Jakie policzył na palcach. – Jakies siedem miesięcy temu, czy Elle zwierzyła się pani, iż pragnie ponownie zajść w ciążę?

– Tak – odparła mama, wierząc się na miejscu dla świadków.

– Czy próbowała ją pani odwieść od tego pomysłu?

Mamie zwężyły się oczy, nastroszyła się jak jeżozwierz.

– Wszyscy martwiliśmy się o jej zdrowie.

– Czy próbowała ją pani od tego odwieść?

– Powiedziałam jej, żeby rozważyła adopcję. Matt też tego chciał.

– Jak zareagowała na to Elle?

– Wiedziała, że mam rację, ale była zbyt uparta, by mi ją przyznać.

Jake pokręcił głową.

– Skoro była zbyt uparta, by ją pani przyznać, nie powiedziała nigdy, że się z panią zgadza, prawda?

Mama spuściła głowę.

– Nie. Chciała mieć dziecko. Czy to chciał pan ode mnie usłyszeć?  
Jake podszedł do naszego stołu i niby zaglądał do swoich notatek, ale tak naprawdę chciał stworzyć dramatyczną pauzę po słowach mamy.  
Po chwili ciągnął dalej:  
– Pani Beaulieu, wcześniej zeznała pani, że rozmawiała z Elle o sprawie Terri Schiavo.  
– Tak.  
– Gwoli jasności, Terri Schiavo, mieszkanka Florydy, w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym roku znalazła się w stanie wegetatywnym po zawale serca, prawda?  
– Tak.  
– Po upływie wielu lat jej mąż Michael Schiavo złożył wniosek do sądu o odłączenie Terri od aparatury podtrzymującej życie. Jej rodzice się sprzeciwili. Czy myślimy o tej samej sprawie?  
– Tak.  
– Zeznała pani, że w styczniu dwa tysiące piątego roku rozmawiała pani z Elle o sprawie Schiavo.  
– Tak.  
– Wcześniej zeznała pani, że według Elle sąd powinien był orzec, by odłączono Terri Schiavo od aparatury podtrzymującej życie. Ile lat dzieliło tę rozmowę od chwili, gdy Schiavo znalazła się w stanie wegetatywnym?  
– Co pan ma na myśli?  
– Skoro Terri Schiavo znajdowała się w stanie wegetatywnym od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku, a sąd podejmował decyzję w tej sprawie w dwa tysiące piątym roku, ile czasu upłynęło między jednym a drugim?  
– Piętnaście lat.  
– A kiedy miał miejsce wypadek Elle?  
Mama utkwiała wzrok w dłoniach.  
– Tylko dziesięć dni temu, ale pan nie rozumie. Elle panicznie bała się podłączenia do aparatury podtrzymującej życie. W tych okolicznościach dziesięć dni to długo. – Mamie załamał się głos. Jake nalał wody do szklanki i podał jej.  
– Może pani kontynuować? – spytał.  
Przytaknęła.  
– Terri Schiavo była podłączona do aparatury podtrzymującej życie przez piętnaście lat – powiedział Jake. – A Elle jest do niej podłączona dziesięć dni. Poza tym te przypadki różnią się też pod innym względem, czyż nie? Pani Schiavo nie była w ciąży, nieprawdaż?  
Mama wzięła głęboki oddech i zdawała się go wstrzymywać.  
– Pani Beaulieu, zdaję sobie sprawę, że to dla pani trudne, ale...  
– Nie. Terri Schiavo nie była w ciąży.  
– Pytała pani kiedyś Elle, czy opowiadałaby się za odłączeniem Terri Schiavo od aparatury podtrzymującej życie, gdyby była ona w ciąży?  
– Nie, nie było powodu do takiej rozmowy.  
– Czy Elle kiedykolwiek powiedziała, czego życzyłaby sobie w obecnych okolicznościach – gdyby doznała uszkodzenia mózgu, a jednocześnie była w ciąży?  
– Konkretnie? Nie, ale... – Mama znowu spojrzała na swoje dłonie. – Wiem, że nie chciała być trzymana przy życiu.  
– Ale nigdy nie mówiła o takim scenariuszu, prawda?  
– O takim właśnie – nie.  
– Jeszcze jedno. Wcześniej powiedziała pani, że Elle nie chciała, by jej ojciec

podejmował w jej imieniu decyzje w sprawach zdrowotnych, zgadza się?

– Owszem.

– Dlatego, że nalegał, by jej matka była karmiona przez sondę długo po tym, jak przestała jeść samodzielnie, zgadza się?

– Tak. Gdyby pozostawiono sprawy naturalnemu biegowi, Alice zmarłaby w ciągu kilku dni.

– W tamtym okresie ojciec Elle był jej najbliższym krewnym, ale po ślubie to Matta należałoby uznać za jej najbliższą rodzinę, nieprawdaż?

Na twarzy matki pojawiło się zmieszanie.

– Hmm, pewnie tak.

– Czy Elle przyszła do pani i poprosiła, by podejmowała pani za nią decyzje, bo niepokoi ją, że Matt postąpiłby niezgodnie z jej wolą?

Mama się zawahała.

– Zapewne myślała, że Matt odłączyłby ją od aparatury podtrzymującej życie.

Jake powtórzył:

– Czy po ślubie z Mattem Elle poprosiła panią o podejmowanie decyzji w jej imieniu?

– Nie.

– Dziękuję. Nie mam więcej pytań. – Jake wrócił na miejsce obok mnie.

– Świadek jest pański, panie Klein.

– Nie mam pytań. Chciałbym wezwać kolejnego świadka, Adama Cunninghama.

Sędzia Wheeler spojrział na zegarek.

– Tak. Wysłuchamy go po przerwie. Spotykamy się o pierwszej.

Porozmawiawszy kilka minut z Jakiem w pokoju konferencyjnym przeznaczonym dla prawników i ich klientów, postanowiłem wpaść do szpitala.

– Nie daj się sprowokować dziennikarzom – powiedział Jake. – Bez komentarza, bez komentarza, i tak w nieskończoność.

Uniosłem dłoń na znak, że zrozumiałem, i przygotowałem się na szturm kamer i mikrofonów. Nikt jednak nie czekał na mnie na opustoszałych korytarzach. Co za ulga.

Dopiero po wyjściu z sądu zrozumiałem, gdzie podzieli się wszyscy reporterzy. Po drugiej stronie ulicy, w Parku Lincolna, obrońcy życia zorganizowali jakąś demonstrację. A kierowani ciekawością mieszkańcy Portland zbiegali się tam tłumnie. Dziennikarze krążyli, szukając materiału, punktu zaczepienia, nagłówka.

Rozglądałem się ukradkiem, obchodząc demonstrację. Miałem pięćdziesiąt pięć minut, żeby dotrzeć do szpitala, zobaczyć Elle, dowiedzieć się o jej stan i wrócić, zanim Adam zacznie zeznawać. Nie chciałem, żeby cokolwiek odwróciło moją uwagę.

Wtedy zobaczyłem moją matkę, uwięzioną między ogrodzeniem z kutego żelaza a grupą ludzi machających jej przed twarzą lalkami wielkości niemowlaków, jakby matka nie wiedziała o noworodkach więcej niż wszyscy ci demonstranci – jakby nigdy nie pomogła żadnemu dziecku przyjść na świat.

Chryste. Stałem i przełknąłem ślinę, zerkając za siebie na gmach sądu. Stali tam strażnicy. Czy opuściliby posterunek, żeby jej pomóc? Czy rzeczywiście muszę się w to mieszać?

Przesunąłem się kawałek do przodu, po czym zatrzymałem się, żeby wyciągnąć telefon i zadzwonić po policję. Ktoś popchnął matkę i rzuciłem się do przodu.

– Zostawcie ją! – krzyknąłem. – Z drogi. Zwariowaliście?

Tłum rozstąpił się tylko trochę, ale ludzie, nawet rozgniewani, chętniej ustępują przed mężczyzną o wzroście prawie metr dziewięćdziesiąt niż przed kobietą po sześćdziesiątce. Zabawne, że ci ludzie, którzy stają w obronie słabych, bezbronnych dzieci, są gotowi zaatakować

starą kobietę, dzięki której na świat przyszła ogromna liczba noworodków, kobietę, która uratowała wiele małych istnień.

Rozgorączkowane spojrzenie matki napotkało moje oczy i wypięła pierś w ostatnim akcie odwagi.

– Nic mi nie jest – powiedziała.

Objąłem ją ramieniem i poprowadziłem przez tłum.

– Zostawcie ją w spokoju! – rzuciłem.

Matka cała się trzęsła. Objąłem jej nadgarstek i sprawdziłem tętno. Miała częstoskurcz, prawie sto pięćdziesiąt uderzeń na minutę.

– Co oni robili? – spytałem.

– Próbowali mnie nastraszyć. – Przełknęła z trudem ślinę. – Zresztą całkiem nieźle im poszło. Cały czas myślałam o zabitych lekarzach z klinik aborcyjnych i o klinikach wysadzonych w powietrze.

– Czemu wszyscy kojarzą naszą sprawę z aborcją? Tu chodzi o Elle. I o dziecko w jej łonie. Nikt nie poddaje się aborcji. Chciałbym, żeby ci idioci się odczepili.

– Dziękuję. – Ścisnęła moją dłoń.

– Stoję na parkingu po drugiej stronie ulicy – powiedziałem.

Kilkoro dziennikarzy robiło zdjęcia, zadawało pytania, deptało nam po piętach. Ignorowałem ich przez całą drogę do samochodu, otworzyłem drzwi pilotem i ulokowałem matkę na fotelu pasażera, zamknąłem jej drzwi i obszedłem auto.

Kiedy już znalazłem się w środku, nie, kiedy już jechaliśmy Franklin Street, powiedziałem:

– Nie chcę, żeby coś ci się stało. Ale to, że wyciągnąłem cię stamtąd, nie znaczy, że minęła mi złość.

– Wiem... Dokąd jedziemy? – spytała.

– Do szpitala. Możesz wrócić do sądu z kimś innym. Albo mogłabyś wycofać pozew i przestalibyśmy się babrać w tym gównie. Moglibyśmy skupić się na tym, co jest ważne.

Utkwiła wzrok w oknie.

– Elle jest ważna.

– Owszem, jest. Była. Ona już odeszła. – Głos mi zadrżał i zatrzymałem się na światłach. Ścisnąłem kierownicę, jakbym mógł w ten sposób uwolnić się od bólu.

Mama położyła delikatnie dłoń na mojej.

– Wiem. Matt, gdybyś to był ty... gdybyś to ty leżał w tym łóżku, co twoim zdaniem zrobiłaby Elle?

– To głupie pytanie – odparłem.

Za nami rozległ się klakson.

Światło było już zielone i dodałem za dużo gazu, ruszając gwałtownie przez skrzyżowanie.

– Cholera – powiedziałem. – Nie możesz odwracać sytuacji i pytać, co by zrobiła Elle. Ja nie mogę nosić w sobie dziecka. Gdybym mógł zamienić się z nią, nawet jeśli oznaczałoby to, że zostawiłbym ją samą i w ciąży, gdybym mógł za nią umrzeć, zrobiłbym to.

– Wiem, że w swojej opinii postępujesz szlachetnie. Ale czy nie chcesz właśnie nosić w sobie dziecka? Przesiadujesz tam dzień i noc. Czy nie próbujesz dokonać czegoś niemożliwego?

– Daj mi szansę, bym mógł sprawdzić, czy to niemożliwe – powiedziałem.

Mama zacisnęła powieki.

– Jake może i umie manipulować słowami, moimi i każdego zeznającego, ale znam Elle.

To na moim ramieniu oplakiwała Alice. Elle nie chciała umierać w ten sposób.  
None

Dzień dziesiąty

Adamowi, z jego roslą sylwetką, udało się to, czego niewielu mogło dokonać; przy swoich ponad dwóch metrach wzrostu sprawiał, że wydawałem się niski. Miałem więc satysfakcję, że z tymi jego długimi nogami wciśniętymi w miejsce dla świadka było mu niewygodnie. Najwyraźniej Klein uważał, że Adam ma dużo do powiedzenia, bo jego ciągnące się w nieskończoność, monotonne zeznanie trwało już prawie godzinę.

– Czy Elle kiedykolwiek omawiała z panem swoje postanowienia dotyczące spraw zdrowotnych?

– Tak.

– Może nam pan powiedzieć coś więcej o okolicznościach?

Odkryłem, że sale sądowe to niespecjalnie ekscytujące miejsca. Pytania i odpowiedzi przypominały formułę długi dowód matematyczny. Podaj A. Podaj B. Dodaj. Podziel sumę przez iloczyn. Pomimo znużenia dostrzegałem schematy i rozumiałem skomplikowane fakty. W medycynie też konieczna jest logika. Jako lekarze przeprowadzamy dowody drogą badań, a ja doskonale wiedziałem, co decyduje o tym, czy dane badanie jest przekonujące. W zeznaniach Adama brakowało kluczowych zmiennych: dziecka i matczynej miłości.

Adam znowu zmienił pozycję.

– Elle była specjalistką misji przypisaną do zespołu mającego naprawić teleskop Hubble’a. Po katastrofie Columbii nie byliśmy nawet pewni, czy program zostanie wznowiony, ale kiedy NASA dała zielone światło, Elle postanowiła uporządkować swoje sprawy. Na wszelki wypadek. Poszła do prawnika i spisała testament. Tamtej nocy wróciła do domu z oświadczeniem woli. Powiedziała mi, że wyznaczyła mnie na pełnomocnika, gdyby coś jej się stało.

Adam i Klein bujali się wte i wewte. Adam przeczytał dokument na głos. Tak jak w testamencie życia przedstawionym przez matkę Elle zawarła w nim konkretne wytyczne. Przy braku szans na powrót do zdrowia należy zaprzestać odżywiania i nawadniania. Nie chciała oddychać z pomocą respiratora. Właściwie nie chciała niczego, tylko spokojnej śmierci. Adam przebiegł kartkę wzrokiem.

– Sprawdzasz się to do tego, że Elle chciała, by odłączyć ją od aparatury. Powiedziała mi, że to, co spotkało jej matkę, nim umarła, było karygodne i niemoralne.

– Doktorze Cunningham, jaką datę nosi ten dokument?

– Dziewiętnasty maja dwa tysiące trzeciego roku.

Pochyliłem się i szepnąłem Jake’owi do ucha:

– Jakiś miesiąc później zerwali. W czerwcu lub lipcu dwa tysiące trzeciego roku.

Cienkie usta Jake’a wykrzywiły się w węzowym uśmiechu.

Klein wziął dokument i podał go sędziemu Wheelerowi.

– Wnoszę o włączenie P-2 do materiału dowodowego.

– Czy pozwany zgłasza sprzeciw? – spytał sędzia Wheeler.

Kiedy Jake wstał, by przemówić, chciałem łyknąć wody. Bezwiednie zgmiotłem butelkę, tak że woda wytrysnęła niczym lawa z wulkanu i zalała papiery Jake’a.

Jake spiorunował mnie wzrokiem, wyciągnął chusteczkę i podał mi ją tak, jakby był przygotowany na każdą okoliczność.

Osuszałem stół, podczas gdy on mówił. Na widowni chichotała blond dziennikarka. Suka, pomyślałem. Pewnie uważa się za feministkę. Elle była feministką. Ja też wierzyłem, że kobieta może robić wszystko, właściwie wszystko to, co mężczyzna. Elle robiła rzeczy, których ja nie potrafiłem... na przykład odbywała spacer w kosmosie. I co ważniejsze, Elle może donosić to

dziecko. A ja nie.

– Wysoki Sądzie – powiedział Jake. – Nie jesteśmy w stanie stwierdzić, czy ta kserokopia nie została jakoś zmanipulowana ani czy oryginał nie został zniszczony. Choć w maju dwa tysiące trzeciego roku Adam Cunningham i Elle byli w związku, potem w ciągu paru miesięcy rozstali się. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że Elle zniszczyła oryginał. Wnoszę o wyłączenie dokumentu z materiału dowodowego.

Klein dotąd przyglądał się, jak wycieram rozlaną wodę, ale teraz wstał.

– Wysoki Sądzie, staram się skontaktować z prawniczką, która sporządziła oświadczenie woli, by ustalić, czy jest w posiadaniu oryginału.

– Jeśli przedstawi pan oryginał, włączę go do materiału dowodowego. – Sędzia zamienił kilka słów z woźnym, po czym kazał Kleinowi kontynuować.

– Kiedy ostatni raz rozmawiał pan z Elle? – spytał Klein Adama.

– Kilka miesięcy temu. Zadzwoiła, kiedy zmarła moja matka. Matka miała alzheimera i długo chorowała, już wtedy, gdy byliśmy z Elle parą.

– Czy w czasie tej rozmowy kilka miesięcy temu rozmawialiście o oświadczeniu woli Elle? – spytał Klein.

– Nie konkretnie, ale rozmawialiśmy o naszych matkach i o tym, jak trudna była ich śmierć. Elle powiedziała coś, z czego wynikało, że moja matka odnalazła wreszcie spokój i że ostatecznie tylko tego możemy wszyscy pragnąć. Mówiliśmy o godnym umieraniu. Jej poglądy nie uległy zmianie.

– Czemu przyleciał pan tu aż z Houston, żeby zwrócić uwagę sądu na ten dokument, skoro od dawna nie jest pan w związku z Elle Beaulieu?

Adam spojrział na swoje dłonie, udając pokorę, jak faryzeusze udawali prawych.

– Nie chciałem wplątywać się w ten konflikt, ale szanuję Elle i pragnę mieć pewność, że jej życzenia zostaną spełnione. Matt ich nie honoruje, więc sumienie nakazało mi zainterweniować. Elle nie chciałaby być podłączona do respiratora. Byłaby temu stanowczo przeciwna. Najbardziej bała się umierać powoli, jak matka.

Kiedy wszedłem do pokoju Elle, Hank podniósł wzrok znad gazety, którą czytał jej na głos.

– Jak wyglądało zeznanie Adama? – spytał.

Pochyliłem się i pocałowałem Elle w czoło, zastanawiając się, ile prawdy mogę wyjawić Hankowi, żeby nie pobiegł prostu do najbliższego baru. Opowiedziałem mu o przedstawionym przez Adama oświadczeniu woli, po czym zacząłem szukać czegoś, co by go uspokoiło.

– Niemal zabawnie było patrzeć, jak Jake magluje Adama w czasie przesłuchania krzyżowego.

– Co masz na myśli?

– Jake doprowadził do tego, że Adam przyznał, iż jest mało ważny.

– W jaki sposób?

– Jake i Adam rozmawiali o tym, czemu Elle przygotowała testament i oświadczenie woli przed misją Atlantis. Stosunkowo niedawno wydarzyła się katastrofa Columbii. Astronauci porządkowali swoje sprawy, i tak dalej, i tak dalej. Jake spytał, czemu, skoro myślała, że w razie katastrofy nie przeżyłaby, i skoro nikt z załogi Columbii ani Challengerera nie przeżył, czuła potrzebę, żeby sporządzić oświadczenie woli. Gdyby coś poszło nie tak, i tak by zapewne zginęła. Adam odrzekł, że wtedy Elle niekoniecznie uważała oświadczenie woli za szczególnie ważne. Na co Jake powiedział:

– Czyli powierzyła panu mało ważną funkcję?

Hank zaśmiał się serdecznie.



– Zaczynam lubić twojego przemyślnego kolegę.

– Jake ma kilka zalet – przyznałem. – Ale nie mów mu, że to powiedziałem.

Kiedy Hank wyszedł, odtworzyłem sobie w myślach, jak naprawdę Adam zareagował na pytania Jake'a.

– Źle się wyraziłem – powiedział. – Nie mam na myśli, że oświadczenie woli w ogóle było dla Elle mało ważne, ale że gdyby coś się stało w trakcie misji, umarłaby szybko. Ta świadomość ułatwiała jej stawianie czoła niebezpieczeństwu, bo bała się takiej śmierci, jaką umierała jej matka. I jaką ona sama teraz umiera.

Spojrzałem na Elle. Na co ja ją, u diabła, skazuję?

None

Dzień jedenasty

Oglądanie w kółko na CNN, jak obrzucam się wyzwiskami z lokalną dziennikarką, nie poprawiało mi nastroju. Wyłączyłem telewizor, a w tej samej chwili do pokoju Elle wszedł Mike z reklamówką wypełnioną czymś, co wyglądało na koperty. Rzucił ją na szeroki parapet.

– Zapewne widziałeś już w wiadomościach swoje wystąpienie?

– Ze dwadzieścia razy. Zamierzam wytatuować sobie na czole „bez komentarza”. Gdybym trzymał język za zębami, nie puszczałyby w kółko tego materiału.

– Powiedziała, że to „gwałt”. Jak mógłbyś trzymać język za zębami?

Spojrzałem na brata i pokręciłem głową.

– Nie rozmawiajmy o tym. – Zacząłem przeglądać torbę z pocztą.

– Znasz Dave’a Hoppera, prawda?

Oczywiście, że go znałem. W liceum kumpłował się z Mikiem, a teraz pracował na poczcie. Brat tak naprawdę nie oczekiwał odpowiedzi; nigdy jej nie oczekiwał, kiedy już zaczął gadać, w związku z czym nawet nie podniosłem na niego wzroku.

– No więc – ciągnął dalej Mike – Dave zadzwonił i powiedział, że twoja skrzynka pocztowa się przepełniła.

Jedną z zalet mieszkania w tym samym małym mieście, w którym się wychowało, jest to, że wszyscy znają ciebie i twoją rodzinę, istnieje więc duże prawdopodobieństwo, że w razie czego ktoś zaalarmuje twojego starszego brata, by poczta nie gromadziła się na podłodze.

– Dzięki – powiedziałem, biorąc torbę.

– Jest tego więcej, u ciebie w domu.

– Jeszcze więcej?

– Dostałeś więcej listów niż Święty Mikołaj w grudniu. – W głosie Mike’a zabrzmiała ponura ironia. Otarł kilka łez i spojrzał na Elle. – Niektóre są od znajomych Elle, ludzi stąd, inne mają logo NASA i MIT, adresy zwrotne w Houston. Niektóre są z tak dziwnych miejsc jak Afryka Południowa. Tych nie przyniosłem. Przy okazji, przyszło też coś od Carol.

– Wentworth?

– A znasz jakieś inne?

Wzruszyłem ramionami. Żadnej tak dobrze, jak kiedyś znałem Carol Wentworth. Zanim wróciliśmy do siebie z Elle, przez jakiś czas byłem zaręczony z Carol. Pogawędziliśmy z Mikiem kilka minut o jego synach i ich prośbach, żeby mogli zatrzymać naszego psa, Hubble’a. O jego pracy. O tym, co spotkało mamę dzień wcześniej w Parku Lincolna. Choć wiedziałem, że zdaniem Mike’a to mama ma rację, nie chciałem się kłócić i najwyraźniej on też tego nie chciał, bo po chwili powiedział, że wpadnie następnego dnia.

Czy chcę resztę poczty?

Nie teraz.

Zacząłem przeglądać listy i od razu dostrzegłem charakterystyczne pismo Carol.

*Matt,*

*Bardzo mi przykro z powodu wypadku Elle. Biorąc pod uwagę to, co się mówi o jej stanie, „życzenia szybkiego powrotu do zdrowia” zabrzmiałyby trochę banalnie.*

*Niemniej jednak gdybym mogła cokolwiek zrobić, pociągnąć za jakieś sznurki, daj mi znać. Pamiętaj, że mój ojciec ma znajomości. Jeden telefon i mógłby zwrócić na Twoją sprawę uwagę prokuratora generalnego.*

*Czytałam, że zatrudniłeś Jake'a. Możesz dać mu mój numer, skontaktuję go z ojcem.*

*Pozdrowienia,*

*Carol*

Nie wiedziałem, jak bardzo wpływowy jest ojciec Carol. Odłożyłem jej list na bok, wyciągnąłem plik listów Elle z tamtego okresu i znalazłem ten, który napisała, gdy powiedziałem jej o zaręczynach.

None

Sześć lat przed wypadkiem

Prawda była taka, że już gdy zacząłem się spotykać z Carol, wiedziałem, że jest dla mnie zbyt gładka. Wiedziałem o tym, ale kiedy z nią przebywałem, nie byłem w stanie stwierdzić, czy trafiłem do nieba, czy też wsiadłem do samolotu, który ma się rozbić. Po jakimś czasie przestało to mieć znaczenie. Oboje byliśmy na tak absorbujących rezydenturach, że nie mogliśmy szukać towarzystwa nigdzie indziej. Potrafiłem prezentować się na tyle przyzwoicie, że jej rodzice z Park Avenue nie sprzeciwiali się mojej obecności u jej boku. Była genialną rozmówczynią, na tyle mądrą, by mnie przechytryć, i była dobra w łóżku.

Nie potrzebowałem niczego więcej. Nie chciałem niczego więcej, ale nasz związek niósł też ze sobą inne korzyści. Carol dorastała wśród nowojorskiej elity i dzięki niej poznałem ludzi i miejsca, do których sam nigdy nie odważyłbym się zbliżyć. Jednakże po jakimś czasie zacząłem pragnąć poważnego związku. Może była to samotność albo tęsknota, a może pragnienie, by kogoś kochać. Ona była piękna i utalentowana. Czego jeszcze chcieć?

Ale nie pasowaliśmy do siebie. Tak naprawdę: nie. Zawsze gdy próbowałem ją przekonać, żebyśmy zanocowali u mnie, znajdowała jakąś wymówkę. Nie. To nieprawda. Nigdy nawet nie udawała, że moje lokum spełnia jej oczekiwania. Jednej nocy, kiedy wkładała bluzkę na koszulkę, bawiłem się jej długimi czarnymi włosami i próbowałem ją namówić, by została.

– Mam wcześniej rano operację. Chcę się porządnie wyspać. – Przechyliła głowę na bok. – Ale będę za tobą tęsknić.

– Wolałbym nie myśleć o tym, że kręcisz się po mieście w środku nocy.

– Jesteś taki prowincjonalny z tymi swoimi zasadami chłopca z małego miasta – odparła z uśmiechem.

– Zostań. Chodź spać.

– Nie przychodzę tu spać. Przychodzę tu dla twojego ciała. – Poglaskała wnętrze mojego uda.

– Czuję się wykorzystany – zaśmiałem się.

Złapała swoją markową torebkę i stanęła przy drzwiach, czekając, aż je otworzę.

– Bardzo cię lubię, ale to miejsce – niespecjalnie. Znajdź sobie porządne mieszkanie, to zostanę.

Chciałbym móc powiedzieć, że nie miałem problemu z takimi pogardliwymi komentarzami, ale naprawdę przeszkadzało mi, kiedy od łóżkowych żartów przechodziła dalej i zaczynała się wywyższać, nawiązując do mojej gorszej sytuacji materialnej. Chciałem przesunąć rozkład sił, a co było najprostszą, najtańszą i najbardziej przewidywalną metodą, do jakiej mogłem się uciec? Uwiedzenie jej. To mnie nic nie kosztowało. Przebiegłem palcem po jej obojczyku, a potem wziąłem jej twarz w dłoń. Jęknęła cicho i przez sekundę myślałem – choć zupełnie błędnie – że wygrałem.

Ale przeszkodził nam dzwonek telefonu, Carol na chwilę otoczyła ustami mój język, po czym odsunęła się i zniknęła za drzwiami.

Cholera. Zerknąłem na zegar i złapałem słuchawkę. Pora była zbyt późna, żeby dzwonił ktoś z rodziny.

– Tak, halo.

– Oj. Obudziłam cię? – spytała Elle.

Zamknąłem drzwi na zamek i oparłem się o ścianę.

– Nie.

– Jest jakaś szansa, że jednak przyjedziesz do domu na święta?

– Nie mogę. Mam dyżur w szpitalu.

Spróbowałem sobie wyobrazić rodzinę, moją i jej, zebraną wokół stołu w domu, w którym się wychowałem. Mama ugotuje wszystkie zapychające tętnice dania znane rodzajowi ludzkiemu. Moi bratankowie rozleją sos z pieczeni na pamiątkowy obrus cioci Beth. Wszyscy opowiedzą sobie, co u nich słychać. A mnie tam, po raz kolejny, nie będzie. Brakowało mi tego poczucia przynależności. Ale, co dziwne, choć ani Elle, ani ja nie mieszkaliśmy już z naszymi rodzinami, rozmawiając z nią, czułem się tak, jakbym był w domu.

Zamilkła na kilka sekund, ale kiedy się odezwała, usłyszałem w jej głosie uśmiech.

– Mam niespodziankę i pewnie powiem o niej rodzinie w święta. Jeszcze cztery tygodnie. To mnie może zabić. Zaraz wybuchnę. Ale skoro ciebie nie będzie w domu... Słuchaj, nie mogę dusić tego w sobie.

Cholera, oto ono, ogłoszenie, że wreszcie wychodzi za Adama. Próbowałem ukryć moją pogardę dla tego dupka.

– Gratulacje. – Zabrzmiało to mało entuzjastycznie, ale dobrze, że przeszło mi przez gardło.

– Nie wiesz przecież, o co chodzi – powiedziała Elle.

– Mogę sobie wyobrazić. Adam to prawdziwy szczęściarz. Niech cię tylko dobrze traktuje.

– Co? Och. No co ty. Nie wychodzę za męża. – Elle prawie zachichotała. Fakt, że nie wychodzi za Adama, zdawał się jej w ogóle nie smucić. – Śmieszny jesteś.

Ogarnęło mnie poczucie ulgi.

– No dobra. To co to za wieści?

– Coś wielkiego – pisnęła. Myślałem, że mam zgadnąć, ale zanim spróbowałem, powiedziała: – Kosmos. Ostateczna granica.

– Niemożliwe. Serio?

– Dowiedziałam się dziś rano. NASA właśnie przydzieliła mnie do misji Atlantis. Przygotowania zajmą nam dwa lata, ale zmodernizujemy Hubble'a.

– Teleskop?

– Tak. I, Matt – powiedziała. – Odbędę EVA!

– Co to...

– EVA. Zajęcia pozapojazdowe. Spacer kosmiczny. Uwierzysz? – Jej głos buzował szczęściem jak szampan bąbelkami.

Potarłem czoło, przyswajając to wszystko. Dumę z jej osiągnięcia. Radość z jej szczęścia. Niepokój o jej bezpieczeństwo. Tym razem pogratulowałem jej ze szczerym entuzjazmem.

– Pip, tak się cieszę.

– Dziękuję. Nikomu jeszcze nie powiedziałam.

– Poza Adamem?

– Jemu też nie. Mam nic nie mówić, aż ogłoszą to w prasie w przyszłym tygodniu. Ale musiałam komuś powiedzieć i chciałam powiedzieć tobie.

None

Pięć lat przed wypadkiem

Trochę ponad rok później, pierwszego lutego 2003 roku, wahadłowiec kosmiczny Columbia, lecąc z prędkością dziewiętnastu tysięcy kilometrów na godzinę, rozpadł się podczas wejścia w atmosferę. Kiedy Houston czekało w ciszy na potwierdzenie, stacje telewizyjne pokazywały to, co zwykle nie budzi zainteresowania widzów. Bolałem nad śmiercią każdego członka załogi, ale dziękowałem Bogu, że Elle jest bezpieczna. Atlantis miała wystartować w następnym roku. NASA zawiesiła program na czas dochodzenia, z którego wynikało, iż od zbiornika zewnętrznego oderwał się kawałek pianki izolacyjnej wielkości walizki i uszkodził osłonę termiczną na lewym skrzydle. Jako obserwator żywo zainteresowany tematem oglądałem wiadomości, codziennie wchodziłem na NASA.gov, mając cichą nadzieję, że agencja zupełnie odstąpi od programu lotów wahadłowców. Ale kiedy eksperci od bezpieczeństwa obmyślili kilka scenariuszy ratunkowych, program dostał zielone światło.

Jednakże lot Elle na Hubble'a wciąż był problematyczny. Na orbicie teleskopu ratunek byłby niemożliwy. Gdyby wahadłowiec uległ uszkodzeniu podczas startu, nie miałby dość paliwa, by dolecieć na Międzynarodową Stację Kosmiczną, gdzie mógłby poczekać na pomoc. Tak więc misja Elle została odwołana.

– Tak blisko szczęścia – powiedziała. – Adam uważa, że przydzielą mnie do innej misji.

Pieprzyć Adama, pomyślałem.

Mój związek z Carol był niestabilny, zależny od naszych grafików dyżurowych, czy akurat się ze sobą pokrywały, czy też kolidowały. Gdyby mnie ktoś spytał tamtej zimy, czy mam dziewczynę, pewnie odparłbym, że nie, że to raczej przyjaźń z dodatkowymi korzyściami. Ale wczesną wiosną 2003 roku zaczęliśmy spędzać ze sobą więcej czasu. Nasze zmiany w szpitalu zsynchronizowały się i my także. Praktycznie wprowadziłem się do jej mieszkania – miałem tam maszynkę do golenia, szczoteczkę do zębów i szufladę ubrań. Nie było to nic oficjalnego, nie dostałem nawet klucza i nie nocowałem tam pod jej nieobecność, ale z czasem jakoś staliśmy się parą.

Doktor Shah zdjął rękawiczki chirurgiczne i kazał mi zszyć pacjenta. Podszedł z powrotem do zdjęcia z MRI i przyjrzał mu się po raz kolejny, podczas gdy ja zakładałem kilka ostatnich szwów.

– Zabierz go na salę pooperacyjną – powiedział Shah. – Napisz raport z operacji i zlecenia pooperacyjne, a ja zajrzę do niego później, jak tylko porozmawiam z rodzicami.

– Robi się – odparłem, nie zazdroszcząc Shahowi, że musi poinformować bliskich o ponurym rokowaniu.

Kiedy zespół z pacjentem mijał salę operacyjną numer 7, zobaczyłem przez szybę Carol. Oboje byliśmy na piątym roku rezydentury – Carol na chirurgii dziecięcej, a ja, oczywiście, na neurochirurgii, i spędzaliśmy dużo czasu na bloku operacyjnym.

Dziesięć minut później siedziałem na sali pooperacyjnej i wypełniałem kartę naszego ośmioletniego chłopca. Nie mogliśmy zupełnie nic zrobić. Oczywiście o dalszym postępowaniu zadecyduje wynik biopsji, ale jemu i tak nie było sądzone dożyć szkoły średniej.

Carol uśmiechnęła się do mnie, siadając na krześle obok; maska chirurgiczna wisiała jej wokół szyi, a czarne włosy wciąż były ukryte pod czepkiem operacyjnym. Jej ciepłe oczy spojrzały w moje i powiedziały coś więcej niż „cześć”, które wyszeptala.

– Nie wiem, jak możesz pracować z dziećmi. – Oparłem się na krześle.

Wzięła kartę i przebiegła wzrokiem mój wpis.

– Cholera. Głęboko pnia mózgu. Biedny malec. – Rozejrzała się ukradkiem i wzięła w rękę

moją dłoń.

Chciałem zmienić temat rozmowy.

– Jaki miałaś teraz przypadek?

– Och, łatwizna – odparła. – Korekta wrodzonego zwężenia odźwiernika. Niektóre rzeczy łatwo naprawić. Przychodzi sześciolatek z wymiotami chlustającymi. Nawadniam go, znajduję przyczynę i po krótkiej i prostej operacji dziecko wraca do normalnego życia. Szczęśliwe zakończenie. Nie wszystkie są takie, ale widzę znacznie więcej tych szczęśliwych niż tych nieszczęśliwych.

– To nie skończy się szczęśliwie – powiedziałem, wskazując na kartę chłopca.

Przyciągnęła moje kłykcie do ust, pocałowała je pospiesznie, po czym puściła moją rękę.

– Nie możesz nic na to poradzić. – Przebiegła palcami po moim policzku. – Wiesz, co kocham w tobie najbardziej? Naprawdę przejmujesz się swoimi pacjentami.

– Ty też – odrzekłem, ale na dźwięk jej słów ścisnęło mnie w żołądku. To, co kocha we mnie najbardziej? Tak, łączył nas... seks, ale nigdy dotąd – nawet w chwili uniesienia – nie pojawiło się słowo miłość.

Ciszę na sali pooperacyjnej zburzył szloch niemowlaka; najmniejszy pacjent potrafi wydawać z siebie najgłośniejsze dźwięki.

Carol zerwała się, zanim jeszcze pielęgniarka zdążyła ją wezwać.

– Doktor Wentworth? Potrzebuję zlecenia na środki przeciwbólowe.

– Już idę – odpowiedziała Carol. Potem odwróciła się do mnie. – Zostańmy dziś wieczorem w domu, a rano jedźmy na plażę.

– Dobrze – zgodziłem się. – Zostańmy w domu. – To ostatnie słowo kołysało się niczym wahadło, które szuka równowagi, wychyla się w tył i w przód i zwalnia w środkowym punkcie. „Dom”. To słowo. I słowo „miłość”. Przy Carol czułem się coraz bardziej tak, jakbym był w domu. I co dziwne, omal nie dodałem „kocham cię”. Ugryzłem się jednak w język. Jedyłą kobietą, której kiedykolwiek powiedziałem, że ją kocham, była Elle.

Niemniej jednak kiedy patrzyłem, jak Carol przemierza salę, patrzyłem, jak pisze zlecenie, a potem zatrzymuje się przy łóżeczku płaczącego niemowlęcia, kiedy patrzyłem, jak kładzie dłonie na dziecku, by je ukoić, zdałem sobie sprawę, że ja też kocham coś w tej kobiecie. I po raz pierwszy poczułem, że mógłbym być szczęśliwy, gdybym pozwolił jej się do mnie zbliżyć, gdybym pozwolił sobie na miłość.

Następnego dnia pojechaliśmy na weekend do jej rodzinnego domu na plaży w Hamptons. Choć już tam kiedyś byłem, gdy zaparkowaliśmy, zobaczyłem to miejsce w nowym świetle. Mimo że po ukończeniu rezydentury na neurochirurgii pragnąłem wrócić do domu, zacząłem dostrzegać uroki życia w wielkim mieście, a przynajmniej w socjoekonomicznej wersji Carol: mieszkanie z widokiem na park i portierem, drugi dom nad morzem. Uwielbiałem ocean, nawet w owych deszczowych dniach późnego kwietnia. To wszystko nie jest takie złe.

Tamtego wieczoru, w niezbyt skromnym domu Wentworthów, leżeliśmy z Carol przytuleni przed rozległym kamiennym kominkiem. Myślałem, że zasnęła; była taka cicha i nieruchoma. Dochodzący z oddali odgłos uderzających o plażę fal przyboju i bębnienie deszczu na dachu mogłyby usnąć każdego. Dobrze mi tu, pomyślałem. Mam wszystko, czego mógłbym pragnąć: karierę i piękną dziewczynę. Bardzo cicho wyszeptalem słowa „kocham cię”. Może ćwicząc, sprawdzając, jak to brzmi.

Ku mojemu zdziwieniu Carol odwróciła się i spojrzała na mnie oczami pełnymi niepewności. Nigdy nie sądziłem, że potrzebuje moich zapewnień. A jednak głos jej zadrzał.

– Co powiedziałeś?

Przez chwilę wahałem się. Nie muszę się wycofywać z czegoś, co uważam za prawdę.

– Powiedziałem, że cię kocham.

Rozpromieniła się. Pocałowaliśmy się z uczuciem. Miałem wrażenie, że czekała na te słowa, te dwa krótkie słowa. Co zabawne, nigdy nie przyszło mi do głowy, że ktoś taki jak ona, tak opanowany, doskonały, mógłby potrzebować potwierdzenia w postaci słów.

– Kochasz mnie?

– Tak – zapewniłem, niemal się śmiejąc, wyzwolony odkryciem, które miało swój początek w sali pooperacyjnej poprzedniego dnia.

– Ja też cię kocham. Wow. – Wzięła moją rękę i ściągnęła mnie z sofy. – Chodź.

– Dokąd?

– Nie wiem. Chodźmy na dwór pobiegać w deszczu. Chodźmy... – Zarzuciła mi rękę na szyję. – Nie wiem.

Pocałowałem ją w czoło, potem w usta i zacząłem rozpinąć guziki jej bluzki.

– Jesteś piękna. Powinienem być dużo wcześniej powiedzieć, że mi na tobie zależy. Bardzo lubię biegać po plaży, ale nie róbmy tego w tej chwili.

Informacja pojawiła się w następnym poniedziałek w „Timesie”. Tak dowiedziałem się, że NASA wydała zgodę na misję z udziałem Elle.

– Możesz zginąć – powiedziałem Elle, która była na drugim końcu linii telefonicznej. – To zbyt niebezpieczne.

– Nie rozumiesz, jak wielkie znaczenie ma Hubble dla eksploracji kosmosu – odparła.

Nastąpiła chwila ciszy, podczas której szukałem dobrego argumentu, żeby zrezygnować ze swojego marzenia. Nigdy nie zrobiłbym kariery jako prawnik.

– Cała załoga poprzedniego wahadłowca zginęła. Większość rodzin nie miała nawet czego chować.

Jej ton nabrał powagi i była w nim pewność.

– Ich szczątki znaleziono. To była potworna tragedia, ale każdy członek załogi Columbii wiedział dokładnie, co ryzykuje. Wszyscy to wiemy. Polecę. Nie boję się tam umrzeć.

Skrzywiłem się, wyglądając przez okno loftu Carol w Tribeca. Oboje, Elle i ja, przebyliśmy długą drogę od dzieciństwa w Maine, kiedy za przygodę uznawaliśmy spacer wzdłuż rzeki Harraseeket.

– Ale... – zacząłem.

– Wiem, że się martwisz, ale musisz się ze mną cieszyć – powiedziała.

– Ale...

– Ale nic, Matt. Ale nic. Bądź moim przyjacielem. Życz mi powodzenia, a jeśli tego potrzebujesz, zmów za mnie parę modlitw.

Po mojej niezbyt entuzjastycznej reakcji na informację o dacie startu Atlantis nasze cotygodniowe rozmowy telefoniczne stały się rzadsze.

W Memorial Day urwaliśmy się z Carol na trochę ze szpitala i poleciliśmy na Karaiby. Na plaży bawiła się dwójka dzieci, mały chłopiec i dziewczynka, pięcio- albo sześcioletni, może bliźniaki; zanurzali głowy w maskach w wodzie i obserwowali ryby. I tak jakoś zaczęliśmy z Carol rozmawiać o „naszych” dzieciach i o tym, jak to nauczymy je pływać. Kiedy wróciliśmy do Nowego Jorku, wybraliśmy pierścienek zaręczynowy.

Na początku czerwca przyjechała poznać Wentworthów moja matka, w swojej najlepszej sukience ze średniej półki. Matka Carol nie miała na sobie niczego ze średniej półki. Była w markowych ciuchach. Luksusowych. Niemniej jednak moja mama wyglądała świetnie, lepiej niż za życia ojca. Zrzuciła nadmiar kilogramów, zaczęła biegać i uprawiać jogę; mimo małomiasteczkowego pochodzenia w penthousie przy Park Avenue w niczym nie ustępowała moim przyszłym teściom.



Po kolacji zebraliśmy się na balkonie. Matka wpatrywała się w światła miasta, trzymając palec na ustach. Powstrzymała się od typowej reakcji na widok Central Parku. Powiedziała natomiast coś, co Wentworthom musiało się wydać całkowicie niestosowne.

– Elle by się tu nie podobało, prawda, Matt?

Z nieba bił ten miejski różowy bezgwiezdny blask. Od razu zrozumiałem, co mama miała na myśli. Sam milion razy o tym myślałem.

– Elle? – spytała Elisabeth Wentworth.

– Och, przepraszam – powiedziała mama. – Widok jest oczywiście wspaniały. Elle to przyjaciółka rodziny, moja córka chrzestna i traktuję ją jak własne dziecko. Pracuje teraz w NASA – w programie astronautycznym. Gdyby mieszkała w Nowym Jorku, nie widziałaby gwiazd. Uwielbia je obserwować. – Mama przyjrzała się mojej twarzy.

Carol wiedziała, że jako dzieci byliśmy z Elle blisko i że nadal często ze sobą rozmawiamy. Wiedziała też, że w liceum chodziliśmy ze sobą przez jakiś czas, ale nie mówiłem jej o Celinie ani o tym, że zepchnąłem moje uczucie do Elle aż do butów. Carol wiedziała tylko, że Elle to dziewczyna dorastająca w domu obok i kobieta, która pozostała moją przyjaciółką.

A jednak jakoś nie znalazłem sposobu, żeby powiedzieć Elle o zaręczynach, a moja matka wiedziała, że chcę sam przekazywać swoje wiadomości.

– Jestem przerażona – zwróciła się mama do rodziców Carol – bo NASA wybrała Elle do udziału w zbliżającym się locie wahadłowca. Wiosną.

– Myślałam, że jej lot został odwołany – powiedziała Carol.

– Tak było – potwierdziła mama. – Ale kilka tygodni temu dostali zielone światło.

– Nie miałam pojęcia. – Carol mi się przyjrzała. – Wiedziałeś o tym?

– Myślałem, że ci powiedziałem. – Uśmiechnąłem się do mojej przyszłej żony, która była tak promienna, że przyćmiłaby każdą konstelację. A ja mogłem myśleć tylko o Elle.

Kiedy tego wieczoru wróciliśmy z mamą do mojego mieszkania, położyłem się na sofie i wyobrażałem sobie, jak by na to wszystko zareagowała Elle. Wybrałem jej numer, odebrał Adam, rzucając gardłowe „halo”.

– Cześć, tu Matt. Mogę prosić Elle?

Mruknął.

Usłyszałem jej szept. „Kto to?” Potem szelest pościeli. W słuchawce rozległ się jej głos.

– Matt? Coś się stało?

– Nie, skądże. Mam wieści. Żenię się – wyrzuciłem z siebie. Może to było jak haust niesmacznego lekarstwa, tyle że ja oplułem nim Elle.

– O mój Boże – powiedziała tonem, w którym słyhać było więcej zaskoczenia niż entuzjazmu. – Zaczekaj chwileczkę. – Znowu rozległ się szelest materiału, a potem coś, co przypominało zamykanie drzwi.

– Elle, jesteś tam?

– Tak. Z kim? Z Carol? Żenisz się z nią?

– Tak.

– Wow. Nie spodziewałam się tego.

O mały włos nie powiedziałem, że ja też się tego nie spodziewałem. Jakby to było coś, co mi się po prostu przydarzyło. Jakbym nie był tu chętnym uczestnikiem. Ale prawda była taka, że pod wpływem chwili pozwoliłem sobie być znowu szczęśliwym. Z Carol.

– Nie sądziłam, że traktujesz ją poważnie – powiedziała Elle. – Chociaż z drugiej strony spotykacie się już dość długo, prawda?

– Dwa lata – odparłem. Moja świadomość odnotowała jej brak entuzjazmu i ciszę, która zapadła między nami, zanim usłyszałem kolejne pytanie.

– Jak się oświadczyłeś? Ukląkłeś?

– Nie. To zbyt ograne.

Znowu zapadła cisza, tak długa, że milczenie stało się krępujące.

– Och – odezwała się. – A więc uważasz, że to ograne? Cóż, należą ci się gratulacje.

A ja... nie wiem, co powiedzieć.

Nagle przypomniałem sobie, jak pojechaliśmy z Elle na plażę i przeszliśmy ją całą ręką w rękę. Przypomniałem sobie, jak zadałem jej pytanie, którego właściwie nie zadałem Carol. Przed Elle ukląkłem.

– A więc... kiedy Adam zrobi z ciebie porządną kobietę, Pip?

Zaśmiała się.

– Mówisz jak mój ojciec. Adam już się oświadczył. Ale ja nie jestem gotowa.

– Czemu? Nie ukląkł? – Staralem się, by to zabrzmiało tak, jakbym się z nią przekomarzał.

– Nie o to chodzi – odchrząknęła. – Mamy... inne cele zawodowe. I...

– I co? – Miałem nadzieję, że powie, iż go nienawidzi.

– Chcę mieć dzieci – wyszeptała. – Po ślubie chciałabym mieć dzieci.

– A on nie?

Usłyszałem jęk i nie byłem pewny, czy to jej głos czy zakłócenia na linii.

– Tak czy owak – powiedziała – po co brać ślub, jeśli nie jest się gotowym mieć dzieci?

Nie odpowiedziała na moje pytanie, ale nie drażyłem tematu. Nie chciałem wyobrazić sobie Adama i Elle taszczących dziecko. Wtedy odwróciła sytuację, a w jej pytaniu wyczułem silne napięcie.

– A czy wy z Carol będziecie mieć dzieci? – spytała.

– Pewnie tak – powiedziałem. Taki mieliśmy plan. Pobrać się. Mieć dwójkę czy trójkę dzieci. I nauczyć je pływać i nurkować w egzotycznych miejscach. – Dziwnie mi o tym z tobą rozmawiać.

– Wiem.

Przełknąłem ślinę, po czym zebrałem się na odwagę.

– Wciąż myślę o naszym dziecku, Pip. Czasem.

– Och, Matt. – Westchnęła, a ja widziałem oczami wyobraźni, jak zakrywa sobie dłonią usta.

W słuchawce rozległ się głos Adama.

– Elle, powiedz mu, że jesteś zajęta, i wracaj do łóżka.

– O Boże – powiedziała cicho. Do mnie. Potem zawołała do niego: – Zaraz przyjdę. Daj mi chwilkę. Matt się żeni.

– Żeni się? Tej nocy? No, Elle. Jestem samotny – odparł.

Cholera.

– Wszystko dobrze? – spytała.

Pewnie, wszystko było w porządku, o ile w porządku są mordercze myśli.

– Zdaje się, że jesteście zajęci. Dobranoc, Elle.

4 czerwca 2003

*Matt,*

*Wywołałeś burzę. Adam jest na mnie prawie tak wściekły jak ja na niego. Oczywiście nie jest to Twoja wina. Ale natychmiast po tym, jak poinformowałam go o Twoim planowanym*

*ślubie, oświadczył mi się.*

*Znowu. Cholera.*

*„Hej, dziecinko, a może my byśmy się pobrali?”*

*Mam dość tego „Hej, dziecinko”. Nie jestem dzieckiem. I nie chcę za niego wychodzić. Co tu więc jeszcze robisz? Dawniej kiedy Adam poruszał temat małżeństwa, mówiłam, że nie chcę wychodzić za mąż, dopóki nie zakończę programu astronautycznego. Tym razem miał na to odpowiedź. Powinniśmy zaręczyć się teraz i wziąć ślub zaraz po moim powrocie z misji.*

*No tak.*

*Grając na zwłokę, powiedziałam, że nie mam czasu planować ślubu. Jego odpowiedź? On zaplanuje całą uroczystość.*

*Tak. To by mu pasowało. Kontrolować to. Kontrolować tamto. Więc odparłam, że planowanie ślubu to zadanie panny młodej. Niefortunnie się wyraziłam. Zrozumiał, że tym samym powiedziałam „tak” – że będę panną młodą. I żeby to przypieczętować, wyciągnął pierścionek zaręczynowy. Pierścionek!*

*Musiałam powiedzieć „nie”. Jak powiedzieć komuś, z kim dzieliło się wszystko przez osiem lat, że nigdy się nie myślało, iż to na zawsze? Wykazałam się brakiem wrażliwości. On chciał ślubu niemal od początku. Mówiłam mu, że nie jestem gotowa, ale powinnam była powiedzieć, że nigdy nie będę. Jemu zależy tylko na karierze. Nie chce dzieci. Ja kocham moją pracę, ale chcę też mieć dzieci. Chcę wszystkiego.*

*Kiedy weszłam miesiącu spóźnił mi się okres, tylko dwa dni, Adam wpadł w szal. Nie znaczy to, że ja byłam zachwycona. Misja właśnie została zatwierdzona i musiałabym oddać swoje miejsce. Boże, to by mnie zabiło, ale nie miałabym wyboru. Na szczęście nie byłam w ciąży. Wciąż jednak trudno mi uwierzyć, że tydzień po tym Adam poddał się cholernej wazektomii – ciach, ciach.*

*To był prawdziwy moment przebudzenia, objawienie. W ciągu ostatnich kilku tygodni zdałam sobie sprawę, jak mało szacunku ma dla mnie Adam. Nie powiedział nawet: „co o tym sądzisz?”. Po prostu poszedł sobie i wrócił do domu obolały, oczekując, że będę koło niego skakać. Jeszcze czego!*

*Ale nic nie powiedziałam. Co miałabym powiedzieć? Że chcę, by był ojcem moich dzieci? Kolejny grom z jasnego nieba. Nie chcę. Byłby okropnym ojcem. Nie lubi dzieci, nawet dzieci sąsiadów. Nie chcę za niego wychodzić. Więc nie powiedziałam nic.*

*Na początku byliśmy dobraną parą i pod wieloma względami pasujemy do siebie. Czy to nie wystarcza? Może wystarczyłoby, gdybym nie chciała rodziny. Czemu to jest takie trudne? Czuję się tak, jakby część mnie kapitulowała. Straciłam z Adamem tyle czasu.*

*Wyobrażam sobie, że nadejdzie moment, kiedy będę chciała opuścić Houston, wrócić do*

*domu i uczyć w college'u. I zaraz słyszę jego słowa. Uczyć? W Maine? Cóż za marnotrawstwo Twoich zdolności, Elle. Adam szydzi, a ja się wycofuję. Powiedział, że to egoizm nie wykorzystać w pełni swojego potencjału, że podstaw fizyki może uczyć każdy, ale większość ludzi nawet pod groźbą śmierci nie zrozumie, czym są fale magnetohydrodynamiczne.*

*No dobra, mój mózg jest tak skonstruowany, że ja to rozumiem. I co z tego? Czy to znaczy, że muszę funkcjonować na jakiejś dwuwymiarowej płaszczyźnie, skupiona na jednym jedynym aspekcie wszechświata? Chcę czegoś więcej. Chcę uczyć. Lubię widzieć, jak w czyichś oczach pojawia się zrozumienie. Czy może Adam ma rację, że nie jestem skłonna do poświęceń, których wymagają prawdziwe odkrycia naukowe?*

*Tęsknię za tatą i bratem. Tęsknię za śniegiem i jesienią. Tęsknię za kajakami na Casco Bay. Tęsknię za moim życiem.*

*I nie chcę na starość myśleć, że mogłam mieć dzieci, ale moja kariera była ważniejsza. Odbędę spacer w kosmosie. Tego nie przebiję nic. Wyjąwszy trzymanie dziecka w ramionach.*

*Myślałam, że kiedyś wyjdę za mąż. Kiedyś będę mieć dom pełen dzieci.*

*Z Adamem to niemożliwe. Ten związek się nie sprawdza. Nigdy nie widziałam Adama na zawsze u mojego boku.*

*Boże, dopomóż, widziałam Ciebie, Matt. Widziałam ołtarz i białą suknię. Wiem, że zaprzepaściliśmy naszą szansę wieki temu. Ale jakoś...*

*Matt, żenisz się z kimś innym. Inna stanie przy Tobie w kościele – i w życiu. Carol. O Boże. Chcę się cieszyć Twoim szczęściem, ale mam wrażenie, że kopię sobie własny grób.*

*Co mam zrobić z tymi uczuciami? Obawiam się, że podjęłam decyzję dawno temu. Nie mam już prawa kochać Cię. Ale Kocham.*

None

Po wypadku Elle  
*Dzień jedenasty*

Złożywszy dzień wcześniej zeznania, Adam miał czelność znów przywlec się do pokoju szpitalnego Elle. Posłał mi gniewne spojrzenie, jednocześnie omijając mnie wzrokiem.

Wstałem skonfundowany.

– Co tu robisz?

Udał, że nie usłyszał mojego pytania. Pochylił się i pocałował Elle w policzek.

– Cześć, dziecinko.

– Adam, wynoś się stąd.

– Miej trochę szacunku. Wiem, że nigdy nie byłeś w tym dobry, w szanowaniu naszego związku, ale może poszedłbyś na parogodzinny spacer i pozwolił mi się pożegnać.

– Elle pożegnała się z tobą pięć lat temu. Co do szacunku, uszanuj to, że jesteśmy małżeństwem. A co do twojej prośby, żebym wyszedł, porąbało cię?

Wyprostował się, zbliżając się do sufitu, a na jego twarzy pojawił się uśmiezek.

– Co? Nie ufasz mi?

– Nie, nie ufam. Co ty w ogóle robisz w Maine? Jej stan nie ma z tobą nic wspólnego. Rzuciła cię dawno temu.

– Nie słuchałeś, o czym była mowa w sądzie. Jestem jej pełnomocnikiem w kwestiach medycznych.

– Och, na miłość boską. Jestem w stanie po części zrozumieć, czemu moja matka się wtrąciła. Myli się, ale należy do rodziny. A ty? Nie widziałeś Elle od lat. O co tu chodzi? O kontrolę? Władzę? Chcesz się przejechać na jej sławie i wyjść na kogoś ważnego? Pomijając wzrost, jesteś pieprzonym Napoleonkiem, który musi wszystko kontrolować.

– Zawsze byłeś aroganckim dupkiem, Beaulieu. Wyjaśniłem już wszystko w sądzie. Byliśmy razem długo i jestem jej to winny. Była dla mnie ważna. – Przełknął ślinę tak głośno, że zapewne usłyszeli go w Chinach. – Kochałem ją. Nigdy do końca nie zrozumiałem, co się z nami stało, ale podejrzewałem, że to ty za tym stałeś.

– Wciąż jesteś w niej zakochany. Jezu – powiedziałem, odwracając się na chwilę do okna.

– Nie jestem... w niej zakochany. Już nie. Ale... tak... Wciąż mi na niej zależy – zakończył cicho. – Przeżyliśmy razem długi czas.

– Osobno też.

– W twoich ustach to brzmi dość zabawnie. Byłeś żaloszny, przez te wszystkie lata kręciłeś się w pobliżu, czekałeś na nią, wydzwaniałeś, wtrącałeś się w nasz związek.

– Nigdy o tobie nie rozmawialiśmy. Przyjaźniliśmy się długo przed tym, jak się poznaliśmy – powiedziałem.

– Cały czas się w niej kochałeś.

Skinałem głową, potwierdzając.

– Więc co tu robisz? – spytałem. – Nie byliście przyjaciółmi. Te brednie na sali sądowej o...

– To nie były brednie. Rozmawialiśmy, może nie często, ale jednak. Nie chciałem wiedzieć, że jest w ciąży. Dziecko oznaczałoby jej koniec. – Pokręcił głową, spojrzął na nią i wyszeptał: – Nie sądziłem, że przybierze on taką postać.

Usłyszawszy to, znowu zobaczyłem Elle, nie oczami, które zaczęły się oswajać, ale tak, jak ujrzałem ją pierwszy raz na Oddziale Ratunkowym, który to widok powalił mnie na kolana,

był dla mnie końcem świata. Odpłynąłem myślami. Widok Elle. Mojej Elle. Leżącej tam. Tak nieruchomej i odległej.

Adam wciąż mówił – komentował, tłumaczył swoje najście.

– ...Więc kiedy zeszłej zimy powiedziała, że jest w ciąży, nie dzwoniłem do niej więcej. Ale to, że mi na niej zależy, to nie brednie.

– I tak jakby niniejszym zamknął temat, opuścił szybko pokój.

Z jakiegoś dziwnego powodu poczułem, że powinienem pójść za nim. Może coś przeoczyłem. Może powiedział, jaką jeszcze sensację szykuje. Nie wiedziałem, co mógłby przedstawić poza dawno zapomnianym oświadczeniem woli, ale poddał się, a to było u niego nietypowe.

Zszedł na dół tylnymi schodami, tymi, z których wyjście znajduje się obok drzwi Oddziału Ratunkowego, prowadzącymi na lądowisko dla śmigłowców, rozległy teren między imponującym budynkiem szpitala a wielopoziomowym parkingiem. Lało jak z cebra, a żaden z nas nie miał na sobie płaszcza. W piętnaście sekund potrzebne, żeby dobiec do parkingu, byłem przemoczony. On też. Zauważył mnie, dopiero kiedy gwałtownie wciskał guzik windy.

– O co chodzi? Idę sobie. Czego jeszcze chcesz?

– Nie rozumiem.

Westchnął i opuścił ramiona.

– Wiem, że nie rozumiesz. Ale powinienes. Musisz zrozumieć, żeby skończyć ten absurd. – Otarł sobie twarz z deszczówki. – Chodźmy stąd.

Nie pierwszy raz siedziałem przy stole z Adamem. W minionych latach kilka razy miałem tę nieprzyjemność, a teraz znowu znaleźliśmy się naprzeciw siebie przemoczeni do suchej nitki, w winylowym boksie, pochyleni nad laminowanymi jadłospisami we włoskiej knajpie, gdzie króluje rozgotowane spaghetti i oliwa z oliwek.

– Niespecjalnie wegańskie to jedzenie – powiedział.

– Zamów sałatkę – odrzekłem. – Nie jesteśmy tu, żeby delektować się kuchnią. Mów.

Zamknął menu i spojrzął na zegarek.

– Dobra. Za godzinę muszę jechać na lotnisko, ale nie myśl sobie, że się poddam. Lecę do Houston odszukać prawniczkę, z której usług skorzystała Elle przy spisywaniu tamtego oświadczenia woli, i wrócę z oryginałem przed kolejną rozprawą za dziesięć dni.

Dreszcz przebiegł mi po ciele, i to nie dlatego, że siedziałem przemoczony pod klimatyzatorem.

Odklepał historię o tym, jak ją poznał, jaka była młoda, jak nawet trochę zazdrościł „księżniczce”, bo on miał dwie prace i w wieku dwudziestu dziewięciu lat dopiero robił doktorat.

– Słuchaj, ja też pracowałem przez całe studia – powiedziałem. – To, jak się poznaliście, nie ma nic wspólnego z tym, co się teraz dzieje. A dokładniej, nie ma nic wspólnego z tym, czego ona by chciała.

– Cierpliwości. Chcę przez to powiedzieć, że wszyscy źle ją oceniali. Nawet ja z początku źle ją oceniłem. Rozmawiałem z nią tylko dlatego, że oboje chcieliśmy pracować dla NASA. Tak więc gdy znajdowaliśmy się akurat w jednym miejscu, zagadywałem ją grzecznie. Ale szybko okazało się, że Elle nie jest jednak małym rozpieszczonym geniuszem. W każdy weekend jeździła do Maine, żeby zobaczyć się z młodszym bratem.

– Cóż, obiecała Alice, że się nim zaopiekuje – powiedziałem, zatrzymując papierową serwetką strużkę wody, która spływała mi z mokrych włosów na czoło.

Adam splótł palce za głową i odchylił się na siedzeniu.

– I podejrzewam, że nie widzisz w tym nic złego? Nastolatka, geniusz o niezwykłym potencjale, musiała łątać to, co schrzaniła jej dysfunkcyjna rodzina. Ty pewnie byłeś taki sam jak

wszyscy inni.

– Namawiałem Elle, żeby poszła na MIT – odparłem. Zapewniałem, że jeśli Hank nie wytrwa w trzeźwości, moi rodzice zajmą się Christopherem. A wkrótce potem Hank rzeczywiście na dobre przestał pić. Powiedziałem jej nawet, że pójde na Uniwersytet Bostoński, nie na Columbię, żebyśmy mogli być bliżej siebie. Ale nie, Elle musiała się zachować odpowiedzialnie. – Nie byłem jak wszyscy inni.

– Próbowałem jej pomóc – powiedział Adam. – Szybko załazła mi za skórę. Była fascynująca... genialna. Naprawdę genialna. Ale była też bardzo naiwna i niewytłumaczalnie nieświadoma polityki uniwersyteckiej. Musiała stać się bardziej agresywna w swoich badaniach, była zbyt miękka, zbyt zaabsorbowana rodziną... Zdarzało jej się jeździć do domu nawet w tygodniu, bo chciała być obecna na szkolnej imprezie Christophera.

– Rodzina była dla niej ważna – powiedziałem. – Nie mogła odwrócić się od kogoś, kogo kochała, tak jak i teraz nie odłączyłaby się od aparatury podtrzymującej życie.

– Widzisz, w tym właśnie problem, Beaulieu. Znowu niesłusznie ją do czegoś zmuszasz. Tym razem wymagasz od niej poddania się torturom, by dała opiekę jakiemuś bezkształtnemu glutowi, który nawet nie jest jeszcze dzieckiem.

– Nie.

– Wysłuchaj mnie najpierw. Choć raz wysłuchaj innego punktu widzenia. Dawałem jej oparcie, pomogłem jej wykształcić w sobie asertywność, stawiać marzenia akademickie na pierwszym miejscu. To ją przekonałem ją, żeby walczyła o pracę w NASA, choć to oznaczało, że będzie bardzo daleko od swojej wiecznie czegoś potrzebującej rodziny. Zadbalem o to, żeby nic i nikt nie stanął jej na przeszkodzie. Miała talent. Pragnęła tego. Ale musiała uszeregować priorytety.

– Wyolbrzymiasz swoje zasługi.

– Właśnie że nie. – Zaśmiał się raz, cierpko, bez humoru. – Pomogłem jej oczyścić sobie drogę z przeszkód, żeby mogła osiągnąć to, czego pragnęła. Kosmos. Gwiazdy. Hubble. Kochałem ją, a ona marzyła o NASA. Ty byłeś przeszkodą. Jej rodzina była przeszkodą. Czasem nawet ja nią byłem. Chociaż niekiedy mi się opierała, chciała mojej pomocy.

Do stolika podeszła kelnerka, postawiła przed nami dwie wilgotne szlanki z wodą i przyjęła zamówienie.

Zmieniłem pozycję, a moje spodnie zapiszczały na winylu. Chciałem mieć już z głowy tę rozmowę; chciałem wrócić do żony.

– Elle nigdy nie była słaba psychicznie, jak ją opisujesz. Wiedziała dokładnie, czego chce. Zawsze tak było. Tak, była dobrze wychowana, pełna współczucia i kochała swoją rodzinę. Hank i Alice zadbali o to, żeby Elle mimo swojej wyjątkowości miała normalne dzieciństwo, uprawiała sporty i pomagała w domu. To nie stanowiło dla niej przeszkody. To czyniło ją człowiekiem, częścią większej całości.

– Obarczanie jej odpowiedzialnością za wszystkich innych zrobiło z niej popychadło.

– Powiedz to załodze Atlantis. Powiedz to Jabertowi. Powiedz mu, że powinna była go zostawić i skazać na śmierć. Elle jest bohaterką.

Adam przeczesał palcami włosy i pochylił się do przodu.

– Czy ty nie jesteś w stanie zrozumieć, co mówię? Elle zasługuje na to, żeby ktoś postawił ją na pierwszym miejscu. Choć raz zastanów się nad tym. Stań po jej stronie. Ona opuściła dla ciebie NASA. Choć raz postąp właściwie. Dla niej.

Uderzyłem dłonią w blat między nami.

– Elle chciała odejść z NASA, powtarzasz w kółko, że nie rozumiem. A to właśnie ty nie rozumiesz. Najwyraźniej masz bardzo mało szacunku dla jej niezależności. Ona nie

potrzebowała, żeby jej cokolwiek narzucać. Nie mógłbym jej niczego narzucić. Mieliśmy te same cele. Te same pragnienia. Elle pragnęła dzieci, może nawet bardziej niż ja. Nie była egocentryczną megalomanką. Czy się poświęcała? Tak. I to był jej wybór.

Na jego twarzy pojawiła się taka pogarda, jakby za chwilę miał splunąć.

– Powtarzaj to sobie. Ona chciała czegoś więcej. Opiekowałem się nią. I jestem tu teraz, żeby znowu się nią zaopiekować. Wierz mi, nie chcę się w to wszystko wtrącać. Gdybyś miał choć trochę przyzwoitości, pozwoliłbyś jej umrzeć z godnością. Niech cię szlag, że pozwalasz jej umierać powolną śmiercią.

– Adam wstał i wymaszerował.

Keisha rozłożyła patchworkową narzutę w różnych odcieniach karaibskiego błękitu, żółci i różu i przykryła nią Elle.

– Zawsze mówiła, że ta budzi w niej radość. Zamierzałam zrobić jej w tym roku narzutę na święta. – Zmarszczka między jej brwiami pogłębiła się. – Nie będzie jej tu, prawda?

Przyszło mi do głowy parę odpowiedzi. Bez wątpienia miałem nadzieję, że w święta Elle wciąż będzie nosiła w łonie to dziecko – i jeszcze przez jakiś czas potem – ale nawet jeśli Keisha ukończy nową narzutę, nie będzie to miało znaczenia. Elle nigdy się nie dowie o miłości i ciężkiej wielogodzinnej pracy włożonych w to arcydzieło. Elle nie będzie nawet wiedziała, czy jest jej ciepło, czy zimno. Uściskałem Keishę, kobietę, której wsparcie pozwoliło Elle przetrwać utratę naszego syna i którą Elle wspierała w równym stopniu.

– Zobaczmy, co będzie – powiedziałem.

Z żalną namiastką uśmiechu na twarzy Keisha usiadła na krześle przy łóżku Elle.

Przez kilka minut gawędziliśmy o błahych sprawach, po czym dałem upust emocjom, które wzbudził we mnie Adam, jego wizyta, deszcz i jego tyrada w restauracji.

– Nienawidzę tego sukinsyna – oświadczyłem. – Mówiła ci o nim kiedyś?

Keisha zamrugała kilka razy, po czym powiedziała:

– Wiedziała, że mieszkała z kimś wcześniej, ale nie pamiętałam jego imienia. O co tak naprawdę chcesz mnie spytać?

Czy on ma rację? Czy zrzucam na barki Elle nieludzki ciężar, prosząc, by wytrzymała kilka miesięcy? Chciałem to powiedzieć, ale wzruszyłem tylko ramionami.

Keisha położyła dłoń na mojej w pocieszającym geście.

– Pamiętam coś, co o nim mówiła. Przypominał jej ciebie. Niech cię to nie przeraża, Matthew. Powiedziała, że miał wiele podobnych cech. Był na tyle mądry, by sprawiać, że dawała z siebie wszystko, i na początku połączyła ich przyjaźń. Ale nie był tobą. I choć był to poważny związek, nie miał w sobie dość treści, by przetrwać. Ale nie to chciałbyś wiedzieć, prawda? Chcesz, żebym ci powiedziała, że masz rację, a on się myli.

Spuściłem oczy.

– Teraz sam już nie wiem.

– Ale ja wiem. Jestem stronnicza. Chcę, żeby dziecko przeżyło, ale w moich oczach nie oznacza to, że nie mogę właściwie ocenić sytuacji – powiedziała. – Widzisz, mam pewną teorię. Chcesz usłyszeć długą wersję czy krótką?

– Średnią – odparłem.

Keisha była z natury gawędziarka i czasem robiła dygresje długie jak rozprawy naukowe.

Elle uważała, że to skutek pracy na uczelni. Wykładowcy mają na zajęciach uważną widownię, przez co czasem zaczynają się ludzi, że wszystkie opowiadane przez nich historie urzekają studentów.

Keisha zmieniła pozycję na krześle i widziałem, jak komponuje swoje wyjaśnienie.

– Wiesz, że zeszłej jesieni Elle miała w grupie z ostatniego roku szesnastoletnią



dziewczyne?

Skinąłem.

– Julie jakaś tam. Elle mówiła, że była zdolna.

– Dość nieśmiała, ale niewątpliwie ma niezwykły umysł. Pewnego dnia, kiedy gawędziłyśmy z Elle, przyszła do jej gabinetu, porozmawiała z nią o jakiejś niezrozumiałej formule matematycznej, po czym poszła sobie. Elle wróciła na swój fotel i powiedziała, że w tym wieku czuła, że nigdzie nie pasuje. Jak Julie, intelektem przewyższała większość kolegów, a czasem profesorów, ale nigdy nie czuła się przy pozostałych studentach jak równa z równymi, ani w liceum, ani w college'u, ani nawet na uniwersytecie. Szczególnie nie przy Adamie. A przynajmniej przez bardzo długi czas.

– W dzieciństwie trudno jej się było dopasować – przyznałem – ale...

– Właśnie. Ale zaczęła dorastać. Poszła na Princeton. Poznała znacznie starszego gościa. I podobało jej się to, że jest starszy i że chyba nie przeszkadza mu jej naiwność w pewnych kwestiach. Został jej mentorem. Pozwoliła mu mieć przewagę.

– Czemu mi to mówisz?

– Bo Elle go przerosła. Dojrzała i stała się pewną siebie kobietą, która wie, czego chce, i wie, jak walczyć i osiągać swoje cele. Ona jest... – Keisha z trudem przełknęła ślinę. – Ona była pełną istotą ludzką. Miała w sobie wszystkie te wartości, o których nauczam... Elle była ich doskonałym przykładem.

– No dobrze – powiedziałem. – Ale w jaki sposób...

– W jaki sposób to prowadzi do wniosku, że ty masz rację, a Adam się myli?

Przytaknąłem.

– Adam dalej nie liczył się z jej opinią. Miała dość. Ale kiedyś powiedziała mi, że ty szanowałeś ją nawet w dzieciństwie. Widziałam to. Nie zawsze się we wszystkim zgadzaliście, ale zawsze słuchałeś, co ma do powiedzenia. Czy uważasz, że Elle chciałaby ocalić to dziecko?

– Tak – odrzekłem.

– I stąd wiem, że podjąłeś właściwą decyzję. Dla ciebie to kwestia szacunku. Zresztą ja też ją znałam. Ona nigdy by się nie poddała – nawet w takiej sytuacji.

None

Dzień dwunasty

– Idźcie w pokoju Chrystusa – powiedział ojciec Meehan.

– Bogu niech będą dzięki – odpowiedzieliśmy jak gromada wieśniaków o wypranych mózgach.

Pamięć mechaniczna to coś zdumiewającego. Przebrnąłem przez całą mszę, ani razu nie włączając myślenia. Potrafiłem wyrecytować modlitwy z dzieciństwa. Mogłem odpłynąć myślami podczas homilii i liturgii Eucharystii, wstając i klękając zgodnie z pływowym rytmem.

Bóg. Gdyby Bóg wystarczył, pokłoniłbym się przed nim.

Ale potem poczułem się wyczerpany i siedziałem tam, zastanawiając się, czy dobry ksiądz, który ścisnął przy drzwiach dłoń wiernych, odnotował, że ja dotrzymałem umowy – przynajmniej jeśli chodzi o tę niedzielę.

Wstałem, otrzępałem się, jakbym wrósł w twardą dębową ławkę, po czym skierowałem się do ołtarza, żeby zapalić świeczkę. Wiedziałem, że powinienem to zrobić. Dwanaście dni. Wystarczyło mi tylko dwanaście dni, żeby stać się hipokrytą. Szukałem świeczki, którą mógłbym zapalić, gdy zorientowałem się, że nie tylko wszystkie już się palą, ale też są elektryczne. Co za ściema. Powinienem którąś wyłączyć, a potem znowu włączyć? To przecież głupota.

– W dzisiejszych czasach trudno nawet o ministranta – powiedział ojciec Meehan, zbliżając się nawą główną. – Dobrze cię tu widzieć. – Potem zabrał się do zdmuchiwania prawdziwych świeczek, tych rozświetlających ołtarz. – Jak się dziś miewa Elle?

– Bez zmian. – Wskazałem na sztuczne świeczki. – Co mam z tym zrobić?

– Są trochę jak kominek gazowy, nie sądzisz?

– Albo elektryczny. Tworzą złudzenie. To wszystko ułuda, nieprawdaż? – Powiedziałem to ostatnie na głos?

Cholera. Jestem zmęczony. Przez większość nocy przywoływałem w myślach rozmowę z Adamem.

– Zdajesz sobie sprawę, że nie musisz zapalić świeczki, by się pomodlić? To tylko symboliczny gest – powiedział ojciec Meehan. – A co do ułudy, nazywamy to wiarą.

– Przepraszam – powiedziałem. – Staram się.

Zabrał wino i kielich i wyszedł na zaplecze.

– Chodź.

Poszedłem za nim. Jak owca. Trafna analogia. Owca. Pasterz.

– Mogę cię potraktować wszystkimi możliwymi frazesami – powiedział, jakby był magikiem czytającym w myślach. – Poproś Boga o pomoc, a On ci odpowie. Mogę ci powiedzieć, że wiara to dar. Albo polecić pewne fragmenty Biblii. Tymczasem powiem ci tylko, żebyś postarał się otworzyć umysł. Porozmawiaj z Nim. A przynajmniej spróbuj.

– Spróbuję – powiedziałem.

– Jak się czuje dziecko?

– Jeszcze trzydzieści tygodni. Za szesnaście będziemy mieć szansę.

– Taki właśnie jesteś, prawda? Stawiasz na liczby. Chcesz, by twoje życie mieściło się w pewnych parametrach. Wierzyłeś kiedykolwiek w coś, co nie było liczbą?

– W Elle. Wierzyłem w nią.

Ojciec Meehan odetchnął.

– To już coś. Wierzysz w miłość, a Bóg to najczystsza forma miłości.

Dzień czternasty do dwudziestego pierwszego

Jeszcze kiedy Elle była dzieckiem i bawiła się w astronautkę, nigdy nie odliczała w dół. Zawsze w górę.

– To tak, jakbyśmy tkwili w przeszłości, a nasz czas się kończył. Każda chwila to tylko początek czegoś nowego – mawiała.

Choć bardzo pragnąłem, by udzielił mi się ten jej optymizm, stale pogarszający się stan jej ciała niweczył moje wysiłki. Owszem, dziecko jest o szesnaście dni starsze, ciąża ma dziesięć tygodni, i wszystko wskazuje na to, że on lub ona jest w doskonałej formie. Ale jak to możliwe? Elle nie jest promieniejącą kobietą w błogosławionym stanie. Odlicza w dół.

Rzeczywistość zaczęła przeciekać przez szczeliny w moich emocjach. Musiałem się czymś zająć. Phil powiedział, że bym się nie martwił o naszą praktykę chirurgiczną. Ekipa D'Amata nadal mnie zastępowała, ale prawie co noc brałem dyżur i parę razy wzywano mnie na Oddział Ratunkowy. Na OIT było łatwiej. Musiałem tylko wyjść z pokoju Elle i zajrzeć do innych pacjentów. Udało mi się zdobyć rozkładany fotel, który zamieniał się w coś w rodzaju łóżka, co pozwalało mi się wyciągnąć w pozycji półleżącej. Tłumaczyłem sobie, że od czasu do czasu przesypiam godzinkę.

– Może poszedłbyś dziś do domu? – zasugerowała Jillian Waters, oddziałowa z OIT. – Zadzwonimy, jeśli będzie jakiś problem.

Pokręciłem głową.

– Nie ufasz, że się nią dobrze zajmiemy?

– Nie o to chodzi.

– A więc o co?

– Nie wiem – odparłem, ale wiedziałem. Cierpiałem na deprywację snu i oplakiwałem żonę, i gdybym miał choć trochę rozsądku, zmusiłbym się do opuszczenia szpitala; ta paranoja to szaleństwo. Nikt pod moją nieobecność nie odłączy Elle od respiratora. – Chodzę do pacjentów tylko w czasie dyżuru. Muszę trochę wesprzeć Phila – powiedziałem, nie czując cienia skruchy z powodu tego niewinnego kłamstwa.

– Robisz nogą dziury w ścianach, a nocna zmiana mówi, że nie sypiasz. Spędziłeś tu czternaście z ostatnich szesnastu nocy. Musisz pójść do domu.

Ale nie poszedłem. Nasz dom bez Elle nie jest domem. Może powinienem to wszystko sprzedać. Nie mogę sobie wyobrazić mieszkania tam bez niej, a poza tym potrzebuję pieniędzy.

Nasz ubezpieczyciel wzbraniał się przed pokrywaniem kosztów. Czemu mieliby dalej płacić tysiące dolarów dziennie za kobietę, u której stwierdzono śmierć mózgową? Zależnie od tego, jakiej będzie wymagała opieki, miesiąc na OIT może kosztować nawet milion dolarów. To prawda, że Phil postanowił nie obciążać nas kosztami za swoje usługi chirurgiczne. A szpital mógł udzielić mi jakiejś zniżki, ale nie mogłem oczekiwać, że Clive i inni pracownicy OIT zrezygnują ze swoich wynagrodzeń. Przez osiem miesięcy rachunek może spokojnie przekroczyć... Boże, nie chciałem nawet o tym myśleć, zwłaszcza jeśli pojawią się jakieś nowe powikłania. Mieliśmy trochę oszczędności, ale znacznie mniej, niż potrzebowałem. I choć wiedziałem, że Hank pomoże, wątpiłem, żeby miał tyle pieniędzy w banku. Znaczną wartość ma tylko dom. Kilka lat temu deweloper oferował nam za ziemię ponad trzy miliony dolarów, ale nawet się nad tym nie zastanawialiśmy. Cholera. Elle byłaby wściekła, gdyby ktoś zburzył nasz dom i zaśmiecił nasz teren absurdalnie ostentacyjnymi McPosiadłościami.

Nieważne. To wszystko bez znaczenia. Do Elle nic z tego nie dociera.

Przez następne trzy noce spędziłem więcej czasu w pokojach innych pacjentów niż u Elle.

Przywieziono trójkę dzieciaków z urazami głowy, a na Oddział Ratunkowy trafił pacjent z AIDS z ropniem w zatoce i ze względu na jego umiejscowienie otolaryngolog chciał, żebym był obecny przy jego opróżnieniu.

Potem przywieziono dziecko, wcześniaka, który urodził się cztery miesiące przed terminem. W wyniku wcześniactwa jego mózg uległ poważnemu uszkodzeniu. Przed wypisaniem go ze szpitala założyliśmy mu z Philem zastawkę odprowadzającą nadmiar płynu mózgowo-rdzeniowego. Teraz zastawka okazała się niesprawna i niemowlę musiało wrócić na blok operacyjny. Matka szlochała, kiedy ją o tym informowałem. W jej oczach widziałem Elle. Widziałem cierpienie kobiety, która doznała bezmiernej straty. Spoglądając na dziecko, widziałem Celinę i Dylana i dwoje pozostałych dzieci, które nie zdążyły nawet przybrać ludzkiej postaci. I wyobrażałem sobie dziecko w łonie Elle.

– Przepraszam – powiedziałem.

Udałem, że muszę przygotować zgodę na zabieg chirurgiczny, i usiadłem w dyżurce pielęgniarek.

Gdybyśmy utrzymali Elle przy życiu do świąt, nasze dziecko miałoby taką szansę jak to nieszczęsne niemowlę z niesprawną zastawką. Nie, do diabła! Musimy się lepiej postarać. Termin porodu wypada w marcu. Musimy dotrzeć do marca.

Podniosłem słuchawkę i zadzwoniłem po Phila. Nie byłem w odpowiednim stanie, żeby operować. Ani pod względem emocjonalnym, ani fizycznym. Byłem zbyt zmęczony i zestresowany.

Właśnie zasypiałem, kiedy zadzwonili do mnie z pediatrii w sprawie Marka Nguyena. Miał ciężki napad padaczkowy i nie reagował na swoje leki. Nim napad minął, naszpikowaliśmy go tyłoma środkami, że trzeba go było przenieść z powrotem na OIT. Rezonans magnetyczny nie dał jednoznacznej odpowiedzi, co wywołało napad. Ale parę godzin później chłopak obudził się przytomny.

Kolejna długa noc. Tłumaczyłem sobie, że to lepsze niż użalanie się nad sobą.

Niemniej jednak w ciągu dnia użalałem się. Phil wpadał parę razy dziennie, często wyposażony w paczki żywnościowe od Melanie.

Mike, Christopher, Hank. Codziennie odwiedzały mnie różne szpitalne szychy. Przy okazji lunchu. Obchodu. Tak naprawdę nie chciałem z nikim rozmawiać, a już szczególnie z górą. Chciałem pogрузić się w lekturze listów Elle.

Odtwarzałem w kółko jej ostatnią wiadomość głosową, przeskakując nagrania przyjaciół i rodziny, z których każdy dzwonił przynajmniej raz dziennie. Chciałem słyszeć tylko głos Elle. – Hej, to ja... Zróbmy sobie dziś cichy wieczór we dwoje...

Ująłem jej dłoń.

– Dość już tej ciszy, Elle. Porozmawiajmy, proszę. Obudź się i powiedz, że to tylko najgorszy koszmar mojej wyobraźni. Potrzebuję cię.

Zacząłem unikać gazet i programów informacyjnych w telewizji. Często pojawiały się w nich wiadomości o stanie Elle. Wszystkim się zdawało, że mają prawo wydawać opinie. Czy należy zmuszać Elle do pozostania przy życiu dla dobra dziecka? To święta czy męczennica? Jakie szanse ma dziecko w tych okolicznościach? Czy wymuszono na niej rolę naczynia dla mojego nasienia? Kto ma prawo stanowić sam o sobie? Każdy prócz kobiety w ciąży? Do dyskusji włączyły się feministki. Matki. Matki-feministki. Żadna nie znała Elle.

Kiedy przychodziła Keisha albo wpadał Hank, szedłem na spacer, często po zmroku. Albo udawałem się do pokoju lekarza dyżurnego, żeby się przespać. Tylko im ufałem, oni jako jedyni uważali, że powinniśmy podtrzymywać życie Elle, ale mnie samego coraz częściej ogarniały wątpliwości, zwłaszcza kiedy na Oddziale Ratunkowym zjawił się nasz wcześniak.

W chwilach wytchnienia między wszystkimi inwazjami czytałem. Wczesne listy były, jak powiedziała mi kiedyś Elle, dziełem nastolatki rezonującej o braku wolności, wściekającej się na rodziców, że nie zgodzili się na jej przygodę z wymianą zagraniczną, na szkołę, na to, że po moim wyjeździe do Wielkiej Brytanii czuła się jeszcze bardziej wyobcowana.

A potem z kartek zaczęły się wylewać informacje o raku matki i wszystkie związane z tym emocje. Zacząłem pobieżnie przeglądać wpisy, upomniawszy się, że mam szukać czegoś, co pokazywałoby jednoznacznie, czego Elle by chciała w tych okolicznościach.

Później, kiedy Alice była pod opieką hospicyjną, listy Elle stały się mroczne. Opisywała poszarzałą skórę matki, kwasiczny zapach z jej ust, odleżyny, które pojawiały się, mimo że pielęgniarki często zmieniały jej pozycję.

*Ale najgorsze jest to, jak mamusia ściska palce, jakby ją bolało. Nie mogę znieść, że cierpi, że pozwalamy na to, że jej nie pomagamy. Jest w śpiączce i to ponoć oznacza, że jest nieprzytomna. Ale to chyba nie jest prawda. To nieludzkie. Ona jest w wagonii, nie może się bronić, a my jej nie pomagamy.*

Popołudniowe słońce zaglądało przez okno i opromieniało niemal przezroczystą skórę Elle. Zaciągnąłem żaluzję, żeby światło nie padało jej na oczy. Nie mogłem się powstrzymać. Musiałem to zrobić, choć wiedziałem, że Elle nie widzi i nie słyszy. Przysunąłem bliżej fotel i położyłem głowę na poduszce obok niej.

– Nie cierpisz. Proszę, powiedz, że nie cierpisz. Powiedz, że robię to, czego byś sobie życzyła.

Stojąc w drzwiach, w ubraniu operacyjnym, moja matka odchrząknęła.

– Elle by tego nie chciała, nawet jeśli nie cierpi. A nie wiemy na pewno, co czuje.

– Jezu... – Wstałem i wcisnąłem rękę do kieszeni.

Mama podeszła do łóżka, pochyliła się i pocałowała Elle w policzek.

– Cześć, skarbie. Twoja twarz wygląda lepiej. Opuchlizna się zmniejszyła.

– Nie chcę na nowo wszczynać tej debaty – powiedziałem.

– Wiem. Proszę, pozwól mi z nią chwilę posiedzieć.

Mama zajęła miejsce na fotelu w kącie, wpatrując się w Elle.

– Nie mieliśmy okazji porozmawiać od tamtego incydentu w parku. Twoja pomoc wiele dla mnie znaczyła.

Mruknąłem. Wcale nie chciałem jej pomagać. To moja matka, a pomogłem jej niechętnie, a już na pewno nie chciałem, żeby to nas jakkolwiek zbliżyło. Do tego jeszcze Adam. Sprzymierzyła się z Adamem.

– Zobaczyłaś Elle. Idź już. Wracaj do pracy.

– Martwię się, że spędzasz tu cały czas. Nie sypiasz.

– Słuchaj, jestem dorosłym, żonatym mężczyzną. Nie musisz się już o mnie martwić.

– Matki zawsze się martwią. Nie mamy wyłącznika.

Nabrałem powietrza.

– Może i nie. Ja jestem ojcem dziecka rosnącego w brzuchu Elle i też jakoś nie mogę znaleźć wyłącznika. A jego babcia chce wyłączyć aparaturę, która trzyma je przy życiu.

– To nie tak...

– Wciągnęłaś w to nawet Adama.

– Nie. To on zadzwonił do mnie.

– Trzeba mu było powiedzieć, żeby nie przyjeżdżał. Ty też nie powinnaś się w to wtrącać.

– Elle jest dla mnie jak córka.

– Nie serwuj mi już tych bzdur. Elle nie jest twoją córką. Nigdy nią nie była, choć

rzeczywiście zawsze bardzo pragnęłaś dziewczynki. Jest moją żoną i ta tragedia nie ma nic wspólnego z tobą. Wasza ingerencja wymknęła się spod kontroli, twoja, Adama, obrońców życia, tamtej dziennikarki. To szaleństwo. Wszystkim się wydaje, że chronią Elle. Przed kim? Przed mną? Decyzja o utrzymaniu jej przy życiu nie przyszła mi łatwo. Jej konsekwencje sprawiają mi wiele cierpienia. Ale Elle nie cofała się przed niczym w walce o dziecko – choć wiedziała, że może umrzeć. Kiedy dostała krwotoku, omal jej nie straciłem. Elle wiedziała, jakie to ryzykowne, mimo to chciała dalej próbować.

– Powinieneś był ją ochronić. Nie trzeba jej było robić kolejnego dziecka.

Oto ono – oskarżenie. To moja wina. Jakbym nie zdawał sobie z tego sprawy.

– Myślałem, że stosuje diafragmę. – Nie mogłem uwierzyć, że rozmawiam z matką o naszych metodach antykoncepcji.

– Chcesz powiedzieć, że cię oszukała?

– Tego nie powiedziałem. Wracaj do pracy.

Mama pokręciła głową.

– Przełożona dała mi wolne na resztę dnia, zasugerowała nawet, żebym pomyślała o wcześniejszej emeryturze. – Zaśmiała się bez przekonania.

Przyjrzałem się matce, która nigdy nie rozważała wcześniejszej emerytury, a może nawet w ogóle nie rozważała emerytury.

– Tak – powiedziała. – Kolejna pacjentka nie zgodziła się, bym ja się nią opiekowała. Właściwie tym razem odstawił mnie mąż.

– Ciekawe, że mężowie chcą chronić przed tobą swoje żony i nienarodzone dzieci. – Wiedziałem, że moje słowa są okrutne, ale miałem to gdzieś.

– Matthew!

– Idź sobie.

W oczach stanęły jej łzy; odwróciła się i wyszła pośpiesznie.

Osunąłem się na fotel. Cholera. Nigdy nie odbudujemy więzi, które właśnie wałą się w gruzy.

None

Dzień dwudziesty pierwszy  
*Wrzesień*

Nie byłem przygotowany na wojnę domową w wykonaniu McClure'ów; tymczasem w sądzie rozbrzmiały pierwsze gniewne strzały i posypał się grad oskarżeń. Może ta kłótnia nie zaskoczyłaby mnie tak, gdybym kiedyś widział, że Hank przyznaje, iż Christopherowi zdarza się popełnić błąd. Ale nikt nigdy nie postawił Christophera do pionu. A teraz w sądzie Hank zaparł się na marmurowej podłodze w szachownicy.

– Zanim stała się twoją siostrą, była moją córką.

Nie usłyszałem odpowiedzi Christophera. A może uznałem, że nie potrafi na to sensownie odpowiedzieć; przeniósłem uwagę na nadciągających dziennikarzy.

Chwyciłem teścia za łokieć i poprowadziłem go do łazienki, która nie zapewniała co prawda szczególnej prywatności, ale większą niż korytarz.

– Tędy, Chris – powiedziałem w nadziei, że Christopher pójdzie za nami.

Z kabiny wyszedł jakiś reporter i zaczął się nam przyglądać; w jego oczach była nieufność lub ciekawość.

– Wynocha! – warknąłem.

– Jezu – mruknął.

Nagle rozbrzmiały mi w głowie ostrzeżenia Jake'a, że powinienem grać miłego gościa. Niech to szlag. Czas przyznać się do błędu. Jeszcze tego mi trzeba, żeby mnie znowu pokazali w CNN.

– Nie chciałem być niegrzeczny. Potrzebujemy tylko chwili na osobności. Proszę.

Złość nie zniknęła z twarzy reportera, kiedy odkręcił kran i umył ręce w nisko zawieszanej porcelanowej umywalce. Strząsnął wodę z rąk i skierował się do podajnika ręczników papierowych.

– Ja tylko zdaję sprawozdanie z tego, co się tu dzieje, i korzystam z toalety. Nie trzeba mi od razu odgryzać głowy.

Hank chodził za mną w kółko, oddychając gwałtownie. Christopher stał ze skrzyżowanymi rękami, oparty o białe kafelki.

– Wiem – powiedziałem do dziennikarza. – Przepraszam. To bardzo nerwowy czas. I trudny. Moja żona... – Głos mi się załamał, a nie mogłem na to pozwolić przy tym człowieku, który doniesie, co powiedziałem i jak.

Do łazienki wpadł Jake.

– Tu jesteś. Sąd wznawia obrady.

Dziennikarz spuścił oczy, przecisnął się obok Jake'a i wyszedł.

– Co się dzieje? – spytał Jake.

– Właśnie to chciałbym wiedzieć. Co miałeś na myśli, Chris? – spytał Hank.

Christopher spojrzał na ojca ze złością.

– Nie chcesz słuchać. Nigdy nie chciałeś słuchać.

– O co chodzi? – spytałem.

– On myśli, że Elle się po prostu obudzi i będzie normalna. Tak samo jak myślał, że mama się nagle obudzi i ozdrowieje z raka. Wtedy tak się nie stało i teraz też tak nie będzie. Myśli, że byłem zbyt młody, by cokolwiek pamiętać, ale to nieprawda. To on nie pamięta, jak to wyglądało. Cały czas byłeś pijany, tato. Cały czas. To Elle się mną opiekowała. Nie ty. Więc jest moją siostrą, ale jest też dla mnie jak mama i nie pozwalam, żebyście jej to robili. Elle nie chciała

umierać w ten sposób. Rozmawialiśmy na ten temat. – Christopher odwrócił się do mnie. – A ty. Nie dość już przez ciebie wycierpiała?

Jake stanął między Chrisem i mną. Może mi nie ufał. Może próbował rozładować napięcie. Bóg jeden wie – ja byłem w tamtej chwili niezdolny do jasnego myślenia.

– Nigdy nie skrzywdziłbym Elle – powiedziałem.

– Przez ciebie znowu zaszła w ciążę – po tym jak zeszłej zimy omal nie umarła. I wiedziałeś, że bała się umierać jak nasza mama, a teraz proszę, podważasz jej testament życia. – Chris odepchnął Jake'a na bok i stanął twarzą w twarz ze mną.

– Wierz mi; ta decyzja nie przysłała mi łatwo i wciąż się z nią zmagam, ale Elle pragnęła dziecka.

– Cóż, kiedy mama umierała, jakoś się tym nie przejmowałeś, prawda? Nie obchodziło cię, że Elle chciała urodzić tamto dziecko. Nie. Po prostu zmusiłeś ją do aborcji.

Jego słowa były jak zapalka podpalająca lont bomby mojego przerażenia. Tętno mi galopowało. Spojrzałem na teścia, który – o ile wiedziałem – nie miał pojęcia o ciąży nastoletniej Elle. Nie zdawałem sobie też sprawy, że Chris wie o Celinie. Przy czym nie wie, jak było naprawdę.

– Elle nigdy nie miała aborcji – powiedziałem.

– O czym wy mówicie? – spytał Hank. – Jaka aborcja?

– Kiedy mama umierała, Elle zaszła z Mattem w ciążę – wyjaśnił Chris, jak mały, zadowolony z siebie skarżypyta. – Potem namówił ją na aborcję. A teraz gra świętoszka, wciskając wszystkim gadkę o tym, jak to chce tylko spełnić wolę Elle. Cóż, jestem pewny, że ona nie chciałaby leżeć w szpitalnym łóżku podłączona do respiratora.

– Nie tak to wyglądało. Nie było żadnej aborcji, ani wtedy, ani nigdy – powiedziałem.

– To dlatego później tak bardzo chciała dziecka. Czula się winna – oświadczył Chris.

– Nie – zaprzeczyłem. – I to nie takie proste. Zresztą gdyby poddała się aborcji i czula się z tego powodu winna, to przemawiałoby za moją decyzją. Nie zmusiłem Elle do poddania się aborcji. Nigdy bym tego nie zrobił.

– Zrobiłeś dziecko mojej córce, kiedy Alice umierała? – Hank zaczął uderzać mnie w pierś wnętrzem dłoni. – Niech cię szlag. Elle była jeszcze dzieckiem.

– Nie była dzieckiem. Przez ciebie nie mogła być dzieckiem. To ty byłeś dzieckiem. Beznadziejnym pijakiem. Tak, była młoda. Oboje byliśmy młodzi. I popełniliśmy błąd. Ale ty wtedy jakoś nie zajmowałeś się rodziną. Opuściłeś ich. Nawet nie zauważyłeś jej brzucha. Było aż tak źle. Ale tak, Elle zaszła w ciążę. Ze mną...

Zanim mogłem wytłumaczyć mu, co się stało, Hank wypadł z łazienki.

Zwróciłem się do Christophera.

– Nie rozumiesz. Elle nie miała aborcji. Poroniła. Była wtedy w piątym miesiącu. I to złamało jej serce. Owszem, czula się winna. Ale nie dlatego, że usunęła ciążę. Czula się winna, bo nie mogła uratować naszej córki. Myślała o tym przez całe życie, każdego dnia. I o każdym dziecku, które potem straciliśmy. Mówię ci, że chciałaby uratować to dziecko.

Wsunąłem się na stołek barowy obok Hanka. Przed teściem stał rząd pustych szklanek. W rękę trzymał jedną do połowy opróżnioną. A obok czekała następna wypełniona po brzeg.

– Jak mnie znalazłeś? – spytał.

Wzruszyłem ramionami.

– To czternasty bar, który odwiedziłem w ciągu ostatnich... – spojrzałem na zegarek – trzech godzin. Jestem uparty.

Barmanka, zwawa ruda dziewczyna o zaczesanej do tyłu punkowej fryzurze, stanęła przede mną i uśmiechnęła się tak, jakbym na widok tych olśniewających zębów miał jej dać sto



dolarów napiwku.

– Co podać?

– Poproszę coronę, jeśli macie limonkę – powiedziałem i skierowałem uwagę na Hanka. – Myślałem, że wolisz piwo.

– To był jedyny alkohol, który Alice pozwalała mi wtedy trzymać w domu. Uważała, że piwem nie upiję się tak szybko. Nie była pod tym względem szczególnie bystra. Może lepiej nazwać to naiwnością. Alice była niewinna. – Opróżnił szklankę, odstawił ją z hukiem i skinął na barmankę, żeby nałała mu następną.

Postawiła przede mną piwo.

– Zaraz, czy ja pana nie widziałam w telewizji? Jest pan mężem astronautki?

– Udawaj, że nas tu nie ma, dobrze? – powiedziałem, kładąc na ladzie dwudziestkę.

Schowała napiwek do kieszeni i odsunęła się.

– Nie wyglądasz na pijanego – zwróciłem się do Hanka.

– Potrafię wypić naprawdę dużo, zanim zacznę wyglądać na pijanego. Ale to tutaj to napój gazowany.

Przysunąłem do siebie szklankę wypełnioną szkocką i rozpuszczonymi do połowy kostkami lodu.

– Wszystkie inne to czysta pepsi. Pokusa zawsze jest, w rzeczywistości lub w wyobraźni. Czasem łatwiej spojrzeć wrogowi prosto w twarz. – Odwrócił się do mnie i przyjrzał mi się uważnie.

– Po pierwsze, Elle nigdy nie miała aborcji. Po drugie, zamierzałem ci powiedzieć o pierwszej ciąży. Chciałem ci powiedzieć. Bo... poruszę ten temat w swoich zeznaniach. Krótko mówiąc, byliśmy dziećmi, zakochanymi i głupimi. A z Alice źle się działo.

Hank skinął, wziął do ręki mieszadło, po czym odsunął od siebie szkocką.

– Proszę to wziąć i przynieść mi świeżą. Z lodem. Nie cierpię rozcieńczonej whisky.

Barmanka zerknęła na mnie, po czym wykonała polecenie.

– Wiesz, nawet nie podejrzewałem, że w tamtych czasach byliście... tak blisko. Jezu, ona była dzieckiem.

– Byliśmy dwójką nastolatków, a wokół nas działy się okropne rzeczy. Jedno było dobre i daliśmy się temu porwać – mieliśmy siebie nawzajem. Elle zależało, żeby nikt nie wiedział, bo nie chciała dodatkowo komplikować sytuacji. A potem poroniła. Nie rozważała aborcji. W tej kwestii Chris się myli.

– Zamierzaliście zatrzymać dziecko?

– Nie wiem. Rozmawialiśmy o adopcji, ale naprawdę nie wiem.

Przygryzł wargę.

– A ja byłem zbyt pijany, żeby zauważyć, co się dzieje w moim własnym domu. Jezu. Ona miała piętnaście lat. Uprawiałeś seks z moją piętnastoletnią córką. Powinieneś być mieć więcej rozumu. Byłeś starszy.

– Tak, ale niewiele. Też byłem dzieckiem. Gdyby nasza piętnastoletnia córka uprawiała seks, byłbym przerażony – zwłaszcza po tym, co nas spotkało – ale kiedy jesteś nastolatkiem i jesteś z dziewczyną, inaczej o tym myślisz. Myślisz tylko, że jej pragniesz. A ja naprawdę ją kochałem. Wciąż ją kocham. Popelniliśmy błąd. Elle zaszła w ciążę. A potem ją straciła.

Przyglądał mi się długo i surowo.

– Myślałem, że Elle była dobrą dziewczyną. Wiesz, niewinną.

– Była taka.

– Alice wiedziała?

– Chyba nie.

Barmanka postawiła przed Hankiem drinka, uśmiechła się do mnie.

Hank powąchał alkohol i znów go odstawił.

– A ja byłem zbyt pijany, żeby Elle mogła ze mną porozmawiać. Masz rację. Byłem beznadziejnym ojcem.

– Nie – klepnałem go w ramię. – Ale przez jakiś czas byłeś beznadziejnym pijakiem. – Wziąłem duży haust piwa. Uchlanie się byłoby głupotą, ale pomysł wydawał mi się naprawdę kuszący. Zawieruszyć się. Zapomnieć. Choćby na kilka godzin. Ale i tak miałem już mnóstwo problemów. Wyjąłem portfel, wyciągnąłem tyle banknotów, żeby pokryć oba nasze rachunki, jeszcze trochę, żeby kupić milczenie rudowłosej dziewczyny, i położyłem na barze. – Chodźmy stąd.

– Może Linney i Christopher mają rację – powiedział Hank. – Może powinniśmy pozwolić Elle odejść.

Śmierć przychodzi wraz z kapitulacją; to słowo, które pozwala wydać ostatni oddech. Wpatrywałem się w czarne dębowe drzwi, jakby były otchłanią. Mógłbym to zrobić. Mógłbym pozwolić Elle odejść. Pozwolić, by spoczęła w pokoju. Ona nie chciała żyć w ten sposób. A potem mógłbym położyć się i umrzeć... jakkolwiek – wziąć pigułki, zastrzelić się, rzucić pod pociąg. Nasze rodziny mogłyby pochować nas razem. Nawet jeśli nie ma nieba ani piekła, nie dręczyłaby mnie już tęsknota za nią. Boże. Jak łaskawy Bóg mógł pozwolić, żeby mojej pięknej żonie przydarzyło się coś takiego?

Minęły dopiero trzy tygodnie. Nie mógłbym przetrwać trzech miesięcy czy trzech lat. Bez niej nie przetrwam na tym świecie. Nie przetrwam.

Ale stawką jest dziecko. Dziecko Elle. Jakaś część niej mogłaby żyć dalej, a co ona powiedziała tamtego popołudnia? W życiu trzeba podejmować ryzyko. A dziecko wciąż żyje.

– Nie – powiedziałem do Hanka. – Nie mogę pozwolić jej odejść.

– Widzisz, co się dzieje z twoją rodziną? To właśnie o tym myślałem tu w barze, nie o dziewictwie Elle. Nie o tym, że ją wykorzystałeś. Wszyscy sądziliśmy, że kiedyś będziecie parą. Ja, Alice, twoja mama i tata. To cię oczywiście nie rozgrzesza, ale wszyscy uważaliśmy, że pewnego dnia... Zresztą teraz nie ma co się nad tym rozwodzić, ale... Matt, popełniasz ten sam błąd, który ja popełniłem.

Odwrociłem się do niego gwałtownie.

– Nie jestem pijakiem.

– Zasłużyłem sobie na to, ale nie o tym mówię. – Hank westchnął. – Może Chris ma rację. Błagał mnie, żebym cię namówił, by odłączyć Elle od aparatury podtrzymującej życie. Linney jest wrakiem człowieka. Jeśli oni mają rację i nie ma nadziei, może powinniśmy pozwolić Elle odejść.

– Pozwalam Elle odejść. Cierpię, ale pozwalam jej odejść. Natomiast nie ma mowy, żebym pozwolił odejść temu dziecku. Teraz. Dziecko ma szansę. To jedyne, co możemy zrobić dla Elle. Jestem jej to winny. Jestem jej winny to dziecko. I nikt, ani ty, ani Christopher, ani moja matka, ani nikt inny się nie liczy. Jeśli stracę wszystko, ale dziecko przeżyje, to... – Zamierzałem powiedzieć, że to będzie w porządku, ale nie mogłem. Dokończyłem więc: – Jestem winny Elle i dziecku wszystko. To oni są moją rodziną. – Wypowiedziawszy te słowa, ze zdziwieniem zdałem sobie sprawę, że to także mój potomek. Nie tylko Elle. I pragnę, żeby przeżył.

W pełnej napięcia ciszy Hank studiował swoje buty. Nie wiem, co spodziewałem się od niego usłyszeć. Skinąłem, odwróciłem się i ruszyłem ku drzwiom. Hank zrobił przez lata wiele złych rzeczy, lecz pod pewnymi względami głęboko go szanowałem. Może dlatego, że było mu ciężko. Może dlatego, że – choć niepozbowiony wad – kochał żonę i dzieci. Poza tym kiedy przestał pić, stał się dla mnie oparciem, pomógł mi opłacić naukę i utrzymywał ze mną kontakt

po śmierci mojego ojca.

Sięgnąłem do klamki i zdałem sobie sprawę, że Hank jest przy mnie.

– Nie jesteś sam, synu. Jesteśmy rodziną. I ja też jestem wszystko winny Elle. Wracajmy do szpitala.

Po całych dziewięciu godzinach spędzonych poza szpitalem stan Elle zrobił na mnie piorunujące wrażenie i nogi się pode mną ugięły. Hank przyciągnął mi fotel.

– No, Matt. Usiądź.

Posłuchałem go. Jak, u diabła, mam poradzić sobie z tą sytuacją? Choćbym nie wiem jak długo myślał, nie mogę pomóc Elle. Raczej nie udałoby mi się też porwać jej i ukryć w bezpiecznym miejscu, dopóki dziecko nie przyjdzie na świat.

– Zupełnie jakbym patrzył na Alice – przywołał mnie do rzeczywistości głos Hanka.

Skinąłem. Starąłem się nie widzieć Alice leżącej w salonie McClure'ów, ale nie byłem ślepy.

– W tej chwili zapewne czujesz, że nie chcesz tego przeżyć.

Podniosłem na niego wzrok.

– Ja tak miałem, kiedy moja żona chorowała. Nie mówię, że kiedykolwiek będzie łatwiej. Kochałem Alice... – zamilkł i z trudem przełknął ślinę – tak samo, jak ty kochasz moją córkę. Tak samo, jak ja kocham swoją córkę. Trochę trwało, zanim do tego doszedłem, ale ona wciąż jest... – Poklepał się po sercu. – Idź do domu i prześpij się dzisiaj. Będę tu. Ja zostanę z córeczką.

Pokręciłem głową.

– Przez proces nie było mnie przy niej cały dzień.

– I przez to, że uganiałeś się za mną, ale, synu, musisz zacząć sypiać, bo padniesz.

None

Dzień dwudziesty pierwszy

Jeździłem przez godzinę, objechałem Back Bay, przejechałem Eastern Prom, obserwując Casco Bay, oczyściłem umysł, a potem skierowałem się na północ, do domu, gdzie mieliśmy się spotkać z Jakiem. Kiedy zbliżałem się do zwykle pustej drogi, zobaczyłem kilkanaście samochodów osobowych i minivanów ze sprzętem zaparkowanych na poboczu. Zza przedniej szyby wpatrywały się we mnie twarze. Niektórzy ludzie trzymali krzyże, inni transparenty wyrażające poparcie dla mnie. Lokalna ekipa telewizyjna afiliowana przy NBC wycelowała we mnie kamery. Była też oczywiście wśród nich tamta blondynka. Zazgrzytałem zębami, unikając kontaktu wzrokowego. Nie rób sceny. Wjechałem na nasz kręty podjazd i zaparkowałem w stodole. Kiedy z niej wyszedłem, Jake wspinał się po zboczu z niebieską torbą termiczną zarzuconą na ramię i dłonią wyciągniętą w moim kierunku.

– Spotkanie tutaj wydawało mi się dobrym pomysłem, ale pełno tu mediów. Zostaw ich mnie. Ty nic już nie mów.

Pokręciłem głową.

– Ani mi się śni. Nie chcę z nimi gadać. Zwłaszcza z tą walniętą wiedźmą.

– Pamiętaj, co mówiłem, masz uważać na język. Chcę, żebyś się prezentował jak ministrant, zwłaszcza po tym, jak nawarczałeś na tamtego dziennikarza w łazience. Zaczynasz sprawiać wrażenie narwanego.

– Mogłem powiedzieć „suka”.

– To nie jest śmieszne. Mówię poważnie. Nie wolno ci wyjść na mizoginistę.

Chociaż nie podobało mi się, że Jake mnie poucza, jak mam się zachowywać, otworzyłem szarpnięciem tylne drzwi i przytrzymałem je, żeby mógł wejść.

– Dobrze, że teren jest duży i z drogi nie widać domu.

Jake wszedł pierwszy do kuchni, a potem do salonu, gdzie rzuciłem na stolik kawowy torbę z listami i zeszytami Elle.

– Duży teren to jedyny plus mieszkania na wsi – powiedział, otwierając przenośną lodówkę. Wyjął z niej dwa opakowania kanapek i sałatkę cesarską.

– Nikt nie robi takich panini jak Yvette. Indyk z karczochami. – Włączył piekarnik i wrzucił je na górny ruszt. – A teraz poproszę o najświeższe informacje. Kiedy zadzwoniłeś, żeby mnie tu zaprosić, mówiłeś, że twój teść jest trzeźwy. Czy twoja matka miała jeszcze jakieś problemy z obrońcami życia?

– Kilka drobnych przypadków w szpitalu.

Kiedy przedstawiłem mu szczegóły, przyjął je obojętnie.

– Wygląda na to, że niektórzy nie życzą sobie, by była ich pielęgniarką. Nie powiem, żebyśmy się im w tej chwili dziwił. Szkoda. Lubilem twoją matkę. Chyba jeszcze bardziej niż ty przepadałem za paczkami, które ci wysyłała na studiach. Wciąż robi te ciasteczka toffi?

Wzruszyłem ramionami.

– Wątpię, żeby chciała ci je teraz upiec.

– To prawda. Nieważne. Yvette zrobiła tarty borówkowe. Tylko popatrz. – Wyciągnął glazurowane ciastka o wyglądzie rodem z okładki czasopisma kulinarnego i jeszcze wspanialszym zapachu.

Wszyscy chcieli mnie karmić, ale kiedy Elle spadła z drabiny, straciłem apetyt i nawet najwspanialsze jedzenie nie mogłoby mi go przywrócić. Usiedliśmy przy stole i mimo wszystko coś zjadłem.

Jake przechylił głowę w jedną i drugą stronę, tak że strzeliło mu w szyi jak pod ręką

kręgarza.

– Kiedy mówiłem, że może zrobić się nieprzyjemnie, nie spodziewałem się czegoś takiego, ale niewykluczone, że będzie jeszcze gorzej. Mam nadzieję, że nie. – Wskazał ręką na torbę. – A teraz do rzeczy. Sprawa jest bardzo prosta; ty wręczasz mi plik listów lub zeszytów, a ja je czytam. Żadnych młodszych prawników, tylko wieloletni przyjaciel, który chce uratować twoje nienarodzone dziecko. – Jake sięgnął po dziennik, a mnie zrobiło się niedobrze, jakby podglądacz obserwował Elle przez otwarte okno sypialni.

– Mam jeszcze prostszą propozycję – powiedziałem. – Ja je przeczytam. A ty tymczasem obejrzyj wideo.

– Wideo?

– DVD. Nagranie z naszego ślubu. Mówiłeś, że chcesz zobaczyć jakiś film z Elle, żeby sprawdzić, czy nie mówi gdzieś o rodzinie. Wydaje mi się, że nagrywano też coś podczas chrztu bratanicy Elle, ale to będzie u Christophera. – Rzuciłem u stóp Jake'a karton z książkami i zeszytami Elle. – A to przywiozła Keisha z gabinetu Elle. Robiła notatki na marginesach. Może znajdziesz jakiś komentarz na temat aborcji. Ja zajmę się listami.

– Mógłbyś mi zaufać, że uszanuję jej prywatność. – Wyjął okulary i usiadł na fotelu.

– To nie jest kwestia zaufania, Jake. Kiedy Elle pisała te listy, nigdy nie przypuszczała, że ktoś je będzie czytać.

W notatkach Elle Jake znalazł parę komentarzy, które według niego mogły okazać się przydatne. Gdy oglądał film z naszego ślubu, wyszedłem z pokoju. Wolałem obejrzeć go później, najlepiej w samotności.

Elle nie przepadała za publicznym okazywaniem sobie uczuć, ale tamtego dnia całowaliśmy się wśród brzęku kieliszków. Oboje rozrzewniliśmy się podczas przysięgi. Nie było w tym nic niezwykłego – świadczyło tylko o tym, że jesteśmy zakochani.

Usiadłem na ganku w wiklinowym fotelu i zapaliłem lampę, żeby przeczytać jeden z wpisów Elle. Zaczęła go od komentarza na temat NASA i jakiejś nowej technologii chroniącej przed mikrometeorami, nad którą pracowali. Ale po kilku akapitach coś przyciągnęło moją uwagę.

*Oj... znowu zakręciło mi się w głowie.*

Pismo Elle stało się mniej wyraźne.

*No, już lepiej. Powinam Ci powiedzieć dziś wieczorem. Trochę się martwię, jak zareagujesz. Pewnie zaraz włączy Ci się tryb lekarski, ale będzie dobrze. Mam nadzieję, że będzie dobrze. Nie chcę stracić kolejnego dziecka. To zdarzyło się już tyle razy, że czuję się jak morderczyni, jakby to była moja wina. I tak jest – przynajmniej z medycznego punktu widzenia. Ale jeśli uda mi się wydać na świat to dziecko, może wybaczę sobie, że zawiodłam te pozostałe.*

Wpis nosił datę dnia, w którym powiedziała mi, że spodziewa się Dylana.

Zszedłem z ganku i ruszyłem przez ciemności w stronę ogródka stworzonego przez Elle po śmierci Celiny. Tamtej wiosny cały tydzień jeździliśmy od jednej szkółki leśnej do drugiej, w poszukiwaniu roślin, z których chciała zrobić rabatę. Od tamtego czasu zasadzony przez nas bez rozrósł się do gigantycznych rozmiarów. Tulipany i krokusy każdej wiosny przebijały się przez ziemię. Irysy, peonie, stokrotki i rudbekie. Jeżówki. Rozchodniki. Chryzantemy. Prochy Dylana też tu pochowaliśmy. Elle sublimowała swój żal, obdarzając miłością ten ogródek.

Osunąłem się na ziemię i zacząłem łkać z żalu za rodziną, którą powinniśmy byli mieć.

Zaskrzypiały drzwi z moskitierą.

– Matt? – zawołał z ganku Jake.

Nie widział mnie w ciemnościach. Odchrząknąłem.

– Tak?

– Co ty tam robisz? Chyba nie rozmawiasz z żadnym dziennikarzem.

– Nie. – Podciągnąłem koszulkę i wytarłem sobie twarz, po czym wróciłem na ganek.

Kiedy dotarłem do schodów, Jake opadł na wiklinowy fotel.

– Wszystko w porządku?

– Oczywiście – odparłem.

– Na filmie ze ślubu jest coś, co możemy wykorzystać.

– Co takiego?

– Nie jest to nic sensacyjnego, ale chciałbym, żeby sędzia zobaczył, jak Elle mówi, żeby zobaczył w niej prawdziwą żywą kobietę, pełną marzeń i nadziei. – Zamilkł na chwilę. – Kiedy ja brałem ślub, teściowa zrobiła z tego wielkie widowisko, z białymi gołębiami, karocą zaprzęzoną w konie i jakimś tysiadcem ludzi.

– Pamiętam – powiedziałem. Jake i Yvette pobrali się od razu po college'u, jeszcze nim poszedł na studia prawnicze.

– Wasze wesele było bardzo proste – powiedział – ale było w nim coś, sam nie wiem, szczerego. Łączyło was coś prawdziwego.

– Tak. Kochaliśmy się. Miałem inne związki. Niektóre dobre, ale kiedy byliśmy z Elle osobno, przez te lata, gdy nasze uczucie miało charakter platoniczny, ona zawsze była tą jedyną. Wiem, że to brzmi naiwnie.

Przez chwilę Jake nic nie mówił.

– Nieprawda. Spójrz tylko na nas. Jesteśmy z Yvette małżeństwem od piętnastu lat. Mamy córkę. Nie ma w życiu nic lepszego.

– Byliście młodzi – powiedziałem, tłumiąc w sobie zazdrość o jego zdrową rodzinę.

Uśmiechnął się.

– Nieprzyzwoicie młodzi. I nieprzygotowani, ale kiedy na świat przyszła Janey, robiliśmy wszystko, by nasze małżeństwo było udane. I – odpukał w podłokietnik fotela – jak na razie dajemy radę.

– Ile lat ma Janey?

– Prawie trzynaście. – Wyjął z portfela zdjęcie córki i podał mi.

Dziewczynka stała na równoważni, wygięta, z obciążniętymi palcami.

– Na szczęście jest bardziej podobna do Yvette – powiedziałem.

Jake zarechotał serdecznie.

– Tak. To wielkie szczęście. To dobry dzieciak – dodał, kiedy oddawałem mu zdjęcie. – Miejmy nadzieję, że twoje dziecko też będzie podobne do Elle.

Słowa Jake'a gwałtownie przywróciły mnie do rzeczywistości.

– Tak, podobne do Elle – powiedziałem. Albo do mnie. Nieważne, byle tylko było zdrowe. Ile razy ludzie wypowiadają te słowa, nie zdając sobie sprawy, jak krucho jest życie ludzkie? Miałem jednak nadzieję, że kiedyś będę dumnym ojcem i będę chwalił się zdjęciem naszego dziecka.

Jake widać uświadomił sobie znaczenie swoich słów, bo zamilkł na chwilę, a ja wróciłem do lektury dziennika Elle, zanurzając się znowu w jej głosie, aż w końcu spytał:

– Ile masz jeszcze tych pamiętników?

Wzruszyłem ramionami.

– Pisała bardzo dużo, opisywała wszystko, od pracy w NASA po nieudaną trwałą. Większość tylko przeglądam.

– Myślisz, że notowała wszystko, bo zamierzała napisać wspomnienia? „Przygody

bohaterskiej astronautki”?

– Nie rozumiesz. Pisała, bo była osobą skrytą. To są jej najbardziej osobiste przemyślenia, takie, którymi wołała się nie dzielić. Większość z nich była mi znana, ale nie każdy drobiazg. Jej umysł potrafił orbitować wokół danej sytuacji, a... Większość tylko przeglądam.

– Pozwól, że poprzeglądam z tobą.

– Możesz zobaczyć to. – Podąłem mu fragment o tym, jak urodzenie Dylana pomogłoby jej sobie wybaczyć. – Możesz to wykorzystać? Skseruję ci tę stronę.

Przejrzał wpis.

– Tak. To jest dobre. Potrzebuję więcej takich kawałków. Zawężmy twoje poszukiwania. Skup się na tych okresach, kiedy życie dawało wam w kość – śmierć jej matki, poprzednie ciąży.

– Tak właśnie zrobiłem. Ale wtedy nie pisała. Ułożyłem wszystko chronologicznie. Po tym, jak umarła jej matka, przez kilka miesięcy nie ma nic. Tak samo po śmierci Dylana. – Przetarłem oczy dłońmi.

– A z okresu pierwszej ciąży?

– Pisała tylko na samym początku, listy.

– Wtedy właśnie zapewne zdecydowała, czy poddać się aborcji, czy nie.

– Lepiej, żebyś nie widział tych listów – powiedziałem.

– Czemu? Rozważała aborcję? – spytał z przerażeniem na twarzy.

Ułukłem komara.

– Tak. I to jest dziwne, bo kiedy powiedziała mi o ciąży, już odrzuciła tę myśl, a przynajmniej zachowywała się tak, jakby to w ogóle nie wchodziło w grę. W ostatnim liście, w którym porusza ten temat, skłaniała się ku przerwaniu ciąży.

– Wiesz, co sprawiło, że zmieniła zdanie?

– Nie mam pojęcia.

– Szkoda. Właśnie tego wpisu potrzebujemy. – Płasnął się dłonią w przedramię. – Wracam do środka. Podłe bestie z tych komarów. Masz gin?

– Nie – odparłem; wstałem i poszedłem za nim. – Raczej nie pijamy alkoholu.

Gin. Gin skojarzył mi się z prohibicją, a prohibicja z Elle. W czasach prohibicji jej pradziadek szmuglował whisky po całej Casco Bay. Elle mówiła, że to dlatego na poddaszu jest zapadnia. Tam ukrywał butelki. Był to tylko jeden z wielu sekretnych schowków, na które się natknęliśmy. Zeszłej wiosny Elle znalazła kolejny w spiżarni. Może brakujące listy leżą w jakiejś innej skrytce, o której istnieniu nie wiem. Niech to cholera.

– Słuchaj, Jake. Pójdę się położyć. Jest po północy.

Zerknął na zegarek.

– No tak. Nie musisz mnie odprowadzać do drzwi. Chcę się z tobą spotkać przed rozprawą, zjemy razem śniadanie.

Gdy tylko wyszedł, popędziłem na poddasze. Gdzie są inne skrytki? Niekoniecznie na poddaszu, ale wydawało się logiczne, żeby tam zacząć poszukiwania.

Podniosłem deski podłogowe. Przesunąłem kufry i domek dla lalek. Nic – poza już odkrytymi schowkami w podłodze i w spiżarni. Pod wpływem impulsu wyciągnąłem dzienniki Alice i szybko włożyłem je do torby.

Gdzie jeszcze przemytnik alkoholu mógłby chować swój towar? Pod schodami? Nie. Pod koniec nocy, zdemolowawszy poddasze, piwnicę i stodołę, doszedłem do wniosku, że jeśli Elle ukryła tamte listy, to zależało jej na tym, by nikt ich nie znalazł. Przekradłem się z powrotem do domu, pokonany.

U szczytu schodów zatrzymałem się przed pokojem Dylana, pokojem, w którym nigdy nie był, pokojem, o którym chyba ani Elle, ani ja od tamtego czasu nie wspominaliśmy. Po prostu

zamknęliśmy drzwi. A przynajmniej ja tak uczyniłem. Teraz zapaliłem światło. W głębi przy ścianie stało łóżeczko. Usłyszałem, jak Elle mówi: – W tym starym domu i tak są przeciągi. Nie chcemy, żeby leżał przy oknie.

Do pokoju wlało się światło poranka. Kolejna nieprzespana noc. Kolejna zmarnowana. Rozległ się telefon i moje napędzane adrenaliną serce zaczęło się ścigać ze strachem. Nikt nie dzwoni tak wcześnie rano, chyba że coś się stało. Na wyświetlaczu widniało „Longfellow Memorial”, szpital.

– Doktorze Beaulieu, tu Evie, pielęgniarka pańskiej żony. Prosił pan, żebym zadzwoniła, gdyby nastąpiła jakaś zmiana.

– No i?

– Musieliśmy zwiększyć dawkę tlenu. Przez noc pogorszyła jej się gazometria. W tej chwili robią jej prześwietlenie.

– Jezu – powiedziałem, czując we wnętrznościach ostry przypływ paniki. – Dopilnuj, żeby osłonili dziecko.

None



Dzień dwudziesty drugi

Straciłem równowagę i zatoczyłem się przy łóżku Elle.

Jej lekarz prowadzący, Clint Everest, przyjrzał mi się uważnie. Chcąc wytłumaczyć swoją niezdarność, powiedziałem:

– Od wielu dni nie przespałem więcej niż parę godzin. Chcę zobaczyć jej zdjęcie.

– Pojechałeś do domu. Czemu nie spałeś? – spytał Hank.

– Porozmawiamy o tym później. Powinieneś był zadzwonić.

– Kiedy zorientowałem się, że coś jest nie tak, poprosiłem pielęgniarkę, żeby do ciebie zatelefonowała. Przypuszczałem, że będziesz miał pytania, a ona lepiej ci na nie odpowie niż ja.

– W porządku. – Przeniosłem uwagę na Clinta.

Przypiął zdjęcie do negatoskopu.

– W dolnym płacie lewego płuca jest naciek. Widzisz? Zapalenie płuc. Podaliśmy jej antybiotyki.

– A dziecko?

Położył przede mną wyniki Elle.

– Zadzwoniłem do perinatologa twojej żony. Przyjdzie tu i zrobi jej USG, jak tylko odbierze poród trojaczków, które nie chcą dłużej czekać. Jesteś strasznie blady, Matt. Idź się zdrzemnąć w pokoju lekarza dyżurnego. Jeśli coś się wydarzy, przyjdę po ciebie.

Pocałowałem Elle w policzek, położyłem dłoń na jej brzuchu i zmówiłem w milczeniu modlitwę. Proszę, Boże. Już wcześniej się na tym przyłapałem, mimo całego mojego pogaństwa. Ułuda. Oszukiwanie samego siebie. Nieważne. Boże, proszę.

– Idź. Prześpij się. Zostanę jeszcze trochę – powiedział Hank.

Obudziłem się dwie godziny później, kiedy do drzwi zapukał Hank.

– Doktor Clarke prosiła, żeby po ciebie poszedł. Robi USG.

Nie zarejestrowałem, jak przemierzaliśmy OIT; miałem przeczucie, że serce dziecka nie będzie biło. Już przez to przechodziliśmy z Elle i bałem się, że to nasza ostatnia droga.

Przez szklaną ścianę widziałem Blythe nad ultrasonografem, jej białe włosy z nieodłączną różową opaską. Jej uśmiech przygotował mnie na słowa, które miały zaraz paść, ale nie brzmiały one tak, jak się spodziewałem. Przywołała mnie.

Tuż obok stała Keisha. Wpatrywała się w ekran z dłonią przyciśniętą do ust. Miała posiedzieć dziś z Elle, kiedy ja będę w sądzie, i widocznie przyszła, gdy spałem.

Próbowałem wyczytać werdykt z ich twarzy.

– Chcesz go zobaczyć? – uśmiechnęła się do mnie Blythe.

Keisha wzięła mnie za ramię i przyciągnęła do urządzenia.

– Chodź, zobacz go – powiedziała.

– Zobaczyć go? Jego? – spytałem.

– Jeszcze za wcześnie, żeby rozpoznać płęć dziecka – odparła Blythe. – Ale on lub ona nie śpi i najwyraźniej chce zostać akrobatą lub akrobatką. Robi fikołki.

– To mój wnuk? – Hank przecisnął się na przód.

Blythe przytaknęła.

Wśród zakłóceń moje dziecko rzeczywiście robiło koziołki, nieważkie niczym jego matka, gdy orbitowała wokół ziemi.

– Żyje – wyszeptalem. – Poczulem się tak, jakby Elle wzięła moją rękę i położyła ją sobie na brzuchu, żebym poczuł, jak dziecko kopie. Spojrzałem na twarz Elle, spodziewając się jakiegoś sygnału. Nic takiego nie zobaczyłem. Moje poczucie odpowiedzialności skupiło się na

dziecku. Naszym dziecku.

Hank ścisnął mnie za ramię.

– To równie dobrze może być dziewczynka. – Blythe włożyła płytę do ultrasonografu i włączyła nagrywanie. – USG może pomóc sędziemu podjąć decyzję. Albo przekonać Linney.

– Kocham cię – powiedziałem na głos. Miałem na myśli dziecko. I Elle. Zawsze będę ją kochać. Kochałem też Blythe, bo dawała mi nadzieję.

– Uważasz, że mam rację? – spytałem.

– Nie powinnam wypowiadać się w tej kwestii. Wiesz o tym. Ale zważywszy na reakcję Elle tamtej nocy, kiedy straciliście poprzednie dziecko, jestem pewna, że chciałaby, byś spróbował uratować to. – Blythe wyłączyła ultrasonograf. – Jej serce bije, ale Elle... już nie żyje. Przykro mi, nie chcę być brutalna.

– Wiem – odparłem. Los lub Bóg zdecydowali już, że Elle z tego nie wyjdzie. Ale dziecko musi żyć. Boże. Proszę.

– Utrzymanie ciała Elle przy życiu przez następne kilka miesięcy, a nawet dni, nie będzie prostą sprawą. Wiesz, to zapalenie płuc... – Blythe wyciągnęła pager i spojrzała na niego. – Przepraszam, ale to nagłe wezwanie. Muszę iść. – Zostawiła ultrasonograf i wypadła z pokoju.

Hank, milczący i blady, osunął się na fotel. Keisha po cichu obeszła łóżko Elle i szepnęła jej do ucha coś na temat macierzyństwa.

Sprawdziłem respirator. Odkład zostawiłem Elle, żeby się zdrzemnąć, jej zapotrzebowanie na tlen zwiększyło się dwukrotnie. Możliwe, że utrzymanie jej przy życiu będzie wymagało cudu. Chociaż przestałem w nie wierzyć tej nocy, gdy urodził się martwy Dylan, naraz byłem gotowy pomodlić się jeszcze ten jeden raz. Nie obchodziło mnie nawet, czy to tylko ułuda – elektryczne świece przy ołtarzu.

None

Osiemnaście do sześciu miesięcy przed wypadkiem Elle

Wiele kobiet miewa poronienia. Zazwyczaj jednak gdy już słyhać bicie serca dziecka, jest bardzo duża szansa, że wszystko skończy się dobrze. U Elle tak nie było. Słyszeliśmy bicie serca każdego z trójki naszych dzieci i wszystkie straciliśmy. Elle była głęboko nieszczęśliwa. Musiałem się dowiedzieć, co jest nie tak. Blythe odkryła, że Elle cierpi na chorobę autoimmunologiczną zwaną zespołem antyfosfolipidowym, która powoduje nadmierną krzepliwość krwi.

– Nie rozumiem, czemu w NASA tego nie wykryli – powiedziała Elle. – Przecież zrobili mi wszelkie możliwe badania. – Opuściła dłonie na kolana i splotła je; robiła tak, by zapanować nad drżeniem, kiedy się bała.

– Choroba mogła się zacząć niedawno, a nawet mogła ją wywołać ciąża – wyjaśniła Blythe Clarke. – Bardzo łatwo się to leczy, wystarczy przyjmować raz dziennie małą dawkę aspiryny. Skieruję cię do specjalisty chorób autoimmunologicznych. Możliwe, że będzie chciał ci podać coś silniejszego, ale powiedz mu koniecznie, że starasz się o dziecko. Gdy tylko zajdziesz w ciążę, zaczniemy ci podawać heparynę.

– To środek przeciwzakrzepowy, Pip. I niestety przyjmuje się go codziennie w postaci zastrzyku – powiedziałem, wiedząc, jak bardzo nie znosi igieł.

Elle się skuliła. Nabrawszy powietrza, powiedziała:

– W porządku. Zastrzyk? Niech będzie.

Ginekolożka przygryzła wargę.

– Właściwie to heparynę bierze się dwa razy dziennie.

– Chciałem tylko złagodzić cios – wyjaśniłem.

– Dwa razy? Dziennie? Cholera. No dobra. Chcę mieć dziecko. Chcemy... – Elle spojrzała mi w oczy. – Chcemy, żeby nasze dziecko przeżyło. Dla tej sprawy zrobię absolutnie wszystko. Tylko... jak duże są te igły?

Pokazałem rękami odcinek około trzydziestu centymetrów.

Chwyciła moją dłoń i zacisnęła powieki.

– Dobra, to nie problem, ale żartujesz, prawda, Matt?

– Są maleńkie. Przysięgam – odparłem niemal z uśmiechem.

Straciliśmy poprzednie dziecko, ale temu heparyna miała zapewnić odpowiedni dopływ krwi. Znaleźliśmy rozwiązanie, a przynajmniej tak mi się zdawało.

Elle codziennie zażywała aspirynę, a kiedy okazało się, że jest w ciąży, lekarz przepisał jej heparynę.

– To nie jest wcale takie straszne – powiedziała, choć wzdrygała się, robiąc sobie zastrzyk w brzuch.

Starannie oglądałem wszystkie jej siniaki. Nie tylko w miejscach wstrzyknięć, ale też w innych, na łokciach, na biodrze. – Musimy się upewnić, czy nie masz skazy krwotocznej – powiedziałem.

– Uwielbiam, jak używasz terminologii medycznej. „Skazy krwotocznej”, ha!

– Pip, musimy zrobić kolejne badanie, żeby sprawdzić, czy nie rozrzedzamy ci krwi za bardzo.

– No dobra. To oznacza jeszcze więcej igieł, tak? – Ale zanim zdążyłem jej odpowiedzieć, dodała: – Pikuś.

Obawiałem się krwotoku, więc zrobiłem to, co zrobiłby każdy odpowiedzialny małżonek z wykształceniem medycznym: obserwowałem ją i jej wyniki, poszedłem z nią do najlepszego

perinatologa i reumatologa w okolicy. Dbałem, żeby nie robiła absolutnie nic, co by groziło nawet najmniejszym urazem, gdyż zażywając środki przeciwzakrzepowe, łatwo mogłaby się wykrwawić. Kazałem też Mike'owi, mojemu bratu-mechanikowi, co tydzień sprawdzać hamulce w jej samochodzie.

– Wszystko w porządku – powiedział, wysuwając się spod podwozia. – Musisz się odprężyć, Matt. Dostaniesz pieprzonego zawału przed czterdziestką tak jak tata.

– Nie. Nic mi nie będzie. Odżywiam się racjonalnie. Biegam.

– Stresujesz się.

Wyciągnąłem do niego rękę i pomogłem mu wstać.

– Jestem zdrow jak ryba.

– Zwykle to najstarszy syn obsesyjnie chce wszystko kontrolować. Ty jesteś najmłodszy. Powinieneś być beztroskim wesołkiem. Co się z tobą stało?

Klepnąłem go w plecy i poszliśmy do kuchni na piwo.

Kiedy dojechałem do domu, padał śnieg. Elle właśnie dorzuciła drewno do ognia i teraz rozlegały się trzaski i strzały. Rozgrzebała żar i zamknęła drzwiczki piecyka.

– Chodź, dotknij. – Przywołała mnie, wyciągając rękę. Widniał na niej kolejny czarny siniak.

– Jezu, Pip, co się stało?

– Nic, uderzyłam się. To nie boli. Nie przejmuj się. Chodź, poczuj dziecko – powiedziała, chwytając moją dłoń. – Strasznie szaleje.

Położyłem rękę na jej brzuchu.

– Za dziewięć dni spotkamy się twarzą w twarz, dzieciaku. Twoja matka chce ci dać na imię Wład ze względu na to, ile krwi wyssano z niej przez ciebie.

– Ćśś, nie mów mu tego. Dylan. Chcemy dać ci na imię Dylan, na cześć walijskiego poety. Twój tatuś widział jego dom i mieszkał przez jakiś czas w Swansea.

– Usiądź. – Próbowałem zaprowadzić ją do kanapy, ale w pół drogi zatrzymała się i ścisnęła moją rękę, tak że jej siniak pobielał. – Co się dzieje?

– Plecy – odpowiedziała Elle. – Strasznie mnie dzisiaj bolą. Od rana. Pewnie spałam w niewłaściwej pozycji.

– Ale zatrzymałaś się nagle. Ból przychodzi i odchodzi? – Pomyślałem, że to może być przedwczesny poród, ale nie powiedziałem tego. Wtedy wszyscy mi mówili, żebym się odprężył i przestał się zamartwiać. Sam wiedziałem, że to już graniczy z nerwicą.

– Niezupełnie. Raczej towarzyszy pewnym ruchom. To ból mięśniowy. Jestem taka gruba; wszystko straciło proporcje.

– Nie jesteś gruba. Jesteś w ósmym miesiącu ciąży. – Uśmiechnąłem się do niej. Przykro mi było patrzeć na jej cierpienie, ale ogromnie się cieszyłem, że tym razem zaszliśmy tak daleko. – Chodź tu. Rozmasuję ci plecy. Połóż się.

Podeszliśmy do okna wykuszowego. Uwielbiała czytać na stojącej tu szerokiej ławie i pomyślałem, że przyjemnie jej będzie oglądać padający śnieg. Ułożyłem ją na boku i długo masowałem dolny odcinek kręgosłupa, opierając się o przeciwległą ścianę. Po jakimś czasie oddech Elle się wyrównał; zasnęła.

Wstałem i przykryłem ją kocem.

Wiatr przybrał na sile, a miękkie płatki przeistoczyły się w kulki dudniące w szyby. Podsyciłem ogień, zastanawiając się, ile już napadało. Z dziesięć centymetrów, może więcej.

Poszedłem do stodoły i wyciągnąłem na dwór odśnieżarkę, ale nie chciała odpalić. Nie chcąc zgłaszać się do brata z każdym problemem technicznym, postanowiłem się wreszcie nauczyć, jak to wszystko działa. Zacząłem majstrować przy świecy zapłonowej. Potem przy

spłonce. Sprawdziłem poziom benzyny – zbiornik był pełny. Ale nic nie drgnęło. Odśnieżarka padła. Czas zgonu – spojrzałem na zegarek: 22.43. Bez entuzjazmu zamiotłem schody i posypałem ścieżkę solą. W taką właśnie noc, pełną mokrego śniegu, ojciec miał pierwszy zawał. Dlatego kupiłem odśnieżarkę; ale wyglądało na to, że tym razem będę musiał rano odśnieżyć podjazd tradycyjnymi metodami.

Wróciłem do domu, żeby zbudzić Elle na zastrzyk, ale nie było jej na ławce. Pomyślałem, że się obudziła i poszła na górę do łóżka.

– Matt! – zawołała jakby przez zaciśnięte zęby. Odwróciłem się i znalazłem ją na podłodze w kuchni, owiniętą w koc. Zgięta w pół, była blada jak nasze białe szafki kuchenne.

Uklęknąłem przy niej.

– Upadłaś?

– Wody mi odeszły, dosłownie minutę temu – wysapała.

Podniosłem koc. Miała na sobie tylko koszulę nocną, a jej nogi były całe w płynie owodniowym i krwi.

Dziecko rodziło się za wcześnie i mogło mieć z tego powodu kłopoty, ale to nie był jedyny powód do zmartwień. Elle miała przed porodem przestać przyjmować środki przeciwwzakrzepowe. Gdyby rodziła dzisiaj, mogłaby się wykrwawić na śmierć.

Zadzwoiłem na numer alarmowy.

– Oddychaj, Pip. Będzie dobrze.

Ale nie było.

Cuda nie zawsze się zdarzają.

None

Po wypadku Elle  
*Dzień dwudziesty drugi*

Trzeba by cudu, żeby Elle przetrwała zapalenie płuc. Jake powiedział, że usprawiedliwi moją nieobecność w sądzie i postara się umniejszyć skalę kryzysu zdrowotnego Elle. Jednakże dzisiaj miał zeznawać mój współnik Phil, a on zapewne powie sędziemu, że Elle umiera. Że jej ciało umiera. Sama Elle już odeszła.

Ale w jej łonie jest dziecko, które robi fikołki. Trzymałem się tego promyka życia, raz za razem odtwarzając ten widok w pamięci, podczas gdy pielęgniarka robiła Elle toaletę tracheostomii.

Usłyszałem charkot i podniosłem wzrok. Elle kaszłała. Zerwałem się na równe nogi.

Pielęgniarka przyjrzała mi się podejrzliwie.

– Co się stało?

– Ona nie może kaszleć. Utraciła ten odruch – powiedziałem.

Pielęgniarka podkręciła tlen.

– Obrzęk mózgu się zmniejszył. Zdarza się jej też spontanicznie odetchnąć – wyjaśniła. – Nie są to regularne, efektywne oddechy, ale zdarzają się. Może kiedy opanujemy zapalenie płuc, będzie można odłączyć ją od respiratora.

Jezu. Sięgnąłem do kieszeni.

– Masz latarkę? – spytałem.

– Oczywiście. – Wyjęła z kieszeni fartucha urządzenie w kształcie długopisu i podała mi je.

Poświeciłem Elle w oczy. Nic. Źrenice były nieruchome i rozszerzone. Sprawdziłem odruchy rogówkowe i głębokie odruchy ścięgniaste. Nie reagowała na ból. Jezu. Najmniejszy cień nadziei, kaszel, a ja znowu zaczynam wypierać rzeczywistość. Muszę porozmawiać z Philem. Muszę spytać Blythe, czy kobiecie w ciąży można zrobić rezonans magnetyczny. Ale tak naprawdę rozumiałem, że uszkodzenie, jakiemu uległ mózg Elle, jest nieodwracalne – i całkowite.

Czy ona gdzieś tam jest? Chciałem, by dożyła chwili, kiedy dziecko będzie się mogło urodzić. A w ogóle to chciałem, żeby się obudziła, ale na to nie było szans. Gdyby się tak stało, byłaby głęboko upośledzona. Nie chciałyby żyć latami w stanie wegetatywnym – zwłaszcza po urodzeniu dziecka.

Dziecko w jej łonie robi salta – nasze dziecko.

Wciąż widziałem Elle na podjeździe McClure'ów, jak mówi mi, że gdyby znalazła się kiedykolwiek w takim położeniu jak matka, chciałaby umrzeć.

– Spróbuję się trochę przespać w pokoju lekarza dyżurnego. – Chwyciłem torbę z pamiętnikami i wyszedłem, zmagając się z wagą tego, co jej robię. Ale to dziecko...

Pokój lekarza dyżurnego był mniejszy niż sypialnia studenta w akademiku. Dwa łóżka piętrowe i jedno małe biurko z komputerem do prowadzenia dokumentacji. Opadłem na łóżko i utkwilem wzrok w sprężynach materaca nade mną. Zamiast „bum-bum, bum-bum” moje serce wybijało „spo-kój, spo-kój”. Pogrążony w szaleńczej niepewności sięgnąłem do torby po zeszyty Elle i przypadkiem wyciągnąłem pamiętnik Alice. Przez chwilę go przeglądałem, przerzucając kartki. Pismo niemal identyczne jak pismo Elle, ale Elle spisywała przemyślenia w formie listów i w zeszytach. Zamknąłem pamiętnik i rzuciłem go na torbę. Na tylnej okładce, wpisane w serce, widniały słowa:

*Elle kocha Matta.*

Znów porwałem pamiętnik. Pierwszy wpis był opatrzony datą 25 grudnia 1988 roku.  
*Matt,*

*Mama robiła zakupy świąteczne, jeszcze zanim się źle poczuła. Uwierzysz? Wiedziała, że piszę te listy, kupiła mi więc ten różowy pamiętnik, jakbym była małą dziewczynką. Nie wiem, czy kiedykolwiek nią byłam. Teraz na pewno nie jestem.*

*Tatusz mnie wczoraj uderzył. To był wypadek. Nie widział nawet, że tam stoję. Kiedy zobaczyłeś siniaka, rzuciłeś się na niego. Na szczęście Twój tata Cię odciągnął. Potem, w czasie przepychanki, Dennis przyjrzał się bliżej mojemu rosnącemu brzuchowi i wszystkiego się domyślił. Są święta, ale ja nie jestem Marią, a Ty nie jesteś Józefem. A teraz Twój tata wie, że noszę w brzuchu dziecko.*

*Wesołych Świąt. Dla mnie raczej niewesołych.*

*Pip*

*20 stycznia*

*Celina*

*21 stycznia*

*Celina*

*22 stycznia*

*Celina*

Całymi tygodniami po śmierci córki każdego dnia Elle zapisywała tylko imię Celiny.

Widać było, że kończąc „a”, trzymała długopis na papierze, jakby się wahała i zastanawiała, czy nie napisać więcej. To imię wyglądało tak samotnie i uzmysłowiłem sobie, że nigdy dotąd nie widziałem go w formie pisanej. Uzmysłowiłem sobie, że można je też pisać przez „S” zamiast „C”. Uzmysłowiłem sobie także, że zawsze wyobrażałem je sobie pisane przez „C”.

Potem Elle zaczęła znowu pisać o swojej matce. Odwróciłem kolejną kartkę.

*16 lutego 1989*

*Matt,*

*Rozmawiałam z Linney i powiedziałam, że boli mnie głowa. Powiedziała mi, żebyłam zażyła tylenol, który jest u was w szafce z lekami. Są tam też inne lekarstwa. Znalazłam reszkę oksykodonu, który dostawałeś, kiedy złamałeś nogę. I pomyślałam, że mogłabym go podać*

*mamie. Tyle że Linney weszła i wyrwała mi go z ręki.*

*Błagałam ją. Błagałam. Ona nie pomoże. Powiedziała, że te leki może zażywać tylko osoba, której je przepisano.*

*17 lutego 1989*

*Matt,*

*Nie mogę już tego wytrzymać. Dzieje się zbyt wiele złego. Zostaniemy umieszczeni z Christopherem w rodzinie zastępczej. Pewnie nas rozdzieli. Linney powiedziała, że stara się uzyskać prawa opiekuńcze, i tego wieczoru dostała tymczasową zgodę. Przysięgła, że spróbuje zatrzymać przynajmniej Christophera. A ja? Ze mną sprawa jest trochę bardziej skomplikowana ze względu na Ciebie. Linney ma w tej kwestii rację. Boję się. Też chcę z Tobą być. Tak naprawdę z Tobą. Ale nie możemy tego zrobić. Co gdybym znowu zaszła w ciążę? Chciałam zatrzymać Celinę. Kochałam ją.*

*No i jest jeszcze kwestia mamusi. Nie chcę iść do rodziny zastępczej i zostawić jej. Powinnam być tutaj. Nikt inny o nią nie walczy.*

*Błagałam Linney, żeby pomogła mamie.*

*Pip*

*18 lutego 1989*

*Mama nie żyje.*

*W kółko wypowiadam te słowa na głos, ale one nie mają sensu.*

*Ona nie żyje.*

*Wreszcie. Po tylu miesiącach. Moja mama nie żyje.*

*Nie chciałam, żeby umarła, i nie chcę, żeby nie żyła. Ale tak jest lepiej, prawda? Już nie cierpi. Boże, jak ona cierpiała.*

*Uważałam, że powinniśmy jej pomóc... ulżyć jej w bólu. Błagałam pielęgniarki. Błagałam tatusia. Błagałam wszystkich, żeby dali jej więcej środków przeciwbólowych. Nikt nie chciał tego zrobić.*

*Zeszłej nocy, kiedy wróciliśmy ze spotkania w opiece społecznej, Linney zaprowadziła mnie do domu. Nie chce, żebym spała u was, bo boi się, że będziemy znowu uprawiać seks. Może by tak było. Chciałabym, żebyś mnie teraz przytulił. Potrzebuję Cię. Ale Linney zaprowadziła*



*mnie do domu. A mama jęczała. W nocy jest gorzej. Linney to widziała. Pielęgniarka miała jakiś kłopot z mężem i Linney powiedziała, że na razie ona zostanie z mamą. Linney dała mamie więcej leków przeciwbólowych. Dodatkową dawkę. Twój lek, Matt. Pokazała mi, jak rozgnieść tabletkę, gdybym później musiała podać mamie następną. I może to chore, ale cieszyłam się, że zeszłego lata złamałeś nogę. To okropne, prawda?*

*Ale potem wróciła pielęgniarka. A Linney sobie poszła. Siedziałam z mamusią całą noc. Ucichła i wydawało się, że pierwszy raz od niepamiętnych czasów nic jej nie dolega. Zasnęłam z głową na poduszce mamusi. Kiedy się obudziłam, nie oddychała. Po prostu przestała oddychać. To była moja wina. Moja.*

*Nie wiem już, czy to była słuszna decyzja. Mama nie cierpi. Ale też nie żyje. A ja już nigdy jej nie zobaczę. Tęsknię za nią. Tak bardzo. Potrzebuję jej. Christopher też. I tatuś. O Boże. Czy to ta dodatkowa dawka leku zabiła mamę? Czy ja ją zabiłam?*

*Pip*

Wpatrywałem się w papier. A niech to. Dalej nie było żadnych wpisów – tylko puste, pożółkłe kartki.

Musiałem to przemyśleć, przyswoić. Elle nie zabiła matki. Alice umierała całymi miesiącami, długimi bolesnymi miesiącami. Jeśli dodatkowa dawka leków przeciwbólowych przyspieszyła jej śmierć, to raczej czyniło Elle świętą, a nie morderczynią. Gdybym pamiętał o tych tabletkach, sam podałem je Alice. Miałem natomiast problem z tym, że matka zrobiła to, a potem poszła sobie, zostawiła Elle samą, skazała ją na wyrzuty sumienia.

Wziąłem pamiętnik i wróciłem do pokoju Elle.

Pielęgniarka właśnie ją odsysała.

– Trzyma się nieźle. Pojawiło się więcej wydzieliny, ale wszystko jest w porządku.

Elle znowu cicho zakasłała.

– Zlecę EEG.

Podszedłem do biurka, popatrzyłem na kartę Elle i nabazgrałem skierowanie. Rozejrzałem się wokół, a po kilku minutach odrętwienia zdałem sobie sprawę, że w lewej ręce wciąż trzymam pamiętnik Elle.

Rano będę go mógł zamknąć w skrzynce depozytowej. Mógłbym powiedzieć o nim matce i przekonać ją, że w desperacji posunąłem się do szantażu. Boże. Opuściłem pokój i skierowałem się niespiesznie na parking. Czy moja matka wzięła udział w zabójstwie z litości?

To był akt łaski.

Znalazłem swój samochód, otworzyłem bagażnik i zobaczyłem zeschnięty rozchodnik i mrozooodporne chryzantemy. Kupiłem je w lubianej przez Elle szkółce leśnej w Yarmouth dzień przed wypadkiem. Wróciłem do domu, planując, że zrobię jej niespodziankę. Powitała mnie przy samochodzie szalonym pomysłem, że mnie uwiedzie i zrobimy sobie dziecko, nie wiedząc, że już jest w ciąży.

Zaczęliśmy się spierać. Elle chciała dziecka, a ja bałem się ją stracić. Kiedy Phil zadzwonił, żebym mu pomógł przy nagłym przypadku, dałem nogę. To była nasza ostatnia wspólna noc, a ja dałem nogę. Wróciłem do domu dopiero po północy i poszliśmy oglądać Perseidy, wszystko inne odkładając na bok. Zapomniałem o kwiatkach w bagażniku samochodu. Teraz rośliny obróciły się w proch – tak jak i moje dobre intencje.

Włożyłem pamiętnik do bagażnika, otworzyłem drzwi od strony kierowcy i wsiałem. Zamierzam szantażować własną matkę. Usiłuję utrzymać Elle przy życiu, wiedząc, że to by ją naprawdę przerażało – jak nic innego. Kim ja się, u diabła, staję? Miałem nadzieję, że ojcem.

Po jakimś czasie wróciłem do Elle. Pielęgniarka miała rację. Dwa, może trzy razy na minutę pojawiał się spontaniczny oddech. To nie wystarczy, żeby utrzymać ją przy życiu.

Powtórzyłem badanie neurologiczne. Nic po za tym się nie zmieniło. Nie było mowy o żadnym cudzie.

A może jednak stał się cud – czeka i robi fikołki.

Usiałem i przyglądałem się, jak dzięki respiratorowi pierś Elle podnosi się i opada. Odetchnęła sama. Potem respirator. Znowu respirator. I jeszcze raz. Potem ona.

Do pokoju wszedł Phil i usiał obok mnie.

– Jak było w sądzie? – spytałem.

Wzruszył ramionami.

– Powiedziałem, że nie cierpi i że pragnęła mieć dzieci.

Podniosłem na niego wzrok.

– Od czasu do czasu samodzielnie oddycha.

– Słyszałem – odparł. – Pień mózgu się nie wgłobił, ale mówiłem ci, jak wygląda reszta.

Nie ma tu szans na jakąkolwiek przyzwoitą jakość życia.

– Twoim zdaniem nie czuje żadnego bólu? – spytałem.

– Nie, Matt – odrzekł. – Nie czuje bólu.

Zamknąłem oczy i przez kilka minut siedzieliśmy w ciszy. Mechanicznie przeprowadził kolejne badanie neurologiczne, niczym nieróżniące się od tego, które ja wykonałem niewiele wcześniej. Sprawdziwszy jej odruchy, powiedział:

– Przekonaniu Elle, że jakość życia jest znacznie ważniejsza od jego długości, poświęciłem w sądzie tylko tyle uwagi, ile to było konieczne.

– W porządku.

Nie miałem już siły wdawać się znowu w dyskusję. Może to nieetyczne poświęcać życie jednej osoby dla drugiej, ale miałem gdzieś moralność. Moje serce pękało, naprawdę pękało. O czym bowiem miałyby świadczyć ta ciasnota i ten ciężar w mojej klatce piersiowej.

– Jeśli myślisz, że jestem obojętny wobec tego, co to wszystko oznacza dla Elle, dla jej godności, mylisz się – powiedziałem.

– Nie. Wcałe tak nie myślę. Uznałem tylko, że powinienem ci powiedzieć, co się wydarzyło w sądzie. Zresztą i tak musiałem wrócić do szpitala. Trzeba znowu operować małego Nguyena. Zrobiło mu się wodogłowie.

– Cholera.

– No tak. Ale jemu jestem w stanie pomóc. Żałuję, że nie mogę pomóc Elle.

None

Dzień dwudziesty czwarty

Dwa dni później, w obecności Clint, który stał, opierając się o umywalkę, zapoznawałem się z wynikami badań laboratoryjnych. Nerki Elle przestawały funkcjonować. Mogło to mieć dwie przyczyny: albo zespół antyfosfolipidowy spowodował zakrzepicę jednej z tętnic nerkowych, albo antybiotyki podawane jej na zapalenie płuc poważnie uszkodziły narząd.

Tak czy owak dla Elle nie było ratunku.

– To pewnie antybiotyk – powiedział Clint. – Zmieniłem go na inny. Z dializami możemy na razie poczekać.

Na dźwięk słowa „dializa” poczułem się tak, jakby ktoś mnie kopnął w jaja. Nawet gdyby ciało Elle było zdrowe, szanse na uratowanie dziecka były minimalne.

– Dobra wiadomość jest taka, że antybiotyk spełnia swoje zadanie. Zapalenie płuc mija – dodał.

Leczenie zastąpiło jedną formę egzekucji inną. Bałem się, że mój głos nie poradzi sobie nawet z jedną sylabą.

– Będę cię o wszystkim informować na bieżąco – powiedział Clint i wyszedł.

Pomimo wysiłków, żeby nie zasnąć, coraz częściej łapałem się na tym, że moja głowa spoczywa oparta o ścianę lub okno. W fazie REM pogrążałem się w ciemności i śniły mi się stopy pudeł spadające na puste dziecięce łóżeczko, ciało Elle w trumnie, urna z jej prochami i strzelba w moich ustach.

Zatrzymałem się na miejscu parkingowym przy Back Bay, obok samochodu mamy. Mama otworzyła swoje drzwi, zamknęła je i wsiadła do mojego taurusa.

– Tak się ucieszyłam z twojego telefonu, skarbie – powiedziała.

Zadzwoiłem do niej kilka godzin temu i zaproponowałem spotkanie, ale jeszcze nie wiedziałem, jak ją zaszantażować.

– Powiesz mi, o co chodzi?

Utkwiłem wzrok w dłoniach.

– Musiałem się wyrwać ze szpitala – wyjaśniłem; nie chciałem, żeby ktoś usłyszał naszą rozmowę.

– Ja wzięłam zwolnienie – powiedziała. – Pomyślałam, że mogłabym przyjść i trochę cię odciążyć, żebyś częściej mógł wyjść.

Poczułem tętno w uszach.

– Nie ufam ci, jeśli chodzi o Elle.

– Nigdy bym jej nie skrzywdziła. – Mama odwróciła wzrok.

– Nie zbliżysz się do niej, rozumiesz? – warknąłem.

– Jestem za nią odpowiedzialna. – Przycisnęła torebkę do piersi. – To mnie zabija, walka z tobą, próby skłonienia cię, byś stawiał czoło smutnej prawdzie. Kiedy się jest rodzicem, wszystko staje się jeszcze trudniejsze.

– Czemu nie chcesz dać mi szansy, żebym sam się przekonał?

– Och, Matt. W każdych innych okolicznościach... – Wpatrując się przed siebie, zamrugła. – Musisz być realistą.

– Blythe mówi...

– Myli się. Blythe jest cudowna, to świetna lekarka, ale niepoprawna optymistka. I nieważne, czego twoim zdaniem chciałaby Elle; prawda jest taka, że potwornie bała się skończyć jak Alice.

– To nie to samo. Elle nie cierpi.

– Może i nie, ale nie chciała tak żyć. Kocham Elle, jakby była moim dzieckiem. Naprawdę. Nie bardziej niż ciebie, ale jest mi bliska jak córka. Wątpię, byś to pamiętał, ale kiedy Elle była malutka, Alice spędziła parę tygodni w szpitalu.

– Wiem, kochasz ją. Zawsze ją kochałaś. Opiekowałaś się nią, gdy była dzieckiem. Ale to nie ma znaczenia. Prawda jest taka, że Elle to moja żona. A to jest moje dziecko. – Zastanawiałem się, jak dopuścić się szantażu wobec własnej matki. To granica, której nigdy nie spodziewałem się przekroczyć. – Mam pamiętnik Elle. Z wpisem z dnia śmierci Alice.

Mama zmieniła pozycję i przechyliła głowę.

To z pewnością trudna lektura.

– Zabiłaś Alice.

Krew odpłynęła jej z twarzy.

– Użyłaś oksykodonu, który mi przepisano, kiedy poprzedniego lata złamałem nogę, i podałaś go Alice przez sondę. To mną jakoś szczególnie nie wstrząsnęło, ale spójrzmy prawdzie w oczy, mamu; zabiłaś ją i zostawiłaś Elle samą z konającą matką.

Mama pokręciła głową.

– Nie rozumiesz.

– Wszystko rozumiem. Jeśli nie wycofasz wniosku o odłączenie Elle od aparatury podtrzymującej życie, pójdę z tym na policję.

– Nie zrobiłbyś tego. Nie zabiłam Alice. Ja...

– Położyłaś kres jej mękom? Dobra, kupuję to. Nie wiem tylko, czy policja też.

Mama jękała się przez chwilę, po czym znalazła słowa.

– Nie zrobiłam tego. Ale może powinnam była. Nie może. Powinnam była to zrobić, ale pokruszyłam tylko tabletkę i dodałam ją do pożywienia Alice. Jedną. Pokazałam Elle, jak to robić. Było osiem tabletek. Powiedziałam, że może podawać Alice jedną co sześć godzin, zależnie od potrzeby – kiedy pielęgniarka pójdzie do łazienki albo wyjdzie na papierosa.

– Chcesz powiedzieć, że to Elle podała jej za dużą dawkę?

– Nie wiem. Może po prostu nadszedł już czas. Elle powiedziała, że to przez nią Alice umarła. Nigdy nie miałam odwagi spytać, co się stało z pozostałymi siedmioma tabletkami.

– Nie wierzę, żeby Elle to zrobiła. A w pamiętniku jest napisane, że to ty podałaś Alice oksykodon. Nie Elle.

Mama znowu utkwiała wzrok w dłoniach.

– Nie wiem. Tamtej nocy Alice przestała oddychać. Może to był zbieg okoliczności. Może to od tej jednej tabletki. Może po prostu nadszedł jej czas. Bóg wie, że to była najwyższa pora.

Pomasowałem skronie, nie chcąc uwierzyć, że Elle lub moja matka świadomie zabiły Alice. Chciały tylko uwolnić ją od cierpienia. Dzisiaj tak robią wszystkie hospicja: uwalniają pacjentów od cierpienia.

– Musisz przyjąć do wiadomości, że Elle nie chciała żyć jak jej matka.

– Nie, nie chciała. Ale Elle nie cierpi. Nie czuje bólu. W ogóle nic nie czuje, a nawet gdyby czuła, zrobiłaby wszystko dla swojego dziecka. Ja też zrobię dla niego wszystko.

Mama pokręciła głową.

– Cięża jest jeszcze bardzo wczesna. To prawie niemożliwe, żeby Elle żyła tak długo, by wydać na świat żywe dziecko. Zwłaszcza przy jej historii poronień. Nawet kiedy była w ciąży z Dylanem, zaczęła rodzić przed terminem. Uczyniła mnie swoją pełnomocniczką w kwestiach medycznych, a potem uczyniła nim Adama. Ciebie nigdy o to nie poprosiła, prawda?

Teraz to ja musiałem pokręcić głową.

Mama przykryła moją dłoń swoją.

– Wiem, co powiedziałam w sądzie, ale w głębi duszy Elle zapewne wiedziała, że nie byłbyś w stanie jej odłączyć. Matthew, jeśli ją kochasz, a wiem, że tak jest, pozwól jej odejść. W jednej kwestii matka miała rację. Nigdy nie potrafiłem zrezygnować z Elle.

None

Pięć lat przed wypadkiem Elle

Kiedy mama położyła przede mną bochenek jeszcze ciepłego chleba kukurydzianego, poczułem, że warto było jechać dziewięć godzin i stać w korkach. Opadła na krzesło u szczytu stołu.

– Jak tam Carol? Zdziwiłam się, że przyjechałeś sam.

– W ten weekend pracuje. – Co oznaczało, że ma dyżur trzy dni pod rząd. Zacząłem pochłaniać posmarowany masłem kawałek nieba. Z pełnymi ustami wymamrotałem: – Przy naszych grafikach ciężko nam tu razem przyjeżdżać.

Mama zacisnęła usta i spodziewałem się kolejnej kąśliwej uwagi na temat miejskiej dziewczyny, jak nazywała Carol. Zmieniła jednak temat.

– Elle wpadła na krótko, ale już pojechała.

Podniosłem gwałtownie głowę.

– Nie widziałem jej całe wieki. – Ani nie rozmawiałem z nią, od chwili, kiedy powiedziałem jej o zaręczynach z Carol – chociaż próbowałem. Napisałem kilka mejli, zostawiłem kilka wiadomości na sekretarce. – Elle jest ostatnio trochę nieobecna, zajęta przygotowaniami do misji.

Mama skrzywiła się, mieszając kakao.

– Jestem z niej bardzo dumna, ale po katastrofie Columbii myśl o tym, że wejdzie na pokład tego wahadłowca, wprost mnie przeraża. – Mama zmusiła się do uśmiechu. – Pojechała dziś do Acadii. Szkoda, że się z nią minąłeś.

Wzruszyłem ramionami, jakby to nie miało znaczenia, podczas gdy w głębi duszy obliczałem prawdopodobieństwo, że uda mi się znaleźć Elle, jeśli odbędę trzygodzinną podróż do parku narodowego. W czasie mojej ostatniej wizyty praktycznie nie było tam zasięgu komórkowego, więc uznałem, że szanse są nikłe.

– Tęskni za domem – powiedziała mama. – Zamierza wrócić tu za kilka lat.

– Serio?

Nie mówiła mi o tym i podejrzewałem, że ta przeprowadzka to raczej kwestia interpretacji mamy. Mama może spytała, czy nie chciałabyś sprowadzić się z powrotem do domu, na co Elle zapewne odparła: „Oczywiście, że bym chciała”.

Wszyscy chcemy rzeczy, których nie możemy mieć.

– Niestety – dodała mama – Adam kocha NASA.

No tak. Adam. Upierdliwy jak zwykle.

– Gdybym mógł namówić Carol na przeprowadzkę do Maine, wróciłbym tu.

Mama przez chwilę jakby ważyła słowa, po czym odpowiedziała.

– Miło by było mieć was tak blisko, żebyście mogli wpadać w niedziele na obiady.

Carol i moja matka w jednym mieście, wymieniające się przepisami. To by dopiero było.

Przyszedł czas na zmianę tematu.

– Chcesz usłyszeć coś zabawnego? Poznałem pewnego gościa, Phila Greya. W tym miesiącu kończy specjalizację neurochirurgiczną. Pochodzi z Brooklynu. Wiesz, pyszni się jak rasowy nowojorczyk. Jest fanem Jankesów. – Pokręciłem głową na myśl, że ja, zagorzały fan Soxów, zaprzyjaźniłem się z fanem New York Yankees. – Ale lekarz z niego genialny, świetny chirurg.

– Wspominałeś o nim.

– Usłyszał, jak mówię, że uwielbiam Maine, więc w zeszłym roku postanowili przyjechać tu z żoną na wakacje. Po trzech godzinach zdecydowali, że to tutaj powinni osiąść. Dostał ofertę

pracy w zespole neurochirurgicznym – Welsha i Sandersa. Phil przeprowadza się do Maine, a ja spędzę resztę życia w Nowym Jorku. Co za ironia.

– A więc to on zajmie miejsce Sandersa?

– Nie. Wydaje mi się, że ma zastąpić Welsha. Welsh idzie na emeryturę. Sanders jest dopiero po pięćdziesiątce; rozmawiałem z nim kiedyś, jeszcze nim zacząłem rezydenturę na neurochirurgii.

– Tak, ale Sanders ma raka. Jest w kiepskim stanie. Dowiedziałam się pocztą pantoflową, że ma bardzo złe rokowanie. Jeśli Welsh chce odejść na emeryturę, twój kolega może potrzebować wspólnika. Uśmiechnij się do Phila. Może moglibyście we dwóch założyć własną praktykę.

Podrapałem się po głowie. Było mi przykro z powodu Sandersa. Kiedy jeszcze studiowałem, pozwolił mi łączyć za sobą przez parę dni. Fajny gość.

Przez chwilę wyobrażałem sobie, że udało mi się przekonać Carol, byśmy zamieszkali w Portland, ale to była tylko fantazja. Coś takiego nie wchodziło w grę. Kupiła już piękne mieszkanie na Upper East Side. Nie dość tego – wybrała przedszkole dla naszych przyszłych dzieci.

Zaniedbany, starzejący się wiktoriański dom, którego szalunek oblaźił z farby, odbijał światło słoneczne, a jego dumna stateczność niosła mi ukojenie. Nazywaliśmy to miejsce gospodarstwem. Wyglądało na to, że ktoś niedawno zrobił porządków w ogródku. Elle przy każdej wizycie zajmowała się głównie nim. Czasem, kiedy nie mogła przyjechać z Teksasu, porastał dziką trawą i dmuchawcami. Mama trochę go pielęła. Czasem i ja spędzałem parę godzin na wrywaniu chwastów. Ale to był dom Elle, dom Celiny.

Większość roślin była wieloletnia. Przy okazji tej wizyty Elle musiała spędzić dużo czasu, dosadzając do nich rośliny jednoroczne. Na obrzeżach kotłowały się jaskrawo różowe niecierpki i białe petunie. Ogródek wyglądał jak wielka wata cukrowa.

Po drugiej stronie trawnika skrzypnęły drzwi.

– Mogę w czymś pomóc? – zawołała niepewnym głosem Elle.

Odwrociłem się do niej i zamachałem, a wiatraczek w mojej dłoni zakręcił się na letnim wietrze.

Owinięta w długi kardigan w kolorze mszystej zieleni pasującym jej do oczu, Elle zawahała się przez chwilę. Potem niepokój, który usłyszałem wcześniej w jej głosie, zastąpiło zdumienie.

– Matt? Co ty tu robisz?

Przemierzyła trawnik; jej krok przeszedł w galop i uścisnęliśmy się, nie jak kochankowie, ale jak przyjaciele, którymi się z czasem staliśmy.

– Mama mówiła, że pojechałaś do Bar Harbor.

– Zamierzałam jechać, ale... nie mów jej, proszę – powiedziałam, że wyjeżdżam wcześniej, niż naprawdę planowałam. Chciałam spędzić ostatnią noc, oglądając gwiazdy – w samotności.

Policzki i nos Elle lśniły lekką opalenizną. Przesłoniła oczy, chroniąc je przed słońcem, które przedarło się przez drzewa i opromieniło jej twarz.

– Nie wiedziałam, że przyjeżdżasz.

– Nie miałem tego w planach. Ale zapragnąłem zobaczyć ocean: Carol zaproponowała Long Island. Ja chciałem Maine.

– Jest tutaj? – Wzrok Elle przeniósł się na podjazd i mój samochód. – Bardzo chciałabym ją poznać.

– W ten weekend ma dyżur. Jutro muszę wracać.

– Och, szkoda. – Pociągnęła mnie za rękaw. – Wejdz. Zrobię ci kawę.

Trzymałem Celinę w ramionach raptem kilka minut, a mimo to od tamtego czasu stale nosiłem ją w sercu. Przystanąłem, przyjrzałem się otoczonemu kamieniami skrawkowi mchu i wbiłem w niego wiatraczek. Elle przyglądała się temu w pełnym napięcia milczeniu. Wzruszyłem ramionami i żadne z nas nie skomentowało mojego podarunku.

Nigdy nie otrząsnąłem się do końca z tego, co Elle powiedziała o imieniu Celiny, że to jedyne, co jej kiedykolwiek dany. Tamtego dnia, kiedy ją pochowaliśmy, czułem się zobowiązany zostawić coś na pamiątkę; w kieszeni miałem tylko paczkę gumy do żucia Bazooka. Wsunąłem ją pod urnę. To było głupie, wiem, wręcz dziecinne. Byłem dzieckiem. Oboje byliśmy dziećmi. Ale od tamtego czasu zawsze coś zostawiałem, ozdóbkę, szklaną kulkę, dzwoneczek wietrzny, wstążkę. Minęło prawie piętnaście lat, a jedyną prawdziwą rzeczą, jaką jej daliśmy, było imię, a nawet to było wyryte jedynie w naszej pamięci.

Elle bez słowa pochyliła się i dmuchnęła w zabawkę, wprawiając w ruch jej skrzydła, a potem położyła na chwilę dłoń na mchu.

– Bardzo tu różowo – powiedziałem, siląc się na uśmiech.

Przekrzywiła głowę na bok.

– Masz coś przeciwko różowym ogródkom?

– Chyba nie.

Elle pokręciła głową.

– Nie uwierzysz. Christopher przyjechał tu z żoną. Myślał, że wyświadcza mi przysługę, wykopał wszystko poza bzem i przeniósł ogródek bliżej domu. Powiedział, że dzięki temu łatwiej będzie kosić trawnik. Musiałam przesadzić wszystko z powrotem.

– Cholera. Znalazł urnę? – spytałem.

– Nie. Mech był nienaruszony. Dzięki Bogu. Trudno byłoby wytłumaczyć mu to po tych wszystkich latach.

W jasnym słońcu odczytałem język jej ciała. To nie zażenowanie ani wstyd powstrzymały ją przed wyznaniem rodzinie prawdy. Wciąż czuła, że Celina umarła przez nią, a ja chciałem ją przekonać, że nie powinna się obwiniać. Ja jej nie winiłem.

– Powiedziałaś Adamowi o Celinie?

– Nie. Nie zrozumiałby tego. Ona nie należała do niego. – Elle spuściła wzrok. – Ale dość już tego tematu. Powiedz, jakie masz plany na dzisiaj.

Po chwili, zebrawszy siły, weszliśmy do środka. W kuchni niewiele się zmieniło. Wciąż stała tu zaokrąglona lodówka z lat pięćdziesiątych, niezniszczalna jak pokolenie, które ją stworzyło.

– Świetnie wyglądasz – powiedziałem.

Zmierzyła włosy i odgarnęła je z twarzy.

– Gdybym wiedziała, że się z kimś spotkam, doprowadziłabym się do porządku.

– Wyglądasz świetnie – powtórzyłem.

Oparła się o stary blat i przyjrzała mi się uważnie.

– Ty też. – Podbiegła do mrugającej automatycznej sekretarki, podniosła słuchawkę i wysłuchiwała wiadomości.

– Coś nie tak? – spytałem.

– Wciąż mijam się z Adamem. Nie rozmawialiśmy od paru dni.

– Ja rozmawiałem z nim w czwartek wieczór.

– Tak?

– Dzwoniłem do ciebie.

– Rozmawiał normalnie?



– Był trochę rozkojarzony, ale to nic nowego. Nie powiedział nawet, że jesteś w Maine. Co się dzieje?

Wzruszyła ramionami.

– Nagle pojawiła się możliwość wzięcia kilku dni wolnego. Zostawiłam mu kartkę, że jadę do domu, bo to ostatnia okazja przed misją. Myślę, że może być zły, ale trudno powiedzieć. Ostatnio jest tak pochłonięty kwestiami bezpieczeństwa na orbitowcu, że prawie się nie widzimy. Mieszkamy razem, a wpadamy na siebie tylko w nocy.

To mogło oznaczać różne rzeczy. Choć nie znośmę myśleć o tym, jak są razem, nie zmieniało to faktu, że dzielą mieszkanie. Nic nie powiedziałem. Uważałem ją za moją najlepszą przyjaciółkę. Często mówiłem jej rzeczy, których nie mówiłem Carol, na przykład że mam wątpliwości co do neurochirurgii, że często żałuję, iż nie zostałem przy chirurgii ogólnej, że bardzo tęsknię za domem. Ale nasze związki były tematem tabu.

Poszliśmy z kawą do altany, usiedliśmy w wiklinowych fotelach bujanych i obserwowaliśmy przyływ na rzece. Rozmawialiśmy o jej ojcu, bracie, o Nowym Jorku i o Houston. Śmiałyśmy się tak jak dawniej i czułem się z nią tak swobodnie jak z nikim innym od dawna. Nie było między nami udawania, tylko wzajemna akceptacja.

– Nie jesteś już genialnym dzieckiem. Teraz jesteś mądrą – powiedziałem, śmiejąc się. – Czy to, że w przyszłym miesiącu kończysz trzydzieści lat, przeraża cię?

– Nie, wręcz przeciwnie. Wreszcie czuję się... normalna. Nie odstaję od reszty.

Zaburczało mi w brzuchu tak głośno, że Elle usłyszała.

– Głodny? – spytała.

– Pora lunchu.

Władowaliśmy się do samochodu; początkowo zamierzaliśmy pojechać gdzieś na kanapki z homarem. Kiedy uruchomiłem silnik, rozległ się pisk.

– Musisz naciągnąć paski – powiedziała.

Zerknąłem na swój pasek.

– Pod maską. Samochodu – wyjaśniła. – Jak mogłeś wychować się z Mikiem i nie posiadać nawet podstawowej wiedzy o silnikach?

Do pewnego stopnia miała rację. Mój brat kochał samochody tak bardzo, jak ja starałem się ich unikać.

– Trzymałem się z tobą – powiedziałem, kiedy wyjeżdżaliśmy na drogę.

– O nie, to nie jest żadne wytłumaczenie. Obserwowałam Mike'a zawsze, gdy coś naprawiał. Znam podstawy mechaniki samochodowej.

– Znasz się na mechanice kwantowej.

– To niezupełnie to samo – uśmiechnęła się szeroko.

– Tak, wiem, Einsteinie. – Próbowałem odwrócić uwagę od faktu, że jedyne, co umiałem zrobić z samochodem, to napełnić jego bak paliwem. – A ja naprawiam mózgi.

– Tak, tak. Wielki pan neurochirurg. Ale warto wiedzieć, jak się zmienia oponę. Ja uważałam i ta wiedza bardzo mi się teraz przydaje. Trzeba wiedzieć, co robić, kiedy odpadnie kawałek wahadłowca. Cholerne osłony termiczne.

– Znałaś część załogi Columbii, prawda?

– Tak. – Utkwiła wzrok w oknie pasażera.

– Szkolą was, jak naprawiać osłonę, jeśli znowu się poluzuje?

Odwróciła wzrok od okna i spojrzała na mnie.

– Przygotowują nas na każdą „ewentualność”. Mam wrażenie, że to ich ulubione słowo. Nie martw się. Czasem zachowujesz się jak baba. Śmierć w czasie misji jest przynajmniej szybka.

– To pocieszające. – Nie zamierzałem ukrywać sarkazmu.  
– Słuchaj, nie chcę się dziś martwić o to, co się tam wydarzy. Mam na to jeszcze dziesięć miesięcy. Dzień po dniu. Jak wykonać ten manewr, jak wykonać tamten.

– Nie powiedziałaś, jak poszedł lot paraboliczny – rzuciłem, próbując rozładować napięcie.

– Puściłbyś pawia.

– Skąd ta pewność?

– Pamiętasz kolejkę górską w Funtown? Kiedy z niej wysiedliśmy, byłeś bardziej zielony niż Hulk.

– Nieprawda – zaprzeczyłem, żeby ratować moje męskie ego.

– Ależ tak. Jak jaszczurka.

– Nieprawda – zaprzeczyłem, żeby ratować twarz.

– Jak trawnik na polu golfowym.

– Nieprawda – zaprzeczyłem, bo się rozkręciła.

– Chcesz pojechać teraz do Funtown, wsiąść do kolejki i zrehabilitować się?

Nie chciałem, ale zrobiliśmy to. Pojechaliśmy drogą numer 1 do Saco. Funtown było miniaturową wersją Great Adventure, ale mieli tam kolejkę górską – starą, drewnianą, dla purystów.

Po czterdziestu minutach, zapłaciwszy za wejście, Elle zacierała ręce jak czarny charakter w niemym filmie.

– Wybierz mądrze, moja ofiarno. To może być twoja ostatnia przejażdżka.

Wskazałem na Excalibur, drewnianą kolejkę górską. Musiałem się przecież, jak to ujęła Elle, zrehabilitować.

Elle szła tyłem tanecznym krokiem, wabiąc mnie palcem i uśmiechem szerokim jak rozstaw szyn. Terkotanie wagonów mogłoby wyprowadzić z równowagi samego Rambo, ale kiedy dotarliśmy do kolejki czekających, Elle powiedziała:

– Nie musisz mi niczego udowadniać.

– Zdaje się, że panna szuka ratunku z opresji, sugerując, iż ten młody giermek chce stchórzyć.

– Ha! – Skrzyżowała ramiona.

– Nic w tym złego. – Pomasowałem jej kark. – Jeśli chcesz się poddać i przyznać, że kolejki górskie mnie nie przerażają, nie będę cię zmuszał do przejażdżki – powiedziałem, siłąc się na brawurę, w nadziei że Elle nie zdepcze mojego ego.

– Ta. Jeszcze czego.

Po dziesięciu minutach wsiedliśmy do pierwszego wagonu. Zacząłem się pocić, nie dlatego, że się denerwowałem, ale dlatego, iż poczułem dziwne zimno – jakby moje ciało reagowało na palące słońce wbrew naturze.

– Serio, Matt. Nie musimy tego robić – powiedziała Elle z błyskiem w oku. – Jesteś, ee, zielony.

– Nie bądź śmieszna.

Łańcuch szczęknął i zaczął nas ciągnąć pod górę. Miałem umrzeć za moją dumę. Elle siedziała obok i wzięła mnie za rękę. Dotarliśmy na szczyt i Elle zawołała:

– Juhuu!

– Hura! – odpowiedziałem. Na pewno nie zauważyła, że głos łamał mi się jak nastolatкови. Gdybym miał dość rozumu, żeby wybrać stalową kolejkę, może nie byłoby tak źle, ale kiedy braliśmy zakręty i pędziliśmy w górę i w dół po trzeszczącej konstrukcji – przysięgam, że wszędzie widziałem spróchniałe drewno – musiałem całą siłą powstrzymać gardłowy krzyk

śmierci.

Kiedy zatrzymaliśmy się i człowiek z obsługi otworzył nasze drzwiczki, Elle puściła moją rękę. Wstała z wdziękiem i uśmiechnęła się przez ramię.

– Najmocniej cię przepraszam. Rzeczywiście, nie jesteś ani trochę zielony.

– To czemu nogi odmawiają mi posłuszeństwa?

Uśmiechnęła się promiennie.

– Ależ, doktorze Beaulieu, zapewne doznał pan urazu rdzenia kręgowego. Tak się składa, że znam pewnego genialnego młodego neurochirurga. Chciałby pan jego numer?

– Bardzo śmieszne – powiedziałem, stając na chwiejnych nogach, które przypominały niezależne od reszty ciała szczudła.

Szliśmy wzdłuż Pine Point po miękkim białym piasku szerokiej plaży; z podwiniętymi wysoko nogawkami badaliśmy bosymi stopami płaski rąbek lodowatych fal. Śmialiśmy się, żartowaliśmy i żaliliśmy się, jak nasze życie zawodowe komplikuje sprawy osobiste.

Gdy przeszliśmy około półtora kilometra, Elle opadła na piasek i usiadła po turecku.

– Nie byłam tu od lat, od tamtego dnia.

– Którego dnia?

Na jej twarzy pojawił się smutek.

– Kiedy dowiedzieliśmy się, że jestem w ciąży.

Usiadłem obok niej, rozglądając się po plaży i wspominając.

Nabrała garść piasku, który przesypywał jej się przez palce niczym w klepsydrze, gdy ona przyglądała mi się uważnie.

– Tęsknię za domem.

– Mama mi mówiła, ale myślałem, że to tylko jej pobożne życzenie.

– Nie. Naprawdę tęsknię. Myśl o czekającym na mnie domu dziadka jest dość kusząca, gdy w Houston są czterdzieści trzy stopnie i wilgotność sto procent. – Znowu nabrała piasku i przepuściła go przez lekko zaciśniętą pięść. – Mogę na chwilę zmienić temat na bardziej ponury?

– Tak.

– Spisałam testament, na wypadek gdyby w czasie misji coś poszło nie tak – powiedziała.

– Nie umrzesz.

– To mało prawdopodobne, ale ryzyko istnieje, i wszyscy wiemy, że to nieunikniony element naszej pracy. Nie chcę się nad tym rozwodzić, ale jest coś jeszcze, czego nie chciałam umieszczać w testamencie – na wypadek gdyby tata go przeczytał. Nie wie o Celinie. Gdyby coś się stało, zadbasz o to, żeby jej prochy zostały pogrzebane z tym, co ze mnie zostanie?

Usta mi się otworzyły, a gdy próbowałem odzyskać panowanie nad sobą, Elle ciągnęła dalej:

– Dom dostanie Christopher, a ani on, ani ojciec nie zrozumieliby, gdyby znaleźli przypadkiem urnę.

Zrobiło mi się niedobrze, ale wymamrotałem:

– Jezu.

– Nie musiałbyś mówić Carol. Ty i twoja mama moglibyście to załatwić po cichu.

– Czemu moja matka?

– Uczyniłam ją wykonawczynią testamentu.

– Nie Adama?

– Nie. – Zamilkła na chwilę. – Nie. Uznałam, że potrzebuję wykonawcy, który wie o dziecku, a nie chciałabym robić nikomu pośmiertnych niespodzianek. Zdaję sobie sprawę, że to trochę neurotyczne, a nawet ckiwe, ale muszę być pochowana z nią.

– Przestań mówić tak, jakbyś miała umrzeć.

Wstałem i pomaszerowałem w kierunku wody, a mój umysł odtwarzał materiał filmowy z wybuchu, zmiany położenia i upadku Challengera do oceanu.

Po paru minutach podeszła do mnie i wzięła mnie za rękę.

– Obiecay tylko, że się nią zajmiesz.

Elle zachowywała się tak, jakby chodziło o podział opieki nad dzieckiem. Przez te wszystkie lata prawie w ogóle nie rozmawialiśmy o Celinie, a teraz to.

– W zamian proszę tylko o jedno – powiedziałem.

– Zrobię wszystko – skinęła.

– Nie umieraj.

Wzięła mnie pod rękę.

– Jeśli dotrzymam słowa, ty nie będziesz musiał dotrzymywać swojego. Ale jakoś to przeżyję.

– Elle, mówię poważnie. Nie leć.

– Muszę. Chcę. Jestem tak szczęśliwa, że z trudem to znoszę. I zamierzam wrócić – żywa. Jeśli jednak coś pójdzie nie tak... – Na ułamek sekundy Elle złożyła czoło na mojej piersi. – Celina była dla mnie prawdziwą osobą; nie chcę jej zostawić w nieoznaczonym grobie. Poprosiłam twoją mamę, ale zbyła mnie, jakby mówienie o Celinie po tylu latach było emocjonalną zachcianką. Może zresztą tak jest. Ale potrzebuję tego. Zrobisz to dla mnie?

Przełknąłem kwas w gardle.

– Oczywiście.

– Dziękuję – odetchnęła. – Możemy się już rozchmurzyć. Teraz jestem gotowa, a jeśli jesteśmy gotowi, złe duchy nie ważą się nas tknąć. – Puściła moje ramię. – No to ścigamy się z powrotem do samochodu. – Rzuciła się biegiem po plaży.

Patrzyłem na nią przez parę sekund, czekając, aż moja dusza za nią nadaży. Nie mogłem jej zatrzymać, ale mogłem spróbować pójść za jej przykładem.

– Hej, Pip, to nie fair!

Nie mieliśmy się całować na dobranoc, ale pocałowaliśmy się. Jest coś w pierwszej miłości. Jest coś w miłości do kobiety, co nigdy nie przemija. Jest coś w nocnym niebie i w spadających gwiazdach, i w tym, jak Elle promieniała zawsze, gdy na nie patrzyła.

Czy to się zaczęło od cmoknięcia w policzek, niewinnego, niedbałego, lekkiego? Możliwe. Nie wiem, czy to ona mnie pocałowała, czy też ja pocałowałem ją, ale stało się to nad rzeką, w świetle gwiazd jaśniejących od milionów wieków. Zanim zdałem sobie sprawę, co robię, pragnienie owładnęło mną całkowicie. Chciałem wejść w jej skórę. Chciałem wziąć ją na taras i kochać się z nią, tak jak za pierwszym razem.

Chciałem, żeby te piętnaście beznadziejnych samotnych lat między tą chwilą a tamtą zniknęło jak deszcz znika w piasku na plaży. Chciałem, żebyśmy odtąd byli tam, gdzie nasze miejsce. Razem.

Ochryplym głosem wypowiedziała moje imię.

– Matt.

Całowałem jej szyję, obciągałem rękaw jej T-shirta, próbując znaleźć się jak najbliżej.

– Matt, zaczekaj.

Te kilka centymetrów, o które się cofnęła, były niczym policzek przywołujący mnie brutalnie do rzeczywistości; ja jestem zaręczony z Carol, a Elle mieszka z Adamem.

– O cholera – powiedziałem.

– Właśnie, o cholera – wyszeptała. – Co my robimy?

Kochaliśmy się tak, jak powinniśmy.

– Daj mi chwilę, a znajdę jakąś dobrą odpowiedź, może taką, co unieważni wszystkie powody, dla których nie powinniśmy tego robić – odparłem.

– Proszę, znajdź jakąś bardzo dobrą odpowiedź, która uciszy moje nieczyste sumienie – powiedziała. – Boże, Matt, przecież ty jesteś zaręczony! A ja jestem z Adamem.

– Adam to dupek – odrzekłem. – Ale tak, Carol. – Ona na to nie zasługiwała.

– Myślałam, że go lubisz – powiedziała Elle.

– Mniej więcej tak jak Hitlera. Żartujesz sobie? Nie znoszę go.

Zacząłem chodzić w kółko, co nie było łatwe na nierównym zboczu. Trudno było złapać właściwy rytm. Potrzebowałem paru minut. Cholera. Carol jest w Nowym Jorku. Carol, która pewnie większość wczorajszej nocy i cały dzisiejszy dzień spędziła, pomagając chorym dzieciom. A ja jestem tutaj i próbuję zaciągnąć Elle do łóżka, próbuję usprawiedliwić swoje zachowanie. Elle poprosiła, żebym dał jej dobry powód? Może taki, że wciąż ją kocham? Boże, wciąż ją kocham.

– A ja przez cały ten czas myślałam, że to tylko Adam nienawidzi ciebie – powiedziała.

– Nienawidzi mnie?

– O, tak – potwierdziła. – Nienawidzi.

– Bo nie chce, żebyś miała przyjaciół.

Czemu powiedziałem „przyjaciół”? Adam jest po prostu zazdrosny. Chce ją kontrolować. Byłem pierwszym kochankiem Elle i to zapewne cholernie gryzie tego olbrzyma z Południa.

Elle prychnęła za śmiechem.

– Nieprawda. Mamy przyjaciół. – Westchnęła. – Po prostu jest wobec mnie bardzo opiekuńczy.

– Opiekuńczy? Czemu? Przecież nigdy bym cię nie zranił.

Pokręciła lekko głową.

– Oczywiście, że nie, ale raz to zrobiłeś – zraniłeś mnie. Złamałeś mi serce. Ja o tym zapomniałam, ale on nie.

Nie spodziewałem się takiej konkluzji. Z bólem uzmysłowiłem sobie własną winę oraz to, że ona nigdy mi do końca nie wybaczy. Stałem tam oniemiały. W chwili, gdy się pocałowaliśmy, uwierzyłem, że możemy przedrzeć się przez gruzy, które nas rozdzieliły.

– Nie zapomniałaś.

– Właściwie zapomniałam. Ale on wie, że coś nas łączyło i że przez długi czas byłam pełna goryczy. I wini cię za to, że nie umiem się zaangażować.

– Ma rację?

– Nie wiem, jak odpowiedzieć na to pytanie. – Zwilżyła wargi. – Matt... on nie rozumie symbiozy, która nas łączy, tej swobody między nami, tego, jak mnie rozśmieszasz. – Zaciśnęła powieki, a jej głos stał się tak cichy, że musiałem się nachylić, by ją usłyszeć. Wyczułem, że tylko częściowo mówi do mnie, że uświadamia sobie coś, odważa się, może po raz pierwszy, wypowiedzieć te słowa na głos. – Nie rozumie, że nie musi mnie już chronić. Jestem dużą dziewczynką. Wiem, czego chcę.

– Czego chcesz? – spytałem z nadzieją, że powie: „ciebie”. Czepiałem się nadziei, że rozgrzeszy mnie, nawet jeśli raz ją zraniłem. Tak dawno temu. Chciałem ją znowu pocałować, przekonać ją, że należymy do siebie, ale zrobiła krok w tył.

– Nie możemy – powiedziała. – To... pożądanie. Obok przyjaźni jest też między nami potężna dawka pożądania, nieprawdaż? Boże. Może lepiej, żebyś sobie poszedł. Nie chcę tego, ale... ja nie nienawidzę Adama. A ty nie nienawidzisz Carol. To byłby błąd.

– Elle...

– To tylko... – zawahała się – ...pożądanie. Przecież nie poprosiłbyś jej o rękę, gdybyś jej

nie kochał.

Stałem tam z otwartymi ustami. Kochałem Carol. A mimo to chciałem powiedzieć, że jest miłość i taka miłość, jaką czuję do Elle. Chciałem powiedzieć, że moje uczucia do niej mnie trawią. Chciałem powiedzieć, że nie do końca poprosiłem Carol o rękę. Ale jakoś jednak poprosiłem. Albo ona poprosiła. Albo po prostu podjęliśmy tę decyzję wspólnie. Ale nie mogłem powiedzieć niczego takiego, bo Elle podała też inne argumenty. Słuszne argumenty.

– Idź do domu – powiedziała. – Nie możemy tego zrobić. Nie zdradzę Adama. To okropny sposób na rozstanie. Potworny zawód. Kiedy ty mnie zdradziłeś... och... – Zamilkła, a ja wiedziałem, że myśli o tym, jak zakończył się nasz związek. – Nie chciałam wracać do tego tematu.

– To były otrzęsiny, Pip. Byłem kompletnie pijany. Nie chciałem tego zrobić. Nigdy nie chciałem cię zranić ani rozstać się z tobą. Kochałem cię. Wciąż cię kocham. Jesteś moją najlepszą przyjaciółką. Elle, nie chciałem zakończyć naszego związku. Nasze rozstanie było błędem.

– Wiem, że nie zrobiłeś tego celowo. Ale to też byłby błąd. I nie możemy go popełnić. Proszę. Powinieneś już pójść. Zanim powiesz albo zrobisz coś, czego będziesz żałował. Bo w tej chwili, jeśli zaczniesz tłumaczyć sobie to, czego omal nie zrobiliśmy, co wciąż chcemy zrobić, będzie to zdrada. Idź więc do domu. Nie dlatego, że chcę, byś odszedł. Ale dlatego, że jesteś uczciwym człowiekiem.

To nie moja uczciwość sprawiła, że tamtej nocy poszedłem sobie – niezależnie od tego, co myślała Elle. Kierowało mną pragnienie zachowania jej szacunku, wiary i zaufania.

Przez następny miesiąc słyszałem głos Elle tylko z nagrania na sekretarce, ale pisała do mnie mejle. Szkolenie załogi Atlantis zaczęło się na dobre i spędzali całe godziny w obiekcie do trenowania spacerów kosmicznych, pracując na pełnowymiarowym symulatorze Hubble'a. Nie poddawałem się. Zadzwoiłem na komórkę i nagrałem kolejną wiadomość, a potem wybrałem jej numer domowy, spodziewając się zwyczajowego „Zostaw wiadomość po sygnale”.

Zamiast tego Adam burknął:

– Elle? Nie ma jej tutaj.

Nie chodziło o jego słowa, ale o ton. Wydawał się wkurzony i zacząłem się zastanawiać, czy nie powiedziała mu, co między nami omal nie zaszło.

– Przekaż jej, że dzwoniłem – powiedziałem.

– Sam jej przekaz. Ma komórkę – odparł, po czym rozłączył się.

To mi się nie podobało, brzmiało tak, jakby był zdolny jej przyłożyć, gdyby odważyła się wejść do pokoju.

– No dobra.

Zadzwoiłem więc znowu na komórkę.

– Tu McClure – tym razem odebrała.

– No proszę, żyjesz. Zaczynałem wątpić. Co słychać? Jesteś jeszcze w pracy?

– Nie, już w domu.

– To dlaczego Adam nie dał ci słuchawki?

Nastąpiła długa cisza.

– Rozmawiałeś z nim? Słuchaj, mam nowy numer domowy. Możesz sobie zapisać?

– Jak to? Macie oddzielne linie?

– Zupełnie oddzielne. Zaczekasz chwilę?

– Tak. – Mój wzrok biegał po lofcie, podczas gdy próbowałem zrozumieć, co jest grane.

W tle usłyszałem, jak Elle mówi do kogoś, a potem gdzieś zamknęły się drzwi.

– Przepraszam – powiedziała Elle. – Mam nowe mieszkanie i działa tu wyjątkowo

aktywny komitet powitalny. Co chwila ktoś wpada. Zamierzałam do ciebie zadzwonić i podać ci mój nowy adres.

Przez chwilę nie wiedziałem, co powiedzieć. Porzuciła go? Rozstali się. Po tym, jak się omal nie... Co ona powiedziała? Zdrada to okropny sposób na rozstanie.

– Co się stało?

– Wybawiłam Adama z opresji. Wygląda na to, że nie potrafię się zaangażować. On uważa, że powinnam pójść do psychiatry, a ja uważam, że on zasługuje na kogoś, kto będzie go kochał za to, kim jest. Krótko mówiąc, wyprowadziłam się.

Przejechałam włosy palcami.

– Elle...

– Nawet nie zaczynaj, Matthew. To nie miało nic wspólnego z tobą. Koniec, kropka.

Skąd, u diabła, wiedziała, o co chciałem spytać.

– Jesteś pewna?

Westchnęła, a kiedy w końcu przemówiła, jej ton był łagodny, niemal pocieszający.

– Wiedziałam już wcześniej, że nie układa nam się z Adamem. Było mi trudno to zakończyć. Potem pocałowaliśmy się. Gospodarstwo dziadka, ty i ja, słodkie wspomnienia sprzed wielu, wielu lat. Ale gdybyśmy się nie pocałowali, i tak bym go zostawiła – w końcu. – Próbowała się zaśmiać, ale nie brzmiało mi to ani trochę wesoło. – Tak czy owak jestem pewna, że to nie twoja wina.

Podniosłem wzrok na dźwięk klucza Carol w drzwiach.

– Wina? To brzmi tak, jakby rozstanie z nim było błędem.

– Nie – odparła Elle. – Nadszedł czas.

Drzwi wejściowe się otworzyły i Carol zawołała mnie, zanim zobaczyła, że przy uchu mam telefon.

– Carol jest w domu? – spytała Elle.

– Właśnie weszła.

Carol się uśmiechnęła i objęła mnie rękami w pasie. Boże, wspaniale pachniała. A ja nigdy nie czułem się bardziej niezręcznie. Spytała bezgłośnie:

– Z kim rozmawiasz?

– Z Elle – odpowiedziałem.

– Co? – spytała Elle.

– O, daj mi zamienić z nią kilka słów. – Carol wyjęła mi słuchawkę z ręki. – Cześć, Elle, tu Carol. – Zamilkła na chwilę. – Słuchaj, zastanawiałam się, czy mogłabyś mi wyświadczyć drobną przysługę. – Znowu przerwa. – Mam dziesięcioletnią pacjentkę, która chce zostać astronautką. Większość życia spędziła w szpitalach. Myślisz, że mogłabyś przesłać jej coś z NASA ze swoim autografem? – Pauza. – Fantastycznie. Nazywa się Camilla Rodriguez. – Carol przeliterowała jej imię i nazwisko i pożegnała się, po czym oddała mi słuchawkę.

W pokoju było nie więcej powietrza niż wody na pustyni.

– Hej – powiedziałem.

– Hej, muszę lecieć. Prześlę to zdjęcie załogi.

– Pip...

– Ciągłe robimy takie rzeczy. To część działań PR-owych. Jak się w ogóle miewasz? Jak plany weselne?

– Ja... ee... Carol się tym zajmuje.

Cisza.

– Chcę, żebyś był szczęśliwy – powiedziała Elle.

– Wszystko w porządku?

– Tak, ale muszę już kończyć. Nie dojrzałam jeszcze do tego, żeby zachowywać się dzielnie.

– Zaczekaj. Co znaczy „dzielnie”?

Przez chwilę milczała.

– Dzieje się tyle różnych rzeczy. W moim nowym mieszkaniu nie ma nawet zasłon, zresztą to bez znaczenia. Nieczęsto tu bywam. Tyle tylko, że całe moje życie wydaje się teraz nieco puste. Wypełnia je misja, a jednak czuję pustkę. I... – Głos jej się załamał. – To chyba normalne, że człowiek reaguje emocjonalnie, kiedy musi wyrzec się kogoś, kogo kocha. Do usłyszenia.

None



Po wypadku Elle  
*Dzień dwudziesty piąty*

Kiedy żegnałem się z ojcem Meehanem, poprosiłem go, by pomodlił się za dziecko. Co to? Postęp? Czy też pogrążam się w coraz głębszej desperacji? Jeśli w okopach nie ma ateistów, to nie ma ich też w salach chorych na Intensywnej Terapii. Co zabawne, nigdy nie myślałem o sobie jako o ateście. Byłem raczej niepraktykującym katolikiem, doprawionym szczyptą agnostycyzmu. Byłem człowiekiem nauki i człowiekiem małej wiary, człowiekiem, który kocha swoją żonę i którego zachowanie zależy od tego, co jest i co będzie.

– Oczywiście, Matt – odrzekł ojciec Meehan. – Już się modlę za Elle i za dziecko. Za ciebie też.

Uściskałem mu dłoń i odszedłem. Zaparkowałem w bocznej uliczce, wiedząc, że w ten sposób łatwiej mi się będzie szybko ewakuować po mszy. Freeport było dawniej typowym nowoangielskim miasteczkiem, pełnym wiktoriańskich domów i gospodarstw, do chwili gdy powstał jedyny prawdziwy biznes w historii miasta, L.L.Bean; wtedy pojawiły się ekskluzywne sklepy. Teraz Freeport dawało wszelkie możliwości zakupowe znane rodzajowi ludzkiemu. Trzy przecznice od głównej ulicy wsiałem do samochodu i pojechałem do mojego domu położonego sześć kilometrów dalej, gdzie prowincjonalna Ameryka wciąż żyła swoim zapomnianym przez czas rytmem.

Nie zwracałem sobie głowy parkowaniem w stodole. Nie zamierzałem zostać tu długo. Potrzebowałem tylko trochę świeżego powietrza, chwili, jak to ujął ojciec Meehan, żeby posłuchać i porozmawiać z Bogiem. Co dziwne, jak się wydawało, Bóg jest bardzo cichym typem. Piekielnie mało mówi. No, może mówi niebiańsko mało.

Rozbawił mnie mój czarny humor.

Może jego milczenie jest pewnego rodzaju odpowiedzią, choć nie taką, jakiej szukałem.

Ogródek Celiny był pełen martwych łodyg rudbekii i innych roślin. Martwych roślin, a ich śmierć współgrała z moim cierpieniem.

Będę musiał wykopać urny. Będę musiał... chować je z Elle. Pięć lat temu poprosiła mnie o to i mimo że nie rozmawialiśmy o tym od tamtego czasu, wiedziałem. Wiedziałem, że również w tej kwestii nie zmieniła zdania.

Nie przyjechałem do domu, żeby przygotować się na pochowanie jej, ale musiałem zacząć o tym myśleć. Jej nerki praktycznie nie działały, a ciąża dodatkowo je obciążała. Szanse były bardzo nikłe. Usiadłem na kilka minut na trawie i wpatrywałem się w ogródek. Nie tutaj. Elle musi spocząć obok matki na małym cmentarzu rodzinnym, w lasku sosnowym, który tak kochała. A dzieci spoczną tam razem z nią. „Mogę na chwilę zmienić temat na bardziej ponury?”, spytała tamtego dnia na plaży. Wtedy szykowała się na kosmos, który w jej oczach był rodzajem nieba.

Nigdy nie rozmawialiśmy o tym, gdzie chce spędzić resztę wieczności, tylko o tym, że Celina powinna być przy niej. A to oznaczało, że Dylan też.

Przemierzyłem pole i wszedłem pod górę do lasu. Po dziesięciu minutach dotarłem do rodzinnego cmentarza na skraju drzew. Z powodu deszczowego lata nie byłem tu cały rok. Cmentarz był zaniedbany, nieuporządkowany, trochę samotny. Alice leżała w rogu. Babcia Elle zginęła w wypadku samochodowym, gdy Elle była jeszcze dzieckiem. A jej dziadek umarł tamtego lata, kiedy się zakochaliśmy. Na pozostałych nagrobkach widniały imiona, które dla mnie nie miały żadnej treści. Ale Elle już jako mała dziewczynka znała je wszystkie na pamięć.

Wciąż widziałem, jak klęczy na cmentarzu, odgarnia z oczu prawie białe blond włosy, przygotowując się do czyszczenia nagrobka babki. Dziewięcioletnia Elle, nad wiek rozwinięta intelektualnie chłopczyca.

– To takie tragiczne – mówiła. – Po babci zostało tylko epitafium. Mama zupełnie jej nie pamięta. Kilka słów na nagrobku to niewiele.

To były dziwne słowa jak na dzieciaka. Jeszcze dziwniejsze, że je sobie przypomniałem, ale naprawdę utkwiły mi w głowie. Elle była intrygująca, choć wtedy jeszcze tego nie doceniałem. Wtedy widziałem w niej dzieciaka z sąsiedztwa, wygodną towarzyszkę zabaw. Ale była też dziewczyną, a ja jeszcze nie przestałem ich nienawidzić, przynajmniej nie dla świata.

Bez słowa przemierzyła nierówny trawnik, obchodząc groby, jakby bała się, że postawienie stopy na skrawku ziemi rozgniewa ducha. Prześledziła palcami słowa wyryte w kamieniach kolejnych przodków.

– Wszystkie kobiety w rodzinie mojej mamy zmarły, nie ukończywszy czterdziestu lat. Spójrz. Ta była najstarsza.

Kilka lat później matka Elle zmarła na raka tuż przed czterdziestką.

A teraz Elle. Straciłem Elle.

W porannej ciszy stałem w tym samym gorzkim miejscu, na rodzinnym cmentarzu, gdzie zmarłych upamiętniają tylko pokryte porostem kamienie, oznaczając utracone życie kobiet, które umarły zbyt młodo.

Nie byłem już chłopcem zafascynowanym małą blond dziewczynką. Byłem jej mężem i choć to niepojęte, musiałem ją pochować obok jej matki i babek. Tak, wszystkie kobiety w jej rodzinie umierały młodo. Ale byłem zdeterminowany, by epitafium nie było jedynym, co pozostanie po Elle.

Przez korony drzew nie przezierало słońce, ale było dość światła dla kilku roślin ceniolubnych. Krwawiące serca kwitną wiosną, a hosty późnym latem. Elle powinna mieć swój ogródek: kochała kwiaty. W głębi, nieopodal ogrodzenia, promienie słoneczne sączą się między drzewami. Nawet gdybym musiał kilka z nich ściąć, żeby wpuścić więcej światła, byłem na to gotowy.

– Boże, proszę – powiedziałem. – Kiedy to nastąpi, zaopiekuj się nią. – Czując w nogach ciężar większy niż mój żal, ruszyłem z trudem po ziemi wysłanej grubą warstwą igieł sosnowych i położyłem się na wilgotnej trawie, gdzie miała spocząć Elle. Łzy spływały mi po twarzy jak deszcz, a ja im nie przeszkadzałem. Obietnica nieba czy łaski bożej nie niosła żadnej pociechy, przynajmniej na razie. A może nigdy nie miała jej przynieść.

– Czego ode mnie chcesz? Chcesz, żebym ci za to podziękował? Chcesz obudzić we mnie wiarę, pozbawiając mnie jedynej osoby, w którą kiedykolwiek wierzyłem?

Wierzyłem w nią, w miłość, która nas łączyła, wierzyłem, że jest ona tak mocna jak światło odległej gwiazdy, przemierzające kosmos, trwające w bezmiarze czasu.

Czasu, który straciliśmy.

– Czasu, który ukradłeś! – wrzasnąłem.

Byłem zły na Boga – jeśli istnieje. I po raz pierwszy w całym życiu czułem pewność, że jest. W głowie kotłowały mi się te wszystkie dyrdymały. Wyroki boskie. Ufaj Mu. Cuda się zdarzają. Łazarz. Bóg kocha świat. Zmartwychwstanie. Chrystus.

Ale ja potrzebowałem jej. A dziecko potrzebowało mnie.

– Proszę, Boże – wyszeptalem. – Proszę.

None

Dzień dwudziesty szósty

Clint Everest zmienił pozycję na miejscu dla świadka.

– Zakrzepica u matki powoduje ustanie dopływu krwi do łożyska i dziecko umiera. W czasie ciąży to właśnie podstawowy – bardzo podstawowy – patomechanizm poronienia w zespole antyfosfolipidowym.

– Czy jest prawdopodobne, że i tym razem Elle Beaulieu poroni? – spytał Jake.

– Raczej nie z powodu zespołu antyfosfolipidowego. Podajemy jej heparynę, środek przeciwzakrzepowy. Jeśli choroba jest rozpoznana, rzadko dochodzi do poronień.

Podtekstem w słowach Clinta było to, że tym razem Elle może poronić, ponieważ doznała ciężkiego urazu mózgu. Na miłość boską, nie jest zdolna nawet mrugnąć. Kiedy opuszczałem dziś rano jej pokój, pielęgniarka nakładała jej maść do oczu, żeby zapobiec wysychaniu gałek.

Clint i Jake omawiali podstawowe problemy komplikujące ciążę Elle. Czy zespół antyfosfolipidowy jest niebezpieczny dla Elle czy tylko dla dziecka? Tak. Możliwe. Jeszcze nie. Choroba może zniszczyć któryś z jej narządów. Oczywiście uraz mózgu też może do tego doprowadzić, z jeszcze większym prawdopodobieństwem. Strasznie mnie wkurzała ta sądowa szopka. Chciałem wstać i wytłumaczyć sędziemu, że moje dziecko ma prawo walczyć o swoje życie, powiedzieć mu to bez Jake'a, bez Clinta, bez czyjegokolwiek pośrednictwa.

Ale skupiłem się na niuansach zeznania, na reakcjach sędziego i na kluczowych słowach. Choroba ma dwie postaci: podstawową i katastrofalną. Elle ma jej postać podstawową, ale „katastrofalny” to słowo nacechowane emocjonalnie. Czyż w obliczu katastrofy takiej jak trzęsienie ziemi, powódź czy tornado nie skupiamy się na tym jednym cudownie ocalonym, tym jednym wyciągniętym z gruzów tydzień później? Cóż, ja przekopuję gruzy życia Elle i staram się ocalić nasze dziecko, jej dziecko, moje dziecko.

– A czy gdyby rozwinęła się u niej postać katastrofalna, można by ją leczyć? – spytał Jake.

Już teraz leczyli ją zapobiegawczo.

– Jakie jest prawdopodobieństwo, że postać katastrofalna doprowadzi do śmierci Elle, zanim dziecko będzie zdolne do życia poza łonem matki?

– Umieralność ciężarnych z powodu zespołu antyfosfolipidowego nie jest dobrze udokumentowana – odparł Clint. – Ale choroba zwiększa ryzyko stanu przedrzucawkowego, który może wymagać zakończenia ciąży przed terminem. Może wystąpić zakrzepica żył kończyn dolnych, zatorowość płucna lub podobne powikłania.

– Ale to tylko czynniki ryzyka?

– Tak – odparł Clint. – To czynniki ryzyka.

– Dziękuję. Nie mam więcej pytań. – Jake usiadł, nachylił się i szepnął mi do ucha: – Wszelkie szkody, które może nam wyrządzić prawnik twojej mamy w przesłuchaniu krzyżowym, naprawię w moim powtórny przesłuchaniu.

Skinałem. Gdybym tylko ja mógł naprawić szkodę, której doznała Elle.

– Panie Klein, ma pan jakieś pytania do doktora Everesta? – spytał sędzia.

– Tak, Wysoki Sądzie. – Prawnik mojej matki wstał i postukawszy dwoma ołówkami w swoje papiery niczym pałeczkami w bęben, przemówił: – Panie doktorze, w czasie ostatniej ciąży – która zakończyła się drugiego lutego tego roku – Elle miała powikłania związane z zespołem antyfosfolipidowym, czyż nie?

Clint utkwiał wzrok w swoich dłoniach.

– Spędziła dwa dni na OIT, ponieważ straciła dużo krwi, ale nie uważam, żeby było to

związane bezpośrednio z zespołem antyfosfolipidowym. Przyjmowała środki przeciwzakrzepowe. Niespodziewanie zaczęła rodzić przed terminem i urodziła w domu. Przyjmowane leki spowodowały krwawienie.

– A dokładniej omal nie wykrwawiła się na śmierć, nieprawdaż?

Zaczerpnąłem gwałtownie powietrza, przypominając to sobie. Tamtej nocy, na naszej podłodze kuchennej, zobaczyłem więcej krwi, niż widziałem kiedykolwiek poza szpitalem.

Jake położył mi rękę na ramieniu.

– W porządku? – spytał szeptem.

Przytaknąłem, starając się nie wybiegać myślami poza salę sądową. Podniosłem wzrok i zobaczyłem, że matka się we mnie wpatruje. I w przeciwieństwie do Jake'a na jej twarzy nie malowała się troska. Jej spojrzenie było znaczące, niemal oskarżycielskie.

– Utrata takiej ilości krwi mogła okazać się śmiertelna – odpowiedział Clint.

Udałem się z Jake'em do wieżowca w Old Port. Nowoczesna fasada kontrastowała z wystrojem wewnątrz rodem z klubu dżentelmenów. Na półkach stały publikacje prawne w skórzanych oprawkach.

– Przesłuchanie krzyżowe Clinta nie wypadło dla nas zbyt korzystnie – powiedziałem.

Jake nie naprawił szkód wyrządzonych przez Kleina, a ja nie mogłem usiedzieć spokojnie, kiedy omawialiśmy minione dwie godziny. Chodziłem więc w kółko po rozległej przestrzeni między biurkiem a stołem konferencyjnym na drugim końcu gabinetu.

– Mogło pójść gorzej – odrzekł. – Wypadłoby lepiej, gdyby Elle nie miała zapalenia płuc i problemów z nerkami.

– Klein sprawił, że to wszystko brzmiało tak, jakby Elle... Niech to szlag, wszystko, co wyciągnął z Clinta, to prawda. Minęło dwadzieścia sześć pieprzonych dni, a ona już ma zapalenie płuc i niewydolność nerek. Potrzebujemy jeszcze czternastu tygodni, a najlepiej dwudziestu. Zespół antyfosfolipidowy może zabić ją albo dziecko...

– Przestań. Zdaję sobie sprawę, że martwisz się jej problemami zdrowotnymi. Ale główną kwestią prawną jest tu to, czego Elle by chciała w tej sytuacji. Nie mamy wystarczających dowodów na poparcie naszego stanowiska w tej sprawie. Potrzebujemy czegoś konkretnego, na piśmie, co potwierdzi twoją opinię. Znalazłeś coś w pamiętnikach?

– Nic poza tym, o czym już wiesz. Postanowiłem walczyć o dziecko na podstawie rozmów, które prowadziliśmy na przestrzeni lat.

Jake przyjrzał się swoim dłoniom.

– Potrzebujemy czegoś więcej. Kończy się nam czas. Musisz mnie dopuścić do pamiętników, abyśmy szybciej poznali ich treść.

Nie zamierzałem informować Jake'a o możliwości, że Elle albo moja matka dokonały eutanazji Alice McClure. Jakiś inny wpis mógł zawierać kolejne przyznanie się do matkobójstwa.

– Nie wiem, które wpisy dotyczą dzieci.

– Matt.

– Pamiętniki. Są. Prywatne. – Spiorunowałem go wzrokiem, by pokazać, że mówię serio. – Poza tym nie sądzę, żeby było w nich coś istotnego.

– Twoje życie i tak już widnieje na pierwszych stronach gazet na całym świecie. Może powinieneś jednak zrezygnować z prawa do prywatności zawartego w pierwszej poprawce i pozwolić mi je zobaczyć. – Uśmiechnął się zachęcająco, jakby pieprzenie o pierwszej poprawce miało być zabawne.

Pokręciłem głową.

Zadzwoił telefon na biurku i Jake podniósł słuchawkę.

– Tak. Połącz ją. Doktor Clarke, ma pani zeznawać za trzydzieści... – Zamilkł. –

Rozumiem. – Jake podał Blythe numer do sądu i powiedział, żeby zadzwoniła, kiedy już będzie wolna.

– Co? – spytałem.

– Utknęła przy skomplikowanym porodzie. A właśnie przyjęto kolejną jej pacjentkę z przedwczesnymi skurczami porodowymi czy coś w tym stylu.

– Nie dotrze do sądu? – spytałem.

– Nie. A chcę, żeby zeznawała przed tobą. Pokażemy, że uratowanie dziecka jest możliwe. Sędzia zobaczy USG. A potem uderzymy w niego tym, jak bardzo kochasz żonę i jak bardzo pragnęliście potomstwa – powiedział, kładąc na biurku kolejne fiszki. – Potem chcę przygotować fundament pod złożenie wniosku o ustanowienie opieki nad płodem. Trzeba to zrobić w odpowiednim momencie; inaczej nasze posunięcia mogą robić wrażenie desperackich. Chcę, żeby to było przemyślane rozegranie karty.

– Jak to?

– Po przesłuchaniu ciebie wezwę na świadka ojca Meehana. Kościół katolicki uczy, że życie zaczyna się w chwili poczęcia, a ty i Elle jesteście katolikami. W związku z tym walka o to dziecko staje się częścią waszego konstytucyjnego prawa do praktykowania swojej religii. Wtedy zwrócę się do sędziego z wnioskiem o przyznanie ci opieki nad twoim nienarodzonym dzieckiem, byś mógł chronić to życie, w imieniu Elle chronić życie jej nienarodzonego dziecka, a więc korzystać z jej prawa do praktykowania swojej religii. To dość naciągane, ale z punktu widzenia konstytucji może zadziałać. A przynajmniej da nam podstawy do apelacji. Możemy też oprzeć apelację na tekszańskim oświadczeniu woli. Ten sędzia nie powinien rozpatrywać tej kwestii. W Teksasie prawo zakazuje odłączenia kobiety w ciąży od aparatury podtrzymującej życie. Jeśli natomiast przegramy apelację, możemy wystąpić z prośbą o rewizję wyroku. I to nam wystarczy. Jeśli sprawa trafi do Sądu Najwyższego, mamy szansę zyskać tyle czasu, że twoje dziecko zdąży się urodzić.

– A co jeśli Sąd Najwyższy odrzuci prośbę o rewizję?

Jake się uśmiechnął i pokręcił głową.

– Mówił ci ktoś kiedyś, że za dużo się martwisz? Miej trochę wiary we mnie. Powiedziałem ci, że sobie z tym poradzę. Wracajmy do sądu i zobaczmy, co da się zrobić z nieobecnością doktor Clarke.

– Jeszcze jedno. Zapomniałem ci powiedzieć, że dostałem list od Carol Wentworth. Pamiętasz ją?

– Oczywiście.

Położyłem list na biurku.

Jake podniósł go i przeczytał.

– Prokurator Generalny Stanów Zjednoczonych?

None

### Pięć lat przed wypadkiem Elle

Jeśli odsuwałem jakąkolwiek kobietę na dalszy plan, to właśnie Carol, ale nie robiłem tego celowo ani w danej chwili nie uważałem, że to robię. Naprawdę wierzyłem, że możemy stworzyć małżeństwo oparte na wzajemnym szacunku. Byliśmy udaną parą. Niemniej jednak nie powiedziałem mojej narzeczonej, że spotkałem w Maine Elle i że kilka spędzonych z nią godzin obudziło we mnie wątpliwości co do naszego ślubu. Carol nie musiała o tym wiedzieć. Gdybym ulżył swojemu sumieniu i przyznał, że pocałowałem Elle, tylko bym ją zranił.

Poza tym tak naprawdę nic między nami nie zaszło, a wątpliwości to normalna sprawa. Z punktu widzenia logiki mogłem wymienić wiele powodów, dla których powinienem poślubić Carol. Z punktu widzenia uczuć moje przywiązanie do Elle podważało je jeden po drugim, ale wmówiłem sobie, że to, co mnie z nią łączy, to tylko pozostałość z dzieciństwa i, jak powiedziała sama Elle, pożądanie.

No dobra, kochałem ją.

Przez następne kilka miesięcy Elle stawała się coraz bardziej nieobecna, niemal obojętna. Kiedy rozmawialiśmy przez telefon, unikała mówienia o sobie. Mnie też rzadko zadawała osobiste pytania. Rozmawialiśmy o pracy, jej i mojej. Kiedy wspominałem o Carol, Elle znajdowała wymówkę, żeby się rozłączyć. Powiedziałem sobie, że oddaliśmy się od siebie i że może tak powinno być; w końcu mam się niedługo ożenić. Mimo to bardzo mi się nie podobało, że małżeństwo będzie oznaczać odcięcie się od Elle. Albo, co gorsza, odcięcie się Elle ode mnie. W grudniu zadzwonił do mnie Phil Grey i spytał, czy moglibyśmy się spotkać, jako że jest akurat na Manhattanie. Miałem dyżur przez cały weekend, ale w poniedziałek rano spotkaliśmy się w szpitalu. Uścisnął mi dłoń.

– Nie mówiłeś, że w Maine zima zaczyna się pierwszego listopada.

– Wierz mi – powiedziałem. – Prawdziwą zimę zobaczysz dopiero w lutym i marcu.

– W marcu zaczyna się wiosna.

– W Maine wiosna zaczyna się w maju – odparłem.

– A więc pewnie nie byłbyś zainteresowany wspólną praktyką? – Skinął głową w kierunku drzwi. – Chodźmy zjeść śniadanie i porozmawiać. Ja stawiam.

W knajpie niedaleko szpitala Phil przedstawił mi przygotowaną wcześniej listę powodów, dla których chce mnie zwerbować, jak tylko ukończę rezydenturę. Po pierwsze, młodszy wspólnik zmarł trzy miesiące po tym, jak rozpoczęli wspólną pracę. Po drugie, u tego, którego miał zastąpić, zdiagnozowano chorobę Parkinsona i gość od czterech miesięcy nie operuje. Od przeniesienia się na północ Phil przeprowadzał wszystkie operacje. Jednym słowem był jedynym chirurgiem. Mógł tak pracować przez jakiś czas, ale nie bez końca. Mimo że żartował o pogodzie, jemu i żonie ogromnie się w Maine podobało; do tego spodziewali się dziecka, chcieli więc uwić gniazdko i zapuścić korzenie. Powiedziałem mu, że Carol kategorycznie odmawia opuszczenia Nowego Jorku, a on zapewnił, iż rozumie, ale zasugerował, żebym mimo wszystko z nią jeszcze porozmawiał. Byłem pierwszy na jego liście kandydatów. Dał mi tydzień na podjęcie decyzji.

Siedem godzin później Carol weszła do sypialni i zapaliła światło.

– Nie spałeś cały dzień, prawda? – spytała.

Chwyciłem ją w tali, pociągnąłem na łóżko i pocałowałem ze szczerością doprawioną solidną porcją pożądania.

– Spędziłem większość dnia na bieganiu wzdłuż zbiornika i rozmyślaniu. Dziś rano do szpitala wpadł Phil Grey.

– Phil? Jak się miewa? Czekaj, niech zgadnę. Ma już dość tego sennego miasteczka i przyjechał szukać pracy. – Odsunęła się i podeszła do szafy. – Proszę – powiedziała, rzucając mi wyprasowaną koszulę. – Kolacja u moich rodziców, pamiętasz?

Nie ruszywszy się, patrzyłem, jak zdejmuje z siebie spódnice.

– Chodź do łóżka i pobaw się ze mną.

Uśmiechnęła się i przyjrzała mi się uważnie.

– Kusząca propozycja – powiedziała. – U rodziców będzie burmistrz.

Potarłem oczy i ziewnąłem. Poznaliśmy już burmistrza. Przy pierwszym spotkaniu byłem nim oczarowany. Przy drugim zorientowałem się, że się z nim w kilku kwestiach nie zgadzam, i powiedziałem mu to, co nie bardzo spodobało się Carol i jej ojcu. Burmistrz bywał regularnie w domu Wentworthów i choć miał władzę i wysoką pozycję, nie był bardziej fascynujący niż niektórzy moi pacjenci i ich rodziny. Potwornie wkurzała mnie potrzeba Carol, żeby zabiegać o względy grubych ryb.

Wstałem i włożyłem spodnie od dresu.

– Nie mam ochoty dziś iść. Chciałbym o czymś z tobą porozmawiać.

– To coś ważnego? Powiedziałam, że przyjdziemy.

– Ilu gości tam będzie? Dziesięciu? Dwudziestu? Nikt za nami nie zatęskni. – Podeszedłem do niej od tyłu, żeby móc pocałować ją w szyję. To było jej czułe miejsce. – Słuchaj, Phil zaproponował mi posadę w Portland i chciałem ją przyjąć. Przeprowadziłem małe dochodzenie. W okolicy jest tylko paru chirurgów dziecięcych. Mogłabyś...

– Matt, już to przerabialiśmy. Nie przeprowadzę się do Maine.

– Bez dyskusji? Nie chcesz nawet rozważyć Portland? To piękne małe miasto. Jest tam muzeum sztuki...

– Nie mówisz poważnie. Jestem nowojorczką. Piękne? Pewnie, Maine to piękne miejsce na wypad weekendowy, zwłaszcza turystyczny. Ale nie chcę tam mieszkać. Możemy tam bywać; możemy jeździć na wakacje, ale nie przeprowadzę się i nie będę tam pracować.

– Chciałbym, żebyś się jednak zastanowiła, zamiast z góry odrzucać ten pomysł. Możesz tam mieć wszystko to, co w Nowym Jorku.

– Wiem, że mówisz poważnie, ale ja też. Kocham energię Nowego Jorku, ludzi, różnorodność. Na wyciągnięcie ręki. Nie chcę mieszkać w małym mieście. Nie mogę. Tamtejsi ludzie mają tak ograniczone horyzonty.

– Ja wychowałem się w małym mieście. Moja rodzina mieszka w małym mieście.

Wzięła głęboki oddech i przysiadła na brzegu łóżka.

– Nie chciałam generalizować. Nie miałam na myśli twojej rodziny. A już na pewno nie miałam na myśli ciebie. Poza tym jesteś obyty. A w dodatku genialny i przyjemny dla oka.

Potrafiła być snobką i obrażała bliskich mi ludzi i miejsca. Pocałowała mnie, ale ja się odsunąłem.

– Proszę, ubierz się – powiedziała nadąsana. – Nie chcę się spóźnić na przyjęcie. Po którym, jeśli zechcesz, przypomnę ci, czemu jestem ci niezbędna.

Niezbędna. To słowo rozbrzmiało w mojej głowie. Zastanowiłem się nad tym. Kto jest mi niezbędny? Moja rodzina. Carol. Elle. Niekoniecznie w tej kolejności. Z pewnością nie rodzice Carol ani ta ich kolacja z zamożnymi bywalcami salonów. Jej rodzice są wyrafinowani i uprzejmi, ale ani razu nie poczułem z ich strony serdeczności, na pewno nie wobec mnie. Może wobec Carol. Bez wątplenia są z niej dumni. Przynosi im chlubę, a ja jako absolwent prestiżowego uniwersytetu i neurochirurg byłbym dla niej partnerem do przyjęcia. Nie wyobrażałem sobie natomiast, żebyśmy się mogli zakumplować.

– Opuść sobie tę imprezę – oświadczyłem. – Powiedz im, że jestem wykończony po

pracy. Powiedz, że mam dyżur. Powiedz cokolwiek, co twoim zdaniem pozwoli ci zachować twarz, ale jeśli nie chcesz nawet rozważyć wspólnej przeprowadzki do Maine, to ja nie mam ochoty brać dziś udziału w twoim przedstawieniu. – Włożyłem T-shirt i bluzę z kapturem i wymaszerowałem z jej loftu.

Przez następnych kilka dni nie rozmawialiśmy ze sobą. Ona się do mnie nie odzywała, bo ją wystawiłem. Ja z kolei zacząłem się zastanawiać, czego chcę bardziej: jej czy pracy w Maine.

Zadzwoiłem do Elle i odezwała się sekretarka. Zadzwoiłem do mojego brata Mike'a. Powiedział, że nie powinienem podejmować żadnych pochopnych decyzji. Zadzwoiłem do Phila i poprosiłem o więcej czasu.

Powiedział, żebym zdecydował do pierwszego stycznia.

Mieliśmy jechać z Carol na święta do Maine. Ja jechałem do domu. Ona przyjeżdżała na narty. Zdałem sobie sprawę, że zawsze tak będzie. Dla Carol Maine miało walory rozrywkowe, nie uczuciowe. W Nowym Jorku prowadzilibyśmy jej styl życia i ja bym się do tego przyzwyczaił – co nie znaczy, że jej styl życia ma w sobie jakieś niewygody.

Jeśli chciałem coś zmienić, musiałem to zrobić wkrótce. Tak więc niedługo po przyjeździe wysłałem Carol i mamę na zakupy w lokalnych butikach, poszedłem do gabinetu Phila, spotkałem się z Welshem, którego z miejsca polubiłem, porozmawiałem z nimi poważnie o praktyce i przyjąłem ich ofertę.

Nie powiedziałem Carol. Postanowiłem poczekać, aż wrócimy do Nowego Jorku. Miała sześć miesięcy na przyzwyczajenie się do tej myśli. Jeśli się nie przekona, jedno z nas będzie musiało się ugiąć. Ja będę musiał zostać w mieście albo ona przeprowadzi się do Maine – albo trzeba będzie odwołać ślub.

Nastał czas zdecydowanie zbyt wielu kłótni i kilka miesięcy przed terminem ślubu stanąłem przed Carol, kręcąc głową nad stertą zaproszeń.

– Jeśli nie chcesz nawet spróbować zamieszkać tam ze mną, to chyba nie powinniśmy ich wysłać – powiedziałem.

Carol załamała rękę.

– Wolisz pracę na odludziu ode mnie?

Odchrząknąłem.

– Wygląda na to, że ty też podjęłaś decyzję. Wybierasz Nowy Jork, a nie mnie.

Odwróciła się i splotła ramiona.

– Co mam powiedzieć znajomym?

Nie wiedziałem, czy jest zła, czy wstrząśnięta. I choć nie chciałem jej ranić, musieliśmy to zakończyć, zanim nasz związek zamieni się w katastrofę.

– Że podzieliły nas różnice nie do pogodzenia – odparłem. – Mamy różne oczekiwania.

None



Cztery lata przed wypadkiem

Restauracja Galveston miała wystrój tropikalnej chatki, bardzo kiczowaty i bardzo fajny. Na szczęście Hank, który był gospodarzem tej fantazyjnej imprezy, zarezerwował dla klanów Beaulieu i McClure patio. Synowie moich braci wprowadzali atmosferę ogólnego chaosu; biegali w kółko, pili z kokosów – poprawka: rozlewali z kokosów – i hałasowali tak, jak nie godzi się w miejscu publicznym. Dorośli tymczasem zebrali się wokół długiego jak basen olimpijski stołu z widokiem na rozległą plażę.

W oczekiwaniu na lot kosmiczny Elle cała moja rodzina postanowiła wziąć udział w starcie. W samym środku zimy w Maine każdy pretekst do wyjazdu na Florydę był doskonały, ale Elle poinformowała nas, że przed lotem musi odbyć tygodniową kwarantannę w Centrum Lotów Kosmicznych Johnsona. Wyglądało na to, że nawet zwykłe przeziębienie może zaszkodzić astronautce na orbicie.

– Pomacham wam z wyrzutni – powiedziała – ale twarzą w twarz zobaczymy się po raz ostatni przed kwarantanną.

Po rozważeniu sytuacji Hank przeniósł imprezę na cześć Elle do Teksasu. Kilka osób sprzeciwiało się, argumentując, że Houston nie jest nawet w połowie tak fajne jak Floryda, ale Hank zaproponował, żebyśmy się zatrzymali na plaży nad Zatoką Meksykańską.

– Plaża to plaża – powiedział. – A pod koniec kwietnia z otwartymi ramionami przyjmimy trochę słońca.

Tak więc zaledwie kilka tygodni po rozstaniu z Carol siedziałem wpatrzony w zatokę. Nikomu jeszcze nie powiedziałem. To wszystko mogło poczekać. Elle zasługiwała, żeby cała uwaga skupiała się na niej, a zresztą, prawdę powiedziawszy, nie chciałem odpowiadać na pytania o to, jak sobie radzę ze złamanym sercem.

W oddali na horyzoncie majaczyły platformy wiertnicze. Powietrze było ciepłe i słodkie, i tak spokojne, że przyprawiało o senność, i cieszyłem się na spotkanie z Elle.

Mój brat Mike opadł na siedzenie obok i klepnął mnie w plecy, tak że o mało nie spadłem z krzesła.

– No dobra, do twojego ślubu zostało ile – cztery miesiące? Chcesz striptizerkę na wieczór kawalerski? Jako drużba muszę zaplanować imprezę, a ponieważ odbywa się ona w Nowym Jorku, powinienem się do tego zabrać z pewnym wyprzedzeniem.

Zakaślałem, naraz zdając sobie sprawę, że jutro rano będę musiał wszystkim powiedzieć, żeby nie planowali przyjazdu ani, broń Boże, nie kupowali prezentów.

– Ee, dziś nie zwracaj sobie tym głowy – powiedziałem.

To była noc Elle i na szczęście, jako że Carol i tak nie zamierzała uczestniczyć w tym wypadzie, istniała szansa, że jeszcze przez kilka godzin uda mi się uniknąć pytań o nią.

Wtedy z opresji wybawił mnie mój czteroletni bratanek. Chwycił Mike'a za koszulę.

– Tato, chodź zobacz ptaka. – Wszystkie dzieciaki wpatrywały się w pelikana widocznego jakieś dziesięć metrów przed nimi.

– Zdaje się, że muszę iść pobawić się w rodzica. Przyłączysz się? – spytał Mike.

– Oczywiście – odparłem.

Posadził sobie syna na ramionach i podeszliśmy powoli do barierki, żeby mieć dobry widok.

Po piętnastu minutach wreszcie pojawiła się Elle, ubrana w niebiesko-białą letnią sukienkę. Promieniowała szczęściem i wdziękiem: właśnie ma się spełnić jej największe marzenie. Zaśmiała się lekko, przyglądając się naszym twarzom.

– Ja po prostu lecę na parę dni do pracy. To nic wielkiego.

Skinąłem jej i spojrzeliśmy sobie w oczy. Na jej ustach pojawił się półuśmiech, jakbyśmy mieli wspólną tajemnicę, niedostępną innym. Zawsze tak było, my dwoje, choć nie sami.

Wokół stołu rozległy się toasty, wszystkie na cześć Elle, aż przyszła kolej na jej brata, który był ze swoją dziewczyną. Christopher wstał i uniósł kieliszek.

– Zdrowie mojej starszej siostry, która zawsze była dla mnie oparciem. Chciałbym cię prosić o jeszcze jedną wielką przysługę.

Elle rozejrzała się na boki.

– Wielką, tak? Cóż, może lepiej powiedz mi najpierw, co to takiego. Ostatni raz, kiedy poprosiłeś o wielką przysługę, musiałam napisać za ciebie pracę semestralną.

Wszyscy zarechotali. Christopher był bystry, ale nigdy nie dorównywał Elle pod względem zdolności naukowych. Zerknął przeproszająco na swoją dziewczynę.

– Nie miałem wtedy powodów do dumy – powiedział. – Teraz mam. Arianne i ja chcielibyśmy, żebyś została – tylko nie odbierz tego źle – moim drużbą. Pobieramy się.

Elle otworzyła usta ze zdumienia, poderwała się i pobiegła uściskać Christophera, po czym przyciągnęła też Arianne.

– O mój Boże! Naprawdę?

Może przemawiała przeze mnie zazdrość z powodu mojego odwołanego ślubu, ale pomyślałem, że to bardzo w stylu Christophera. Elle czekała na swoją chwilę całe życie. Będąc jeszcze dzieckiem, przerwała naukę, żeby zająć się bratem, a teraz znowu Christopher egoistycznie skupia całą uwagę na sobie.

– Zaraz, jak to drużbą? – zmrużyła oczy Elle. – Włożyłam dziś sukienkę, bo nie będę mogła ich nosić przy braku grawitacji, a ty i tak robisz ze mnie chłopaka. Nigdy z wami nie wygram.

– Chcę, żebyś stanęła przy mnie – powiedział Chris.

– Tego też nie mogę zrobić przy zerowej grawitacji.

Udał, że ją dusi.

– Możesz włożyć sukienkę albo kostium małpy, obiecaj tylko, że będziesz przy mnie. – Puściwszy szyję siostry, Christopher pocałował ją w policzek. – Proszę?

Elle złagodniała i przytuliła Christophera.

– Jasna sprawa, braciszku. Na pewno mnie nie zabraknie.

Możliwe, że Christopher chciał w ten sposób wymóc na niej obietnicę, że wróci na ziemię, a ja chciałem, żeby jej dotrzymała, ale po jego ogłoszeniu nikt nie mówił o Elle. Teraz to za niego wznoszono toasty. Cały stół pogrążył się w kakofonicznych rozmowach.

Jako jedna z ostatnich osób opuszczających imprezę zaczekałem na swoją kolej, żeby się pożegnać, i uściśnąłem szybko Elle.

– Kiedy zobaczymy się następnym razem, Pip, będziesz już w książkach do historii.

Mrugnęła do mnie.

– O NASA się już nie pisze, chyba że wydarzy się katastrofa. Po prostu życz mi powodzenia.

– Powodzenia – wyszeptalem, ale tak naprawdę modliłem się.

– Dotrzymasz mi towarzystwa w spacerze po plaży? Nie mogę się jeszcze położyć. Staramy się przed lotem przestawić sobie cykle snu.

– Chętnie – odparłem.

Przeszliśmy przez ulicę i zeszliśmy schodami na plażę. Elle zdjęła sandały i niosła je, trzymając za paski.

– Niezła impreza. Nie mogę uwierzyć, że cała twoja rodzina przyjechała.

Idąc jej śladem, zdjąłem mokasyny, gruby piasek ocierał mi skórę między palcami u nóg.  
– Jesteś prawdziwą astronautką. Wszyscy chcieli tu być. Trochę mnie zdziwiło, że Adam się nie pojawił.

Przystanąła na sekundę, po czym ruszyła dalej.

– Widuję go w pracy. Poznał kogoś, co ułatwia sprawę. – Jej zaduma sprawiła, że zacząłem się zastanawiać, czy pogodziła się już z rozstaniem, a to z kolei na nowo obudziło we mnie zielonookiego potwora.

– A ty się z kimś spotykasz? – spytałem. To nie poprawiłoby mi nastroju.

Zwilżyła dolną wargę.

– Byłam ostatnio dość zajęta.

– I zamknięta w sobie – skomentowałem. – Wciąż czekam, aż odpowiesz na mój telefon sprzed dwóch tygodni.

Szturchnęła mnie.

– Musiałam się skupić na pracy. Doceniam, że wykazałeś się zrozumieniem.

– Nie miałem innego wyjścia. – Bez zastanowienia objąłem ją ramieniem i pocałowałem w skroń.

Wyswobodziła się i splotła ręce, jakbym przekroczył granicę.

– Żenisz się – powiedziała. – Musiałam się wycofać.

– Elle... – Wahalem się tylko przez sekundę, po czym wszystko jej wygadałem. – Nie żenię się. Rozstaliśmy się parę tygodni temu. Przyjąłem pracę w Maine, a Carol nie chciała nawet rozważyć przeprowadzki. Poza tym były też inne kwestie. Tak więc ślub został odwołany.

Elle wpatrywała się we mnie prawie przez minutę, mrugając. Może na jej twarzy pojawił się nawet cień uśmiechu.

– Czemu nic nie powiedziałeś?

Odwrociłem wzrok.

– Nikomu jeszcze nie mówiłem, nawet mamie. Nie chciałem moimi beznadziejnymi nowinami odwracać uwagi od ciebie, tak jak to zrobił twój brat.

– On nie... odwrócił ode mnie uwagi. – Elle dotknęła mojego ramienia. – Radzisz sobie jakoś z rozstaniem?

– Tak, jak najbardziej. – Ująłem jej dłoń, poklepałem ją i ruszyliśmy dalej.

Pierwszy raz od szesnastu lat nie było między nami gniewu ani innych partnerów, nie chciałem rozmawiać o Carol.

Minęła godzina, a my wciąż gadaliśmy – teraz stojąc pod jej pokojem hotelowym. Opierała się o framugę otwartych drzwi, a ja stałem trochę niezgrabnie. Jej pokój miał standardowe wyposażenie: łóżko, stolik kawowy, szafa, kanapa i mała lodówka.

– Chcesz wejść i zagrać w karty?

– Zapominasz o czymś: wiem, iż oszukujesz.

– Nie oszukuję.

– Liczysz karty. Za to można wylecieć z Vegas.

Oczy jej się zwęziły.

– To tylko metoda gry. Mam dobrą pamięć. Nic na to nie poradzę. Nie musimy grać w blackjacka.

– Dobrze. Zagrajmy w rozbieranego pokera. – Poruszyłem znacząco brwiami i przeszedłem obok niej. Nie mówiłem poważnie, ale uznałem, że to dobra riposta.

– Dziś nie piszę się na nic tak niecenzuralnego – zachichotała Elle.

No dobra, może powiedziałem to na wpół poważnie.

– Tylko dlatego, że nie jesteś pewna, czy wygrasz.

Pokręciła głową.

– To może remik?

Usiedliśmy przy stole. Rozdałem karty. Musiała dawać mi wygrać, żeby udowodnić, że nigdy nie oszukuje, bo po dziesięciu rozdaniach miałem dziesięć razy więcej punktów. Zrobiło się bardzo późno, ale trudno mi było wyjść. Rozparłem się na siedzeniu i obserwowałem, jak obmyśla swój następny ruch. Dołożyła królową kier do strita i wyrzuciła asa. Potem wstała i wzięła dwa napoje gazowane.

– Na zdrowie.

– Za twój lot. Jeszcze dziewięć dni i ile, trzy godziny? – powiedziałem.

Zerknęła na zegarek.

– Dwieście dziewiętnaście godzin i dwanaście minut, ale kto by liczył?

Po upływie tego czasu zamierzała przywiązać się do laski dynamitu. W moim przekonaniu promowi kosmicznemu bliżej do bomby nuklearnej z detonatorem w postaci półtora miliona litrów paliwa raketowego. Wstałem i wziąłem ją w ramiona. Chciałem jeszcze raz spróbować ją przekonać, żeby nie leciała, powiedzieć jej, że nie przeżyję, jeśli Atlantis wybuchnie w czasie startu jak Challenger albo rozpadnie się przy ponownym wejściu w atmosferę jak Columbia. Ale powiedziałem tylko:

– Zawsze wiedziałem, że ci się uda – co też było prawdziwe.

W kącikach oczu Elle pokazały się zmarszczki. Na twarzy widniało też kilka. Kiedy zdążyła się ich dorobić?

Jak zwykle, kiedy ją komplementowano, zmieniała temat.

– Uwierzysz, że mój braciszek się żeni? Arianne to słodka dziewczyna, ale on jest taki młody.

Przebiegłem palcem po ramiączku jej sukienki.

– Nie chcę rozmawiać o Christopherze.

– Cieszę się, że mi powiedzieli. Co jeśli coś się jednak stanie?

– Nic się nie stanie – odparłem tak samo ze względu na siebie jak na nią. – Boisz się?

– Trochę. Nie mów nikomu. – Splotła palce z moimi i przyłożyła ucho do piersi, jakby wsłuchiwała się w moje serce. – Nic mi nie będzie. A dodam, że po misji zamierzam dokonać radykalnej zmiany i zastąpić statek kosmiczny fotelem bujanym. Postanowiłam podjąć pracę nauczycielską w domu, najlepiej w Bowdoin, a potem zestarzeć się, oglądając zachody słońca z ganku dziadka. Może, skoro będziesz w okolicy, ogram cię nawet od czasu do czasu w remika.

– W rozbieranego pokera – wyszeptalem w czubek jej głowy.

– Znowu ze mną flirtujesz? Po tym jak zrobiono ze mnie drużbę, pewnie powinnam być ci wdzięczna.

– Nie martw się. Jesteś cholernie seksowna. – Przebiegłem dłonią w dół pleców sukienki, która nie odkrywała wiele, ale ładnie podkreślała wszystkie krągłości.

– Jeśli uważasz, że teraz wyglądam seksownie, powinieneś mnie zobaczyć w kombinezonie. – Cofnęła się i mrugnęła. – To dopiero rozgrzewa astronautów.

– Ta, jasne. – Wziąłem z blatu talię i ułożyłem karty w wachlarz jak zawodowiec z Vegas. – Wydaje mi się, że wolałbym cię jednak nago. No chodź, jedna partia pokera. Zwycięzca bierze wszystko. – Pozwoliłem sobie przebiec szybko wzrokiem po jej ciele.

Elle oblała się pąsem.

– Co ty robisz? To jakaś gra w prawdę czy wyzwanie? Żart?

Odpowiedziałem, dobierając ostrożnie słowa.

– To nie żart ani gra, choć może jedno i drugie. Prawda jest taka, że na pozór chciałem tylko pomóc ci się rozluźnić, rozbawić cię. Ale musisz wiedzieć, że nigdy nie mógłbym kochać

się z tobą tak, by nie znaczyło to nic więcej. Zeszłego lata zbagatelizowałaś to, co się stało, twierdząc, że kierowało nami pożądanie. Owszem, ale nie tylko. Ostateczna prawda jest taka, że cię kocham. Jako przyjaciółkę. – Przerwałem. – Ale też głębiej. Znacznie głębiej. – Pomyślałem, że powinienem sobie pójść; to nie był dobry moment na przewartościowanie naszych relacji, więc pocałowałem ją lekko w policzek. – Wróc do mnie bezpiecznie. – Odwróciłem się i sięgnąłem do klamki.

– Zaczekaj. Nie możesz rzucić czegoś takiego, po czym zwać. – Chwyła mnie za łokieć. – Powiedz, czego chcesz.

– W porządku. Oto i wyzwanie. – Odetchnąłem z głębi płuc. Czemu miałbym jej nie powiedzieć? Spojrzałem prosto w te ogniste zielone oczy. – Chcę ciebie. Chcę dostać jeszcze jedną szansę. Nigdy nie przestałem cię pragnąć. Po pięciu latach jawnego okazywania ci uczuć podjąłem w końcu decyzję. Postanowiłem zadowolić się skrawkami w postaci twojej przyjaźni; wiedziałem, że póki będziesz częścią mojego życia, jakoś sobie poradzę. Teraz kolej na pytanie: Czy tobie wystarcza przyjaźń? Muszę wiedzieć, czy jest szansa, że wciąż mnie kochasz.

Stała przede mną nieruchomo i w milczeniu, zamyśleniu, przyglądała się mojej twarzy.

– Tak – powiedziała w końcu. – Wciąż cię kocham. O Boże. Pragnęłam cię nawet po tym, jak złamałeś mi serce. Nawet wtedy. Proszę, nie odchodź. Nie żeń się z nikim innym. Nigdy nie żeń się z nikim innym. Proszę. Zostań ze mną. Proszę.

– Zostanę. Chcę zostać – odparłem. – Poślubiłbym cię, kiedy miałem siedemnaście lat.

– Wtedy byliśmy za młodzi. – Przełknęła ślinę i schroniła się w moich ramionach.

– Teraz nie jesteśmy – powiedziałem, głaszcząc ją po włosach.

Na jej twarzy pojawił się uśmiech.

– Zdecydowanie nie.

Uniosłem jej brodę do góry i pocałowałem ją.

– Tym razem się nam uda.

Choć pierwotnie nie zamierzałem uczestniczyć w starcie, teraz musiałem tam być – ze względu na siebie, jak i na nią. Zanim jeszcze wróciłem następnego popołudnia do Nowego Jorku, wykonałem wiele telefonów z prośbą o przysługę. Potrzebowałem trochę wolnego i choć raz wszystko dobrze się złożyło. Prawie wszystko. Przed startem astronauta spotykają się po raz ostatni z małżonkami w domu nad oceanem, na pięknym, długim na czterdzieści kilometrów terenie należącym do NASA. Elle powiedziała mi, że to cudowne miejsce i że chce, bym przyjechał. Ale agencja nie wyraziła zgody. Powiedzieli, że praca w szpitalu oznacza kontakt ze zbyt wieloma patogenami i że Elle mogłaby przeze mnie zachorować. Tak więc następnym razem zobaczyłem ją w oddali, gdy szła za dowódcą misji do autobusu, który miał zabrać załogę na wyrzutnię. Niezależnie od tego, jakie fetysze mają astronauta, pomarańczowy kombinezon Elle nie był nawet w połowie tak seksowny jak sukienka, którą zdjąłem z niej dziewięć dni temu. Uśmiechała się i szukała w tłumie mojej twarzy. Kiedy nasze oczy się spotkały, postukała się pięścią po piersi na wysokości serca. Boże, jak ja ją kochałem.

Piękne gwiazdy i przyjemna noc niosły obietnicę, że ten lot będzie spełnieniem marzeń Elle. Pomyślałem o malutkiej Celinie. Jej imię oznaczało boginię księżycy. Oczywiście nie wierzyłem w bogów ani boginie, ale wydawało mi się właściwe, że nad wyrzutnią wisi, niczym reflektor, księżyc w pełni.

Wyobraziłem sobie, że na pokładzie Elle wtóruje odliczaniu w dół, licząc w górę. Silniki zostały odpalone i przy zerze Atlantis wystartowała. Serce waliło mi w uszach tak, że zaguszało cholerne rakiety nośne. Nie ufałem rakietom nośnym. Były znane z tego, że niekiedy wybuchają. Te nie wybuchły. Atlantis wzniosła się ku nocnemu niebu z hukiem i imponującym wdziękiem. Wszyscy czekaliśmy na trybunach, aż orbiter zniknie nam z oczu.

Dziesięć dni później siedziałem cały dzień w bibliotece i przeoczyłem informację. Zadzwonił do mnie jeden z kolegów. Po kilku pełnych napięcia pytaniach: „Jak tam, Matt?”, „Radzisz sobie jakoś?”, powiedział w końcu:

– Chyba o niczym nie wiesz. Na wahadłowcu wydarzył się okropny wypadek. Mówią o tym we wszystkich wiadomościach. Elle McClure odbywała spacer kosmiczny i coś się stało. Tego drugiego gościa zdołali wciągnąć do środka, choć jest w bardzo złym stanie, ale...

Dalej nie słuchałem; wypadłem przez drzwi i popędziłem chwiejnie korytarzem w poszukiwaniu telewizora i wiadomości, i prawdy. Trzęsącymi się rękami wyciągałem telefon, biegnąc na złamanie karku przez chirurgię. Nagle wpadłem na doktora Shaha, mojego bezpośredniego przełożonego.

– Spokojnie, Matt. Wszystko w porządku?

– Muszę się dowiedzieć, co się dzieje z Atlantis.

Wyraz litości na jego twarzy był jak cios między oczy.

– A tak; pojechałeś oglądać start. Znasz kogoś z załogi.

Wpadłem do pokoju pacjenta, starszego gościa w masce tlenowej.

– Mogę włączyć telewizor? – spytałem, ale nie zczekałem na odpowiedź.

Pacjent zdjął maskę.

– Nie ma nic poza informacjami o tej astronautce, co zginęła. Muszą lądować gdzieś w Szwecji. Nie mogą nawet dolecieć do starych dobrych Stanów. Wygląda na to, że ten drugi gość jest w kiepskiej formie.

Zacząłem skakać po kanałach, aż znalazłem CNN. Na ekranie pojawiła się załoga wsiadająca do autobusu w pomarańczowych kombinezonach; kamera pokazała Elle promieniejącą szczęściem. Głos komentatora powiedział:

– Doktor McClure była specjalistką misji. Jabert i McClure od sześciu i pół godziny wykonywali EVA, czyli działania poza pojazdem, kiedy mikrometeoryt przebił kombinezon Jaberta. McClure zauważyła wyciek gazów i próbowała wrócić wraz z Jabertem na pokład orbitera. W tej chwili nie mamy pewności co do stanu doktor McClure. Jabert jest w stanie krytycznym. Wahadłowiec powinien wylądować w ciągu najbliższych dwudziestu minut.

Dla tych z państwa, którzy dopiero do nas dołączyli, powtarzamy: wahadłowiec kosmiczny Atlantis ląduje awaryjnie w Arlandzie w Szwecji po tym, jak podczas prac serwisowych mikrometeoryt przebił skafander jednego z astronautów. Jest z nami Darlene Kruger, była inżynier NASA.

Obok prezentera CNN usiadła kobieta przypominająca dyrektorkę wiktoriańskiej szkoły dla dziewcząt, z włosami związanymi w surowy kok.

– To problem, który od dawna niepokoi NASA, i dlatego właśnie ograniczamy czas, jaki astronauta spędzają poza pojazdami. Choć przestrzeń kosmiczna to dosłownie próżnia, nie jest ona pusta. Cząstki małe jak pyłek kurzu podróżują z prędkością ponad sześćdziesięciu kilometrów na sekundę i dlatego potrafią przebić prawie wszystko. Aby zminimalizować ryzyko, kombinezony są wzmocnione kevlarem, a astronauta starają się pracować pod osłoną wahadłowca. W tym przypadku jednak Hubble nie zapewnił im wystarczającej ochrony.

Prezenter powiedział:

– Przedstawiciel NASA Adam Cunningham wyda teraz krótkie oświadczenie.

Adam wkroczył na podwyższenie. Nie widziałem go od roku czy dwóch. Miał trochę większe zakola i wyglądał na spiętego.

– Dziękuję. Przeczytam krótkie oświadczenie i odpowiem na kilka pytań. O trzynastej dwadzieścia trzy standardowego czasu wschodniego specjaliści misji, doktor Elle McClure, astrofizyczka, i doktor André Jabert, inżynier pojazdów lotniczych, właśnie zakończyli naprawę

teleskopu Hubble'a i przygotowywali go do wypuszczenia. Wygląda na to, że mikrometeoryt lub nawet dwa przebiły skafander André Jaberta, co doprowadziło go do utraty przytomności. Jabert posiadał jet pack. Elle McClure, połączona z wahadłowcem linką, rozpoznała problem, odczepiła się od linki i zdołała wepchnąć Jaberta do służby powietrznej, zanim jego skafander uległ całkowitemu rozhermetyzowaniu. Nie jesteśmy pewni, jak doszło do błędu w przepływie informacji, ale media doniosły, że Elle McClure pozostała poza wahadłowcem i zniknęła w przestrzeni kosmicznej. Nic takiego się nie stało. Astronautka jest na pokładzie Atlantis. Nigdy nie zamyka się wjazdu zewnętrznego, jeśli któryś członek załogi znajduje się poza promem, bo w razie awarii wjazdu nie można by było sprowadzić człowieka z powrotem na pokład. – Adam przekartkował leżące przed nim papiery. – Jabert jednakże jest w stanie krytycznym, jako że odniósł poważną ranę klatki piersiowej. Stabilizuje go lekarz pokładowy, podczas gdy Atlantis przygotowuje się do lądowania awaryjnego. Na ziemi czeka już personel medyczny. Obecnie spodziewamy się, że wahadłowiec wyląduje o osiemnastej czterdzieści standardowego czasu wschodniego.

Opadłem na puste krzesło.

– Wszystko w porządku, Matt? – spytał doktor Shah.

– Elle nic nie jest. Tak, wszystko dobrze.

Dwa dni później oglądałem przez satelitę, jak Elle, w koszulce polo NASA i spodniach khaki, nieco niepewnym krokiem podchodzi do podium w Szwecji. Odchrząknęła.

– Jestem doktor Elle McClure, specjalistka misji. Znać ten cytat z Marka Twaina, prawda? Pogłoski o mojej śmierci były mocno przesadzone. Naprawdę mocno. Ci z was, którzy widzieli, jak tu wchodzę, zauważyli pewnie, że chwieję się trochę na nogach. Jeszcze nie przyzwyczaiałam się do grawitacji ziemskiej. To wszystko. A teraz pozwolę sobie wyjaśnić najważniejsze kwestie. André Jabert jest przytomny i mówi – a nawet żartuje, że lądowanie przebiegło tak gładko, iż ledwo je pamięta. Zapewniam was jednak, że reszta załogi nigdy tego nie zapomni. Wydarzyło się coś, co NASA uznaje od jakiegoś czasu za jeden z głównych czynników ryzyka podczas spacerów kosmicznych. Eksploracja kosmosu to nieuchronnie niebezpieczne przedsięwzięcie, ale my, którzy w nim uczestniczymy, wierzymy, że warto ryzykować. Podchodzimy do naszej pracy z pasją i rozumiemy jej wymagania. Opuszczając ziemską atmosferę, zabieramy ze sobą miłość do kosmosu. Choć niektórzy wskażą na ten dzień i powiedzą, że znowu naraziliśmy życie ludzkie, ja porównuję to zdarzenie do misji Apollo 13. Pokonaliśmy przeszkody i uratowaliśmy załogę. Przygotowywaliśmy się właśnie na taką okoliczność i udało nam się wypełnić misję. Kiedy André został ranny, wszyscy rzucili się do działania i wypuściliśmy w pełni sprawny Hubble'a.

– Doktor McClure, okrzyknięto panią bohaterką. Zechce pani to jakoś skomentować? – powiedział dziennikarz z brytyjskim akcentem.

Elle zaśmiała się, ale wyglądała na skępowaną i zaszurała stopami.

– Bohaterką? Nie jestem bohaterką. Zrobiłam to, co trzeba było zrobić, do czego mnie przygotowano, czego uczy się nas wszystkich. Na pokład sprowadziła nas cała załoga Atlantis. Nasz dowódca doskonale skoordynował akcję ratunkową. Hubble jest sprawny i, powtórzę się tutaj, wszyscy żyjemy. – Elle uśmiechnęła się szeroko, ale zaraz spoważniała. – Przepraszam natomiast za nerwy, jakich przysporzyły mojej rodzinie doniesienia o mojej śmierci.

– Skoro mowa o rodzinie, rozmawiała już pani z nimi?

– Tylko z tatą. Obiecuję, że później postaram się skontaktować z resztą. Matt, jeśli tego słuchasz, wkrótce do ciebie zadzwonię.

– Kim jest Matt? To pani mąż?

Uśmiech rozjaśnił jej twarz.

– Nie. Jeszcze nie.  
None



Po wypadku Elle  
*Dzień dwudziesty siódmy*

Blythe Clarke powiedziała mi, że Paul Klein maglował ją prawie trzy godziny i zadawał bardzo szczegółowe pytania o wywiad ginekologiczny Elle. Choć wciąż miałem nadzieję, że to, co Blythe dziś powie, zaskoczy go, obawiałem się jej zeznania.

Jake zaczął od zwyczajowych pytań, mających pokazać imponujące kwalifikacje Blythe. Omówiwszy poronienia Elle i fakt, że zdiagnozowano u niej chorobę autoimmunologiczną, przeszedł do terażniejszości. Do stanu fizycznego Elle, do tego, jakie jest prawdopodobieństwo, że to dziecko urodzi się żywe. Przy wtórze kilku oddalonych sprzeciwów Kleina Jake włączył do materiału dowodowego zapis z USG, które pokazywało fikające w macicy dziecko. To dwuminutowe nagranie ukoło mnie na chwilę i nawet mama wyglądała na poruszoną; próbowała nawiązać ze mną kontakt wzrokowy, którego ja jednak unikałem.

Jake niespiesznie napił się wody, po czym podszedł do miejsca dla świadka.

– Doktor Clarke, mogłaby pani opowiedzieć o telefonie od doktora Beaulieu, który odebrała pani drugiego lutego tego roku?

Blythe skinęła.

– Tak. Jak już mówiłam, ze względu na zawodowe relacje z Linney i pozycję Matta w szpitalu zrobiłam coś, co robię bardzo rzadko: dałam im domowy numer telefonu. Wiedziałam, że Matt bardzo się martwi o Elle, ale wiedziałam też, że nie będzie mnie nagabywać. Drugiego lutego zadzwonił do mnie późnym wieczorem i powiedział, że Elle ma kłopoty. Zaczęła przedwcześnie rodzić i odeszły jej wody. Widzi pan, jeśli kobieta ma zespół antyfosfolipidowy, przez czas trwania ciąży podajemy jej heparynę, żeby zapobiec nieprawidłowemu krzepnięciu krwi. Wyznaczamy wczesny termin porodu, zwykle w trzydziestym szóstym tygodniu, bo pod koniec ciąży obserwujemy więcej powikłań. Najpierw przyjmujemy matkę do szpitala i przestajemy podawać środki przeciwzakrzepowe. Dzięki temu podczas porodu krew krzepnie prawidłowo. Następnie, kiedy jest to już bezpieczne, wywołujemy poród. Ale Elle zaczęła rodzić, gdy była jeszcze na heparynie, i doznała krwotoku.

Blythe przerwała i Jake poprosił, by mówiła dalej.

– Matt powiedział, że wezwał pogotowie i że dyspozytorka pod telefonem alarmowym radziła mu, jak ma odebrać poród, ale pępowina dziecka wypadła, co samo w sobie jest bardzo niebezpieczne.

– Doktor Clarke, oto dowód rzeczowy numer pięćdziesiąt jeden. Czy mogłaby pani określić, co to jest? – poprosił Jake.

– To schemat przedstawiający wypadnięcie pępowiny. – Blythe wstała i podeszła do ilustracji umieszczonej na sztaludze. – Pępowina dostarcza dziecku tlen. Kiedy wysuwa się przed dzieckiem, jest to niebezpieczne powikłanie, bo dziecko może stracić linię ratunkową. W szpitalu wzięlibyśmy Elle od razu na blok operacyjny i wykonalibyśmy cesarskie cięcie. W pięć minut byłaby pod narkozą. Możliwe jednak, że nawet wtedy nie uratowalibyśmy dziecka. Matt ma trochę doświadczenia położniczego, zdołał więc ustalić, że dziecko znajduje się w położeniu pośladkowym, co oznacza, iż rodzi się nóżkami, a nie główką do przodu. Był to kolejny problem. Porody przy położeniu pośladkowym są z wielu względów bardziej ryzykowne. Do tego wszystkiego Elle mocno krwawiła. Matt chciał się dowiedzieć, co ma robić.

– I co mu pani powiedziała?

– Włączył tryb głośnomówiący, żebym mogła go instruować. Z początku wiedzieliśmy,

że dziecku nic nie jest, bo w pewnym momencie można było wyczuć mocne tętno. Gdyby się udało dowieźć Elle do szpitala, zanim ucisk odetnie dziecku dopływ krwi, moglibyśmy je uratować. Powiedziałam Mattowi, żeby się starał powstrzymać poród, wpychając dziecko rękami z powrotem do środka, by nie uciskało pewnowiny. Był to dość drastyczny manewr, ale robił, co w jego mocy. Niestety przy kolejnym skurczu dziecko przesunęło się do kanału rodneg0 i odcięło sobie dopływ tlenu. To był poród nagły, co oznacza bardzo silne i bardzo szybkie skurcze. Tętno w pewnym momencie zamarło. Matt jest bystry. Nie musiałam mu mówić, że tracimy dziecko. Spytał, co ma robić, ale tu potrzebny był cud.

– Co mu pani powiedziała?

– To, co już wiedział... Powiedziałam, że gdyby byli w szpitalu, przeprowadzono by cesarskie cięcie. Ale w domu... – Blythe pokręciła głowę. – Powiedziałam, że musi spróbować jak najszybciej wyciągnąć dziecko.

– Czy słyszała pani, co się dzieje w domu Beaulieu?

– Tak – odparła Blythe. – Elle płakała i mówiła Mattowi, że powinien operować.

– W domu??

– Błagała go, żeby ratował dziecko. Matt powiedział, że nie może, że nie jest położnikiem. Że nie może przeprowadzić operacji bez znieczulenia. I że Elle by się wykrwawiła.

– Jak ona na to zareagowała?

– Powiedziała, że w kuchni są ostre noże i żeby wydobyl dziecko, nawet gdyby to miało ją zabić.

Na sali rozległo się pełne przerażenia zbiorowe westchnienie. Jake patrzył na Blythe szeroko otwartymi oczami – gdybym nie wiedział, że słyszał już tę historię, uwierzyłbym, że jego reakcja jest spontaniczna.

– Oczywiście Matt odmówił – ciągnęła Blythe – ale Elle nie przestawała go błagać, żeby ratował dziecko, żeby postawił je na pierwszym miejscu.

– Co pani wtedy powiedziała?

– Wołałam do Matta, ale on jakby mnie nie słyszał. Mówił Elle, żeby się uspokoiła.

– Ale nie... otworzył jej? – spytał Jake.

– Nie. Oczywiście, że nie. Kazał jej przeć. I parła. Ale wydostanie dziecka zajęło prawie dziesięć minut. Sytuacja była zła. A nawet bardzo zła – bo Elle obficie krwawiła.

– Była przytomna?

– Sprzeciw – powiedział Klein, zrywając się na równe nogi. – Wysoki Sądzie, świadka nie było na miejscu. To wszystko spekulacje.

– Czy słyszała pani, co się dzieje w domu? – spytał sędzia.

– Tak, proszę pana, Wysoki Sądzie. Matt miał włączony tryb głośnomówiący – potwierdziła Blythe.

– Oddalam sprzeciw. Może pan kontynuować – powiedział Wheeler.

Matka pociągała nosem, wycierała łzy z policzków i przeczesywała palcami włosy.

– Czy Elle była przytomna? – powtórzył pytanie Jake.

– Budziła się i znowu omdlewała. Matt prosił ją, żeby się postarała zachować przytomność. – Blythe pokręciła głowę. – Tętno dziecka było niewyczuwalne, więc Matt rozpoczął resuscytację. Dosłownie parę minut po porodzie przyjechała karetka. – Blythe zerknęła na Kleina i dodała: – Słyszałam ich.

– Czy kiedy Matt wykonywał resuscytację, słyszała też pani Elle?

– Płakała, modliła się i wydawała się bardzo słaba. – Blythe podniosła szklanke z wodą i napiła się. – Matt mówił Elle, żeby się położyła, ale wyglądało na to, że próbuje wstać, by pomóc ratować dziecko. Ratownicy medyczni powiedzieli, że wtedy straciła przytomność.

– Sprzeciw – powiedział Klein.  
– Jeśli pan chce, panie Klein, chętnie powołam na świadka ratownika medycznego, który był w domu Beaulieu.

– Wycofuję – odrzekł Klein z miną pokonanego.

– Proszę kontynuować – powiedział Wheeler.

– Mimo że Elle krwawiła – podjął Jake – próbowała wstać i pomóc dziecku?

– Tak – potwierdziła Blythe.

Ukryłem twarz w dłoniach. Pogrążyłem się we wspomnieniach i wstrzymałem oddech; moje ręce spoczywały na maleńkiej piersi Dylana, kciuki uciskały mostek, usta właczały powietrze do jego płuc. Podniosłem wzrok i zobaczyłem, że kałuża krwi na podłodze kuchennej robi się coraz większa, a Elle staje się coraz bledsza.

Jake położył mi rękę na ramieniu.

– Potrzebujesz przerwy? Źle wyglądasz – szepnął.

– Nic mi nie jest.

Nie była to prawda, ale nie chciałem przyznać, że czuję się, jakby moje emocje wysysały powietrze z sali, że nie mogę oddychać.

– Doktor Clarke, była pani w szpitalu, kiedy karetka przywiozła na Oddział Ratunkowy Elle, Matta i dziecko? – spytał Jake.

– Tak, przyjechałam tam. Tamtej nocy na drogach panowały bardzo trudne warunki. Spadło mnóstwo śniegu. Dotarłam do szpitala prawie trzydzieści minut przed karetką.

– W jakim stanie była Elle i dziecko, kiedy karetka dotarła do celu?

– Dziecko, Dylan... – Blythe spojrzała na mnie tak, jakby chciała powiedzieć, że zapamiętała imię, które mu nadaliśmy. – Dylan nie żył. Elle straciła dużo krwi. W karetce podano jej kroplówkę, ale co chwila traciła przytomność.

– Ile tygodni miał Dylan Beaulieu?

– Trzydzieści cztery. Z definicji, ciąża jest donoszona, kiedy dziecko rodzi się między trzydziestym siódmym a czterdziestym tygodniem, ale, jak mówiłam, u matek z zespołem antyfosfolipidowym wywołujemy poród nieco wcześniej, bo w ostatnich kilku tygodniach obserwujemy więcej powikłań. Poród Elle miał zostać wywołany dziewięć dni później, tuż przed trzydziestym szóstym tygodniem.

– Przepraszam, pani doktor, jak to „wywołany”?

– Przyjęlibyśmy ją do szpitala, odstawilibyśmy środki przeciwzakrzepowe, a następnie podalibyśmy jej lek, oksytocynę, który wywołuje skurcze porodowe.

– Mówi pani, że Elle była prawie gotowa do porodu?

– Tak, i gdyby pępowina nie wypadła, dziecku zapewne nic by się nie stało.

– Czy przed porodem Elle miała w tej ciąży jakieś inne powikłania – poza zespołem antyfosfolipidowym, na który zażywała odpowiednie leki?

– Nie. Na początku skarżyła się na lekkie zawroty głowy i poranne nudności, miała kilka siniaków od środków przeciwzakrzepowych, ale poza tym była wzorem promiennej kobiety w ciąży.

– Jeszcze jedno, pani doktor; widziała pani, jak Elle podpisuje kartę przyjęcia do szpitala, w której nie zaznaczyła, że napisała oświadczenie woli?

– Nie.

Jake pokazał Blythe jakiś dokument.

– Oto dowód rzeczowy numer pięćdziesiąt cztery. Czy mogłaby pani powiedzieć, co to jest?

– To karta przyjęcia Elle Beaulieu z mojej praktyki.

– Gdzie mogłaby zaznaczyć, że napisała oświadczenie woli?  
– Tutaj, ale to pole jest puste.  
– A więc kiedy została o to zapytana, nie powiedziała, że sporządziła oświadczenie woli?  
– Według mnie puste pole oznacza odpowiedź przeczącą – pacjentka nie napisała oświadczenia woli.  
– Czy widziała pani Elle po tym, jak straciła dziecko?  
– Tak, przyszła na wizytę kontrolną. Powiedziała, że chce jak najszybciej znowu zajść w ciążę. Radziłam, żeby poczekała sześć miesięcy, i powiedziałam, że można podjąć jeszcze jedną próbę – jeśli będziemy działać bardzo ostrożnie.  
– A czy od czasu tamtej wizyty Elle była u pani?  
– Nie, ale recepcjonistka mówiła mi, że rano w dniu wypadku Elle zadzwoniła, żeby się umówić. Została zapisana na wizytę prenatalną.  
Czyżby Elle wiedziała, że jest w ciąży?  
– To wszystko. – Jake usiadł koło mnie i szepnął:  
– Naprawdę źle wyglądasz. Poproszę o przerwę.  
Kręcąc głową, nalałem sobie wody do szklanki.  
– Ma pan jakieś pytania do świadka, panie Klein? – spytał sędzia Wheeler.  
Paul Klein zastukał ołówkiem w blat i zdjął okulary.  
– Tak, Wysoki Sądzie.  
Klein prawie godzinę wypytywał szczegółowo, co może pójść nie tak w tej ciąży. Prawda była taka, że wszystko mogło pójść nie tak, i Klein wyciskał wszystko z każdego potencjalnego powikłania.  
– Doktor Clarke, powiedział Klein, obracając w dłoni niezatemperowany ołówek. – Mówiła pani, że w czasie przyjęcia do szpitala drugiego lutego Elle Beaulieu znajdowała się w stanie wstrząsu. Zgadza się?  
– Tak. Utrata krwi wywołała u niej wstrząs hipowolemiczny – odparła Blythe.  
Wziął kartkę włączoną już do materiału dowodowego i pokazał go Blythe.  
– Rozpoznaje pani ten dokument? – spytał.  
Przyjrzała się kartce.  
– To zgoda na histerektomię. Elle krwawiła i myślałam, że może trzeba będzie usunąć macicę, by uratować jej życie, ale udało mi się zatrzymać krwawienie bez zabiegu.  
– Kto podpisał zgodę?  
– Mąż, doktor Beaulieu. W nagłych wypadkach zazwyczaj zgodę wyraża najbliższy członek rodziny.  
– Rozumiem. A czemu nie dała jej pani do podpisania Elle?  
– Jak mówiłam, Elle była we wstrząsie – co chwila traciła przytomność i nie mogła wyrazić świadomej zgody.  
– Gwoli uściślenia, Elle była w takim stanie, że nie zdołałaby zrozumieć w pełni treści zgody?  
– Zapewne nie.  
– Ale podpisała formularz, który zawierał pytanie o to, czy ma oświadczenie woli?  
– Nie widziałam, jak go podpisuje.  
– Ale jako lekarz nie pozwoliła jej pani podpisać zgody na własny zabieg. Zgadza się?  
Blythe zacisnęła zęby.  
– Tak.  
– Nie mam więcej pytań, Wysoki Sądzie – powiedział Klein.  
Spojrzałem na Jake'a, żeby zobaczyć jego reakcję. Miał zamknięte oczy i zaciśnięte usta.

Odwrócił się do mnie i szepnął:

– Myślę, że jeśli wszystko zawiedzie, uda nam się przekonać Sąd Najwyższy do rewizji sprawy, ale to może być długa i trudna walka.

W czasie przerwy, gdy wyszedłem na korytarz, mama chwyciła mnie za ramię.

– Muszę z tobą porozmawiać.

– Nie mogę. Już nie. Nie teraz. – Strząsnąłem jej rękę.

Oślepił mnie flesz aparatu fotograficznego. Kręciło mi się w głowie, a ten flesz popchnął mnie ku krawędzi. Zacząłem się przedzierać przez zatłoczony korytarz.

– Doktorze Beaulieu, za chwilę ma pan zeznawać – usłyszałem czyjś głos. – Jak może pan z ręką na sercu twierdzić, że pańska żona chciałaby być trzymana przy życiu, skoro napisała oświadczenie woli?

Choć wiedziałem, że Jake kazałby mi się ograniczyć do niespożytego „bez komentarza”, odwróciłem się i zobaczyłem, że to dziennikarka, która mnie ciągle podpuszcza.

– Moja, żona, kobieta, którą kocham, kobieta, po której stracie rozpaczam tak, że pani nie może sobie tego nawet wyobrazić, kobieta, którą znam lepiej niż ktokolwiek inny – ufała mi. A ja nigdy nie podjąłbym takiej decyzji, gdybym nie wierzył, że mój syn lub córka żyje. Syn lub córka Elle wciąż żyje. Moje dziecko. I muszę o nie walczyć. Niezależnie od tego, co mówią inni.

– Nawet jeśli Elle tego nie chciała? Skazał ją pan na tortury, żeby ocalić...

– Elle chciałaby, bym zrobił wszystko, żeby uratować dziecko. – Przcisnąłem się obok dziennikarki.

– Matt, proszę... – powiedziała mama.

Kiedy wślizgiwałem się do łazienki, zobaczyłem, jak dziennikarka osacza matkę i wciska jej mikrofon w twarz.

Mama pogroziła jej palcem.

– Niech pani nie waży się sugerować, że on jej nie kocha.

Po przerwie Jake wezwał mnie na świadka i zadał kilka wstępnych pytań, po czym przedstawił kolejny dowód – nagranie z uroczystości ślubnej.

– Wysoki Sądzie, chciałbym pokazać fragment tego filmu, a następnie zadać doktorowi Beaulieu kilka pytań na ten temat.

– Proszę.

Pracownik Jake'a o dziecięcej twarzy wwiózł płaski telewizor, wsunął DVD i włączył odtwarzanie. Wybrany kawałek przedstawiał wesele, które odbyło się w sali bankietowej pobliskiego zajazdu.

Kiedy pojawił się dołeczek Elle, wiedziałem, że coś się szykuje. Miała tylko jeden, po prawej stronie, i wyskakiwał tylko wtedy, gdy zamierzała napsocić. Pochyliła się i szepnęła mi do ucha:

– Pamiętaj, że cię kocham.

Elegancka jak księżniczka, w białej jedwabnej sukni, uniosła kieliszek szampana i rozpoczęła toast.

– Byłam dziewczyną z sąsiedztwa, smarkułą, która łąziła za złotym chłopcem. No dobrze, wszyscy chłopcy Beaulieu byli złoci, ale ja uwielbiałam Matta. – Puściła do mnie oko. – Ale minęły lata, a kiedy cztery miesiące temu wreszcie zdecydowaliśmy się pobrać, wszyscy Beaulieu kolejno przychodzili do mnie i mówili najzupełniej poważnie: „Daj spokój, Elle. Przecież wiesz, że to błąd. Matt? Chyba żartujesz”. Wiecie, co im odpowiedziałam? „Założyłam się z cheerleaderką, z którą chodził w szkole, że ja pierwsza zaciągnę go do ołtarza”. Właśnie tak. Założyłyśmy się o tubkę żelu do włosów. A teraz... – Elle pogładziła ręką jedwabiste, proste blond pasma, tak starannie ułożone na nasz ślub, po czym ciągnęła dalej: – Nie używałam żelu do

włosów, od czasu gdy minęła moda na wielkie fryzury lat osiemdziesiątych, więc nie jest to prawdziwy powód, dla którego za ciebie wychodzę, Matt. – Spojrzała mi w oczy. – Wychodzę za niego, bo podziwiam jego inteligencję i dobroć. Wychodzę za niego, bo już jest częścią mnie. Bo jest jedyną osobą, która zawsze wiedziała, co kryje się w moim sercu. Bo ufam, że będzie wiedział, czego potrzebuję, kiedy sama nie będę mogła tego dociec. Bo kocha mnie, a ja kocham jego. I potrzebuję go. – Pochyliła się i pocałowała mnie. Rozległy się oklaski.

Posadziłem ją sobie na kolanach, ująłem jej twarz w dłonie i przyciągnąłem ją do siebie. Chciałem, żeby ta chwila trwała wiecznie.

Jake wcisnął pauzę i ten ostatni kadr zamarł na ekranie. Elle siedząca mi na kolanach w sukni ślubnej; ja w smokingu. Dopadł mnie potężny ból wywołany pustką w moich ramionach. Najpierw ogarnął lewą rękę. Potem szczękę. I klatkę piersiową.

Jake zrobił kilka kroków w stronę sędziego i zasłonił mi sobą ekran.

– Matt, czy Elle przygotowała sobie tę przemowę?

Jezu. Źle się czuję. Pewnie coś złapałem, ale muszę to jakoś przetrwać. Muszę przekonać sędziego.

– Przypuszczam, że zaplanowała ją, ale nie słyszałem jej przedtem.

– Jak długo znasz Elle?

Odchrząknąłem i spróbowałem zaczerpnąć powietrza.

– Całe życie i wyłączając parę lat po poważnej kłótni, zawsze byliśmy blisko, przyjaźniliśmy się. Nawet kiedy była z Adamem, utrzymywaliśmy kontakty i rozmawialiśmy praktycznie co tydzień. Czasem częściej, czasem rzadziej. Rozmawialiśmy, nawet gdy byłem zaręczony z kimś innym. Elle mi ufała. A ja ufałem jej. – Wpatrywałem się w ekran, w jej twarz, próbując skupić się na niej, a nie na potwornym bólu, który czułem.

Nie zdałem sobie nawet sprawy, co się ze mną dzieje; zawroty głowy przypisałem fali żalu. A potem poczułem w piersi potężny ucisk. Wtedy dotarło do mnie; mam zawał serca. Rozłożyłem i zacisnąłem lewą dłoń i utkwilem wzrok w mojej obrączce. Miałem przed oczami twarz ojca. Był niewiele starszy niż ja teraz. Widziałem go w trumnie. Martwego. Z powodu zawału. I nagle poczułem strach. Potrzebowałem Elle. Musiałem mieć pewność, że jeszcze ją zobaczę. Przesunąłem się na siedzeniu, żeby spojrzeć na jej twarz – jeden ostatni raz. Boże, Proszę. Ale osunąłem się i zobaczyłem tylko ciemność.

None

Dzień dwudziesty siódmy

Przeszył mnie żar, wstrząs, od którego zagotowała mi się krew. Moje ciało zatrzęsło się, jakby uderzyła w nie nieznaną siłą. Potem ogarnął mnie mrok. Ze światem łączył mnie tylko potężny ból w piersi. Pogrążyłem się w nicości.

Cisza.

Sine światło.

Wirowanie.

Potem powróciły dźwięki. Bip, bip, bip, bip, zlewające się w jedną nutę. Popadłem w panikę, jakbym był zanurzony w zbiorniku z wodą i nie mógł nabrać powietrza.

Nade mną stała Elle w stroju ratownika, a jasne włosy otaczały jej głowę niczym aureola.

– Matt, nie możesz zdejmować maski tlenowej. Uspokój się.

Ale jej jedwabisty głos zabrzmiał nisko i donośnie. Może intubacja uszkodziła struny głosowe. Przed moimi zasnutymi mgłą oczami jej miejsce zajął przysadzisty facet.

W ustach miałem cierpki smak aspiryny.

– Elle?

– Ćśś, Matt. Wszystko w porządku. Elle jest w szpitalu – powiedział kobiecy głos, ale to nie był głos Elle. To głos Blythe.

– Była tu. Widziałem ją – powiedziałem.

Panika rozszalała mi się w żyłach niczym cyklon. Muszę znaleźć Elle, ale moją pierś przytłaczał ogromny ból.

– Już dobrze, Matt. To był sen.

– Boli. – Zwinąłem się pod przytłaczającym ciężarem.

Rany, strasznie mnie boli klatka piersiowa. Co się stało? Jestem przypięty do noszy – w karetce – stąd te szarpnięcia. Jechaliśmy Portland Street. W zgięciu łokcia czułem podłączoną kroplówkę, a na piersi elektrody EKG. Spróbowałem wstać. Potrzebowałem tlenu.

– Leż spokojnie – powiedziała Blythe. – Wygląda na to, że dostałeś zawału. Może policzę ci za wizytę domową. Wizytę sądową. – Jej chichot zdawał się wymuszony i podyktowany chęcią uspokojenia mnie.

Sala sądowa. Zeznanie. Twarz Elle na ekranie. Boże, Elle. Ona spadła z drabiny, a ja dostałem zawału. Mój ojciec. Martwy. Bałem się. Chciałem znaleźć się przy żonie, choć wiedziałem, że ona leży w szpitalu z poważnym uszkodzeniem mózgu i gaśnie. Wiedziałem to wszystko, ale i tak spytałem:

– Gdzie jest Elle? – Zamrugalem, patrząc na Blythe i przysadzistego ratownika. Elle tu jest. Widziałem ją.

Karetka zatrzymała się, gdy na mojej piersi znowu złądował słoń. Nie mogę oddychać. Nie mogę.

Przez kilka minut albo kilka godzin leżałem na noszach na Oddziale Ratunkowym albo na Oddziale Intensywnej Terapii Kardiologicznej. Nie wiem dokładnie gdzie – tylko że gdzieś. Leki stłumiły ból, ale sprawiły też, że widziałem wszystko jak przez szron. Ciężar w klatce piersiowej łączył mnie z życiem. A potem łączność się zerwała. Do łóżka podjechał wózek reanimacyjny i usłyszałem nutę przerażenia w znajomym głosie mówiącym:

– Intubujemy go.

Kiedy świat wokół spowiła mgła, zdałem sobie sprawę, że muszę komuś powiedzieć, iż Elle chciałaby, by dziecko przeżyło, nawet jeśli my oboje umrzemy.

\*\*\*>

Nie licząc kilkugodzinnego pobytu w szpitalu z powodu złamania nogi, kiedy miałem siedemnaście lat, nigdy nie byłem tam jako pacjent. W latach pracy zawodowej spędziłem mnóstwo czasu, chodząc po korytarzach, badając chorych, wbijając skalpel w cudze ciała. Jako mąż czułem, że całe wieki patrzę, jak moja żona umiera w szpitalnym łóżku. Ale ta perspektywa była inna... niejasna, wąska i nieostra.

– Spokojnie, Matt. Zaraz ci wyjmę tę rurkę. Na trzy masz zakasłać – powiedział jakiś facet w białym fartuchu. – Raz... dwa... trzy.

Wyszarpnął mi z krtani rurkę intubacyjną, a ja zacząłem się krztusić. Potworne pieczenie w gardle i nieustający ból w piersi walczyły o pierwsze miejsce na liście moich dolegliwości.

Zacząłem się dławić i charczeć.

– Co się stało?

Wsunął mi do nosa kaniulę tlenową.

– Jestem Randall Zane, twój pan kardiochirurg, do usług. Chyba się jeszcze nie znamy. W skrócie było tak: zasłabłeś, potem miałeś migotanie komór – a może na odwrót. Wygląda na to, że masz zawał ściany przedniej, dostajesz więc standardowy zestaw: lidokainę, fentanyl, nitroglicerynę. Trochę ci odbiło, pewnie od fentanylu. Musieliśmy cię unieruchomić. – Uwolnił moje nadgarstki z pasów. – Przy takim wywiadzie rodzinnym powinieneś uważać na cholesterol. Jest potwornie wysoki.

– Czy to ciężki zawał? – Mój głos był słaby i napięty, chrypiący, jakbym miał zapalenie gardła.

– Dosyć, ale obszar martwicy nie jest duży. Niestety koronarografia wykazała prawie dziewięćdziesięciopięcioprocentową niedrożność prawej tętnicy wieńcowej. Konieczne będą by-passy.

– Mam ćwiczyć na by-passach. W porządku. – Oszołomiony lekami, myślałem, że mówi o jakichś urządzeniach na siłowni.

– Nie, Matt. Musimy ci wszczepić by-passy. Pomosty naczyniowe.

– Cholera. Wiem przecież. Studiowałem medycynę. Jestem zupełnie nieprzytomny. Co mi podajecie przez tę kroplówkę?

– Jak już mówiłem, fentanyl. Trochę cię oszołomił. Obiecuję, że nie powiem twoim kolegom o tej wpadce. – Zaśmiał się, ale zaraz spoważniał. – Za parę godzin bierzemy cię na salę operacyjną i wszystko naprawimy.

– Gdzie Elle? Wie, że jestem tutaj?

Jest taki rodzaj milczącego współczucia, które pojawia się na twarzy lekarza, gdy on wie coś, czego nie wie jego pacjent. Wiem; nieraz sam przybierałem ten wyraz.

– O co chodzi? – W moich żyłach znowu popłynął strach. – Gdzie Elle? Gdzie ona jest?

Długo milczał, po czym powiedział.

– Nie wiem, w jakim stanie jest twoja żona. Jesteś na OITK. Oddziale Intensywnej Terapii Kardiologicznej.

Wtedy do mnie dotarło. Elle. Nie może do mnie przyjść. Boże, leży na OIT. Ale ta jej część, która się liczyła, ta, która się ze mną przyjaźniła, ta, która sprawiała, że czułem się w pełni człowiekiem i mężczyzną, ta jej część już nie istnieje, a moja samotność niemal mnie pochłonęła. Potrzebuję jej bardziej niż kiedykolwiek, a ona odeszła.

– Potrzebuję jej – powiedziałem na głos. Jak chłopiec płaczący za czymś, czego nie może mieć. I wyzbywszy się wszelkich zahamowań, zaszlochałem.

Z kąta pokoju dobiegł mnie głos matki.

– Och, Matty, kochany. – Znalazła się przy mnie i przytuliła moją rękę z wenflonem. – Wiem, że chcesz do Elle; wiem, ale musisz odpoczywać.



– To tak boli – powiedziałem. – Elle. Och, nie mogę. Może mieliśmy umrzeć razem. Może...

– Nie wolno ci się poddawać. – Zaciśnęła szczęki, ale zauważyłem, że się trzęsie.

Matka wydawała mi się równie nierzeczywista jak Elle, gdy zobaczyłem ją w karetce – jakby mama też mogła się w każdej chwili rozpląnąć w powietrzu, a przynajmniej zniknąć mi z oczu. Byłem tak słaby, że wszyscy mogli zniknąć w ten sposób.

– Muszę zobaczyć Elle – powiedziałem.

– Zajrzę do niej.

– Nie. Ty się do niej... nie zbliżaj. – Głos mi się załamał, kiedy próbowałem wstać z łóżka. Dziecko. Mama nie może zostać jedyną osobą decydującą w imieniu Elle.

– Matt, skarbie, posłuchaj mnie. Wiem, jak bardzo ją kochasz. Gdyby tylko mogła, byłaby tutaj.

– Alice. Wpis w pamiętniku. – Z trudem łapałem powietrze.

Mama ujęła mnie pod brodę, żebym zamknął usta i zaczął oddychać nosem.

– Oddychaj, skarbie. Głębokie wdechy. Już dobrze. Rozumiem. Nikt nie odłączy Elle od aparatury podtrzymującej życie. Nikt. O tym właśnie chciałam z tobą porozmawiać w sądzie, po zeznaniu Blythe. Chyba już rozumiem, co chciałeś mi powiedzieć. O stosunku Elle do Dylana. Ale teraz oddychaj, proszę, przez kaniulę; musisz dojść do siebie. Potem wszystko omówimy. Wspólnie. Dojdziemy razem, czego chciałaby Elle, i spełnimy jej życzenie.

Odsunąłem dłoń mamy, bo coraz bardziej brakowało mi powietrza.

– Powinna pani wyjść, pani Beaulieu. Matt nie może się emocjonować – powiedział Zane.

– Nie... – Próbowałem krzyknąć: „Nie idź, mamol!”, ale byłem tak zachrypnięty po rurce intubacyjnej, że udało mi się wydać z siebie tylko żaloszny charkot.

Byłem małym przerażonym chłopcem z obolałym i słabym sercem. Kuliłem się na myśl o tym, co może zrobić moja potężna matka i co zrozumiała. Pragnąłem, żeby trzymała mnie za rękę, kiedy będę umierać.

– Pomóż mi. Elle. Boże, Elle.

– Spokojnie, Matt – powiedział Zane. – Pozwól nam zaopiekować się tobą, a my sprawdzimy, co z twoją żoną. Zobaczę, czy ktoś z OIT może ci powiedzieć, jak wygląda sytuacja. – Podniósł wzrok na pielęgniarkę. – Załóżmy mu maskę z rezerwuarem.

Pielęgniarka wyjęła mi z nosa kaniulę i włożyła mi na twarz maskę tlenową.

„Mamo – pomyślałem – wróć”. Zaciągnąłem się tlenem i przestałem się rzucać, a mama wyszła z pokoju na palcach. Podniosłem maskę.

– Blythe Clarke. Muszę porozmawiać z lekarką Elle.

– Znam Blythe. To świetna specjalistka – odrzekł Zane. – Jestem przekonany, że zapewni twojej żonie doskonałą opiekę. – Pochylił się i przemówił do mnie konspiracyjnie: – Posłuchaj, słyszałem, że uparty z ciebie gość, że skupiasz się całkowicie na jednej sprawie i chciałbym, żebyś teraz skupił się na odpoczynku. Pozwól mi naprawić ci serce. A teraz trzymaj tę maskę na twarzy, bo inaczej będę cię musiał zaintubować.

Podniosłem maskę.

– Nie mogę mieć teraz operacji. Muszę zobaczyć Elle. Ona jest w ciąży.

Włożył mi maskę z powrotem.

– To może zaczekać. Do zobaczenia na sali operacyjnej.

– Zaraz. Daj mi chwilę. – Próbowałem przedrzeć się przez mgłę wywołaną lekami, kręcąc głową jak oszołomiony ciosami bokser. – Nie chcę operacji.

Protekcjonalna mina Zane'a mówiła: „Idiota”.

– Zważywszy twoją reakcję na podane ci środki, chyba nie możesz wyrazić świadomej

zgody na zabieg. Poproszę twoją matkę, by podjęła decyzję w twoim imieniu.

– Nie. Tylko nie ją. Chcę się zobaczyć z moim adwokatem, Jakiem Sutterem.

– Adwokatem?

Prawnicy budzą w lekarzach lęk przed procesem o błąd w sztuce. Nawet otumaniony lekami, zdawałem sobie z tego sprawę.

– Muszę spisać oświadczenie woli i zadbać, żeby nikt go nie podważył. I muszę zobaczyć żonę. Zawieźcie mnie na OIT. Możecie mnie tam leczyć. Muszę ją zobaczyć. – Chciałem się upewnić, że Elle żyje, bo jeśli nie, jeśli dziecko zmarło, nie mam żadnego powodu, by żyć dalej.

Zacisnął usta z dezaprobatą.

– Jeśli mnie tam nie zawieziesz, a wiem, że możesz to zrobić, wypiszę się na własne żądanie.

– To byłoby głupie. Zresztą nie doszedłbyś nawet do drzwi.

– W takim razie zrób to dla mnie. – Powiedziałem. Miałem trudności z układaniem słów w logiczne zdania. – Może i... umieram, ale muszę ją zobaczyć, zanim... otworzysz mi klatkę piersiową.

Przysypiałem i budziłem się; środki przeciwbólowe zaburzyły mi poczucie czasu. Czyjaś ręka trąciła mnie w ramię.

– Matt? Tu Blythe. Twój lekarz powiedział, że przed operacją chcesz się dowiedzieć czegoś więcej o stanie Elle.

Widziałem niewyraźnie, jakbym patrzył przez bryłę lodu, ale zobaczyłem różową opaskę na białej plamie włosów.

– Co z nią?

– Bez zmian. Jest dość stabilna.

– A nerki?

– Musisz przestać się o nią martwić.

– Blythe, czy jej stan się pogorszył?

– Nie pogorszył się. Jeśli Elle da radę, dziecko będzie cię potrzebować.

Głęboko wciągnąłem tlen przez rurkę w nosie.

– Uratowałaś mi życie.

– Moja pierwsza resuscytacja od lat. Szczęściar z ciebie, że mam aktualny certyfikat. I że w gmachu sądu był defibrylator. Musieliśmy cię strzelić prądem.

– Dziękuję, ale niezależnie od tego, co się ze mną stanie, błagam, uratuj dziecko. – Dziecko. Robi fikołki w brzuchu Elle. Kopie, choć ona nigdy tego nie poczuje.

– Posłuchaj mnie. To ty musisz zaopiekować się dzieckiem.

Kiedy Blythe sobie poszła, pograżyłem się w snach o Elle na tarasie, wpatrzony w niebo. Śniłem, że ją przytulam. Śniłem o dawnych czasach, kiedy jako dzieci pływaliśmy w rzece przy gospodarstwie dziadka, i śniłem z przerażeniem, że odwraca się ode mnie po tym, jak ją zdradziłem. „Wróć” – błagałem ją.

Gdyby Jake Sutter był jeszcze trochę bledszy, wstałbym, żeby on mógł się położyć. Ani razu nie przyszedł do Elle, ale teraz stoi oto w nogach mojego łóżka szpitalnego.

– Ee... jak... ee, bardzo cię boli? – Jake wytarł czoło z potu.

Leki zmniejszyły ból. Wziąłem głęboki oddech przez kaniulę nosową.

– Można wytrzymać. Matka wspominała o dogadaniu się w sprawie Elle. Nie wiem, czy powiedziała to tylko dlatego, że...

– ...padłeś trupem na sali sądowej.

– Nie umarłem.

Jake przekrzywił głowę.

– Na moje oko niewiele ci brakowało. Dopóki nie minie ten...kryzys, nie powinniśmy niczego z góry zakładać, ale masz rację, możliwe, że zrezygnuje z procesu.

– Nie jesteś jednak przekonany?

Zacisnął swoje cienkie usta.

– To twoja matka. Chce, żebyś przeżył.

– Muszę mieć pewność, że ona nie ma żadnej mocy prawnej w kwestii mojego zdrowia.

– Nie sędzę, żeby miała kazać cię odłączyć.

Pokręciłem głową.

– Nie, ale może się postarać, by uznano mnie za niezdolnego do czynności prawnych albo coś w tym stylu. W tej chwili ona jest moją najbliższą rodziną.

– To by wymagało decyzji sędziego, ale w porządku. Czy dla spokoju wolałbyś dać pełnomocnictwo któremuś z braci?

– Na sali operacyjnej wiele może się zdarzyć. To poważny zabieg. Zapewne wyjdę stąd za kilka dni, ale gdybym nie mógł opuścić szpitala, moi bracia nie postawią się matce. Chcę spisać oświadczenie woli i dać pełnomocnictwo tobie.

– Mnie? Chcesz, żebym ja podejmował decyzje w sprawie twojego zdrowia? – Jake pomasaował sobie skronie. – W szpitalu?

Przytaknąłem.

– I na pewno nie wolałbyś kogoś z rodziny? – Trząśł się jak skazaniec przed szubienicą.

– Ty możesz powstrzymać moją matkę przed odłączeniem Elle od aparatury podtrzymującej życie.

– Także pełnomocnictwo nie da mi możliwości powstrzymania twojej matki przed wypełnieniem woli zawartej w testamencie życia Elle. Albo w dokumencie, który przedstawił Adam Cunningham. Dobry Boże. – Wymamrotał coś niezrozumiale. – Z prawnego punktu widzenia to są dwie odrębne kwestie. Ale mógłbyś uczynić pełnomocnikiem ojca Elle. Wtedy, gdyby coś ci się, nie daj Boże, stało, on jako jej ojciec będzie mógł dalej walczyć, by nie odłączono jej do urodzenia dziecka.

Dziecka, którego może nigdy nie zobaczę. Którego Elle nigdy nie zobaczy.

– Tylko do tego czasu. Musisz zadbać o to, żeby potem Hank pozwolił Elle odejść w pokoju.

„Idźcie w pokoju Chrystusa”, rozbrzmiało mi w głowie niczym pieśń.

Jake spuścił oczy i skinął.

– Na wypadek gdyby coś ci się stało, powinieneś sporządzić nowy testament, wyznaczyć wykonawcę, opiekuna dziecka i ustanowić powiernictwo. Służę ci w każdej formie, jaką uznasz za stosowną. Ale, Matt, pozwól, że coś ci powiem: nie umieraj.

– Mój ojciec zmarł na zawał. – Mój ojciec martwy i zimny w otwartej trumnie. Gdyby ze mną też tak się stało, zostawiłbym po sobie nie czterech dorosłych synów, lecz jednego noworodka. Nie mogę zostawić mojego dziecka samego.

– To nie znaczy, że ty też umrzesz – powiedział Jake.

Ale muszę mieć pewność, że ktoś zajmie się dzieckiem, będzie o nie walczył. Jeśli umrę, dzieckiem zaopiekuje się mój brat Mike i jego żona. Sporządziłem już testament. Wykonawcą jest Hank, bo ma smykałkę do pieniędzy. Niech więc zostanie moim pełnomocnikiem. Wiem, że Hank będzie walczyć o to dziecko.

– Przygotuję dokumenty.

Jake zerknął w bok. I, o ile leki nie zmały mi wzroku, uronił kilka łez. To chyba halucynacja.

Do pokoju weszła pielęgniarka.

– Matt, masz coraz więcej wstawek trigeminii, kardiolog każe ci odpocząć.  
– Co to trigeminia? – spytał Jake.  
– Rodzaj arytmii – wyjaśniłem. – Nieprawidłowego rytmu serca. – I to nie był dobry znak. Cholera, niedobrze ze mną.

Zanim zdążyłem zaprotestować, pielęgniarka wstrzyknęła mi coś do wenflonu.

– To środek uspokajający – powiedziała.

W niecałą minutę, której potrzebowałem, żeby powiedzieć: „Musimy najpierw skończyć”, lek rozprzestrzenił się po moim ciele i już przytulałem się do Elle. Głowę miała złożoną w zgięciu mojego łokcia, a jej miękkie włosy muskały mi twarz. Pragnąłem jej i przyciągnąłem ją bliżej. Leżeliśmy razem w łóżku szpitalnym w stylu Salvadora Dalego, odkształconym i szerokim. W moim farmakologicznym oszołomieniu było naturalne, że położyli nas razem. Wiadomo było, że w ten sposób szybciej ozdrowiejemy. Spróbowałem osadzić się w rzeczywistości. To OIT czy OITK? Ani jedno, ani drugie. Byliśmy w naszym domu, na poddaszu, z szeroko otwartymi drzwiami na taras, owiewani jesiennym powietrzem, przesyconym prądem rzeki.

– Nie próbuj tego zrozumieć – szepnęła Elle. – To nasz czas. Na zawsze.

– Umarłem? – Co dziwne, nie bałem się. Póki byłem z nią...

– Nie – odparła. – Podali ci środek uspokajający. To pewnie pomysł twojej mamy. Żebyś nie mógł załatwić z Jakiem... Zresztą nieważne. Jesteś tu, ze mną. Tęskniłam za tobą.

Odgarnąłem jej włosy z twarzy, by zapamiętać ją taką. Była żywa, a od tygodni patrzyłem tylko, jak coraz bardziej zastyga.

– Jesteś duchem?

– Nie wierzysz w zjawy, duchy ani w nic, czego nie możesz zobaczyć.

– Wierzę w ciebie – powiedziałem.

– Śniesz słodkie sny. Jestem tutaj. Ty też. Ale...

Usiadła nagle, a pościel zsunęła jej się do pasa. Była naga, wyraźnie ciężarna.

– Słyszałeś?

Ktoś powiedział: „Odsunąć się”.

– Defibrylują kogoś.

– Mnie? – Bałem się, ale nie tak bardzo, bo ona była przy mnie. Mogłem z nią zostać.

Rozejrzała się.

– Nie, z tobą wszystko dobrze. Jesteś na haju od leków, ale tak jest lepiej. Straciłeś instynkt samozachowawczy. To zabawne. Zawsze mówiłeś, że to ja jestem lekkomyślna.

– Niezupełnie lekkomyślna. Nie ceniłaś sobie swojego bezpieczeństwa tak bardzo, jak ja ceniłem sobie ciebie.

– Hmm... Nigdy nie podjęłam jakiegoś szczególnego ryzyka.

– Nie powinnaś była wchodzić na tę drabinę. Wiedziałaś, że jesteś w ciąży.

– W tej kwestii masz rację, ale jest w tym też pewna poetyczna ironia. Bez trudu spacerowałam w kosmosie. A na ziemi spadłam z drabiny. Nie jestem szczególnie finezyjna. – Pocałowała mnie w czoło, w czubek nosa, w usta.

Przebiegłem dłońmi po jej ciele, po nabrzmiałych piersiach, po brzuchu. Był znacznie bardziej okrągły niż jeszcze przed chwilą.

– Chcę, żeby temu dziecku się udało – powiedziałem.

– Ona ma już imię.

– Ona? Wiesz coś, czego ja nie wiem?

– Wiem wszystko, czego ty nie wiesz – uśmiechnęła się z wyższością. – To dziewczynka.

– Dziewczynka? Celina?

– Nie. Ona jest naszą nadzieją, cudem, powodem, dla którego nie tracisz wiary. Połóż tu rękę. Kopie. Oni jej jeszcze nie czują, ale ty tak. Widziałeś USG. Ona żyje. Fika. A nikt nie będzie o nią walczyć, jeśli ty nie przeżyjesz.

– Pip... pozwoliłaś mi poczuć, jak dziecko kopie.

– Oczywiście. To nasze dziecko.

– Nasze dziecko. Tak. Czemu nie powiedziałaś mi o oświadczeniu woli? Czemu nie uczyniłaś mnie pełnomocnikiem?

Elle wzruszyła ramionami.

– Nie o tym teraz mówimy. – Przycisnęła sobie moją dłoń do brzucha, który wyglądał teraz jakby była w dziewiątym miesiącu. Znowu poczułem kopnięcie. Było takie rzeczywiste, tak pewne.

– Ona jest jedyną żywą częścią mnie, Matt. Tylko ona się liczy.

Zacisnąłem powieki. Elle się liczyła. Dla mnie. Elle się dla mnie liczyła i nie mogłem spuścić z niej wzroku. Nigdy więcej. Nie mogłem nawet mrugnąć. Kiedy otworzyłem oczy, Elle trzymała na rękach noworodka, otulonego różowym kocykiem.

– Nie chcesz poznać jej imienia?

Dziecko miało jasne blond włoski i spiczastą bródkę Elle.

– Ma na imię Hope.

– Chcesz potrzymać swoją córkę? – uśmiechnęła się radośnie Elle.

– Tak. Boże, tak. – Sięgnąłem po dziecko, nasze dziecko.

– W takim razie musisz żyć. – I obie rozplynęły się w powietrzu.

None

Dzień trzydziesty drugi do trzydziestego piątego

Nie byłem świadomy tego, co wydarzyło się przez następne pięć dni, ale później przeczytałem swoją historię choroby. Najprościej mówiąc, zrobiłem wszystko, co możliwe, żeby umrzeć. Zanim dowieźli mnie na salę operacyjną, miałem ponowne zatrzymanie krążenia. Potem krwotok. Był nawet problem z uruchomieniem mojego serca po zabiegu.

Czy zobaczyłem cudowne białe światło? Nie. Zobaczyłem Elle. To był sen, halucynacja albo endorfiny zalewające mój mózg. Nieważne, co to było. Nigdy przedtem nie wierzyłem w takie bzdury, ale teraz... nie miałem pewności.

Czasem wybieramy, czemu chcemy zaufać. Ojciec Meehan nazywał to wiarą, a ja wierzyłem w Elle. Nie widziałem żadnego powodu, żeby to zmieniać. Chciałem wierzyć w nią i w to, że mieliśmy możliwość się pożegnać.

Ojciec Meehan przyszedł mnie odwiedzić, a kiedy powiedziałem mu o mojej wizji, spytał, czemu uważam, że to nie wydarzyło się naprawdę.

Bo... takie rzeczy się nie zdarzają.

Przypomniał mi, że przy bierzmowaniu przyjąłem imię Tomasz, imię niedowiarka, i powiedział, że to był słuszny wybór.

– Ale pamiętaj, Matt, Tomasz ostatecznie uwierzył. Jeden z pierwszych ogłosił: „Pan mój i Bóg mój”.

Jasne, pomyślałem z dużą dozą sceptycyzmu; ale może jednak jest w tej ułudzie ziarnko prawdy.

Kiedy doktor Zane zdejmował mi opatrunek z przypominającej suwak blizny na mostku, powiedział, żebym mówił mu Randall.

– To ci starczy na następne czterdzieści lat albo sto pięćdziesiąt tysięcy kilometrów, zależy, co wyrobisz pierwsze.

– Tylko sto pięćdziesiąt tysięcy? Tyle przejeżdżam samochodem w trzy czy cztery lata – odparłem.

– W takim razie proponuję, żebyś od teraz uważał, jaki olej wlewasz do silnika. Postaw na nienasycony i zapomnij o wersji trans.

– Świetnie, żartowniś ze skalpelem.

– A jakże. Dzięki mnie wszyscy konali ze śmiechu, kiedy masowaliśmy ci serce. Konali, łapiesz?

– Dobra, dobra – zaśmiałem się, trzymając się za bliznę. – To boli.

– Cały zespół chirurgiczny wykonał kawał dobrej roboty.

– I bardzo to doceniam – powiedziałem.

Informacja o moim zawale i fakcie, że otarłem się o śmierć, znalazła się na pierwszych stronach gazet. Powinienem się już do tego przyzwyczaić, ale jakoś nie mogłem. Niektórzy mnie krytykowali, zupełnie jakbym chciał w ten sposób celowo dolać oliwy do ognia, a inni robili ze mnie bohatera tragicznego. Choć żadne z nas nie próbowało się zabić, nagle stałem się Romeem, a Elle Julią. Ale ja myślałem tylko o tym, że gdy odzyskałem przytomność, Elle się obudziła.

Tak naprawdę wcale się nie obudziła, ale tak napisały gazety. I to orzekli obrońcy życia. I w to początkowo wierzył Hank.

– Mówiłem ci, że moja córeczka z tego wyjdzie.

Nie wyszła. Co prawda zaczęła samodzielnie oddychać, ale wciąż nie miała odruchu wymiotnego. Nie miała odruchu rogówkowego i nie reagowała na bodźce bólowe. Był to inny rodzaj trwałego stanu wegetatywnego, przypominający bardziej ten, w jakim była Terri Schiavo,

kiedy gazety pisały, że zdaje się uśmiechać.

Elle jednakże nie uśmiechnęła się ani razu. Nie żeby się krzywiła albo wykazywała oznaki cierpienia, a jednak trudniej mi przychodziło patrzeć na nią teraz, gdy sprawiała wrażenie, jakby była przytomna. Pragnąłem, żeby na mnie zareagowała; pozalekarska część mojej istoty wciąż liczyła, że na mnie zareaguje.

– Ale... – powiedział Hank.

Pokręciłem głową na swoim szpitalnym łóżku.

– Elle odeszła. Nie cierpi. A dziecko ma teraz większe szanse. To dobrze.

– Nie uważasz, Linney – zwrócił się Hank do mojej matki – że stan Elle może ulec dalszej poprawie? W jednej kwestii zmieniłaś już zdanie.

Mama odwróciła wzrok i pokręciła głową.

– Wiem, że Elle jest twoim dzieckiem, ale nie. Musimy pogodzić się z tym, że ona odeszła, ale spróbujemy uratować twojego wnuka.

– To też twój wnuk, mamó.

– Zgadza się. To nasze dziecko, nas wszystkich.

Przez dwa dni pielęgniarki pozwalały mi patrzeć na Elle przez kamerkę internetową, co było pomysłem Jake'a. Dzięki Bogu za Jake'a. Przetrwał ten czas w szpitalu, gdy podpisywał w moim imieniu zgody, podejmował decyzje w kwestiach wybiegających daleko poza obowiązki prawnika, na które się pisał.

Kiedy wydobrałem już na tyle, że mogłem opuścić OIT i leżeć na oddziale monitorowanym, gdzie lekarze mogli stale śledzić pracę mojego serca, przywieziono mi do pokoju Elle. Była w tak dobrym stanie, że też nie musiała już przebywać na Intensywnej Terapii.

Jak zawsze władcza, matka upierała się, że obecność żony będzie dla mnie stresująca, ale nie miała racji. Teraz mogłem w każdej chwili widzieć Elle i miałem pewność, że oboje są bezpieczni. Wreszcie zacząłem sypiać.

Zielono-brązowa narzuta Keishy wylądowała na moim ciełe niczym nur na jeziorze.

– Gotowe – powiedziała Keisha.

Nie wiedziałem, jak zareagować na ten gest. Kiedy Keisha przyniosła narzutę dla Elle, wiedziałem, że stara się zrobić coś, kiedy nie można zrobić niczego.

– Dziękuję – powiedziałem.

Skinęła, ledwo na mnie spoglądając. Wyczułem, że coś jej leży na sercu, ale minęło trzy i pół godziny od chwili, kiedy przyjąłem leki przeciwbólowe, właśnie przemierzyłem dwa razy cały korytarz i ból narastał. Za trzydzieści minut mogę poprosić o kolejną porcję. Zamknąłem na minutę oczy, marząc o niosącym ulgę śnie; uznałem, że Keisha i tak przyszła do Elle. Poza tym obowiązek prowadzenia pogawędki spada na gościa.

– Czy teraz dziecku nic się już nie stanie? – spytała nagle.

A może pytanie wydało mi się nagłe, bo przysnąłem.

– Nie wiem – wymamrotałem, przecierając oczy.

– Potrzebuję szczęśliwego zakończenia – powiedziała. – Przepraszam. Chodzi o to...

– Co się dzieje? – spytałem, unosząc głowę.

– Nic. – Uśmiechnęła się sztucznie, a potem dodała, wprawiając mnie w zakłopotanie: – Guy nie chce się już starać o dziecko. Powiedział, że dość tego. A nie chce też adopcji.

Nasza czwórka, Elle i ja, Keisha i Guy, założyła wspólnie coś w rodzaju klubu złamanych serc niedoszłych rodziców, choć głównie Elle i Keisha współczuły sobie nawzajem, podczas gdy my z Guyem, siedząc przed telewizorem, rozmawialiśmy o tym sporcie, którego sezon akurat trwał. Ale on mówił, że chce dzieci, i byłem trochę zdziwiony, że się poddał.

– Przykro mi. – Zamrugałem kilka razy, próbując zgadnąć, jakimi słowami pocieszyłaby

Keishę Elle.

– Elle mówiła, że próbowałeś ją namówić na adopcję – powiedziała Keisha.

– Tak, po śmierci Dylana. – Spojrzałem na Elle. – Nie chciałem jej stracić. Może tym kieruje się też Guy. Nie chce, żebyś się faszrowała lekami ani żebyś co miesiąc przeżywała rozczarowanie. Elle nie mogła donosić ciąży. Guy nie potrzebuje, byś urodziła mu dziecko. On po prostu potrzebuje ciebie. Przynajmniej ja tak czułem. Chciałem zapomnieć o tych wszystkich stratach. A gdybyśmy zaadoptowali dziecko... ale...

– Ale co? – spytała Keisha.

– Czas oczekiwania – to się ciągnie latami. Czasem matki biologiczne, kiedy zobaczą dziecko, zmieniają zdanie – podobno dość często. Ja chciałem tylko, żeby Elle była bezpieczna. Żebyśmy znowu byli szczęśliwi.

– Powiedziałeś jej to? – spytała Keisha.

Wyobraźnia podsunęła mi obraz Elle stojącej na trawniku dzień przed wypadkiem. Powiedziała, że nie powinniśmy się poddawać. Żałowałem, że się pokłóciliśmy.

– Próbowałem – odrzekłem. – Ale nie wiem, czy dobrze to ująłem. Nie wiem, czy mnie słuchała – czy mnie rozumiała. W następnej rozmowie z Guyem skup się na tym, o co jemu chodzi. On też cię wysłucha. Dojdziecie do porozumienia. My z Elle też byśmy doszli.

Do pokoju wszedł Jake; odzyskał trochę kolorów.

– Lekarze mówią, że jutro cię wypiszą.

– Wiem. Teraz, kiedy tak jakby wróciłem do życia, zaczęli mnie o wszystkim informować. Jestem ci wdzięczny, że działałeś w moim imieniu.

– Prześlę ci rachunek – zaśmiał się. – Nic się nie martw. Nie policzę ci za pełnomocnictwo medyczne. To zrobiłem z przyjacieli.

A ja zacząłem się zastanawiać – czy my się przyjaźnimy?

– Myślisz, że dla zwykłego klienta spędziłbym tyle czasu, wędrując po szpitalnych korytarzach? To robię tylko dla przyjaciół lub rodziny – powiedział.

Może niedotlenienie w czasie wielokrotnych zatrzymań krążenia uszkodziło mi mózg, ale mógłbym przysiąc, że Jake czyta w moich myślach.

Spuściłem z łóżka jeszcze obolałe po pobraniu z nich żył nogi.

– W porządku, przyjacielu.

– Zmierzam do tego, że kiedy cię wypiszą, nie powinieneś być sam, a twój dom leży na odludziu.

– Rzeczywiście, przynajmniej przez pierwszych parę tygodni. Próbuję to jakoś rozwiązać. Mike zaproponował, żebym na czas rekonwalescencji wprowadził się do niego, ale on ma trzy sypialnie i czwórkę dzieci. Matka chce, żebym zamieszkał u niej, ale jakoś tego nie widzę. Wciąż jestem wkurzony. Choć teraz, kiedy wycofała się ze sprawy, już trochę mniej, ale...

– Możesz pomieszkać u nas. Yvette wręcz na to nalega. Mamy pokój gościnny na parterze, a od nas do szpitala jest dwie minuty. Nie ma dyskusji. Wszystko już załatwione.

– Serio? – Pokój gościnny w dziewiętnastowiecznym georgiańskim domu Jake'a byłby znacznie wygodniejszy niż piętrowe łóżko jednego z bratanków. Nawet gdybym musiał gawędzić z Yvette. – Dziękuję.

– Oczywiście ściągnę z ciebie za wynajem – mrugnął. – Masz siłę, żeby porozmawiać o sprawie?

Podniosłem głowę.

– Przecież matka wycofała pozew.

Jake skinął, ale się skrzywił.

– Mam złe wieści. Adam Cunningham zdobył oryginał oświadczenia woli. A Christopher



wciąż się upiera, że należy odłączyć Elle od aparatury podtrzymującej życie.

– Cholera.

– Tak, dlatego walczymy dalej. Cunningham wniósł pozew. Nie wiem jeszcze, kto go będzie reprezentować.

– Nie Klein?

– Nie. Klein odpada. To byłby konflikt interesów, bo reprezentował twoją matkę, która teraz jest po twojej stronie. – Jake przeszedł do szeptu: – Ale jako że Elle oddycha teraz samodzielnie, znacznie trudniej byłoby ją odłączyć. Śmierć z odwodnienia jest powolna i niehumanitarna.

Poczułem napięcie w mięśniach i pieczenie całego i tak już obolałego ciała. To, że zaczęła oddychać samodzielnie, zwiększało szanse dziecka, ale oznaczało też, że Elle mogła jeszcze długo żyć w stanie wegetatywnym – wbrew swojej woli. Oznaczało to, że czy dziecko przeżyje, czy – Boże uchronij – umrze, Elle może trwać tak w nieskończoność.

– Wszystko w porządku? – spytał Jake. – Wezwać lekarza?

– Nic mi nie jest. Znalazłeś pamiętniki Elle? – spytałem.

– Nikt ich nie widział – odparł Jake.

– Cholera. Przysięgam, że zostawiłem je w jej pokoju. Kiedy ma się odbyć następna rozprawa?

Jake spojrzał na swojego rolexa.

– Za godzinę.

– Co? – Nie wypiszą mnie w godzinę.

– Wheeler nie życzy sobie twojej obecności na żadnej rozprawie. No, może nie na żadnej, ale nie chce cię widzieć, dopóki nie wyzdrowiejesz, więc nawet o tym nie myśl. Kiedy osunąłeś się na podłogę, Wheelera sparaliżowało. Dziennikarze to zauważyli i określili jako sędziowską niemoc, co oczywiście jest absurdem. To nie miało nic wspólnego z jego fachowością. Po prostu był zaskoczony.

– Jestem pewny, że go rozumiałeś.

– Tak, ale ja zdołałem zadzwonić pod numer alarmowy, podczas gdy Blythe i twoja matka waliły cię w klatkę piersiową. – Jake spojrzał na mnie tak, jakbym wrócił z za grobu, co w gruncie rzeczy rzeczywiście uczyniłem. Pokręcił głową.

– Muszę biec do sądu.

– Pójdę z tobą.

– Chyba śnisz. Zdam ci potem relację. Dziś zeznaje ojciec Meehan. Wiesz, co powie. Potem złożę wniosek o przyznanie ci opieki prawnej nad płodem. Mam nadzieję, że sędzia poważnie go rozważy, że go z miejsca nie odrzuci. Jeśli jednak tak się stanie, będziemy mieć konstytucyjne podstawy do apelacji. Chcemy zyskać czas, żeby dziecko zdążyło urosnąć. Potrzebujemy tylko trzech miesięcy, bo nie wyobrażam sobie, by ktoś miał odłączyć Elle od aparatury podtrzymującej życie, gdy będzie mieć w łonie zdolne do życia dziecko.

– Trzy miesiące to za mało.

Dziecko potrzebowało więcej czasu, inaczej byłoby narażone na wiele problemów zdrowotnych – ślepotę, niewydolność oddechową, uszkodzenie mózgu.

– Elle będzie w dwudziestym piątym tygodniu ciąży.

– To wciąż o wiele za wcześnie.

– Dlatego mamy nadzieję, że sędzia zaczeka.

Nadzieja... ja czepiałem się mojej z taką determinacją jak nigdy.

Kiedy Jake sobie poszedł, pielęgniarka z wieczornej zmiany, Ava, sprawdziła moje parametry życiowe, osłuchiwała mi płuca i obejrzała rany. Te widoczne.

Ava, metr pięćdziesiąt wzrostu, była prawdziwą potęgą. Choć rzadko miałem pacjentów na oddziale monitorowanym, bywałem tam czasem podczas obchodów. Poznaliśmy się w zupełnie innych okolicznościach. Ava robiła wrażenie i pod pewnymi względami przypominała mi Elle, choć nie pod względem wyglądu; jak Elle emanowała pewnością siebie, a przy tym była ciepła jak roztopione masło.

– Będę żył? – spytałem pół żartem, pół serio i z nutką wyzwania.

– Na to wygląda. Pytanie, czy będziesz spać. Ponoć do twojego stanu przyczynił się brak snu na OIT.

– To przez wysoki cholesterol. U nas rodzinne.

Zerknęła na Elle.

– Nie mówiąc o stresie. – Ava zabrała się do oceny stanu Elle; sprawdziła jej parametry życiowe, zmieniła opatrunek przy tracheostomii. – Elle śpi jak suseł. Co dziś z tobą zrobimy?

Elle właściwie nie spała; ale zdawało się, że jest spokojna – cokolwiek to oznaczało... Ona nie mogła się obudzić, nigdy nie ma się obudzić. Dobrze, że nie cierpi.

– Zlecono ci środki nasenne, jeśli będziesz ich potrzebować. Mogę ci też podać oksykodon – powiedziała Ava.

– Wezmę środki przeciwbólowe. Właściwie nie miałbym nic przeciwko oksykodonowi już teraz.

– Przyszło mi do głowy coś jeszcze. A gdybym tak, tylko na tę noc, zsunęła wasze łóżka? Założę się, że jesteś przyzwyczajony do wspólnego łóżka z żoną. Czy wtedy spałoby ci się lepiej?

Przez chwilę miałem ochotę ją uściskać.

– O tak – powiedziałem. – Oczywiście. Dziękuję.

Odblokowała nogą łóżko Elle i przysunęła je do mojego. Wziąłem Elle za rękę.

– Pip, jestem tutaj. – Przesunąłem dłoń na jej brzuch. – Jestem tutaj, maluchu. Tata jest przy tobie.

Jest w szpitalu taki czas, po godzinach odwiedzin, a zanim obowiązki obejmie nocna zmiana, kiedy zapada spokój. Nie cisza. Spokój. Od czasu do czasu rozlega się dzwonek. Na korytarzach wciąż słychać kroki, ale pojawia się, choćby przelotnie, spokojna pewność, że w tej chwili śmierć tu nie rządzi.

Spałem zanurzony w tym spokoju, ukojony bliskością Elle i oszołomiony środkiem przeciwbólowym. Nie zwracałem uwagi na odległe szpitalne odgłosy. Nie usłyszałem, kiedy do pokoju wszedł Christopher ani kiedy skrzypiący fotel przysunął do łóżka siostry. Gdy się wreszcie obudziłem, powiedział, że siedzi tu od wielu godzin i że przyszedł długo przed tym, nim skończyły się godziny odwiedzin, byśmy mogli porozmawiać. Ale ja spałem, i to spokojnie, dzięki bliskości Elle. Pozwolił mi delektować się jeszcze chwilę tym spokojem. Byłem mu za to wdzięczny.

Chris ma jeden talent, którego brakowało jego siostrze, mianowicie ma słuch. Śpiewał Elle kołysankę. Cicho. Pamiętam, że nuciła im ją ich matka. Jego głos brzmiał łagodnie, głęboko, aksamitnie.

Otworzyłem oczy i rozejrzałem się w ciemnościach. Z łazienki padało tylko wąskie pasmo światła.

– Hej, Matt. Jak się czujesz?

Chrząknąłem i sięgnąłem do stolika po szklankę z wodą. Powietrze szpitalne jest importowane prosto z Sahary.

Obszedł łóżko, wziął szklankę i zgiął rurkę, żeby mi było wygodniej pić.

Co u diabła?

– Dzięki – powiedziałem. – Co tu robisz?

– Odwiedzam Elle. I ciebie.

– Właśnie udało mi się przespać.

Skinął.

– I nie budziłem cię. Zamierzałem zostawić ci kartkę, ale skoro już nie śpisz, chcę ci tylko powiedzieć, jak się cieszę, że nic ci się nie stało.

Nie zareagowałem. Nie miałem nic do powiedzenia.

– Chciałem z tobą o czymś porozmawiać – ciągnął dalej Chris.

– Możesz porozmawiać z moim prawnikiem. Ja nie mogę się teraz klócić.

– Nie chcę się klócić i nie potrzebujemy prawników. Omal nie umarłeś, a nawet jeśli stoimy w tym sporze po przeciwnych stronach, chcę, żebyś był zdrowy. Jesteś moim szwagrem. Linney mówiła, że jutro wychodzisz ze szpitala.

– Tak, wypisują mnie.

– Chciałem cię uprzedzić, że odstawiłem dziś do was samochód Elle. Żebyś, wróciwszy do domu, zobaczył go tak nieoczekiwanie. To mógłby być dla ciebie wstrząs. Co chwila mam chęć do niej zadzwonić, a potem zdaję sobie sprawę, że nie mogę. To boli, wiesz? Nie chciałbym cię stresować bardziej, niż muszę. No więc samochód jest u ciebie.

– Dobra. Ale nie wracam do siebie. Jeszcze nie teraz. Zatrzymam się na jakiś czas u Jake'a.

– To chyba dobry pomysł. Przy okazji, słyszałem, że szukasz torby, która leżała w pokoju Elle.

Weisnąłem guzik i oparcie dla głowy się podniosło.

– Wiesz, gdzie ona jest?

– Mam ją w domu. Dostałeś zawału, a jedna z pielęgniarek Elle powiedziała, że to twoja torba. Wziąłem ją na przechowanie.

– Zajrzałeś do środka? – spytałem.

– Tak. Masz tam pamiętniki Elle.

– Czytałeś je?

– Chciałem, ale nie mogłem – zaśmiał się. – Kiedy byliśmy dziećmi, trzymała je pod łóżkiem w pudełku zamykanym na kluczyk, żebym nie mógł się do nich dostać; tak więc nie, nie czytałem ich. Ale ty je przeglądałeś, prawda?

– Tak. Potrzebuję odpowiedzi. I tęsknię za nią, Chris. Naprawdę za nią tęsknię. – Sięgnąłem i dotknąłem jej dłoni.

– Ja też – powiedział. Przez chwilę opierał się o parapet i patrzył na siostrę przez ciemny pokój. Potem przeniósł wzrok z powrotem na mnie. – Wiesz, kiedy zasłabłeś na sali sądowej, myślałem: „Boże, tylko nie to, nie ty”. Zawsze byłeś dla mnie jak starszy brat. – Zamilkł i nabrał głęboko powietrza, po czym, równie wolno, wypuścił je.

– Mylisz się w kwestii Elle, Matt – podjął po chwili. – Ale nie chcę, żeby ci się coś stało. – Podrapał się w tył głowy. – Tylko to chciałem ci powiedzieć. Wracaj do zdrowia. Śpij dalej.

Podszedł do Elle i pocałował ją w czoło, po czym skierował się do drzwi.

– Podrzucę ci tę torbę.

– Chris? – zawołałem.

Zatrzymał się i odwrócił.

– Jak mogę cię przekonać?

Pokręcił głową.

– Nie możesz.

None

Dzień trzydziesty szósty

Usiadłem na brzegu łóżka, a Jake zaciągnął żaluzje, żeby nie raziło mnie słońce.

– Adam Cunningham to kawał aroganckiego zarozumiałego idioty. Sam będzie występował przed sądem. Niestety jest też całkiem bystry. Nie zna się na prawie – wcale – ale ma szczególną zdolność dedukcji.

– Co się stało? – spytałem.

– Przedstawię ci skróconą wersję – powiedział Jake. – Po zeznaniu ojca Meehana złożyłem u sędziego Wheelera wniosek o opiekę; sędzia poprosił mnie i Adama do gabinetu. Powołałem się na wolność religijną. A Wheeler, litując się nad Adamem i jego nieznamościami prawa, powołał się na brak ustaw, które pozwalałyby przyznać opiekę nad osobą nieposiadającą praw. Powołałem się na Ustawę o nienarodzonych ofiarach okrutnych przestępstw z 2004 roku. Powołałem się na pierwszą poprawkę. Wymieniłem stany, w których ciężarnych kobiet nie odłącza się od aparatury podtrzymującej życie. Wheeler ma to wziąć pod rozwagę. Nie liczyłbym na to za bardzo, ale możemy się odwołać, a jak mówiłem od początku, jeśli zajdzie taka konieczność, mamy podstawy, żeby złożyć prośbę o rewizję wyroku. To może się okazać bardzo ciekawe.

– Nie obchodzi mnie, czy ta sprawa jest ciekawa – powiedziałem, zawiązując sznurówki adidasów. Byłem wdzięczny bratu, że przyniósł mi ubranie, bym miał w czym wyjść ze szpitala, ale schyłanie się bolało jak cholera. Potrzebne mi były buty bez sznurówek, jak dla starego dziadka. – Mnie obchodzi tylko...

– Tak, wiem. To dziecko. Pozwól, że cię o coś spytam. Kiedy trafia ci się w pracy jakiś tajemniczy przypadek i musisz dojść, jak pomóc pacjentowi, czy to nie jest ciekawsze niż, powiedzmy, zwykle usunięcie wyrostka robaczkowego?

– Nie operuję wyrostków. A gdyby tak było, nie powiedziałbym pacjentowi z potworniakiem wyrastającym z mózdzku, że uważam jego przypadek za ciekawszy niż zwykle zapalenie wyrostka. Słyszałeś kiedyś chińską klątwę: „Obyś żył w ciekawych czasach”? Nie chcę niczego ciekawego.

Należycie zganiony, Jake oparł się o parapet.

– Czymkolwiek jest ten potworniak, uznaję twoją rację.

– Rozmawiałeś z Carol o prokuratorze generalnym?

– Kazała ci powiedzieć, żebyś wracał do zdrowia.

– I?

– Odbyliśmy z gubernatorem błyskotliwą dziesięciominutową rozmowę. To nie dziwne, że tragedia Elle stanowi gorący temat w Waszyngtonie, zarówno wśród kręgów konserwatywnych, jak i liberalnych. Niemniej jednak nie możemy zrobić nic, póki nie wyczerpiemy wszystkich możliwości w pierwszej instancji. Później w sądzie apelacyjnym. A możliwe, że wtedy też nie.

– Myślisz, że Wheeler zgodzi się przyznać opiekę nad płodem albo że Sąd Najwyższy przychyli się do naszej prośby? – spytałem.

– Trudno powiedzieć. Mam taką nadzieję. Tak sądzę.

– Kiedy mam dokończyć zeznanie?

– Nie jestem pewny, czy chcę cię znowu wzywać na świadka. Jeśli umrzesz, kto mi zapłaci? – Wyszczrzył do mnie zęby, po czym zrobił minę surowej nauczycielki. – Serio, nie chcę, żebyś znowu zeznawał.

– Muszę powiedzieć sędziemu, co było w listach Elle.

– Wiem. Ale zasłałeś na miejscu dla świadka. Zamiast ciebie przesłucham dziś po południu Keiszę, a ona ma prawdziwy dar przekonywania.

– Chcę mieć szansę przedstawić sędziemu swoją wersję.

– A może byś tak najpierw trochę wydobrzył?

Po przetransportowaniu wózka do wyjścia i dwuminutowej jeździe samochodem Jake, trzymając mnie za łokieć, pomógł mi pokonać trzy stopnie prowadzące do jego drzwi, jakbym był inwalidą. Nie umknęła mi ironia tej sytuacji – robię pierwsze kroki ku przyszłości, wprowadzając się do dawnego kolegi z college’u. Niemniej jednak musiałem przyznać, że dysponował teraz znacznie lepszą kwaterą.

– Możesz przestać mi się przyglądać tak, jakbym miał zaraz paść trupem? – powiedziałem, kiedy weszliśmy do dwupiętrowego holu o marmurowej posadzce.

– Pod warunkiem, że nie zrobisz tego po raz drugi, ty durniu.

– Nie mów tak, Jake – powiedziała Yvette.

– Nie martw się, Yvette – odparł Jake. – On wie, co mam na myśli.

Spojrzała na niego z oburzeniem, a potem na mnie.

– Nie słuchaj go, Matt. Napijesz się czegoś?

– Nie, dziękuję. Dzięki, że zgodziłaś się przyjąć mnie pod swój dach.

– Och, daj spokój... – odrzekła, opuszczając hol.

Jake odprowadził ją wzrokiem.

– Ma jedną siostrę, nie ma braci. Jej rodzina nigdy się nie sprzecza ani nawet przekomarza. Nigdy przenigdy. A teraz siadaj na kanapie i porozmawiajmy.

Jake położył swoją aktówkę na stoliku z czasów Ludwika XIV. Ja wybrałem jednak fotel z podłokietnikami, bo raczej nie wstałbym z niskiego siedzenia, które mi wskazał.

– Lekarze Elle chcą ją wypisać i przenieść do domu opieki – powiedział Jake.

– Wiem. Nie bardzo mi się to podoba. Wolałbym zabrać ją do domu.

– Nie możesz tego zrobić. Nie jesteś teraz w stanie zaopiekować się samym sobą, a co dopiero nią. Masz jakiś pomysł, gdzie można by ją przenieść?

Myśl o domu opieki budziła we mnie obrzydzenie. Te miejsca kojarzyły mi się tylko z okropnym zapachem, odleżynami i niestety częstym zaniedbaniem.

– Zastanowię się.

– Dobrze się czujesz? – spytał, przyglądając mi się uważnie. – Bo jeśli umrzesz w moim domu, jego wartość rynkowa spadnie na łeb na szyję.

– Nic mi nie jest. Dzięki za troskę. Jeśli poczuję ból w klatce piersiowej, postaram się wyczołgać za próg.

None

Dzień trzydziesty siódmy

Mama pojawiła się pod drzwiami Jake'a z walizką pełną moich ubrań i materiałów o trzech pobliskich domach opieki. Za nią stał mamroczący i pomrukujący Hank. Wiele osób myślało, że po śmierci taty moja matka i Hank zostaną parą, ale był to zupełny absurd. Tata i Hank byli bardzo bliskimi przyjaciółmi. Mama i Alice też. Związki mamy i Hanka wynikały raczej z okoliczności.

– Jak dostałaś się do mojego domu? – spytałem, próbując odebrać od mamy walizkę.

– O, nie. Nawet nie próbuj. Nie będziesz dźwigał ciężaru.

Pociągnęła walizkę, zmierzając do pomieszczenia przy kuchni, dawniej zajmowanego przez służącą, w którym urządzono mi pokój gościnny.

Położyła walizkę, rzuciła broszury z domów opieki na łóżko, po czym zaczęła otwierać szuflady i wypełniać je moją bielizną, skarpetkami i ubraniami, podczas gdy ja chodziłem w kółko, co przypominało bardziej powłóczenie nogami niż mój energiczny marsz.

– Nie powiedziałaś, jak dostałaś się do mojego domu.

– Mam klucz.

– Oddałaś mi go.

– Oddałam ci jeden. Miałam dwa. – Mrugnęła do mnie.

– Jakim cudem nie zauważyłem wcześniej, że taka z ciebie wścibska spryciara?

– To, że mam klucz do twojego domu, nie znaczy, iż użyłam go kiedykolwiek, by wścibiać nos w wasze sprawy albo się wam narzucać. Nie wiem, czemu i skąd mam drugi klucz, ale dobrze się złożyło, bo ktoś musi się teraz zająć domem, a ty potrzebujesz czystych ubrań.

– Chrzanić klucz – odezwał się Hank. – Zastanówmy się, który dom opieki będzie najlepszy dla Elle.

– To będzie zależało od tego, gdzie znajdziemy wolne miejsce – powiedziała mama.

– Niekoniecznie – odparł Hank.

Opadłem na krzesło i stęknąłem. Poczulem dotkliwy ból w nodze, w miejscu przecięcia mięśni. Pomasowałem szwy.

– Jak to niekoniecznie?

– Zastanawiałem się nad tym, od chwili gdy odłączono ją od respiratora i lekarze powiedzieli, że za jakiś czas będzie ją można zabrać ze szpitala. W domach opieki rzadko są wolne miejsca, prawda?

– Owszem. Dlatego nie możemy wybrzydzać – odparła mama.

– Otóż możemy – powiedział Hank. – W Portland brakuje miejsc w domach opieki. Ja jestem biznesmenem. Gdybym prowadził taki dom opieki, chciałbym go rozbudować.

– Nie bardzo rozumiem – powiedziałem. – Nie mamy czasu, żeby budować nowy dom opieki.

– Nie, nie nowy. Zaproponuję, że sfinansuję rozbudowę. – Hank machnął ręką niczym magiczną różdżką.

– Ale to nam nie pomoże... – zacząłem.

– Ależ pomoże. Nie sama rozbudowa, ale jeśli właściciel jest sprytny, da nam w zamian to, czego oczekujemy.

– Czyli? – spytała mama.

– Postawimy warunek, żeby Elle dostała przynajmniej jeden pokój – nie jedno łóżko, jeden pokój – jak długo będzie go potrzebować. Nie chcemy przecież chodzić na palcach wokół jakiegoś współlokatora. Poza tym ty po zawale nie możesz dzień i noc koczować w fotelu. A ja

w moim wieku też nie mogę. Zażądam więc, by Elle dostała dla siebie pokój. W domach opieki pacjenci się zmieniają. Elle wskoczy na szczyt listy oczekujących. A kiedy zwolni się drugi pokój, też go zajmimy. Dwa sąsiadujące ze sobą pokoje w zamian za nowe skrzydło.

Nie mogłem wypowiadać się w imieniu mamy, ale osobiście uważałem, że Hank postradał zmysły.

– Jeśli będę musiał, kupię całość – powiedział.

Mama otworzyła usta ze zdumienia.

– To bardzo wielkoduszne – odezwałem się – ale czy masz pojęcie, ile coś takiego kosztuje, nie mówiąc już o procedurach prawnych?

– Oczywiście, że mam. Stale pośredniczę w sprzedaży nieruchomości komercyjnych. Sprzedawałem nawet kilka takich ośrodków. A teraz powiedzcie, który z nich ma najlepszą opinię?

Mama zerknęła na broszury na łóżku i zmrużyła sceptycznie oczy.

– Wiem, że dobrze ci idzie w biznesie, ale...

– To moja córka, Linney. Stać mnie na to, żeby się nią zaopiekować. Wierz mi. – Hank wyprostował się, jakby potwierdzając, że dotrzyma słowa.

– Ale... – protestowała jeszcze mama.

– To mnie nawet nie pogrąży, Lin – zapewnił Hank.

Mama skinęła głową, ale widać było, że jest wzruszona. Wszyscy byliśmy bliscy emocjonalnego przeciążenia. Nawet poczucie ulgi mogło nas doprowadzić do łzawego katharsis. Nawet moją pragmatyczną matkę. Wskazała na jedną z broszur.

– Ten jest blisko szpitala.

– I mają tam doskonałe wyposażenie rehabilitacyjne – dodałem. Elle nigdy nie wyzdrowieje, ale dobry fizjoterapeuta mógłby zapobiec powikłaniom, którymi grozi bezruch, a Elle naprawdę nie potrzebuje dodatkowych powikłań.

– Ale pewnie nikt nie ma tam zielonego pojęcia o położnictwie – powiedziała mama.

– I tu zaczyna się twoja rola – powiedział Hank, opierając się na krześle. – Rozpoviesz, że potrzebujemy na kilka miesięcy dobrych położnych, które chcą dorobić na boku. Jeśli zajmą się Elle, zapłacimy im dwa razy więcej, niż zarobiłyby gdzie indziej. Chcemy, by miała całodobową opiekę.

– Świetny pomysł – powiedziałem – ale towarzystwo ubezpieczeniowe nie pokryje...

– Matt, jak na neurochirurga wydajesz się czasem mało rożgarnięty. Myślisz, że przyglądałem się ożywieniu na rynku nieruchomości, nic nie inwestując? Mam pieniądze. Naprawdę. To najmniejszy z naszych problemów.

Utkwiłem wzrok w teściu. Nie mogłem w to uwierzyć, a jednak wiedziałem, że skoro mówi, iż go na to stać, ma odpowiednie środki.

– Ile czasu potrzebujesz, żeby to zorganizować? – spytałem. – Chcą ją wypisać w przeciągu najbliższych paru dni.

– Daj mi kilka godzin, to się dowiem. – Hank wstał z zamiarem opuszczenia nas. – Pozwól mi zrobić swoje i trzymaj kciuki, by okazało się to tak proste, jak przewiduję. Ty musisz tylko wypoczywać, żebyś za kilka miesięcy miał dość sił, by wstawać w nocy do dziecka. – Trochę zbyt energicznie poklepał mnie po plecach, zapomniawszy, że niedawno otwierano mi klatkę piersiową.

Oczy wypełniły mi się łzami bólu i wdzięczności za jego optymizm.

– Dziękuję.

Ale wiedziałem, że musimy sobie jeszcze poradzić z Adamem i Christopherem. I znowu pomodliłem się, żeby Elle nie poroniła.



None

Dzień trzydziesty ósmy

Rozpiąłem suwak torby.

– Zapewniam cię, że nie wyjmowałem żadnego pamiątnika. – Christopher bawił się okiennicami w gabinecie Jake’a. – Jeśli kiedyś Jake będzie chciał sprzedać ten dom, niech da mi znać. Niesamowite detale architektoniczne. Spójrz tylko na te gzymsy koronujące. Mają pewnie jakieś czterdzieści pięć centymetrów grubości. A w ogóle gdzie jest Jake?

– W Bostonie. Jego córka ma pokazy gimnastyczne – powiedziałem, spoglądając na stojące na biurku zdjęcie Janey. Ich dom był pełny fotografii. Plaża, Halloween i torty urodzinowe stanowiły tło dla rodziny, ukazywanej w chwilach spontanicznej radości, a nie pozowanego szczęścia.

– Zostawił cię samego? – spytał Chris.

Kiedy masz trzydzieści siedem lat, nie spodziewasz się, że będziesz potrzebować niańki i kardiochirurga.

– Wczoraj zanocowała tu matka, ale dziś pracuje. Mike zawiózł mnie na trochę do szpitala do Elle. A dziś wraca Jake.

– Potrzebujesz jeszcze czegoś?

– Kierowcy. Przez kilka tygodni nie wolno mi prowadzić. Ale zaczekam.

– A dokąd chcesz jechać?

– Do domu. Muszę coś stamtąd zabrać.

– Mogę cię zawieźć.

Szare niebo spowijało rzekę Harraseeket niczym całun; wszędzie wisały niskie chmury, przypominające nieco mgłę. Chris wjechał SUV-em na mój podjazd. Samochód Elle stał dokładnie tam, gdzie go zawsze zostawiała, przy tylnych drzwiach. Chris miał rację; gdyby mnie nie uprzedził, ten widok byłby dużym zaskoczeniem.

– Dasz radę wejść po schodach? – Chris spoglądał na stopnie prowadzące na ganek, jakby były wielkim wyzwaniem, z którym przyszło mi się zmierzyć.

Siedem stopni – poradzę sobie.

– Naprawdę nie jestem inwalidą. Mój mięsień sercowy wcale tak bardzo nie ucierpiał.

– Aha, i dlatego parę razy omal nie umarłeś. – Patrzył na mnie, jakbym za chwilę miał się przekreślić.

– Cóż, rzeczywiście, ale hej, nie ma jak otrzeć się czasem o śmierć. – Roześmiałem się, ale zauważyłem, że układ sił między nami uległ zmianie. Teraz to on był dominującym, mocniejszym graczem.

– Cieszę się, że zachowałeś poczucie humoru – powiedział.

– Wszystko ze mną dobrze. Mniej więcej. – Raczej mniej.

Zmrużył oczy i przyjrzał mi się sceptycznie.

– Weźmy to, po co przyjechaliśmy, i odwiozę cię do Jake’a.

Weszliśmy przez tylne drzwi do kuchni. Powietrze było stęchłe, jakby dom wiedział, że Elle i ja nie musimy już oddychać. Na blacie leżała duża płócienna torba Elle, jakby jej właścicielka właśnie wróciła do domu i rzuciła ją tam. Obok widniała kartka od Christophera.

– W środku jest jej portfel. Nie chciałem go zostawiać w samochodzie – wyjaśnił Chris.

Naigrawałem się, że nosi w tej głupiej torbie pół świata. Wciskała do niej ręcznik, gdy wybierała się na plażę, albo pakowała lunch, gdy przychodziła po mnie do gabinetu i porywała mnie na piknik. Miała w niej prace studentów i laptop. A teraz był tam tylko portfel, okulary słoneczne, opakowanie gumy bezcukrowej i kluczyki do samochodu. Boże, tęsknię za nią – jak

wchodzi do domu i rzuca kluczyki tu, buty tam. Była genialna, ale też dość roztrzepana i często zapominała o różnych szczegółach życia codziennego. Czemu, u diabła, to mi przeszkadzało?

– Gdzie zostawiłeś resztę listów? – spytał Chris.

– Sprawdź na stole w jadalni.

– Mogłem przyjechać po nie sam – powiedział, przemierzając spiżarnię.

– Właściwie tak. – Ale chciałem zobaczyć, czy po moim doświadczeniu śmierci świat się zmienił, przeistoczył, nabrał nowej głębi i barw. Wyrzawszy przez okno, zobaczyłem, że nasz trawnik bez wątplenia zamienił się w łąkę, ale nie dostrzegłem żadnych nowych odcieni. Jeśli już, to wręcz przeciwnie: świat wydawał się bardziej jednowymiarowy, pusty, bledszy. Dotarła do mnie cała realność wypadku Elle. Jest jesień. Wszystko umiera. Kiedy rozglądałem się po naszej pustej kuchni, ogarnęła mnie fala pesymizmu. Wtedy powiedziałem sobie, że wiosną życie rozkwita na nowo, a właśnie na wiosnę przypada termin porodu. Powoli udałem się do salonu.

– Mam – powiedział Chris, stając w drzwiach.

– Daj mi jeszcze chwilę.

Na gzymsie kominka stało nasze zdjęcie, które ktoś oprawił i dał nam w prezencie ślubnym. Ja miałem na nim jakieś osiem lat, a Elle pewnie pięć lub sześć. Nasze rodziny pojechały razem pod namiot. Alice, która uwielbiała czarno-białe fotografie, uwieczniła nas na czułym ziarnistym filmie. Oświetleni przez ognisko, siedzieliśmy nos w nos, niczym cienie, postacie rzeźbione w kamei. Lecz w naszych oczach lśnił blask ognia; już wtedy była między nami iskra.

– Carrie jest podobna do Elle – powiedział za moimi plecami Chris. Jego czteromiesięczna córka rzeczywiście przypominała ciotkę.

– Powiedz jej to, gdy będzie dość duża, żeby zrozumieć.

– Oczywiście, że powiem. – Christopherowi załamał się głos.

– Odwróciłem się do niego.

– To dziecko też może być podobne do Elle.

– To podłe, Matt.

– Co masz na myśli?

– Manipulujesz mną.

Przysiadłem na podłokietniku sofy.

– Czemu tak mówisz? Przecież to prawda. Elle nosi w łonie dziecko, swoje dziecko, ta część niej mogłaby żyć dalej. To dziecko nie zastąpi Elle, ale wiesz, jak bardzo pragnęła potomstwa. Pomyśl o tym, jaka była. Opiekowała się tobą, kiedy byłeś wylęknionym małym chłopcem, który stracił matkę. Dla ciebie odłożyła na później realizację swoich marzeń. Dla ciebie, Chris. W kosmosie, lecąc z prędkością dwudziestu siedmiu tysięcy kilometrów na godzinę, pięćset sześćdziesiąt kilometrów nad ziemią, odpięła się od linki zabezpieczającej, żeby ratować innego astronautę. Zrobiłaby wszystko, żeby uratować kogoś, na kim jej zależało. – Teraz mnie załamał się głos. – Kochałaby to dziecko. Dla niego byłaby nawet gotowa żyć podłączona do aparatury podtrzymującej życie.

– Nie wiem. – Potarł oczy dłońmi. – Nie wiem. Jedno z moich najwyraźniejszych wspomnień to zapłakana Elle. Mama była chora. Elle siedziała przy niej. Nagle wstała i pobiegła do kuchni. Powtarzała, że źle robimy, torturujemy mamę, że to i tak nie ma sensu.

– Jest jednak różnica. Wasza matka bez względu na wszystko musiała umrzeć, a przedłużanie jej życia oznaczało dla niej tylko dłuższe cierpienia. Elle spodziewa się dziecka. Przedłużanie jej życia do jego przyjścia na świat czemuś służy. Co z dzieckiem? Czy ono się nie liczy? Poza tym Elle nie cierpi. Nie wie, co się dzieje z jej ciałem. A po porodzie... – zamilkłem, próbując wydobyć z siebie te słowa. – Dopilnuję, żeby odnalazła spokój. Wystąpię do sądu

o zgodę na odłączenie jej od aparatury podtrzymującej życie. – Nie dodałem: Albo podam jej przez sondę żywieniową coś, dzięki czemu już nigdy nie poczuje bólu. Ukryłem twarz w dłoniach.

– Nie kłóćmy się. Chodźmy już – powiedział. – Nic ci nie jest?

Nie miałem kolejnego zawału, ale potrzebowałem jeszcze minuty, więc zagrałem na zwłokę.

– Wyświadczyć mi przesługę. Przejdź się po piętrze i sprawdź, czy wszystkie okna są pozamykane. Nie powinienem jeszcze pokonywać tylu schodów.

– Pewnie. – Wbiegł na górę po dwa stopnie naraz.

– Cyrkowiec – mruknąłem, wlokąc się z powrotem do kuchni. Wyjąłem z torby kluczyki samochodowe Elle i wyszedłem na zewnątrz; zamierzałem wstawić samochód do stodoły. Uważałem, że z tym sobie poradzę. Nie powiedziałbym, że wśliznąłem się na fotel kierowcy. Moje ciało wciąż poruszało się jak ciało starego człowieka, ale byłem strasznie niezadowolony, że potrzebuję kierowcy. Wgramoliłem się do środka i zamknąłem oczy, czekając, aż ból minie. Kiedy włożyłem kluczyk do stacyjki, kątem oka zobaczyłem na siedzeniu pasażera coś fioletowego. Nie. Nie fioletowego. W kolorze indygo, któremu wpadające przez szybę światło słoneczne nadało odcień fioletu.

– Jezu – powiedziałem na głos, odwróciwszy przedmiot na drugą stronę. Był to dziennik poświęcony dziecku. Między kartkami, niczym zakładka, tkwił długopis.

Przeczytałem założoną stronę i wiedziałem, że właśnie tego szukałem.

– Matt? – zawołał Chris.

– Jestem tutaj – zawołałem przez okno. – Chodź, coś ci pokażę.

None

Dzień czterdziesty

Adam ruszył na sędziego jak byk na matadora; woźny sądowy zastąpił mu drogę.

– Spokój! – krzyknął Wheeler. – Doktorze Cunningham, nie może pan podchodzić bez mojego pozwolenia. Rozumie pan? Zdaję sobie sprawę, że nie ma pan prawnika, ale musi pan przestrzegać procedury. Nie chcę pana ukarać za obrazę sądu. To moje ostatnie ostrzeżenie.

– Tak, Wysoki Sądzie, ale czemu nie słyszeliśmy wcześniej o tym dzienniku poświęconym dziecku? Czy pan wiedział o tym odkryciu? – To było pytanie do Jake'a.

– Ma się pan zwracać do sądu, doktorze Cunningham – powiedział Wheeler. – To znaczy, że nie może pan mówić wprost do pana Suttera. Pyta pan za moim pośrednictwem. To poważny proces, a nie kolegium do spraw wykroczeń drogowych. Jak już mówiłem, powinien pan wynająć adwokata.

– No tak. Przepraszam, Wysoki Sądzie.

Jake odwrócił się powoli do Adama z protekcyjnym uśmiechem na twarzy.

– Wysoki Sądzie, do ostatniego weekendu nie wiedzieliśmy o istnieniu tego dziennika. Leżał w samochodzie Elle, który od dnia wypadku stał na podjeździe pod domem jej brata. Mój klient był zbyt pochłonięty stanem żony, a ostatnio i swoim, żeby myśleć o jej samochodzie.

– A może po prostu ukrywaliście dowód? – warknął Adam.

– Do mnie – upomniał go Wheeler. – Swoje uwagi adresuje pan do sędziego.

Jake zacisnął usta jak niezadowolony rodzic.

– Mówiłem już, Wysoki Sądzie, że w ostatni czwartek brat Elle przestawił samochód pod dom państwa Beaulieu. Doktor Beaulieu był wtedy w szpitalu. W sobotę pojechał do domu i wstawiając samochód do garażu, znalazł dziennik. Niczego nie ukrywaliśmy.

– Może pan kontynuować przesłuchiwanie doktora Beaulieu, panie Sutter – powiedział Wheeler.

Adam usiadł, cały czas patrząc wściekle w moją stronę.

– Dziękuję, Wysoki Sądzie. – Jake stanął na powrót przy miejscu dla świadka i wręczył mi notatnik. – Czy rozpoznaje pan pismo Elle?

– Tak, to jej pismo.

– Czy mógłby pan przeczytać, co tu napisała?

Przypomniałem sobie słowa, które odkryłem kilka dni po wypadku na zaparowanym lustrze w łazience. Teraz już wiem, co one znaczyły.

– Wpis nosi datę trzynasty sierpnia – powiedziałem, po czym przeczytałem na głos to, co napisała Elle.

*Jesteś tym, co najsłodsze na świecie... małym cudem.*

*Moje Najsłodsze, tak będę Cię nazywać, dopóki nie dostaniesz imienia.*

Czytając, słyszałem głos Elle, nie swój.

*Jakąś godzinę temu dowiedziałam się, że noszę Cię w sobie. Przede wszystkim musisz wiedzieć to, że mamusia już Cię kocha. Tatusz też cię pokocha, gdy tylko powiem mu dziś wieczór. Zawsze chcieliśmy mieć dzieci. Zawsze chcieliśmy Ciebie.*

Wziąłem głęboki oddech i zacząłem się zastanawiać, jak bym zareagował tego wieczoru, gdyby Elle nie spadła z drabiny i poszlibyśmy na długi spacer po plaży, jak zaproponowała w wiadomości głosowej. Bałbym się o nią – i o dziecko. Zamartwiałbym się całymi miesiącami.

O ileż bym wolał to niż siedzieć tutaj i błagać o życie naszego dziecka.

– Proszę, czytaj dalej – odezwał się Jake.

*Nie zamierzaliśmy czekać tak długo, ale czasem zdarzają się sytuacje, których mamusie i tatusiowie nie mogą przewidzieć.*

Zapanowałem nad głosem, zerkając na sędziego.

*To wszystko nie ma teraz znaczenia. Przyjdiesz na ten piękny świat. Jest tyle rzeczy, którymi chcę się z Tobą podzielić. Tyle rzeczy, które można zobaczyć i poznać. Świat jest wielki. A przy tym mały. Kiedyś opowiem Ci o tym, jak dostałam wielkiego zaszczytu i zobaczyłam go takim, jakim niewielu go widziało. Ale jako dziecko musisz przede wszystkim zaznać miłości. Musisz czuć się bezpiecznie i dobrze, a będziesz rosnąć dzień po dniu. Trzeba Ci tylko dać szansę. I czas. I miłość. My Ci to damy. Obiecuję.*

Ja też mu to obiecałem. Będę kochał to dziecko za dwoje.

*Urodzisz się zdrowe i silne. Będę się właściwie odżywiać; jeśli zajdzie taka konieczność, przeleżę w łóżku dziewięć miesięcy. Będę – oj – robić sobie zastrzyki. Gdy podrośniesz, mamusia opowie Ci, jak boi się zastrzyków – ale będę je sobie robić. Zrobię dla Ciebie wszystko. Naprawdę wszystko.*

*Och, skarbie! Chłopiec? Dziewczynka? Myślę, że dziewczynka. Czemu wydaje mi się, że jesteś dziewczynką? Ale może jesteś chłopcem. Chłopiec – też byłoby wspaniale. Kimkolwiek jesteś, kocham Cię.*

*Mogłabym tu siedzieć cały dzień i przemawiać do Ciebie, ale muszę pojechać na parę godzin do Twojego wujka. Jutro pójdziemy do lekarza i zaczną się zastrzyki. Dla mnie. Nie dla Ciebie! Jeszcze nie. I nie przejmuj się, jeśli powiem „auć”. To naprawdę nie jest takie straszne.*

*Wszystko będzie dobrze. Obiecuję. Zadbam o to.*

*Całuję,*

*Mamusia*

Przeczytałem ten wpis wielokrotnie. To nie były jej ostatnie słowa. Ale były to jej ostatnie słowa, które się liczyły.

Ten dziennik musiał być wystarczającym dowodem. Przeanalizowałem twarz sędziego. Trudno było cokolwiek z niej wyczytać, niemniej jednak jego mina jakby złagodniała.

Rozejrzałem się po sali. Mama siedziała za Jakiem i pociągała nosem. Obok niej Chris wycierał oczy. Po przeczytaniu w sobotę dziennika wreszcie zgodził się ze mną, że Elle poświęciłaby się dla dziecka.

Jake wpatrywał się w sędziego, a właściwie gapił się na niego.

– Nie mam więcej pytań – powiedział.

Sędzia sięgnął do rękawa togi i przez chwilę bawił się spinką do mankietu.

– Doktorze Cunningham, czy ma pan jakieś pytania do doktora Beaulieu?

Nawet Adam wydawał się trochę poruszony.

- Mogę poprosić o kilka minut przerwy, Wysoki Sądzie?
- Sąd będzie kontynuował rozprawę za dziesięć minut – powiedział sędzia.

Wstaliśmy wszyscy i Wheeler zamaszystym krokiem opuścił salę.

Trochę zobojętniałem na dziennikarzy, nie czułem się już obnażony, kiedy mi się przypatrywali. Trzydzieści dni po zawale opuściłem miejsce dla świadka. Spośród publiczności wyłonił się Phil, zrównał się ze mną i złapał mnie za nadgarstek, chcąc zmierzyć mi tętno.

- Czujesz ból w klatce piersiowej?
- Jestem tylko trochę zmęczony.

Mruknął. Zaniepokojoyony, że znowu mam zeznawać, Phil posunął się do tego, że ściągnął do sądu kilku sanitariuszy i posadził ich pod salą.

- Nie odpowiedziałeś na pytanie. Czujesz ból w klatce piersiowej czy nie?

– Nie, panie doktorze. Możesz już odesłać kolegów. Obiecuję, że nie umrę. Przekaż im podziękowania, że spędzili tu swoją przerwę na lunch.

- Nie powinieneś jeszcze robić takich rzeczy.
- Już mówiłeś, ale jeśli to przekona sędziego, mój poziom stresu znacznie spadnie.
- No dobrze. Usiądź tu, zmierzę ci ciśnienie.

Zazgrzytałem zębami i podwinąłem rękaw.

- To nie jest konieczne.
- Wszystko w porządku, Matt? – spytał Jake.
- Tak. Proszę was wszystkich, przestańcie nade mną wisieć.

Phil poklepał mnie po ramieniu.

– Ciśnienie w normie. No dobrze. A przy okazji, myliłem się. Ten dziennik mnie przekonał.

- Dzięki. Ale to sędziego trzeba przekonać.

Mama postawiła przede mną butelkę wody.

- Dziękuję. – Wypiłem duży łyk.

Po chwili woźny sądowy powiedział:

- Proszę wstać.

Wykonaliśmy jego polecenie jak zawodowa grupa taneczna – do góry, na dół.

Wheeler spojrzał mi w oczy, po czym, siadając, spuścił wzrok.

- Może pan kontynuować, doktorze Beaulieu?

Zająłem miejsce dla świadka, modląc się, żeby Adam nie podważył mojego zeznania.

Adam zbliżył się do mnie z dość chytrą miną.

- Czy Elle poprosiła cię kiedykolwiek, żebyś podejmował za nią decyzje medyczne?

Potarłem sobie brodę.

– No cóż, podpisywałem już za nią zgodę na zabiegi medyczne, na przykład kiedy była w szpitalu w lutym. Miała transfuzję krwi. Ja podpisałem zgodę. Elle nie miała z tym problemu.

– Ale nie sporządziła nigdy formalnego oświadczenia woli, w którym wyznaczyłaby cię na swojego pełnomocnika w kwestiach medycznych, prawda?

- Nic o tym nie wiem.

– Kiedy spisała testament, czy sporządziła też nowe oświadczenie woli, w którym ciebie wyznaczyła na pełnomocnika?

- Nie.

- Ona ci nie ufała, prawda, Matt?

– Myślę, że mi ufała, we wszystkich kwestiach. W kwestiach finansowych. Sercowych. Byłem jej najlepszym przyjacielem. Nawet kiedy mieszkała z tobą, byłem jej najlepszym przyjacielem. A ona moim. – Wzruszyłem ramionami. – Ale wydaje mi się, że wiem, czemu nie

podjęła takich oficjalnych kroków.

– Nie mogę się doczekać – powiedział Adam.

– Doktorze Cunningham, doktorze Beaulieu, proszę się powstrzymać od osobistych komentarzy. – Wheeler pokręcił głową.

– Tak, Wysoki Sądzie. – Adam znów odwrócił się do mnie. – Czy może uważała, że nie postąpiłbyś zgodnie z jej wolą?

– Nie, nie dlatego. Ja nie chciałem sporządzić testamentu. Opierałem się. Ociągałem. Wiedziała, że gdy zdiagnozowano u niej zespół antyfosfolipidowy, bardzo się martwiłem o jej zdrowie, mimo że przy odpowiednim leczeniu ryzyko w czasie ciąży jest minimalne. Jako lekarz zbyt często jednak widywałem, jak sprawy przybierają zły obrót. Wiedziała, że nie mógłbym się zmierzyć z jej utratą. Nie chciałem się nawet zmierzyć z własną śmiertelnością. Ostatnie kilka tygodni to jak na mój gust gruba przesada.

Wśród publiczności pojawiło się kilka ponurych uśmiechów.

– Nie jestem odważnym człowiekiem, a przynajmniej nie w taki sposób jak ona była. Nigdy nie aspirowałbym do tego, by zostać astronautą. Nigdy nie przypiąłbym się do raket nośnych. A ona to zrobiła.

– Tak, dziękuję – powiedział Adam.

– Wysoki Sądzie, proszę pozwolić mi dokończyć.

– Doktorze Beaulieu, obowiązują nas procedury – odparł Wheeler. – Adwokat strony przeciwnej zadaje pytania. Pan na nie odpowiada.

– Chciałem tylko powiedzieć, że ona była bezinteresowną osobą, co nie znaczy, że nie miała własnych marzeń, ale...

– Wysoki Sądzie, miał przestać mówić, a on... – zaczął Adam.

Spoczął na nim wzrok Wheelera.

– Czy to znaczy, że wnosi pan o skreślenie tej wypowiedzi z protokołu? – Zamilkł na chwilę. – Przychyłam się.

– Trzeba być dzielnym człowiekiem, aby podejmować trudne decyzje, nieprawdaż? – zwrócił się do mnie Adam.

– Nie o to mi chodziło – odparłem.

– A Elle wiedziała, że nie potrafiłbyś podjąć trudnej decyzji, czyż nie?

– Codziennie podejmuję trudne decyzje.

– Ale nie potrafiłeś pozwolić jej umrzeć w spokoju, prawda?

Jake wstał.

– Sprzeciw, Wysoki Sądzie. Świadek...

– Chciałbym odpowiedzieć na to pytanie – przerwałem Jake'owi.

Wheeler zmrużył oczy.

– Proszę, panie doktorze.

– Elle wiedziała, że potrafię podejmować decyzje dotyczące życia i śmierci. Jestem neurochirurgiem. Zamierzałem pozwolić jej odejść. Wtedy dowiedziałem się, że nosi w łonie nasze dziecko. Myślałem o tym, czego chciałaby Elle. Postaram się to wyjaśnić... Elle podpisała kartę dawcy narządów. Była gotowa poświęcić swoje ciało, żeby ratować obcego człowieka. Skoro tak, na pewno zgodziłaby się, żeby przez kilka miesięcy korzystało z niego jej własne dziecko. Elle odeszła. Już jej tu nie ma. Nie cierpi. Nie jest świadoma otoczenia. Przerazała ją myśl o bólu i niemożności uwolnienia się od niego. Patrzyła, jak jej matka cierpi. Wszyscy na to patrzyliśmy. Słyszałeś, co napisała. Zrobiłaby dla tego dziecka wszystko, leżałaby w łóżku, przyjmowała zastrzyki. Zdaję sobie sprawę, że to nie to samo co być podłączoną do respiratora, ale jak znam Elle, zdecydowałaby się nawet na to. Była genialną kobietą. Dla sądu liczy się tylko



to, czego by chciała, a ja ją znałem. Wierzę, że poświęciłaby się dla tego dziecka, które nazwała tym, co najśłodsze na świecie.

Mowa końcowa Adama była zaskakująco płynna. Później siedział wpatrzony przed siebie, też cierpiący. Po pewnym czasie udzielił wywiadu Barbarze Walters, przedstawiając Elle jako bohaterkę. Był to całkiem niezły hold, i nawet dość trafny. Wypaczony przez jego punkt widzenia, uwzględniał jednak część dokonań Elle, o których należy pamiętać.

Proszono mnie, bym porozmawiał z różnymi osobami, od Katie Couric po Oprah. Nie zrobiłem tego. Dla mnie to była sprawa prywatna, a Elle nie była nigdy osobą publiczną – nawet po tamtym wypadku podczas misji, kiedy pojawiła się na okładce „Time’a” i „Newsweeka”, nigdy nie mówiła o sprawach osobistych. Byłaby bardzo niezadowolona, że jej życie stało się przedmiotem dyskusji publicznej.

Kiedy Wheeler miał wydać wyrok, myślałem, że serce przestanie mi bić, co nie byłoby precedensem.

Gdy siadał, jego toga zafalowała. Wszystko wokół wydało mi się niezwykle intensywne, od promieni słonecznych wpadających przez okna, po piżmową woń potu i suchość w ustach.

– W rozpatrywanej sprawie odrzucam wniosek o przyznanie opieki nad płodem. W stanie Maine nie ma ustaw dotyczących opieki prawnej nad nienarodzonymi dziećmi, brak też precedensu prawnego. Płodowi nie można przyznać opiekuna. Nie ma też precedensu, który pozwoliłby zastosować w takiej sytuacji prawo do wolności religijnej zawarte w pierwszej poprawce.

Z trudem oddychając, bazgrałem w notatniku Jake’a: „Możemy się odwołać?”.

Jake skinął głową i skupił się na tym, co mówił sędzia.

Wheeler ciągnął dalej:

– Co do oświadczenia woli, w którym Elle McClure wyznaczyła doktora Adama Cunninghama na swojego pełnomocnika w kwestiach zdrowotnych, nie mogę uznać prawa teksańskiego. W Maine ciąża nie unieważnia oświadczenia woli, chyba że zawiera ono takie zastrzeżenie. Ponadto mam wątpliwości, czy można uznać, iż Elle w pewnej chwili unieważniła swoje oświadczenie woli z 2003 roku, na podstawie tego, że drugiego lutego tego roku złożyła podpis na formularzu przyjęcia do szpitala, z którego wynika, iż nie sporządziła takiego dokumentu. – Odchylił się w fotelu, a my czekaliśmy, aż zacznie mówić dalej. – Istnieje prawdopodobieństwo, że drugiego lutego Elle była w szoku i podpisała kartę przyjęcia, nie rozumiejąc jej treści. Elle Beaulieu od dawna nie jest w związku z doktorem Cunninghamem, a po rozstaniu nie utrzymywała z nim bliskich relacji. A Linney Beaulieu opowiada się obecnie po stronie syna.

Odetchnąłem głęboko.

– Zadaniem sądu nie jest ocena moralna. Jesteśmy tu po to, żeby dociec, co wybrałaby Elle McClure, gdyby była w stanie podjąć decyzję. Na podstawie wpisu w dzienniku w dniu wypadku dochodzę do wniosku, że chciałaby, by ta ciąża rozwijała się dalej.

Jake położył mi rękę na ramieniu.

– Jednakże – ciągnął dalej Wheeler – Elle poinformowała też wszystkich, którzy tu zeznawali, że nie chce żyć dalej, jeśli nie będzie nadziei na to, że wyzdrowieje. Nakazuję jej opiekunom, by pozostawała podłączona do aparatury podtrzymującej życie do końca ciąży.

– Dzięki ci, Boże – wyszeptalem.

– Doktorze Beaulieu... – powiedział sędzia, zwracając się do mnie. – Podziwiam pańską żonę. I jest mi bardzo przykro z powodu pańskiej straty. Mam szczerą nadzieję, że ta ciąża da panu zdrowe dziecko. Życzę pańskiej rodzinie wszystkiego dobrego. Kiedy Elle Beaulieu urodzi lub poroni, odbędzie się rozprawa, na której sąd ustali warunki odłączenia jej od aparatury

podtrzymującej życie. Sprawa zostaje odroczone.

Uściskałem Jake'a. I Hanka. I każdego, kto mi się nawinął. Ale Adam siedział samotnie, wpatrując się w okno.

None

Dzień sto sześćdziesiąty

Pamiętam, że kiedy matka Elle chorowała, myślałem, że to umieranie trwa zdecydowanie za długo. Każdy jęk, każdy z trudem złapany oddech był dla Elle torturą, a w końcu zdałem sobie sprawę, że choroba Alice skrzywdziła też Christophera. I Hankę. Widok Elle w tym stanie potwornie mnie gnębił, ale powtarzałem sobie, że każdy dzień zwiększa szanse dziecka.

Z USG zrobionego pod koniec października wynikało, że jest to dziewczynka. Badanie w okresie Święta Dziękczynienia potwierdziło to. W nadzieję wpisana jest niepewność, ale nawet wątpliwa nadzieja wyzwała w nas siłę i pomaga przetrwać strach i żal – a nawet śmierć. Dlatego takie imię nadałem mojej córeczce – Hope.

Wciąż jeszcze nie była bezpieczna. Ciśnienie Elle stawało się coraz większym problemem i Blythe robiła teraz codziennie USG, żeby sprawdzić, jak Hope znosi pogorszenie stanu matki. Staralem się być przy każdym badaniu, ale tamtego dnia spóźniałem się. Jeden z moich pacjentów miał niegroźne powikłanie z powodu narkozy, co zaburzyło mój harmonogram. Przeciąłem zaśniewany parking, wbiegłem do domu opieki i przemierzyłem pędem hol pełen wózków, w których siedziały siwowłose kobiety o wiotkiej skórze – a także kilku mężczyzn; żyli tak długo, że trafili tutaj.

Nasza rodzina zajmowała dwa pokoje na końcu północnego skrzydła Seashore Nursing Home. Spędzałem tam większość nocy. Hank całymi dniami czytał Elle. Nie słyszała ojca, ale to go nie zniechęcało.

Tęskniłem za nią i jedynym sposobem, żeby sobie z tym radzić, było pisanie własnych listów. „Droga Pip”. Może Hope będzie chciała kiedyś poznać historię wspólnego życia rodziców. Ale na razie te listy pozwalały mi zachować zmysły.

Kiedy wszedłem do pokoju, Blythe czyściła właśnie sondę.

– Pora zdjąć dekoracje świąteczne. Jutro koniec stycznia.

– Elle uwielbiała Boże Narodzenie – powiedziałem, ale miałem na myśli, że to jej ostatnie święta. – Jak dziecko?

Blythe odwróciła się ode mnie.

– Nie najgorzej, nawet ssie palec. Ale Elle... Matt, ona gaśnie. Ma coraz gorsze wyniki badań krwi. Chcę ją dziś przenieść z powrotem do szpitala. Narosła niewydolność nerek, ciśnienie podskoczyło. Mimo że zmniejszyłam jej wczoraj dawkę heparyny, poranne badania wykazały zdecydowanie za niską krzepliwość krwi. Może zakrwawić. Mogłabym wyliczać dalej, ale rozumiesz, jak to wygląda. Nie jest dobrze. – Różowa opaska wypadła jej z włosów i Blythe pochyliła się, żeby ją podnieść. – Zauważyłeś wybroczyny?

– Nie. Gdzie?

Wskazała na małe czerwone plamki na przedramionach, brzuchu i czole przy linii włosów.

– Jeszcze za wcześnie na poród – powiedziałem.

– W trzydziestym pierwszym tygodniu dziecko ma już spore szanse. A w tej sytuacji ma większe szanse poza brzuchem, ale postaramy się dać jej dwadzieścia cztery godziny. Chcę podać Elle jeszcze jedną dawkę sterydów, żeby przyspieszyć dojrzewanie płuc dziecka.

Przyciągnąłem fotel do łóżka Elle i wzięłam ją za rękę.

– Kiedy chcesz ją przewieźć?

– Już zadzwoniłam po transport. Karetka powinna przyjechać w ciągu godziny. – Podsunęła mi wyniki badań. Parametry Elle były znacznie gorsze, niż przypuszczałem.

– Ale dziecku nic nie jest?

– Nie poddaje się, lecz nie rozwija się też tak dobrze, jak bym chciała. Nie możemy czekać. Sprawy mogą w każdej chwili przybrać bardzo zły obrót. Dam wam kilka minut na osobności. – Blythe wyszła i zamknęła za sobą drzwi.

Położyłem rękę na dłoni Elle.

– Kocham cię, Pip. Boże, to już, prawda?

Cisza potrafi ogłuszać. Odeszła tak dawno temu.

Tęsknię za tobą.

Pochyliłem się i pocałowałem jej brzuch.

– Już dobrze, Hope. Tatuś jest przy tobie, a mamusia napisała mnóstwo listów, postaram się, żebyś poznała wszystkie jej opowieści.

Czasem mój umysł robi zdjęcia, widzi zastygłe obrazy, nie film. Kiedy otworzyły się podwójne drzwi na salę porodową, mineliśmy rejestrację, przy której siedział mężczyzna i trzymał dłoń żony o pobielających kłykciach. Na jego twarzy malował się pocieszający uśmiech, w oczach niepokój. Nie wiem, czemu zobaczyłem tylko jego, nie ją. Tak jakby ona była duchem.

Zwykle na porodówce ludzie wyczekują nowego życia. Ja też go wyczekiwałem. Ale spodziewałem się też żalu. Bałem się. Bałem się o dziecko, bałem się o Elle, bałem się chwili, kiedy jej ciało ostatecznie umrze – a czas uciekał. Bałem się pustki, która przyjdzie, gdy nie będzie na tym świecie żadnej części Elle.

Odbyły się rutynowe czynności: przełożono Elle z noszy na łóżko szpitalne, umieszczono monitor tętna płodu, podłączono kroplówkę. Mimo lęku przed igłami Elle nawet nie mrugnęła.

Następnie przyszedł czas na mniej rutynową część. W drzwiach pokoju szpitalnego Elle pojawiła się twarz mojej mamy. Oboje płakaliśmy, kiedy tłumaczyłem, że ciało Elle gaśnie – może i powoli, ale nieuchronnie, jak świeczka, która się wypala.

Chodziłem w kółko po dostępnych dwóch metrach kwadratowych podłogi. Dwa kroki w jedną stronę, dwa z powrotem. Mama przytuliła mnie, przytrzymała. Ale bezruch budził we mnie niepokój. Bezruch to śmierć. Elle to bezruch.

– Przejdźmy się, skarbie – powiedziała mama.

Pokręciłem głową.

Ucisnęła mi ramię, tak jak robiła to, kiedy byłem dzieckiem; w ten sposób zmuszała mnie do uwagi, nie podnosząc głosu. Ona mi nie proponowała spaceru. To był nakaz.

– Musisz o siebie dbać. Dziecko cię potrzebuje, a martwienie się o Elle mu nie pomoże. Nie możesz sobie teraz pozwolić na kolejny zawał. Jeszcze przez wiele godzin nic się nie wydarzy. Chodźmy coś zjeść.

Wyszedłem z pokoju za matką, ale najpierw obejrzałem się za siebie. Zawsze będę się oglądał.

Jakby usłyszała moje myśli, mama powiedziała:

– Musisz teraz myśleć o dziecku, nie o Elle. Musisz patrzeć przed siebie.

Matka miała rację. Nie chciałem pamiętać Elle takiej. Chciałem ją widzieć tak, jak widziałem ją rano przed wypadkiem, opromienioną błękitem nieba i słońcem odbijającym się w rzece. Chciałem ją pamiętać silną i zdrową. Chciałem ją taką odzyskać. Elle daje życie naszej córce. A ja chciałem dać Hope wspomnienia o Elle – takiej, jaką była przez trzydzieści pięć lat życia, a nie umierającej na szpitalnym łóżku.

Poszedłem za mamą do kafejki – nie najlepsze miejsce na posiłek zdrowy dla serca. Moje nozdrza wypełnił zapach bekonu, ale zamówiłem zupę warzywną. Od miesięcy nie miałem apetytu i mocno schudłem. Ostatnimi czasy jadłem tylko po to, żeby uspokoić matkę. Oboje wykonaliśmy kilka telefonów. Zostawiłem wiadomości głosowe Keishy i Jake'owi. Phil powiedział, że zastąpi mnie w szpitalu. Komórka mamy zadzwoniła i po kilku monosylabicznych

burknięciach mama się rozłączyła.

– Christopher nie chce być w szpitalu dłużej, niż musi, ale powiedział, żeby mu dać znać, kiedy zabiorą ją na cesarskie cięcie. Będzie w poczekalni.

Powstrzymałem się od uwag, myśląc, że gdyby Elle wciąż tu była, przypomniaby mi, że Christopher stara się, jak może, że był jeszcze dzieckiem, kiedy Alice chorowała, i że jej śmierć na nim też odcisnęła piętno.

– Hank był na mityngu, ale niedługo przyjedzie.

Kiedy wróciliśmy, odgłos bicia serca Hope uspokoił mnie, ale nie zauważyłem, jak bardzo jest ono powolne. Cały ten chaos musiał mnie rozkojarzyć. Terapeuta oddechowy wtłaczał powietrze do płuc Elle przy użyciu worka samorozprężalnego. Odkąd obudziłem się po mojej operacji, oddychała samodzielnie. A teraz przestała.

Wkroczyłem do pokoju.

– Co się dzieje?

Jedna pielęgniarka wieszała pojemnik z krwią, a druga podłączała kolejną kroplówkę.

– Ciśnienie jej spadło. Bierzymy ją natychmiast na salę operacyjną, na cesarskie cięcie.

– Ile? – spytałem.

– Sześćdziesiąt na dwadzieścia siedem.

Co oznaczało, że Elle jest w stanie wstrząsu. Pielęgniarka, której imienia nie pamiętałem, zwróciła się do mamy:

– Blythe przygotowuje się do operacji.

Podszedłem do Elle i pocałowałem ją w czoło, zauważając przy tym, że w ciągu czterdziestu minut, kiedy nas nie było, wyboczyny stały się wyraźniejsze.

– Trzymaj się, Pip. Już niedługo.

Mama wyciągnęła odczyt z monitora tętna płodu i przyjrzała mu się.

– Jak dziecko? – spytałem.

Pobladała.

– Chodź, Matt. Zejdźmy im z drogi. Niech biorą Elle na salę operacyjną. – Pociągnęła mnie za ramię i wyprowadziła na korytarz.

– Mamo, co z dzieckiem? Co się dzieje?

– Ma bradykardię. Tętno koło sześćdziesięciu.

Wtedy sobie uświadomiłem. Nie słyszałem szybkiej fali tętna płodu. Tętno Hope było wolniejsze niż moje. A jeśli serce dziecka bije tak wolno, to wymaga ono resuscytacji.

– Idę się przebrać – powiedziałem, ruszając korytarzem.

– Nie wpuszczą cię na salę.

– Wpuszczą.

Oczy mamy wypełniły się łzami.

– Nie teraz. Elle umrze w ciągu następnych kilku godzin, a może nawet na sali.

– Wiem. Dlatego właśnie będę tam. Dla niej. Dla Hope – powiedziałem i dałem nura do męskiej szatni. Musiałem mieć pewność, że choć nie mogłem uratować Elle, nigdy jej nie opuściłem. Niecałą minutę później wyłoniłem się w sterylnym niebieskim ubraniu, właśnie w chwili gdy łóżko Elle zniknęło za podwójnymi drzwiami sali operacyjnej. Rzuciłem się w tamtym kierunku na złamanie karku, przystanąłem tylko przy drzwiach, żeby włożyć maskę, czepek i ochraniacze na buty. W pełni przyodziany, stanąłem z boku, kiedy układano Elle na stole operacyjnym.

Anestezjolog rozebrał Elle z koszuli i umieścił na jej klatce piersiowej elektrody, po czym okryto ją sterylnymi chustami. Potem wprowadził jej przez gardło sondę, by opróżnić żołądek, ale zamiast żółtawego pokarmu w drenie pojawiło się coś, co wyglądało jak stara krew.

Anestezjolog szeroko otworzył oczy, kiedy krew zmieniła kolor na jasnoczerwony. Elle ma krwotok.

Jej kardiomonitor zawył.

– Ma dużo skurczów nadkomorowych, dziwnie wyglądających salw i krwawi z przewodu pokarmowego. Blythe, musisz jak najszybciej wyjąć dziecko – powiedział anestezjolog.

– Podajcie lidokainę – powiedziała Blythe.

Za mną stanęła matka.

– Jesteś pewna, że chcesz tu być, Linney? – spytał ktoś.

Mama wzięła w rękę moją dłoń, przywarła do mnie i wydobyla z siebie:

– Tak.

Na salę wpadł zespół z Oddziału Intensywnej Terapii Noworodków: neonatolog, pielęgniarka i technik oddechowy. Sprawdzili sprzęt do resuscytacji dziecka.

– Jakie ma tętno? – spytało jedno z nich.

– Straciliśmy je jakąś minutę temu.

Zakręciło mi się w głowie i ktoś podsunął mi stółek.

– Powinam cię stąd zabrać – powiedziała mama.

– Nie – zaprotestowałem, wkładając sobie głowę między kolana. – Nie.

Rezydent pokrył brzuch Elle Betadine, pomarańczowobrazową maścią antyseptyczną, a Blythe, nie czekając, aż środek zabije choćby jedną bakterię, jednym pewnym ruchem skalpela otworzyła brzuch.

– Ssanie. Więcej ssania – powiedziała.

Krew lała się tak, jakby Blythe przecięła tętnicę. A nie zrobiła tego. Krwotok był wywołany środkami przeciwzakrzepowymi, możliwe że przyczynił się też do niego stan przedrzucawkowy.

Ktoś z Oddziału Noworodkowego, nie zauważywszy, że jestem na sali, powiedział:

– Wezwijcie posiłki. To nie będzie przyjemne. Zaczniście szykować leki. Przygotujcie sól fizjologiczną i... – ciągnął.

Ktoś go trącił.

– Ćśś, ojciec.

– Co on tu robi?

Blythe kroila pospiesznie. Inny lekarz ciągnął rozwieracz z taką siłą, że omal nie ściągnął Elle ze stołu. Trysnęło więcej krwi; lała się już na podłogę.

Wtedy, silnym acz czułym gestem, Blythe sięgnęła do brzucha Elle, zanurzyła rękę praktycznie po łokcie, i wyciągnęła moją siłą, bezwładną córkę. Jakbym znowu widział Dylana.

Ekipa z Intensywnej Terapii Noworodków włożyła ją do inkubatora i zebrała się wokół niej.

Proszę, Boże, ocal Hope.

Podniosłem się i podszedłem do anestezjologa, który stał przy głowie Elle. Znałem go. On znał mnie. Odwrócił wzrok. Z całą pewnością nie powinno mnie tam być, ale wszyscy jakoś przymknęli na to oko.

Blythe operowała gorączkowo, koagulując krwawiące naczynia. Jakby to miało jeszcze jakieś znaczenie, jakby można było uratować moją żonę.

Osunąłem się na kolana przy stole operacyjnym i splotłem palce z palcami Elle. Proszę, wiedz, jak bardzo cię kocham.

– Migotanie komór – powiedział anestezjolog do Blythe.

– Matt, co robimy? Mam ją reanimować? – spytała Blythe.

Zawahałem się przez chwilę. Obiecałem szanować Elle.

– Nie – powiedziałem. – Pozwól jej odejść w spokoju.

Ale na sali nie było spokoju.

Wszyscy mówili, że to nic nie da, ale prosiłem, żeby mimo wszystko ratowali dziecko. Żeby próbowali. Pragnąłem tego dziecka za wszelką cenę, ale nie sądziłem, że będzie to tak wyglądało, że rozerwą brutalnie brzuch Elle. I że dziecko też umrze. Ludzie z Intensywnej Terapii Noworodków ciągle tam byli, starali się reanimować Hope, ale ona, blada i bezwładna, wyglądała jak martwo urodzony Dylan.

– Ile punktów w skali Apgar? – spytała Blythe.

– Sześć w pierwszej minucie. Pięć minut jeszcze nie minęło.

Sześć w skali Apgar?

– Tętno sto sześćdziesiąt – odezwał się kobiecy głos.

– No dalej, oddychaj – powiedział neonatolog. – Właśnie tak. Już lepiej. Dochodzi do siebie.

Zerwałem się na nogi.

– Różowieje – powiedział neonatolog, odwracając się lekko w moją stronę.

I nagle moja maleńka córeczka wydała z siebie potężny krzyk.

– Otóż to – powiedziała pielęgniarka.

Mama przepchnęła się i stanęła między ludźmi z Intensywnej Terapii Noworodków.

– Matt, jest piękna.

Odetchnąłem pełną piersią, może pierwszy raz od miesięcy.

– Muszę ją zobaczyć.

Technik oddechowy odsunął się na bok i ujrzałem, jak moja dziewczynka, umazana krwią, ale zdecydowanie różowa, wydziera się wniebogłosy.

Odwróciłem się, właśnie gdy anestezjolog wyłączał kardiomonitor Elle.

– Czas zgonu: pierwsza trzynaście – powiedziała cicho Blythe.

None

*Wróć do mnie we śnie, tam odpowiem ci tętnem na tętno i oddechem na oddech:  
nachyloną, szeptem ogrzeję  
Jak kiedyś, najdroższa, choć to dawne dzieje.*

Christina Rossetti

## Epilog

Cztery miesiące później

W ciągu ostatniego roku zacząłem postrzegać żal jako falę pływową. Wznosi się niespodziewanie w głębi mojego jestestwa i niesie ze sobą wszystkie zagarnięte po drodze odpadki. Czasem budzę się zły, że Elle nie była bardziej ostrożna. Niekiedy rankiem sięgam ramieniem, żeby ją objąć, wciąż wypierając myśl, że odeszła na zawsze. Potem leżę i błagam Boga, żeby pozwolił mi się obudzić z tego cholernego koszmaru. Płakałem. Przyjąłem miłość i wsparcie rodziny i przyjaciół.

I doświadczyłem radości, bo moja córka kwitnie. Zaglądam do pokoju Hope.

W dniu, w którym przyniosłem moją dziewczynkę do domu, nasz labrador, Hubble, mianował się jej aniołem stróżem, i teraz podniósł łeb z dywanu, jakby chciał pokazać, że czuwa.

W łóżeczku śpi Hope z rączkami rozrzuconymi na boki i rozłożonymi tłusciutkimi paluszkami. To niesamowite, ile urosła. Gdy się urodziła, ważyła niewiele ponad kilogram; zdążyła już potroić tę wartość. Ma jasne blond włoski i spiczastą bródkę po mamie. W pozostałych rysach jej twarzy widzę siebie. Jej oczy, brązowe jak moje, ciemnieją z każdym dniem. Jest Elle i mną zarazem. Ale jest też malutką samą sobą.

Nic nie wskazuje na to, żeby Hope zamierzała się niedługo obudzić, dzięki czemu nadal mógłbym odsuwać od siebie to, co mam zrobić. Pewnie zbiera siły. Jutro jej chrzest.

Przyjdą wszyscy, mama i Hank, moi bracia i ich rodziny, Chris, jego żona i córka, Phil i Melanie, Blythe – a nawet sędzia Wheeler. A ze względu na rolę, jaką Jake odegrał w uratowaniu Hope, ojciec Meehan zgodził się, żeby mój niekatolicki przyjaciel został jej ojcem chrzestnym. Zgodnie z regułami tylko jedno z rodziców chrzestnych musi być wyznania katolickiego, a Keisha jest. Keisha jest ostatnio bardzo podekscytowana – nie tylko ze względu na przyszłą rolę matki chrzestnej Hope. Wraz z Guyem zdecydowali się dać dom zastępczy starszemu dziecku i zapewne wkrótce będą mogli je adoptować. Zadzwoiła wczoraj wieczór i powiedziała, że zaliczyli kurs przygotowawczy, więc to już niedługo. Cieszę się ich szczęściem.

– Pośpij jeszcze trochę, dziecinko – szepczę do Hope. – Jutro twój wielki dzień.

Kierując się ku schodom, mijam pokój Hanka. Wprowadził się do nas – mówi, że „na jakiś czas”. Opiekuje się Hope w te dni, kiedy ja pracuję, i nocami, kiedy wzywają mnie do szpitala.

Mama też pomaga – na swój sposób. Uparła się, żeby pomalować pokój Hope na różowo. Powiedziałem, że to zbyt „dziewczyńskie”. A mama spytała: „To jakiego koloru powinien niby być?”. Mówi mi, że nie wiem nic o wychowywaniu dziewczynek, więc poszedłem na pewne ustępstwa, ale na wściekle różowy się nie zgodziłem. Mama i tak już wypchała szafę Hope falbaniastymi sukieneczkami, które z pewnością bardzo nie spodobałyby się Elle, i zajmuje się dzieckiem dwa razy w tygodniu – co z pewnością bardzo by się Elle spodobało. Wszyscy mi pomagają. Wygląda na to, że do opiekowania się czterokilogramową dziewczynką potrzeba taty i całej wioski.

Ale przed jej świętem, przed sakramentem, muszę jeszcze coś zrobić.



Decyzja, żeby pochować Elle tu, na naszej ziemi, nie była trudna, ale realizacja okazała się dość skomplikowana. Wprowadzono rozporządzenie dopuszczające pogrzeby jedynie na oficjalnych cmentarzach i miasto odmówiło nam zgody na pochowanie Elle w trumnie obok jej rodziny. Jeśli skremuję Elle, powiedziano, będę mógł pochować jej prochy w dowolnym miejscu na terenie posiadłości. Wielkie mi ustępstwo.

Naszej rodzinie nie podobał się pomysł kremacji, ale Elle po śmierci Celiny przekonała mnie, że to najlepsze rozwiązanie. Po śmierci Dylana też. „Oni byli gwiazdowym pyłem”, powiedziała. A żadna spadająca gwiazda nigdy nie świeciła jaśniej niż Elle.

Teraz, kiedy ziemia już rozmarzła, spełnię złożoną kiedyś obietnicę. Prochy Celiny i Elle spoczną razem – Dylana oczywiście też. Jego także z pewnością chciałyby mieć przy sobie. Ale jest coś jeszcze. Po dwóch poronieniach tak wczesnych, że dzieci nie miały jeszcze kształtów i płci, Elle chciała je jednak jakoś upamiętnić. Kupiła więc dwa małe kawałki meteorytu i pochowała je w ogródku w małym drewnianym pudełku. „Gwiazdny pył”, powiedziała Elle. Tego ranka wykopałem urny: Celiny i Dylana, i cząstki meteorytu. I tam, w ogródku, w szklanym pojemniku znalazłem pamiątniki poświęcone dzieciom. Elle nie zwracała się w nich do mnie, lecz do swoich pociech. Celina była „Kochanym Aniołkiem”. Drugie dziecko było jej „Skarbem”, trzecie „Maleńką Gwiazdeczką”, a Dylan... Dylan był jej „Małym Kochaniem”. Przeczytałem te pamiątniki, a potem zakopię je z powrotem. Pewnie umieściła je w ogródku jako epitafia.

Rozkładałem gazetę na kuchennej podłodze, a potem wnoszę do domu trzy urny i ustawiam je obok siebie. Niepewność, jaką czuję, może się równać tylko niepewności, jaka towarzyszyła mojemu pierwszemu chirurgicznemu cięciu. Klękam, otwieram urnę Elle i zaczynam drzeć. Pocięszam się, mówiąc: – Gwiazdny pył. Nie masz pojęcia, jak za tobą tęsknię, Pip. – Otwieram urnę Dylana i mieszam jego prochy z prochami Elle. – Kocham cię, dzieciaku. Spoczywaj ze swoją matką. – Dokładam dwa kawałki meteorytu, po czym wpatruję się przez dłuższą chwilę w urnę Celiny. – Celino, byłabyś już całkiem duża. Ciebie też kochaliśmy. – Zaglądam do środka i coś widzę. W pierwszej chwili przychodzi mi do głowy, że po tylu latach jej prochy zbiły się w grudkę, ale przyjrzaawszy się bliżej, zdaję sobie sprawę, że to zamknięta plastikowa torebka, a w niej koperta. Przełykam ślinę i wyjmuję ją, ostrożnie, strzepując prochy Celiny do urny Elle.

Koperta zaadresowana jest do mnie pismem Elle.

*Doktor Matthew Beaulieu*

Otwieram ją:

*Matt,*

*W NASA nazywają to listem na wypadek nieprzewidzianych okoliczności. Zwykle w czasie kwarantanny żegnamy się na papierze z najważniejszymi dla nas osobami. Piszę ten list w gospodarstwie, ale moje serce jest pełne Ciebie. Jeździliśmy dziś kolejką górską i spacerowaliśmy po plaży. Chcę, byś wiedział, że nie zapomnę żadnej chwili tego dnia. Tamte godziny były naszym prawdziwym pożegnaniem, ale muszę zostawić po sobie te słowa. Na wszelki wypadek. Wiem, co powiedziałeś na plaży. Nie chcesz słyszeć, że mogłabym umrzeć. Ale może się tak stać. A jeśli czytasz te słowa, stało się.*

*Nie chcę stawiać Cię w niezręcznej sytuacji. Wiem, że kochasz swoją narzeczoną, i nie chcę zostawiać Ci listu, który mógłby wywołać jakieś pytania czy coś skomplikować, dlatego ukrywam tę wiadomość tutaj, gdzie znajdziesz ją tylko Ty. Złożyłeś mi obietnicę i wiem, że jej dotrzymasz. Wiem, że jej dotrzymałeś, dlatego znalazłeś ten list. Jeśli jednak chcesz jej*

*powiedzieć, to zrób to. Masz moje błogosławieństwo.*

*Rozumiem, z jakim ryzykiem wiąże się to, co wkrótce zrobię. Podróż kosmiczna jest niebezpieczna, ale dla pewnych rzeczy warto się poświęcać. To jest jedna z nich. Jestem szczęśliwa – wręcz wniebowzięta – że podejmę ryzyko... zbliżę się do gwiazd... dotknę nieba. Ilu ludzi doświadcza takiej czystej euforii? Mam ogromne szczęście, że mogę spełnić swoje marzenie.*

*Kocham Cię, Matthew. Nie pamiętam, żebym Cię kiedyś nie kochała. Zawsze byłeś mi najbliższym przyjacielem. Byłeś moją pierwszą miłością. I ojcem jedyne go dzieciątka, jakie dane mi było urodzić. Kochałam naszą córkę, choć nie dojrzałam jeszcze do macierzyństwa. Byliśmy zbyt młodzi. Dziękuję, że tak się mną wtedy opiekowałeś. I dziękuję, że teraz wziąłeś na siebie ciężar pochowania jej ze mną.*

*Pewnie nie powinnam Ci mówić tego wszystkiego. W końcu żenisz się z inną. Ale wiem, że część Ciebie odwzajemnia moje uczucia, i chcę Ci powiedzieć, że nie ma w tym nic złego. Mamy wspólną przeszłość, sprzed nastania kogokolwiek innego. Nie zdradzasz żony, oplakując teraz mnie.*

*Zabiorę na misję część Ciebie. Uczyniłeś mnie silniejszą, lepszą i bardziej pewną siebie. Uczyniłeś moje życie bogatszym i wierzę, że i ja dałam Ci coś z siebie.*

*Będę z Tobą w Twoich wspomnieniach. Kiedyś opowiesz swoim dzieciom o pewnej dziewczynie, która tak bardzo kochała gwiazdy, że poleciała raketą w kosmos, żeby naprawić uszkodzony teleskop.*

*Jesteś czułym człowiekiem o dobrym sercu. Kiedyś będziesz cudownym mężem i ojcem. Chcę, byś żył pełnią życia. Obiecuj mi jeszcze jedno. Obiecuj, że będziesz szczęśliwy.*

*Z miłością,*

*Pip*

Obiecać, że będę szczęśliwy? Jezu. Przeczytałam list jeszcze raz. Oczywiście Elle napisała go przed misją, kiedy jeszcze byłem zaręczony z Carol. Tak jak w innych kwestiach, jak w kwestii tego cholernego oświadczenia woli, uporządkowała swoje sprawy, zostawiając wszystko za sobą.

Dopiero po dłuższej chwili udaje mi się podnieść z podłogi. Znowu czytam list. Chcę powiedzieć Elle, że nigdy nie poślubiłem Carol. Chcę powiedzieć Elle, że Celina nie była jej jedynym dzieckiem. Chcę, żeby Elle weszła na górę, stanęła w drzwiach pokoju Hope i zaczęła się rozpyliwać nad tym, co najśłodsze na świecie. Nawet teraz zachowuję zmysły, nurzając się w wyparciu.

Kręcę głową. Ona odeszła. Jeszcze raz czytam list. Wciąż nie mogę się uwolnić od ostatniej linijki – kolejna obietnica, którą każe mi złożyć, obietnica, że będę szczęśliwy.

Hubble schodzi po schodach i zaczyna piszczeć. To znaczy, że Hope się budzi, ale jeszcze nie płacze. Wypuszczam psa na dwór, a potem przesypuję resztę prochów Celiny do urny Elle.

– Z gwiazdnego pyłu powstałaś, w gwiazdny pył się obrócisz – mówię.

Na górze rozlegają się krzyki Hope. Myję ręce i idę do niej.

– Hej, małeńka – mówię, wyjmując ją z łóżeczka. Od razu się uspokaja. Moja czarująca córka wie, że gdy tylko zwróci na siebie moją uwagę, tracę głowę. Uśmiecha się. Promienieje. Jest lekkością i szczęściem. – Dobrze, Elle. Dobrze. Obiecuję.

Hope dostaje suchą pieluszkę i ciepłą butelkę, po czym układa się w moich ramionach na tylnym ganku. Jest promienny wiosenny poranek i powietrze wypełnia zapach bzu. Na rzece jest przypływ i woda migocze w słońcu. Wiosną rodzi się nowe życie. Nowe życie.

Kładę sobie Hope na ramieniu, żeby się jej odbiło, po czym schodzę po schodach, rozglądając się wokół, patrząc na ogródek, trawnik, las. Może to gra światła, ale przez sekundę widzę między drzewami ulotną postać – Elle, opromieniona słońcem i uśmiechnięta. Potem znika. Ale wciąż tu jest. W moich wspomnieniach. W moim sercu. A część niej jest w naszej córce.

– Hope – mówię. – Była sobie kiedyś dziewczyna, która tak bardzo kochała gwiazdy, że poleciała rakieta...

None

## Od autorki

Nota historyczna: Z wielkim smutkiem oglądałam katastrofę promu kosmicznego Columbia i podziwiam odwagę i poświęcenie wszystkich badaczy kosmosu przed i po tej tragedii.

Jednakże w tej opowieści umieściłam fikcyjną misję Atlantis w maju 2004 roku, czternaście miesięcy przed rzeczywistym wznowieniem programu. Nieustraszone załoga promu kosmicznego Discovery wyruszyła ponownie w kosmos 26 lipca 2005 roku. NASA rzeczywiście wysłała Atlantis na Hubble'a z misją serwisową, ale nastąpiło to dopiero w 2009 roku i na szczęście misja przebiegła bez większych zakłóceń.

I wreszcie prawdą jest, że mikrometeority stanowią zagrożenie dla astronautów odbywających spacer kosmiczny, ale to, co wydarzyło się podczas misji Elle, i cała ta historia są całkowicie fikcyjne.

Co do obecnych w tej powieści kwestii prawnych, prawa dotyczące oświadczeń woli w różnych stanach są różne. Niektóre stany zakazują odłączania kobiet ciężarnych od aparatury podtrzymującej życie. Niektóre uzależniają decyzje od oceny szans donoszenia ciąży. Niektóre nie mają w tej kwestii żadnych regulacji prawnych. Zachęcam państwa do pozyskania szerszych informacji na ten temat.

## Podziękowania

Nie napisałabym tej powieści bez miłości i wsparcia mojej rodziny. Mąż i synowie zachęcali mnie, kiedy chciałam się poddać. Dali mi czas na realizację moich marzeń. Świątowali ze mną moje sukcesy i pocieszali mnie, kiedy tego potrzebowałam. Tim, mam niesamowite szczęście, że jesteś moim mężem. Robert, Cole i Ethan, jesteście moją największą radością. Kocham was wszystkich.

Obie moje siostry, Sherron Small i Lou Symington, pomogły w różnych szczegółach tej opowieści. Wiecie, że jestem waszą dłużniczką. Dziękuję wam za przyjaźń i siłę.

Jestem bardzo wdzięczna mojej agentce, Laney Katz Becker. Jej mądrość, intuicja i wiara pozwoliły mi sięgnąć głębiej, niż się po sobie spodziewałam. Bardzo dziękuję za twoje wskazówki.

Chcę podziękować następującym osobom: Lindzie Retstatt, Carol McPhee, Judi Romaine, Vernie LaBounty, Deborah Nemeth, Kathleen Jutter. Nauczyłam się od was tak wiele o sztuce pisania. Amy Nathan i Catherine DiCairano, dziękuję, że byłyście moimi pierwszymi czytelniczkami; jestem wam wdzięczna za wsparcie i szczerść. Marii Imbalzano dziękuję za pomoc w kwestiach prawnych i za jej logiczny umysł. Wszelkie potknięcia obciążają mnie i tylko mnie. Dziękuję ci, Mary Otis, za odpowiedzi na moje pytania z zakresu intensywnej terapii. Dziękuję także doktorowi Leroyowi Chiau, który wyjaśnił mi kilka kwestii z dziedziny astronautyki.

Polegałam też w dużym stopniu na fantastycznym Backspace Writer's Forum. Dziękuję Karen Dionne i Chrisowi Grahamowi za stworzenie tej społeczności. Stała się ona dla mnie duchową przystanią.

Wreszcie chcę podziękować mojej wspaniałej redaktorce, Emily Krump, za jej dogłębne zrozumienie moich postaci i ich świata. Dziękuję Julii Meltzer, Martinowi Karłowowi, Juliette Shapland i wszystkim w William Morrow za ich wsparcie i entuzjazm.

